



✧ Renata Czarnecka ✧

KORONA
W ZŁOCIE I KRWI



✦ Renata Czarnecka ✦

KORONA W ZŁOCIE I KRWI

Na motywach życia króla Węgier Ludwika I Wielkiego
i
królowej Neapolu Joanny Andegaweńskiej



Książnica

POLECAMY

DWA KRÓLESTWA,
JEDNA KREW

KORONA
W ZŁOCIE I KRWI

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
ANNA SŁOTORSZ / ARTNOVO.PL

Fotografia na okładce
© LIGHTFIELD STUDIOS/Adobe Stock
© grape_vein/Adobe Stock
© Krakenimages.com/Adobe Stock
© Александр Григорьев/Adobe Stock

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRONŃ-KOCHANIEC, MONIKA KACZMAREK

Redakcja
MAŁGORZATA GROCHOCKA

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Skład
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Renata Czarnecka, Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6292-2

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Posłowie

Przypisy

ROZDZIAŁ 1



Był czerwiec 1348 roku. Ludwik Węgierski powracający z wyprawy wojennej z Neapolu zwrócił twarz ku słońcu, jakby spragniony jego ciepła i mocy, a może w nadziei, że ono rozjaśni jego ponure myśli. Jednak nic nie zdołało przegnać tego, co zatruwało mu duszę. Był o pół dnia drogi od Wyszehradu, lecz nie wysłał przodem umyślnego, nie uprzedził matki o swoim powrocie. Zaraza zdziesiątkowała jego armię. Wracał pokonany przez papieża, bez królowej Neapolu Joanny, którą obiecał matce przywieźć. Utrudzony niepowodzeniami i drogą rad by już stanąć w zamku i ucałować żonine usta, do czego tęsknił i co miało być mu osłodą. Jednak wieść o tym, że król stanął na węgierskiej ziemi, szybko rozniosła się po królestwie i dotarła na dwór węgierski, gdzie Elżbieta oczekiwała syna. Monarcha stanął pod grodem, gdy słońce wisiało nisko nad ziemią, a w jego promieniach ukazała się forteca na wzgórzu gęsto porośniętym drzewami. W dole opływały je jak krew czerwone od zachodzącego słońca wody Dunaju. Na widok rodzinnego gniazda Ludwik nie poczuł radości. Gdy wjechał na dziedziniec, dworzanie i służba już wylegli tłumnie z zamku. Pośród nich dostrzegł matkę. Szła w jego stronę, prowadząc za rękę Karola Martela. Ludwik zsiadł z konia i ruszył matce naprzeciw. Królowa się zatrzymała i wypuściła z dłoni ciepłą rękę dziecka. Karol Martel pochwycił obiema rękami jej suknię i wtulił w babcine szaty przelekką twarz, jakby nie pamiętał stryja, a może czuł przed nim strach. Ludwik zbliżył się do matki i spojrzawszy jej w oczy z poczuciem winy, a może i wstydu, rzekł:

– Nie dotrzymałem słowa, matko, nie przyprowadziłem wam Wilczycy. Wymknęła mi się...

Nabrzmiałe od łez oczy matki poczerwieniały, wielkie jak groch krople spłynęły po jej twarzy i zaraz poczuł pocałunek jej mokrych warg na swym policzku.

– Małgorzata nie żyje^[1]. – Elżbieta z trudem wykrztusiła tych kilka słów i spojrzała na syna.

W jego oczach było niedowierzanie, przecież nikt z tą wieścią do niego nie posyłał. W końcu musiał uwierzyć, nikt bowiem nie kpi ze śmierci. Śmierć jest jak relikwia, jest święta, nie można jej dotknąć, można jedynie poczuć jej woń i on ją poczuł. Nasiąkły nią szaty królowej Elżbiety, jej skóra, włosy i welon.

– Kiedy? Kiedy to się stało, matko? – wydusił przez ściśnięte gardło.

– Krótko przed świtem – rzekła przez łzy. – Spoczywa w kaplicy...

Król ruszył do zamku jak otumaniony. Nie widział zasepionych twarzy dworzan kłaniających mu się w pas. Skrzypnęły drzwi kaplicy zamkowej. Ludwik przestąpił jej próg. Ucichły głosy mniszek. Skierowały oczy na władcę w oczekiwaniu, że każe im wyjść, lecz ich nie odprawił. Wnętrze kaplicy przesiąkło chłodem wielodniowego deszczu i wichru. Przez barwne witraże nie przebił się do środka choćby najbardziej nikły promień słońca, które dziś rozjaśniło niebo. Wilgotna mgła oblepiła ołtarz, na nim wielki krzyż, przed nim mary. Płomień gromnic ledwo rozpraszał mrok. Zdało się, że ogień dusi jakaś niewidzialna siła, płomienie przybrały sinoniebieską barwę. Na marach leżała jego Małgorzata spowita zimną mgłą. Zbliżył się do niej. Zadudniły w ciszy jego kroki, lecz umarłej nie przebudziły, choć zdało mu się, że ukochana śpi snem człowieka żywego. W jej splecionych dłoniach lśniły białe paciorki różańca. We włosach przenikały się złote i srebrne pasma, jakby przedwcześnie posiwiiała. Ludwik pochylił się i ucałował dłoń żony. Zdażyła już ostygnąć i zamieniała się w kamień, jak jadeity nanizane na sznurek różańca, które wespół z modlitwą miały chronić młodą królową przed złymi mocami, lecz nie uchroniły. Cichy

szloch wyrwał się z piersi króla. Ale nawet on nie przebudził zmarłej i nie wzruszył Boga patrzącego z niebios.

– Jakie moce mi ciebie zabrały... – wyszeptał i padł na klęczki, jakby nagle pozbawiony sił, owładnięty złymi myślami, jakich katolicki król nigdy nie powinien do siebie dopuszczać. Oto do serca Ludwika wkradło się zwątpienie w Bożą potęgę i w modlitwy. Naraz usłyszał za sobą ostrożne kroki i po chwili poczuł na ramieniu ciepłą dłoń matki. Weszła tu za nim cicho i niepostrzeżenie. Król zdusił szloch, a wtedy zdało mu się, że słyszy matczyne myśli: Musisz żyć dalej, bez niej...

Gdy wieść o ucieczce Ludwika Węgierskiego z Neapolu dotarła pod koniec kwietnia do Awinionu, nie było tu już żadnego Węgra, gdyż natychmiast po procesie Joanny wyruszyli na południe Europy. Papież Klemens VI nie krył radości i dziękował Bogu za to zrządzenie losu. Do swego bratanka, Pierre'a Rogera de Beauforta, z którym przechadzał się po ogrodzie pałacu papieskiego, powiedział:

– Niebiosa sprawiły, mój bratanku, że Węgrzy opuścili Neapol.

– Mylicie się, Wasza Świątobliwość, sprawiła to zaraza, a Węgrzy siedzą w waszym lennie, tylko ich króla tam nie ma. Zatem Neapol ciągle jest w rękach Ludwika – sprostował kardynał, który nigdy nie przypochlebiał się Ojcu Świętemu, a jeśli się z czymś z nim nie zgadzał, nie ujawniał tego publicznie, lecz czynił to w cztery oczy.

– Położymy temu kres – rzekł z entuzjazmem Klemens VI i się uśmiechnął.

Nic już nie mogło zmącić jego radości, a przyszłość widział w jasnych barwach. Nawet zaraza, która zebrała wielkie żniwo, nawet gniew chrześcijan wymierzony w Żydów – to wszystko było już za nim, coraz bardziej odległe, i zdało się złym snem, który się skończył.

– Musimy nakłonić Ludwika Węgierskiego do złożenia oręża – powiedział Klemens.

– Zażąda czegoś w zamian – odparł Pierre. – Co jesteście mu skłonni dać, stryju?

– Myślisz, że bez targu nie osiągniemy zgody? – Papież wlepił w niego wzrok. – Może lepiej odwołać się do jego rozsądku i serca?

– Darujcie, lecz zemstę może zaspokoić tylko sowita ofiara, zadośćuczynienie. Nie liczcie na wspaniałomyślność Ludwika, jego rozsądek i miłosierdzie. Możecie go kupić koroną Neapolu, ale wiem, że mu jej nie dacie.

– Jakże bym mógł! – Klemens obruszył się na samą myśl o tym. – Musiałbym zamordować Joannę, aby odebrać jej Neapol, a tymczasem życzyć jej długiego życia – dla dobra nas wszystkich. I choć nie wierzysz w powodzenie mojego pomysłu, to właśnie ty udasz się na Węgry i rozmówisz z królową Elżbietą.

– Nie z królem? – zdziwił się Pierre.

– Z obojgiem, ale jeśli będziemy mieli królową po naszej stronie, Ludwik w końcu ulegnie. Tak, Pierre, musimy kuć żelazo, póki gorące. Król jest utrudzony wojną i morowym powietrzem, jego wojsko zostało przerzedzone, wyciągniemy do niego rękę, by pogodzić zwaśnione strony.

– Niech Bóg nam w tym dopomoże, lecz lękam się, że jadąc do Wyszehradu, wejdem w paszczę lwa.

– Co takiego? – Papież nie zrozumiał.

– Ludwik musi być bardzo rozsierzony wieścią o uniewinnieniu królowej Neapolu.

– Zapewne o tym jeszcze nie wie, ale masz rację, gdy się dowie, będzie wściekły, lecz prosząc mnie o wydanie wyroku, winien aprobować każdy wynik procesu. Jeśli teraz mi się sprzeniewierzy, ogłoszę go heretykiem i zamknę wszystkie kościoły w jego królestwie.

– Ludwik z trudem to przełknie, ale... przełknie – oświadczył kardynał.

– A jego matka? – Klemens uśmiechnął się chytrze. – W interesie pobożnej Elżbiety leży, by syn żył ze mną w zgodzie. Jeśli pozbawimy ich sakramentów, to na pewno dotkliwie zaboli katolicką królową.

– Mam ruszać już teraz? – spytał kardynał.

– Wyjedziesz w połowie maja – zdecydował. – Niech król okrzepnie po wojnie.

Późniejszy termin podróży był kardynałowi bardzo na rękę, gdyż rad był dłużej zagrzeć miejsca w Awinionie, pokosztować wygodnego życia i uciech.

Wiść o papieskim wyroku dotarła do Ludwika Węgierskiego tydzień po jego przybyciu do Wyszehradu. Była połowa czerwca 1348 roku. László Garai zdał relację z owego wydarzenia królowi Ludwikowi i jego matce. Oboje słuchali w skupieniu i z marsowymi obliczami. Gdy skończył, zapadła grobowa cisza.

– Papieska sprawiedliwość jest przekupna. – Ludwik odezwał się pierwszy. – Widać, muszę wrócić do Neapolu, by sam ją wymierzyć – rzekł spokojnie. Nie uniósł się gniewem, nie wściekał na ową nowinę. Żałoba po Małgorzacie była bowiem zbyt świeża, strata zbyt wielka, by inne sprawy mogły ją teraz przyćmić.

– Nie chcę, byś mnie znowu opuścił – powiedziała Elżbieta i położyła dłoń na ramieniu syna.

– Teraz jest czas żałoby, matko, nie trapcie się wojną... choć jest nieunikniona – odparł.

Pierre Roger de Beaufort dotarł do Budy w pierwszym tygodniu lipca, po prawie dwóch miesiącach podróżowania wierzchem. I wcale się nie spieszył, ponad trudy wolał bowiem wygodę. Zresztą, nie był gońcem, lecz kardynałem, wysokim dostojnikiem kościelnym i tak też go witano, z honorami, w klasztorach, które przed nim się otwierały, gdy wymachiwał opatom przed nosem pismem papieskim nakazującym przyjąć go na nocleg i ugościć, albo w zamkach i na plebaniach. Towarzyszyło mu dwóch silnych rycerzy gotowych dać się ukatrupić za swego pana, jeśliby Bóg tak chciał. Ale nie doszło do tego i bratanek papieża dotarł szczęśliwie do nowej rezydencji króla węgierskiego, do Budy.

Nowy zamek położony na wzgórzu był widoczny z daleka i jak drogowskaz kierował podróżnych do królewskiego miasta. Pysznił się nad okolicą, lecz nie spozierał srogim wzrokiem jak forteca w Wyszehradzie – był piękny, rozległy, z obu stron okolony silnymi ramionami lasów. Roztaczał się z niego widok na trzy niewielkie wyspy. Jedną z nich była Wyspa Królików, zwana też Wyspą Małgorzaty, na której przed wiekiem usadowił się klasztor dominikanek. I to tutaj, do Budy, przeniósł się Ludwik z matką wkrótce po pogrzebie żony. Wyszehrad opuścił bez żalu, zbyt mu bowiem przypominał szczęśliwe chwile z Małgorzatą i jej stratę. Zamek w Budzie, dokończony i urządzony przez Elżbietę w czasie wyprawy Ludwika do Neapolu, miał w sobie jakąś świeżość i jasność, których nie było w Wyszehradzie.

Kardynał, którego przed oblicze królestwa przywiódł marszałek dworu Lajos Lackfi, z uznaniem rozglądał się po fortecy, łypał oczami po korytarzach i przestronnych komnatach, których ściany zdobiły barwne tapiserie i kobierce, a posadzki były tak gładkie i lśniące, że można by się w nich przeglądać jak w lustrze. Wreszcie Pierre zatrzymał wzrok na Ludwiku i jego matce. Oboje, w otoczeniu najbardziej zaufanych dygnitarzy, siedzieli na tronach, do których wiódł czerwony chodnik.

Kardynał pochylił kark i podał Ludwikowi tubę. Król domyślał się, co kryje się w środku, więc gdy poznał treść dokumentu, nie był zaskoczony i skwitował:

– Papież mógł przekazać tę wiadomość przez pierwszego lepszego posłańca, nie musiał was fatygować taki świat drogi, kardynale.

– Jego Świątobliwość posyła mnie nie tylko z listem do was, wasza królewska mość, lecz także w sprawie, która leży mu na sercu.

Ludwik i Elżbieta nadstawili ucha, więc kardynał wyłuszczył:

– Ojciec Święty pragnie pojednania zwaśnionych stron, nie chce rozlewu krwi ani zemsty. Odwołuje się do waszego chrześcijańskiego miłosierdzia. Królowa Neapolu pragnie z wami przymierza, a papież oczekuje, że wyrok, jaki wydał, skłoni was do zgody.

Ludwik poczerwieniał na twarzy, tak go rozwścieczyły słowa duchownego, lecz poczuwszy na dłoni delikatny dotyk matczynej ręki, zdusił gniew i rzekł spokojnie:

– Powiadacie, że Joanna chce przymierza. Zatem niech zrzeknie się korony! To mój warunek. Jeśli nie posłucha, niech się mnie rychło spodziewa w Neapolu. A czy Klemens wydał sprawiedliwy wyrok i została uniewinniona słusznie, tylko Bóg to wie, a przed Jego sądem nikt nie ucieknie: ani papież, ani jego podopieczna! Zatem wracajcie do Awinionu, kardynale, i powiedzcie papieżowi, że tylko korona Neapolu zadośćuczyni krzywdom i nasyci gniew króla węgierskiego.

– Wasza królewska mość, macie w rękach Karola Martela, syna królowej... – próbował przekonywać de Beaufort. – To tak jakbyście mieli w garści koronę Neapolu w przyszłości.

Ludwik wstał z tronu z chłodnym obliczem. Kardynał skurczył się i pochylił głowę przed tym nieustępliwym władcą. Już wiedział, że nic nie wskóra, chyba że... – Jego wzrok spoczął na Elżbiecie. Nie miała w sobie tej zapalczywości co syn. Tylko ona może go przekonać.

– Wasza królewska mość, przekażę wasze słowa papieżowi – rzekł de Beaufort i się wycofał.

Nazajutrz miał opuścić Budę, lecz jeszcze tego wieczoru udało mu się przekonać ochmistrza dworu Elżbiety, by umówił go na spotkanie z królową, nie chciał bowiem wyjeżdżać z Węgier bez nadziei. Elżbieta przyjęła kardynała w gabinecie. Gdy wszedł, siedziała przy kominku, lecz nie podniosła się na jego widok. Bił od niej chłód. Kiedy de Beaufort pochylił przed nią głowę, rzekła:

– Chcieliście ze mną mówić, eminencjo.

– Jutro wyjadę z Budy z ciężkim sercem, wasza wysokość. Król nie dał papieżowi żadnej nadziei na pojednanie.

– Ależ, kardynale, czyż nadzieją nie jest zrzeczenie się korony przez Joannę? – odparła. – Jeśli Klemens miał moc uniewinnienia królowej, ma także moc odebrania jej korony. To jedyny sposób, by Ludwik pozostał na Węgrzech, czego pragnę nie mniej niż papież.

– Dopóki Joanna Andegaweńska żyje, jest królową – upierał się de Beaufort. – Papież nie może wkładać korony, a potem ją strącać. Gdzież majestat Ojca Świętego, gdyby tak czynił? Człowiek ukoronowany staje się pomazańcem bożym, przecież rozumiecie to najlepiej, najjaśniejsza pani. Jego Świątobliwość jest udręczony niezgodą, modli się o pojednanie, lecz przyparty do muru nie zawaha się użyć środków, które wymuszą posłuszeństwo na waszym synu. Wszak grzech, który obarczy sumienie króla Ludwika, spadnie na głowy poddanych...

Twarz Elżbiety stężała. Domyślała się, co mu chodzi po głowie, i wiedziała, że to nie są czcze pogroźki. Klątwa niejednokrotnie wymuszała posłuch dla papieży. Monarchowie powracali pod papieskie skrzydła pokorni i skruszeni, w pokutnych szatach i boso, strach przed piekłem był strachem największym, lęk o duszę nigdy nie znikał. Bo jak to? Nie przyjął świętych sakramentów? Jak zawierać śluby i chrzczyć dzieci bez udziału duchownej osoby, jak umierać bez ostatniego namaszczenia i gdzie te wszystkie dusze upór króla zawiedzie? Gdzieś na bezkresne łąki potępieńców i już stamtąd nie wrócą. Będą nawiedzać swego oprawcę króla Ludwika, który na wieczne skazał je katusze. Do tego Elżbieta nie mogła dopuścić.

– Nakłońcie króla do zgody, pani, wszyscy na tym skorzystają – rzekł na koniec kardynał. – Czy Jego Świątobliwość może na was liczyć?

– Tak. Lecz musi być cierpliwy i niczego nie czynić pochopnie. Nie szkodzić nam...

Kardynał odjechał nazajutrz z poczuciem dobrze spełnionej misji. Mijały tygodnie. Żałoba po Małgorzacie przygasiała, żal w sercu Ludwika powoli ustępował. Myśli króla stały się jaśniejsze. Wkrótce po odjeździe kardynała przybyli z Awinionu królewscy urzędnicy. Widok starych oddanych dworzan ucieszył Ludwika. Wieczorem wydał ucztę, a nazajutrz urządził turniej rycerski, w którym konkurowali ze sobą kawalerowie z najznamienitszych rodów. Także sam król chętnie stanął w szranki przeciwko swemu bratu, Stefanowi. Elżbieta popatrywała na synów z okien swej komnaty, czując na sobie wzrok Filipa Drugetha, który stał opodal,

przy kominku. Był koniec sierpnia, niezwykle gorący, w powietrzu nie było czuć pierwszych jesiennych podmuchów, tak charakterystycznych dla schyłku lata.

– Dopiero tutaj, w Budzie, odżył po śmierci Małgorzaty – odezwała się Elżbieta, spozierając na syna. – Spójrz, Filipie, ile w nim siły, ile życia.

Dworzanin podszedł do okna, by popatrzeć na króla. Rzeczywiście, Ludwik był pełen żywiołowości, radosny, siły witalne go rozsadzały. Napierał kopyą jak dziki zwierz nieokiełznany, mocarny, co przeraziło Elżbietę i aż jęknęła, gdy omal nie strącił z siodła Stefana.

– Czy taki był w Neapolu? – spytała, kierując wzrok na dworzanina. – Pełen odwagi i brawury?

– Tak, pani, ale tam to nie była zabawa... Na obliczu waszego syna nie gościł uśmiech, lecz malowały się posępność i mrok. Zabijanie nie ma w sobie nic z rozrywki.

Spuściła głowę ze smutkiem i powiedziała:

– Idź do króla i powiadom go, że czekam na niego.

Drugeth się oddalił. Królowa zaś znowu spojrzała na dziedziniec, na którym trwał turniej, i pochwyciła wzrok Ludwika. Jego uwaga na moment się rozproszyła i to wystarczyło, by Stefan zrzucił go z wierzchowca. Czoło Elżbiety przecięła rysa niepokoju, ale gdy Ludwik się podniósł, jej oblicze pojaśniało. Po chwili ujrzała przy królu Filipa, po czym obaj zniknęli w zamku. Wkrótce w sieni rozniosły się kroki i Elżbieta ujrzała poczerwieniałą od wysiłku twarz syna i jego rozgorączkowane oczy. Uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech zawsze dodawał jej otuchy i gasił złe przeczucia.

– Przyglądaliście się nam, matko – powiedział zdyszany, łapczywie chwytając oddech.

– Podziwiałam wasz spryt i refleks – odrzekła. – I nie wiem, który z was jest w tej sztuce lepszy.

– Nie możecie wybrać ani osądzić, bo jesteście matką i kierujecie się sercem, nie oczami – skwitował.

– To prawda – przyznała i zerknęła na dziedziniec. Stefan stawał przeciwko László Garaiovi.

Król zbliżył się do matki i ujął jej dłoń. Bijące od niego gorąco buchnęło jej w twarz.

– Zejdźcie na dziedziniec, rozerwiecie się trochę – zaproponował Ludwik.

Potaknęła i rzekła:

– Widzę, że pobyt w Budzie ci służy... – Nagle urwała, ale wyczuł, że chce mu coś powiedzieć, więc cierpliwie wpatrywał się w matkę.

– Jak sami widzicie, matko, tu mogę zapomnieć o Małgorzacie... i żyć.

– I zapomniałeś? – spytała, a gdy milczał, dodała: – Umarła ledwo trzy miesiące temu.

– Zdaje mi się, że minęły trzy lata – odparł spokojnie, bo nie usłyszał w matczynym głosie najmniejszego napomnienia.

Elżbieta uznała, że to dobrze, i powiedziała:

– A więc możesz już teraz rozejrzeć się za żoną. Znalezienie właściwej zajmuje dużo czasu i wiąże się z długimi negocjacjami. Poślubisz ją, gdy skończy się żałoba. Chyba że mi pozwolisz... Twoja żona powinna być pobożna i łagodnego usposobienia jak Małgorzata, powinna być ci uległa.

– Chcecie znaleźć mi drugą Małgorzatę? – Wlepił w matkę wzrok.

Nie była pewna, co kryło się w jego źrenicach i głosie: czy zgoda na wszystko, czy przeciwnie – ironia i niechęć, jakby tym razem chciał sam decydować.

– Jeśli pozwolisz... – powiedziała nieśmiało.

– Teraz myślę o wojaczce, wiosną ruszam do Neapolu. Tym razem przywiozę obie: Joannę, którą uduszę własnymi rękami, i jej siostrę, Marię, którą poślubię.

Elżbieta zadrżała. Pomyślała, że intuicja jej nie myliła i tym razem syn sam chce wybrać sobie żonę. Jego wybór ją przeraził, nie o takiej synowej marzyła.

– W ten sposób wypełni się testament króla Roberta – rzekł Ludwik i uśmiechnął się, chcąc rozproszyć matczyne rozterki, ale twarz Elżbiety nie pojaśniała. Król to dostrzegł i powiedział: – Widzę, że nie po myśli wam synowa.

– Nie po myśli – przyznała. – Wystarczy, że Joanna przyłożyła rękę do śmierci twego brata. Maria zapewne nie jest od niej lepsza, więc czy teraz mam się zamartwiać o ciebie?

– Zobaczycie, jak wyćwiczę Marię w posłuszeństwie i pokorze. Żaden pies nie będzie tak dobrze ułożony jak ona. Będzie się bała unieść na mnie wzrok, a ja będę się sycił zemstą, każdego dnia odnajdując w jej oczach strach.

– Zatem nie będzie twoją żoną, lecz niewolnicą, branką, którą sobie weźmiesz jak wojenny łup, a gdy urodzi ci dzieci, wpoisz im nienawiść do ich matki?

Słowa królowej zdały mu się słuszne. Ale nawet jeśli Elżbieta ma rację, on nie ustąpi, żądza zemsty jest zbyt silna i zbyt go dręczy, dlatego odparł:

– Tak czy siak, poślubię Marię, a dzieci, które urodzi, będą moje, tak jak Neapol.

ROZDZIAŁ 2



W bladym świetle dnia ukazały się na morzu trzy galery trzymające się blisko siebie.

– Już niedaleko do celu, wasza wysokość – rzekł admirał Rinaldo del Balzo.

Joanna skierowała wzrok w dal, tam, gdzie z białych mgieł, jakby utkanych z pajęczych nici, wyłoniły się szare wieżyce jej rodzinnego zamku. Nieustannie towarzyszyło jej wrażenie, że ktoś ją z ukrycia obserwuje, i zaraz kątem oka dostrzegła swego męża. Musiał niedawno wyjść spod pokładu. Widząc, że do niej idzie, odprawiła dwórki i zaraz poczuła, jak ramiona męża oplatają jej talię.

– Sprawdziłem skrzynie ze złotem, czy wszystkie solidnie zamknięte.

Ludwik wetknął nos w żonine włosy i poczuł zapach anyżu i woń skoszonych pszenicznych pól. Pamięcią wrócił do dnia, w którym Joanna powiła Katarzynę, a było to pod koniec czerwca. Gdy go o tym powiadomiono, udał się do żony. Wszedł do sieni, zatrzymał się w progu i rozchylił kotary alkierza. Zerknął do środka i przez moment przypatrywał się Joannie. Leżała w szerokim łóżu pod baldachimem, wsparta na miękkich poduchach, z obnażoną piersią, którą dziecko niemrawo ssało, a przy położnicy kręciły się akuszerki i dwórki. Gdy patrzył na żonę spowitą białym światłem dnia, wydała mu się brzydka, jakby wraz z porodem utraciła urodę i czar. Pomyślał wtedy, że musiał mieć na źrenicach bielmo, które przesłoniło mu jej rzeczywisty obraz. Ponaglony wzrokiem Gisoldy, która odkryła książęcą obecność, wszedł do środka, zbliżył się do łóżka i wlepił oczy w dziecko.

– Katarzyna – powiedziała królowa, unosząc roziskrzoną radością źrenice na męża. Cieszyła się, że pozbyła się tego brzemia, które w niej pęczniało i rozpychało jej łono, kradło siły i urodę, a którego mocne miarowe bicie serca słyszała, ilekroć złożyła głowę do snu.

– Obiecałaś mi syna – odrzekł sucho, z pretensją, i usiadł na brzegu łóżka, po czym szepnął: – Wiesz, że go potrzebujemy, on odziedziczy tron Neapolu.

– A Karol Martel? – Joanna wbiła w męża wzrok.

– Zapomnij o nim – poradził jej. – Już go nie odzyskamy, a jeśli nawet – to nie będzie ten sam Karol Martel, tam na Węgrzech zasiali w nim nienawiść do ciebie, by nigdy cię nie pokochał, by nigdy nie uznał cię za matkę. Jeśli wróci, to odmieniony i po to, by kiedyś odpłacić ci za ojca. Lepiej módl się o jego śmierć, a nie o powrót, Joanno.

Tymi słowami książe wywołał w Joannie wszystkie niszczące uczucia: gniew, rozpacz i wściekłość.

– Mężczyzna, który pragnie syna, potrafi go spłodzić! – Pokazała wtedy kły jak zraniona wilczyca i wyciągnęła pazury, gotowa wyryć na mężowym licu głębokie krwiste bruzdy. Ludwik chwycił jej dłoń i przytrzymał. Już chciał jej zarzucić, że to ona za mało się starała, że to jej wina, że uczyniła mu na przekór, na złość, ale zdołał powściągnąć gniew i odparł:

– Tak, może masz rację, Joanno. Zatem tym razem strzelę celnie, niebawem znowu będziesz brzemienna.

Głos królowej wyrwał Ludwika ze wspomnień.

– Tam, Ludwiku, spójrz... Castel Nuovo. – Joanna wskazała palcem przed siebie i nabrała głębokiego oddechu. Od lądu szła woń tymianku i rozmarynu, oleisty zapach drzew oliwnych i słodczy gajów pomarańczowych. Lato w Kampanii trwa długo, pachnie ziołami i rozgrzaną słońcem wulkaniczną ziemią. Ludwik spojrzał na żonę, znowu była piękna i jasna jak dawniej. Po ciąży nabrała nieco ciała, co nie ujęło jej urody. Książe zdawał się szczęśliwy, ale to był tylko pozór, do szczęścia brakowało mu bowiem korony. Jednak powrócił tu, do Neapolu, właśnie po nią i zrobi wszystko, by ją dostać. Zaraza, która jak nawałnica przetoczyła

się od południa Europy ku jej północy, opuściła Neapol. Mogli zatem powrócić do swego królestwa.

W szum wiatru i odgłosy mew krążących nad ich głowami wmieszały się dziecięce głosy i spod pokładu wyszła księżna Maria z córkami. Dziewczynki, ujrawszy ciotkę Joannę, rwały się do niej, lecz ręce matki i niani je powstrzymały. Królowa zbliżyła się do siostry i powiedziała wzruszona:

– Bóg pozwolił nam szczęśliwie powrócić do domu.

Blady uśmiech spłynął na oblicze księżnej Durazzo. Maria nie podzielała siostrzanej radości. Neapol kojarzył jej się ze śmiercią, przywoływał w pamięci złe wspomnienia, strach i samotność. Chciała coś powiedzieć, ale za jej plecami pojawiła się Gisolda, prosząc, by królowa zeszła do kajuty, gdyż należy się przygotować do zejścia na ląd. Joanna poszła za dwórką, by zmienić suknię, uczesać włosy i włożyć koronę oraz płaszcz. Wiedziała, że na brzegu czeka Henryk Caracciolo. To on posłał do Awinionu umyślnego z wieścią, że król węgierski dał nogę z Neapolu, a potem, że morowe powietrze ustąpiło i ulice oraz drogi, wiosną usłane trupami, są jak dawniej ludne. I choć miasto może nie jest tak radosne jak kiedyś, przed zarazą, ale czuć, że wszystko odżywa. Krótco przed rzucając kotwic w morskie głębiny Joanna wyszła na pokład. Włożyła tę samą suknię, którą miała na sobie w awiniońskiej katedrze, gdy broniła się przed Węgrami pragnącymi jej zguby. Ludwik z Tarentu, odziany w złotogłów i klejnoty, z szeroką peleryną na ramionach, z godłem książąt Tarentu na piersiach, wlepił w żonę oczy. Była piękna jak nigdy, w szacie, w której mieniły się w słońcu wszystkie barwy czerwieni – od karminu, po szkarłat i karmazyn. Ileż rubinów wszyto w złote nici jedwabnej tkaniny! Ile rąk haftowało srebrzysty wzór biegnący u dekoltu! Ale nie to piękno przyciągnęło jego uwagę, nie uroda Joanny, lecz jej królewski majestat, korona, która błyszczała złotem i skrzyła się diamentami oraz szafirami, i to właśnie ona wzbudziła w księciu zazdrość. Jego czoło spochmurniało na krótką chwilę. Statek dobił do brzegu i rzucono wielkie kotwice. Na lądzie oczekiwało neapolitańskie rycerstwo, które wiwatami powitało swych

władców. Joanna przystanęła i omiotła wzrokiem baronów, księżęta i pospólstwo – wszyscy na równi cieszyli się z jej powrotu. Czuła, że wiwaty są szczere i że nigdy przedtem nie była tak kochana przez poddanych jak tego dnia. Pośród pochylających się przed nią głów dostrzegła Henryka Caracciola i Giacomu Sanseverina.

– Wasza wysokość – przemówił Henryk. – Zechcecie udać się do pałacu księżąt Tarentu, w którym tymczasowo zamieszkacie.

– Tymczasowo? – powtórzyła.

– Castel Nuovo jest obsadzony Węgry – wyjaśnił.

– Wkrótce ich stamtąd wykurzymy – wtrącił bojowo małżonek królowej i skierował oczy na Joannę. Coś jeszcze chciał dodać, ale oto przyprowadzono królowej białą klacz okrytą karmazynowym czaprakiem wyszywanym złotogłowiem, a księciu Ludwikowi dano czarnego rumaka. Para królewska, wiedziona przez Henryka Caracciola, ruszyła ku via Tribunali pośród łopoczących na wietrze sztandarów neapolitańskich królów, w otoczeniu dworzan, członków najznajmniejszych rodów i pospólstwa. Płatki kwiatów ścieliły drogę aż do pałacu, a rozgrzane wrześnie powietrze buchało odurzającą wonią ziół.

Joanna po raz ostatni spojrzała na zamek. Na jego murach snuły się postacie. Wśród nich był Konrad Lupo, który na wieść o dobieciu królewskich galer do brzegu wspiał się na wieżę od strony morza i obserwował orszak.

Na widok powracającej z wygnania władczyni poczuł wściekłość. Chętnie by pochwycił królową twardymi rękami i zacisnął żelazne palce na jej cienkiej szyi, aż jej serce przestałoby bić, a w ustach zamarłby na wieki jej oddech, a potem jak martwą łabędzicę zatknąłby na Castel Nuovo, ale nie może tego zrobić. Siły węgierskie były nieliczne i osamotnione, więc tylko wpatrywał się w Joannę. Naraz myśli Konrada oderwały się od królowej i poszybowały do północnej krainy za morzem. Z Węgier żadnych wieści. Minęły miesiące i przeleciało lato. László Garai opuścił Neapol; na próżno oczekiwano jego powrotu. Od króla Ludwika nie było żadnych wiadomości, jakby węgierski władca zapomniał, że w Neapolu została jego

załoga, coraz bardziej znużona i rozdrażniona oczekiwaniem. W piwnicach kończy się wino i prowiant, niebawem przyjdzie im przymierać głodem albo zjadać szczury. Czarne myśli najemnika się rozpięzły, gdy dostrzegł, jak królowa i księżę odbili od brzegu i ruszyli w stronę miasta w otoczeniu dworzan i eskortowani przez rycerstwo: to, które wylało się z galer, i to, które w Neapolu oczekiwało na władczynię. Od lata chodziły po mieście słuchy i docierały do Konrada przez jego ludzi kręcących się między tubylcami, że Joanna ma złoto od papieża oraz poparcie króla francuskiego i że w Prowansji skrzykuje najemników, że już wielu Bretończyków zmierza do Królestwa Neapolu gotowych za sową zapłatą obcinać łby Węgrom i każdemu, kto im sprzyja.

Królowa i księżę, przy dźwiękach taranteli, otoczeni tłumem roztańczonych neapolitańczyków, w gwarnym barwnym orszaku wjechali w zacienioną wysokimi kamienicami via Tribunali. Wydawało się, że od wieków nie było takiej radości i takiej nadziei pośród ludu, jak tego dnia, gdy Neapol witał swą władczynię. Pałac książąt Tarentu czerwieniał się w zachodzącym słońcu. Rozwarto bramy i orszak wkroczył na przestronny dziedziniec. Odpocząwszy w komnatach, królowa z małżonkiem udali się wieczorem na ucztę, która trwała do późnej nocy, a nazajutrz do południa odsypiali. Gdy słońce wdrapało się na niebo, wyszli z grubych murów porośniętych bluszczem, który wspinał się aż po dach. Zasiedli na wyścielonych poduszkami krzesłach ustawionych pod baldachimem z cienkiego jedwabiu, który chronił przed prażącym słońcem. Joanna obejrzała kilka śmiesznych scen odgrywanych przez komediantów, wysłuchała śpiewu trubadura grającego na mandoli, po czym z kilkoma dwórkami oddaliła się od męża. Ludwik zerkał ku niej czujnie. Dwaj półnaczy zapaśnicy przyciągnęli uwagę nie tylko królowej, lecz także jej męża. Ogorzały od słońca i lepki od potu Henryk Caracciolo dostrzegł Joannę i wyteżył siły. Bezwstyd w oczach małżonki przygnał na księżę czoło ciemny obłok. Zazdrość o jej uśmiech, o jej uwagę kłuła w serce i napędzała podejrzenia. Ludwik spoglądał raz ku żonie, raz ku jej gachowi. Nie wątpił, że dzielili ze sobą łożę i jeśli nie upilnuje obojga, dalej będą przyprawiać mu rogi. Już odzyskał spokój, gdy za jego namową Joanna

odprawiła Caracciola z Prowansji do Neapolu. Tego wieczoru uczta skończyła się przed północą. Joanna pierwsza opuściła biesiadników i udała się do siebie. Ludwik, odczekawszy dłuższą chwilę, poszedł do żony. Przez szparę między kotarami widział, jak dwórki zdejmują z królowej suknię i jak Gisolda odwija z niej pasy cienkiego płótna utrzymującego piersi, obserwował, jak rozplata jej warkocze i włosy rozsypują się po ramionach. Joanna uniosła ręce i dwórka założyła na nią nocną koszulę. Chłód jedwabiu przeniknął królową na wskroś. Wtedy Ludwik wszedł cicho do alkierza, a pochwyciwszy wzrok Gisoldy i Mony, dał im znak, aby się oddaliły. Został z żoną sam. Zaszedł ją od tyłu i zanurzył twarz w jej włosach. Wsunął rękę pod jej koszulę, poczuł twardość piersi i po chwili ciepłą lepkość, jaka z nich spłynęła i zrosiła mu palce.

– Po cóż się tak ściskasz tymi pasami, pani? – spytał.

Pochwyciła dłoń męża, jakby chciała ją zatrzymać, i odparła:

– Chcę się tobie podobać.

– Podobasz mi się taka, jaka jesteś. Uwielbiam twoje nabrzmiałe piersi, pełne ramiona i mleczną woń, jaką pachniesz. Nie opasuj się więcej tym płótnem – nakazał.

Joanna spochmurniała. Nie lubiła swojej sylwetki, swoich piersi, które po drugim porodzie stały się duże i nabrzmiałe. Najbardziej jednak nie cierpiała, gdy ją pouczano.

– Signorowi Caracciolowi należą się słowa uznania. – Ludwik zmienił temat i zsunąwszy delikatnie z żoninego ramienia koszulę, ucałował je.

Joanna kątem oka spojrzała na męża.

– Przygotował nam miłe powitanie, nieprawda, Joanno?

Potaknęła.

– Czy nie uważasz, że słowa uznania to za mało? Może powinniśmy nagrodzić go za starania?

– Być może – odparła, marząc tylko o tym, by wsunąć się pod miękką kapę i zasnąć.

– Zatem ofiaruj mu hrabstwo Gerace – zaproponował.

– To odległa kraina – zauważyła, ledwo kryjąc zaskoczenie tą propozycją.

– Pełna żyznej ziemi i bujnej roślinności, winnice są tam bezkresne, a gaje pomarańczowe wydzielają taką słodycz, że zapiera dech.

– Dobrze, skoro uważasz, że należy go nagrodzić hrabstwem, dostanie je – odparła. – A teraz wybac, zajrzę do Katarzyny.

Zdało mu się, że chce się go pozbyć. Zapewne gdyby go tu nie było, już zapadłaby w głęboki sen, a może czekałaby na gacha.

– Po cóż tam idziesz, ona już śpi. – Ludwik zatrzymał żonę. – Zresztą są przy niej niańki. Rano do niej zajrzysz. Chodźmy już spać. Jutro podpisz nadanie hrabstwa Henrykowi i odeślij go do jego nowych włości.

Księżę pociągnął Joannę za sobą do łóżka. Nie opierała się, gdy wślizgnął ręce pod jej koszulę. Poczowała ich chłód. Wziął to, co należne mężowi, bez jej oporów, ale i bez namiętności, jaka nieraz ją rozpałała, gdy przy niej był. I znowu do głowy napłynęły mu podejrzenia, że jej myśli podążają ku Henrykowi. Przypomniał sobie, jak na niego patrzyła, gdy ich witał u brzegu zatoki, i dziś, gdy półnagi przeżył się przed nią w zapasach. Księżę zacisnął zęby. Jutro już go nie będzie w Neapolu – pomyślał.

Wrześniowe niebo bieląło za oknami, gdy do alkierza wsunęła się bezszelestnie Gisolda. Odchyliła biały woal i ujrzała oboje, królową i księcia, zwróconych do siebie plecami. Światło, które nagle wtargnęło do środka, spowodowało, że Joanna otworzyła oczy, a widząc damę dworu i świt za oknem, spytała:

– Co się stało, Gisoldo?

– Katarzyna ma gorączkę, wymiotuje i zanosi się płaczem – wyznała dwórka.

– Zostawiłaś ją samą? – spytała królowa, ścisząc głos, by nie zbudzić męża.

– Przy królownie jest Fulvia – zapewniła dwórka.

Joanna wyślizgnęła się z pościeli i zerknąwszy na Ludwika, wymknęła się z alkierza. Ale księżę nie spał. Obudzony szeptem Gisoldy nie otworzył

oczu, lecz nadstawił ucha. Chorobą córki nie przejął się tak bardzo, by pójść do niej wraz z Joanną. Zresztą ciało ociężałe od snu nie chciało się na dobre obudzić. Uznał, że żona zaraz wróci, i zasnął. Na krótko. Zbudziły go bowiem dudniące w korytarzu kroki, które zaraz ustały, ale już nie pograżyły się we śnie. Przesunął dłonią po posłaniu obok i uświadomił sobie, że Joanna nie wróciła. Jeszcze zaspany zwlekł się z łoża, wdział spodnie, trzewiki nasunął na długie szczupłe stopy i poszedł do komnaty dziecka. W sieni uderzyła go niezwykła cisza. Pomyślał, że niepotrzebnie przyszedł, gdy naraz usłyszał szloch. Uniósł kotarę. Joanna stała przy oknie z obnażoną piersią, trzymając przy niej dziecko, które jeszcze chwilę wcześniej próbowało ssać mleko, lecz teraz wypłuło pokarm i zwymiotowało. To przyniosło mu ulgę, bo się uspokoiło i przestało płakać. Joanna poczuła, jak ciało dziecka wiotczeje, a w jego zamglonych oczach ujrzała śmierć. Tuliła je do siebie, może jeszcze w nadziei, że powróci z krainy śmierci. Szelest zasłon zwrócił jej uwagę. Ujrzała Ludwika z rozwichrzonymi włosami, z podkrążonymi z niewyspania oczami. Uśmiechnął się i spytał:

– Już lepiej z Katarzyną?

Joanna nic nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w księcia tępym wzrokiem.

– Posłałaś po medyka? – spytał z niepokojem w głosie i wszedł do środka. Dostrzegł łzy spływające z oczu żony i kapiące na twarz niemowlęcia.

Potrząsając głową, Joanna wykrztusiła:

– Katarzyna umarła. Nie żyje. Bóg wysłuchał twoich modlitw, Ludwiku... tylko się pomylił.

Książę zbliżył się do Joanny i wlepił źrenice w maleństwo. Było rumiane, ale ogień, który je trawił, przygasał.

Od dnia śmierci Katarzyny pałac książąt Tarentu przestał się weselić. Ale trzeba było żyć mimo wszystko, mimo śmierci życie toczyło się dalej. Po kilku dniach od pogrzebu dziecka Joanna wezwała do siebie Henryka

Caracciola i wręczając mu pergamin zwinięty w rulon i przewiązany tasiemką, rzekła:

– Służyłeś mi wiernie, singor Caracciolo.

Henryk rozwiązał wstążkę, rozwinął rulon i przebiegł wzrokiem treść pergaminu. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Milczał. Po chwili spytał:

– Czy wezwiecie mnie do Neapolu, najjaśniejsza pani, czy mam tkwić w Gerace w nieskończoność? – W jego głosie brzmiała pretensja, jakby nie oczekiwał właśnie takiej hojności.

– Dwór królewski zawsze będzie dla ciebie szeroko otwarty, signor Caracciolo – odparła ze szczerą życzliwością. – Obejmij we władanie nowe włości i wracaj spiesznie, będziesz mi tu potrzebny.

Nazajutrz Henryk odjechał, a w listopadzie przybył z Awinionu kardynał Pierre Roger de Beaufort. Powiadomił królową o swej podróży do Budy odbytej jeszcze latem.

– I co wskóraliście, kardynale? – spytała.

– Król jest nieustępliwy, żąda korony Neapolu, ale jego matka... nie chce wojny z papieżem. Myślę, że zrobi wiele, by nakłonić syna do zgody z wami.

– Jeśli to się uda, niech papież zażąda, aby Ludwik oddał mi syna. Nie może go więzić i trzymać z dala ode mnie – rzekła z żałością. Smutek po utracie Katarzyny jeszcze nie wygasł. Królowa w bieli żałobnego welonu zdała się kardynałowi jeszcze urodziwsza. Przełknęła łzy, które na wspomnienie córki napłynęły jej do oczu, a wtedy poczuła na ramieniu dłoń Marii.

– Oczywiście, wspomnę o tym Jego Świątobliwości – zapewnił kardynał. Rad by zagnieździć się tutaj na dłuższy pobyt, by móc nacieszyć oczy pięknem królowej i jej nie mniej urodziwych dwórek, ale że go nie zatrzymywano, podniósł się z krzesła i pochyliwszy głowę, odszedł. Nie oddalił się zbyt daleko, gdyż widziano go w Neapolu nazajutrz, jak u boku arcybiskupa Orsiniego, do którego wprosił się na kilkudniową gościnę,

zmierzał do jego pałacu, i dopiero potem ruszył w drogę powrotną do Awinionu.

ROZDZIAŁ 3



Był rok 1349. Fale gnane majowym wiatrem mąciły gładkie lustro wody, a wtedy twarz Elżbiety nabierała nierównych rysów, obraz królowej się zamazywał, po czym ginął w odmętach Dunaju. Łódź, która unosiła królową i jej dwórki, przed chwilą odbiła od Wyspy Królików i kierowała się ku brzegowi, w drogę powrotną do zamku. Elżbieta spojrzała za siebie na górujący na wyspie klasztor dominikanek oblany czerwonym światłem gasnącego dnia i zatopiła się we wspomnieniach. Już prawie rok, odkąd opuściła Wyszehrad i osiadła tutaj, w Budzie. Czuła, że zaczyna wrastać w tę ziemię niczym roślina, która rzucona na żyzną ziemię zapuszcza w niej korzenie. Wraz z przybyciem tutaj miała się za nią zamknąć bolesna przeszłość. W Wyszehradzie przeżyła śmierć synów i męża, czuła, jak nieszczęścia wyzierają z każdego kąta, a wspomnienia nie dają spokoju. Wiatr omiół jej twarz, a gdy na moment zamknęła oczy, poczuła na powiekach ciepło gasnącego słońca. Znowu spojrzała w stronę wyspy, do której ciągnęła ją nie tyle bujna roślinność i obfitość ptactwa, ile wyczuwalna obecność jej przodkini Małgorzaty, już za życia uchodzącej za świętą. Elżbieta często bywała u jej grobu, szczególnie ciepłą porą, ale także zimą, gdy mróz ledwo ściał rzekę u brzegów. I dziś, powracając z owego świętego miejsca, ugasiła pragnienie chłodną wodą ze źródła Małgorzaty. Zaczepnęła jej także do srebrnego naczynia, by cieszyć się nią w swoich komnatach. Łódź nagle się zakołysała i Elżbieta musiała gwałtownie chwycić się jedną ręką burty, a drugą przycisnęła do piersi naczynie z cenną wodą.

– To tylko mielizna – uspokoił ją jeden z przewoźników.

Elżbieta zerknęła na stojącego na dziobie łodzi dworzanina, młodego Ferkó Újlakiego, i swoje dwórki siedzące naprzeciw niej. Obie, podobnie jak ona, były w żałobie. Matyllda ubierała się w ciemne szaty od śmierci Gejzy, Irma zaś tej wiosny straciła męża, który wiele lat służył królestwu jako sędzia nadworny. Dziwne rzeczy działy się od zeszłego późnego lata. Pomór jakiś zszedł na Królestwo Węgierskie, umarło wielu zacnych ludzi, a potem, gdy nadeszła zima, kostucha jakby opadła z sił, a może zebrawszy tak wielkie żniwo, utrudzona robotą, postanowiła odpocząć, zaszyć się gdzieś przed okiem ludzkim i poczekać do wiosny, by cieplejszą porą pójść na drogi i rozstaje, zajrzeć do domów i zebrać kolejne plony. Tej wiosny umarł także Karol Martel, wnuk Elżbiety. Królową jego śmierć złamała. Pozbawiła sił witalnych, zmąciła rozum i sprawiła, że po raz pierwszy spojrzała na Boga inaczej. Z dystansem i z niechęcią. Potem biła się w pierś i wyznała spowiednikowi swój grzech, prosząc go:

– Bądźcie dla mnie surowi, Mirosławie, i nie pobłażajcie mi. Zwątpiłam w mądrość Boga i Jego wolę.

Wysłuchawszy spowiedzi królowej, stary mnich ją napomniał:

– Żadnemu człowiekowi nie wolno podważać Bożej woli ani z Bogiem walczyć. Kto dopuszcza do siebie zwątpienie w Jego mądrość, ten zatracą duszę i sprawia radość Lucyferowi. Przyjmijcie wolę Bożą, jakakolwiek jest, zaufajcie naszemu Panu. Jeśli Bóg zażąda od was największej ofiary, dajcie Mu ją z radością, a wszystkie wasze poświęcenia zostaną nagrodzone w niebie. Uderzcie się w pierś i żałujcie tego wszystkiego, co zasmuciło Boga, każda bowiem zła myśl, każdy zły uczynek są jak kolce z korony cierniowej, które wy sami wbijacie w Chrystusowe serce.

Elżbieta potaknęła i przełykając łzy, wymamrotała:

– Żałuję... Żałuję szczerze, niech Bóg mi odpuści.

– Idźcie teraz i błagajcie Boga o przebaczenie i o to, by się od was nie odwrócił i by Jego gniew nie spadł na całe królestwo.

I jeszcze brzmiały jej w uszach napominające słowa Mirosława: Boga trzeba się bać. Nie ma bowiem od Niego nikogo mocarniejszego, tylko Jego

gniew trzyma człowieka w ryzach, jest jak bicz smagający, tylko gniew Boży sprowadza na ludzkość opamiętanie.

Elżbieta udała się do kaplicy i modliła żarliwie, a mimo to ciągle czuła się obarczona winą. I teraz wracając pamięcią do tych zdarzeń, znowu pomyślała o nowej fundacji, o klasztorze, blisko zamku królewskiego. Myśl o tym nachodziła ją od lat i nie dawała spokoju. Może nadeszła pora, by ją wprowadzić w czyn. Łódź właśnie mijała szuwary i wysokie kępy traw, z których wypłynęły białe łabędzie. Elżbieta poczuła na sobie ich czujny wzrok. Słońce już gasło i krwisto barwiło rzekę, gdy łódź dobiła do brzegu i królowa, wsparłszy się na ramieniu pana Újlakiego, postawiła stopę na łądzie. Czekają tutaj kilku zbrojnych z końmi, by eskortować Elżbietę i jej dwórki do zamku. Jednym z nich był Filip Drugeth, który posłał swojej siostrze Matyldzie ciepły uśmiech i podprowadził do królowej klacz, po czym pomógł jej dosiąść. Królowa wyprostowała się w siodle i ruszyła przed siebie, krucha i szczupła, do czego przyczyniły się spadające na nią co rusz nieszczęścia i zgryzoty, odbierające jej apetyt i radość życia. Wjechano w pas lasu bukowego rozpościerający się wzdłuż rzeczno-brzegu. Drzewa dawały głęboki cień mocno już gasnącego dnia i kiedy królowa dotarła na zamkowy dziedziniec, zmierzch oblepił fortecę i wlał się w korytarze. Podążyła do komnaty, gdzie dwórki zdjęły z niej pelerynę i welon. W prostej żałobnej sukni królowa poszła do Ludwika, uprzednio nakazawszy służbie, by przygotowała trzy nakrycia do wieczerzy, i jedną z dwórek posłała po Stefana. Gdy weszła, paziowie królewscy pochylili przed nią głowy. Ludwik dostrzegł to i uniósłszy oczy znad książki, powiedział:

– Wróciliście, matko. Udała się wizyta u dominikanek?

– Jak zawsze. Czuję, że tam nabieram sił – zapewniła i podeszła do niego.

Zamknął księgę, spojrzał na matkę i ujrzał jej rozpromienioną twarz.

– Wiesz, Ludwiku... pomyślałam, że mogłabym ufundować klasztor w Starej Budzie.

Gdy dostrzegła na jego twarzy zaskoczenie, wyjaśniła:

– Moja matka na starość znalazła miejsce u klarysek, w Starym Sączu.

– I wy chcecie się zamknąć w zakonie? – spytał, przestraszony tym pomysłem.

– Kiedyś, gdy już nie będziesz mnie potrzebował...

– Zawsze będziecie mi potrzebni, matko – zapewnił. Podszedł do niej, ujął jej dłoń i ucałował z oddaniem.

– Czas pomyśleć o żonie, ona zajmie moje miejsce u twego boku, chociaż ja nigdy nie usunę się z twych oczu, dopóki sam mnie nie oddalisz.

Ludwik westchnął i powiedział zasepiony:

– Tak, gdyby nie morowe powietrze, miałbym już żonę u boku, Marię.

Elżbieta zmarszczyła czoło jakby w jakimś nagłym bólu i rzekła:

– Będę się modlić, by zemsta się w tobie wypaliła, synu. To niszczące uczucie i i nie przyniesie nic dobrego.

– Macie rację, matko. Ugasi jedynie mój gniew, lecz nie wróci życia Andrzejowi. Nie mogę jednak odpuścić, tym bardziej teraz, gdy nie żyje Karol Martel, muszę odebrać Joannie Neapol.

Elżbieta opuściła głowę zrezygnowana.

– Nie trapiecie się tym, matko, co ma się zdarzyć, to będzie – rzekł.

Zdało jej się, że chce ją pocieszyć.

– Kazałam nakryć do wieczery – odezwała się po chwili.

– Chciałem wybrać się do stajni, doglądnąć jednego z koni, który okulał. Wybaczycie mi?

– Stefan jutro wyjeżdża na Spisz – rzekła zasmucona jego odmową.

– Na śmierć zapomniałem – rzucił i dodał: – Zaraz do was przyjdę, ale obiecacie mi, że przy wieczery nie będziecie mi suszyć głowy nowym ożenkiem.

– Nie będę – przyrzekła i zaraz wróciła do siebie. Przez wzgląd na żalobę po dostojnikach dworskich nie wyprawiano hucznych biesiad i Elżbieta najczęściej jadła sama lub z synami. Tak jak tego wieczoru, kiedy spotkała się cała królewska rodzina. Nazajutrz w Anioł Pański królowa pożegnała

młodsze go syna, który jechał na północ, by objąć w zarząd ziemie nadane mu przez Ludwika.

– Bądź zdrow, synu – rzekła, jeszcze chwilę zatrzymując go przy sobie, jakby pragnęła odwlec rozstanie. – I nie martw się, poślubisz Małgorzatę Bawarską, moja w tym głowa, tylko bądź cierpliwy. – Ucałowała mu policzek. Stefan się uśmiechnął i wskoczył na koń, obok jechał Ludwik, który miał mu towarzyszyć kilka mil za Budę.

Królowa odprowadziła wzrokiem młodsze dziecko. Marzyła o tym ożenku, uznając, że córka nieżyjącego już cesarza i króla Niemiec będzie świetną partią dla jej syna. Ale ilekroć wymieniała jej imię w obecności Ludwika, przywoływała w jego pamięci zmarłą żonę, Małgorzatę Luksemburską.

ROZDZIAŁ 4



Konrad Lupo pochylił się nad zalakowanym pieczęcią króla Węgier pergaminem i ściągnął brwi, jakby w jakimś frasunku, strachu i niepewności. Wsparł muskularne ramiona na chyboczącym się stole i zwiesił głowę, jakby jakiś ciężar niespodziewanie go przygniótł.

– Jeśli chcecie, ja udam się do pałacu książąt Tarentu. – Głos Lászla przeciął ciszę.

Konrad wpił się w niego drapieżnym wzrokiem. Już raz Garai wszedł mu w drogę, w pałacu Cabannich. Sprzątnął mu sprzed nosa dziewczkę. Nie, nie dziewczkę, wielką panią, hrabinę Cabanni, którą sobie wziął – w to Lupo nie wątpił, tylko głupiec by takiej przepuścił. I teraz stają naprzeciw siebie, oko w oko, by znowu działać razem, iść w jednym kierunku dla chwały króla Ludwika. W oczach Konrada László jest młokosem, wiosen liczy nie więcej jak dwadzieścia pięć, i jeśli chodzi o wojaczkę, jest zielony. Nie to co on, Niemiec Lupo, który spędził na wojennych wyprawach dwadzieścia lat, lecz jest szaraczkiem, byle szlachetką, nie to co László, syn barona. Czy stary wiarus ma okazać teraz strach?

– Macie mnie za tchórze, panie Garai?! – oburzył się. – Myślicie, że boję się o własną głowę?

László spojrział w oczy temu czterdziestoletniemu barczystemu mężczyźnie o długich splecionych włosach i po chwili odparł:

– Może tak, może nie. Nie wiem, co siedzi w waszej głowie, i nie wiem, co zrodzi się w głowie królowej, gdy przeczyta list od króla Ludwika. Jeśli są tam groźby skierowane przeciwko Joannie i jej mężowi, posłaniec może nie wrócić do Castel Nuovo.

– Wy macie odwagę tam pójść? Nie boicie się, że was ukatrupią?... Ja też się nie boję. Już dość gnicia w murach Castel Nuovo. Minął rok, odkąd król nas opuścił.

– Bo na Węgrzech zaraza. Wielu ludzi pomarło, w tym znacznych, blisko króla i królowej, wśród nich bratanek króla, Karol Martel. Dopiero gdy pomór minął, król rozkazał jechać do was.

Pan Lupo ugłaskany słowami rycerza zasepił się na moment i zaraz spytał:

– Kiedy możemy spodziewać się króla?

– Wyruszy wczesną wiosną.

– Wiosną? Dopiero lato, szmat czasu – zauważył nierad i się zamyślił.

Joanna nie zasypiała gruszek w popiele. Chodziły słuchy, że gromadzi armię, że najemnicy z północy są w drodze do Italii, już blisko królestwa Neapolu, koczują w pobliżu, gotowi na rozkazy.

– Ten pierścień zamienicie z rozkazu króla na dukaty – rzekł Węgier, dobywając z sakiewki u pasa złoty pierścień z diamentem. Konradowi błysnęły chciwie oczy, wziął klejnot i skrywszy go głęboko za pazuchą, powiedział:

– Starczy do zimy, by nakarmić ludzi i opłacić ich służbę.

– Niebawem znowu ktoś przybędzie z Węgier – zapewnił Garai.

– Dobrze, trzymam was za słowo – oświadczył pan Lupo. Wezwał służącego i rozkazał mu, by stajenny natychmiast przygotował konia do drogi, i polecił wezwać Gustawa Wolfarta.

Pośpiech Konrada zaskoczył Lászla.

– Teraz chcecie jechać? – spytał zdziwiony. – Nadciąga zmierzch.

– Tym lepiej. Zdaje mi się, że tubylcy wyczuwają węgierską krew z daleka, nawet gęby nie muszą otwierać, by podejrzewali, że ja nie swój, tylko obcy, najeźdźca. Ale dobrze, spojrzę w ślepie łotrzyni, zobaczę, ile w niej z wilczyca, a ile z płochliwej niewiasty.

– Weźcie ze sobą zbrojnego – poradził mu Garai.

– Jeśli ma spaść czyjaś głowa, niech spadnie tylko jedna, moja – oświadczył pan Lupo i skierował oczy w stronę kotary, zza której ukazał się pan Wolfart. Wciskając sztylet za pas, Lupo rzekł do niego:

– Jeśli nie wrócę do jutra do zachodu słońca, wy, Gustawie, obejmiecie dowództwo nad zamkiem. A wy, panie Garai, zaniesiecie wieść o mojej śmierci królowi Ludwikowi.

Gdy Wolfart mocno zdziwiony tą przemową już otwierał usta, by spytać się, w czym rzecz, Lupo go uprzedził:

– Garai wszystko wam wyjaśni. Na mnie czas. Bywajcie!

Spiesznie pokonał schody i wybiegł w duszny sierpniowy wieczór. Księżyc już wzeszedł na niebo, jeszcze mdły, przyćmiewany ostatnim tchnieniem słońca. Lupo dosiadł konia i pognął przez otwartą bramę ku via Tribunali. Ulice były ludne, bardziej niż za dnia, kiedy miasto smażyło się w słonecznym żarze. Gdy Lupo zatrzymał się przed pałacem, strażnicy bramni skrzyżowali halabardy, broniąc mu dostępu.

– Mam list do królowej Joanny – powiedział Konrad.

W ich oczach błysnęła czujność.

– Kto wy? I od kogo macie wiadomość? – spytał jeden ze strażników.

– Konrad Lupo – wyjawiał. – List jest od króla Węgier Ludwika.

Jeden z nich gwizdnął głośno, na co drugi ze strażników tkwiący wysoko na murze wychylił głowę.

– Konrad Lupo od króla Węgier Ludwika! – zawołał do niego strażnik strzegący bramy.

Głowa zniknęła im z oczu. Minęła krótka chwila, a za nią kolejna, i zrobiło się pusto w pobliżu najemnika, jakby imię węgierskiego władcy wszystkich wypłoszyło. Już koń pana Lupo zaczął się niecierpliwić i wierzgać nogami. Wreszcie rozwarły się wrota i przybysz wjechał do środka. Na dziedzińcu panowała cisza, jakby nie było żywej duszy, i tylko kopyta końskie uderzające o bruk dzwoniły w uszach Konrowi, który łąpał wokół niespokojnym wzrokiem. Ledwo brama się za nim zawarła, a skoczyło ku niemu dziesięciu uzbrojonych po zęby ludzi, płosząc mu

konia. Otoczony ciasnym pierścieniem pan Lupo mocno chwycił zwierzę za uzdę i zmusił do posłuszeństwa całą siłą muskularnych ramion.

– Złaźcie z konia! – rozkazał Henryk Caracciolo.

Konrad wykonał polecenie. Potoczył spojrzeniem po wrogich i nieufnych twarzach.

– A teraz oddajcie miecz, sztylet i wszystką broń, jaką macie przy sobie – rozkazał hrabia Gerace.

Pan Lupo odpiął pas z mieczem i rzucił na bruk.

– Unieście ręce – rozkazał Caracciolo i skinął na dwóch ludzi. Podeszli do Konrada i obmacali mu nogi i korpus.

– Nie dowierzacie mi. Czy tak traktuje się tu posłów króla? – spytał Lupo.

– Prowadźcie go do królowej – rzekł do zbrojnych hrabia Gerace, pytanie Lupa pozostawiając bez odpowiedzi.

– Ruszajcie! – ponaglił Konrada jeden z nich. Lupo miał wrażenie, że z okien obserwują go dziesiątki oczu. Nie spodziewali się takiego gościa, potrzebowali czasu, by przygotować się na jego przyjęcie, postawić na nogi zbrojnych, zadudniły kroki po bruku i skrzypnęła brama. Z rozkazu księcia Ludwika puszczono na pobliskie ulice zwiadowców, bo kto wie, czy ta wizyta nie jest podstępem.

Weszli do przestronnego holu. Strażnicy otwarli drzwi jednej z komnat na oścież i w świetle licznych świec płonących w żyrandolu Konrad ujrzał królową. Siedziała na tronie w bławatnej sukni i białym welonie; obok niej zasiadł książę Ludwik, szafirami błysnęła rękojeść jego sztyletu u pasa. Za Joanną stali seneszał, kanclerz i tawernik. Gdy Konrad zatrzymał się w progu, wzrok Joanny skrzyżował się z jego spojrzeniem. Twarz władczyni była chmurna, ale głos miała łagodny.

– Podejdźcie, panie Lupo – powiedziała.

Podszedł więc, jak mu rozkazała, pośród obserwujących go dworzan i zbrojnych. Podszedłby całkiem blisko, tak to chmurne spojrzenie królowej go do siebie nęciło, ale wnet poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Zerknął w bok

i ujrzał Caracciola. To jego ręka go zatrzymała i zmusiła, by ukląkł przed królową i pochylił kark.

– Co masz mi do powiedzenia? – spytała Joanna.

– Przybywam z rozkazu króla Węgier Ludwika, wasza wysokość – powiedział cicho, jakby tracąc pewność siebie.

Joanna przyglądała się uważnie gościowi i z zaciekawieniem, jak patrzy się na coś niezwykłego. Konrad wydał się królowej zaniedbany, jakby nie mocarnemu władcy służył. Lupo poczuł się niezręcznie, jakby czytał w jej myślach. Na Boga – zganił się w duchu – mogłem się przystrzyc i ochlapać gębę wodą.

Zerknął po bokach, tyle pięknych signorin otaczało władczynię i wlepiało w niego oczy. On, stary wojak, ale w latach jeszcze niepodeszły, zaczerwienił się.

– Macie dla mnie list? – spytała Joanna.

Ocknął się i sięgnął pod płaszcz.

– Podajcie marszałkowi dworu – poleciła mu i skinęła na stojącego przy niej trzydziestolatka, signora Gerolama, który przejął ten urząd po zmarłym ubiegłej wiosny hrabim Trivulzio. Marszałek dworu, królowa i król mieli na dłoniach rękawiczki, co zwróciło uwagę pana Lupo, który wysnuł pewne przypuszczenia. Lękają się zarazy albo trucizny? Niesłusznie. Mój pan nie działa zbrodniczymi metodami, lecz widać, kto czego sam się chwyta, tego się lęka – przemknęło mu przez głowę.

Joanna złamała lak i przebiegła pismo wzrokiem, nieświadoma, że Ludwik wychyla się ku niej i zerkając, czyta.

Wasza Królewska Mość!

Spodziewajcie się mnie o każdej porze roku, latem i zimą, porą deszczową i skwarną, nocą i dniem. Spadnę na waszą głowę jak szarańcza i odbiorę, co moje, koronę, a gacha waszego księcia Ludwika, któregoście poślubili wbrew mojej woli, obedrę ze skóry na waszych oczach, i wezmę za żonę waszą siostrę Marię, zgodnie z wolą waszego dziada Roberta. A jeśli

ukręcicie łeb mojemu posłowi, to spadną głowy naszych wujów, Durazzów i Tarentów – królowa przeczytała groźbę.

Książę Ludwik rozsierdzony skoczył do Konrada ze sztyletem w dłoni i przyłożywszy mu ostrze do gardła, zagrzmiął:

– Bydle! Twą głowę pošlę twemu panu, by zobaczył, że nie lękamy się ani jego, ani jego gróźb!

Ostrze już dotknęło grubej skóry najemnika, gdy Joanna z krzykiem zerwała się z tronu, w ostatniej chwili powstrzymując księcia przed zanurzeniem stali w gardle pana Lupo:

– Ludwiku! Powstrzymaj się! Chyba chcesz, książę, by twoi bracia powrócili do Neapolu?!

Dziesiątki oczu wpatrywały się w księcia i to one spowodowały, że cofnął ostrze, ale krew już pociekła cienką strużką z gardła pana Lupo. Ludwik spojrział chmurnie na żonę. Nie. Tego nie chciał. On pragnął, by żaden z nich: ani jego bracia, ani Durazzowie, nigdy nie powrócili z Węgier.

– Odstawcie posła do Castel Nuovo! Ma tam dotrzeć żyw i cały – rzekła królowa do marszałka i rzuciła mężowi niechętnie spojrzenie. Że też musi nieustannie go ujarzmić niczym narwanego źrebaka. Miała już dość małżeństwa z nim, lecz na razie był jej potrzebny, aby jako jej małżonek stanął przeciwko Węgrom i pokonał ich króla. Teraz to jest najważniejsze. Skierowała się do drzwi, gdy usłyszała głos pana Lupo:

– Wasza wysokość...

Zatrzymała się w pół drogi, odwróciła i spojrzała na niego wyczekująco.

– Wasz syn... Karol Martel nie żyje.

Zastygła w bezruchu, milczała. Naraz rzekła oschle:

– Nie ma o tym w liście.

– Ale nie żyje – powtórzył.

Joanna zmarszczyła czoło, chciała wierzyć, że posłaniec kłamie. Najchętniej wtrąciłaby go do lochów w Castel dell'Ovo, by tam zgnił. Ale nie robi tego, nie da satysfakcji swemu małżonkowi, a gdyby pewnego

dnia doniesiono jej, że pana Lupo znaleziono zasztyletowanego w celi, wówczas żaden z jej krewniaków nie powróci nigdy do Neapolu. Na wspomnienie Roberta z Tarentu jej serce przyspieszyło. Może popełniłam błąd, odtrącając go – przemknęło jej przez myśl. Naraz podeszła do Konrada i choć w oczach błysnęły jej łzy, rzuciła mu w twarz:

– Nie wierzę wam, panie Lupo.

Konrad przylepił do królowej wzrok. Oblekła się w spokój, tak jak ciało obleka się w najdelikatniejszą tkaninę, ale zdało mu się, że słyszy bicie jej serca, nerwowe i donośne jak bicie w dzwon. Joanna odeszła w milczeniu, ale w głowie ciągle słyszała jego słowa. Zastanawiała się, dlaczego jej szwagier, Ludwik, jej o tym nie napisał. Czyż śmierć bratanka boli go równie mocno jak ją? A może przeciwnie, nie zrobiła na nim wrażenia. Jeśli umarł jej syn, dlaczego nic nie czuła? Gdy śmierć wydzierała życie z Katarzyny, Joanna uczuła w sercu ukłucie i chłód przeniknął całe jej ciało od stóp do głów. Rozdygotana opuściła komnatę wraz z dwórkami. Maria zaś, dostrzegłszy na podłodze list od króla Węgier, podniosła go i przeczytała, po czym zamarła.

Ludwik zaś skierował się do alkierza żony i wszedłszy śmiało, rzucił z pretensją:

– Król nie wypuściłby z rąk takiego ptaszka!

Usłyszała w tych słowach pouczenie i kątem oka spojrzała na męża. Nawet nie wspomniał o Karolu Martelu, ale czyż nie on jej radził, by modliła się o jego śmierć? I może właśnie jego myśli tę śmierć sprowadziły. Poczowała do księcia niechęć. Ludwik cmoknął ją w szyję i rzekł, zmieniając temat:

– Nie przywołuj dwórek, sam cię rozbiore.

– Dziś chcę spać sama – powiedziała zimno, zbijając go z tropu.

– Rozumiem, Joanno, i nie będę zajmował cię swoją osobą – zapewnił trochę nadąsany i dodał: – Karol Martel nie żyje, na swój sposób go kochałaś, każda matka rozpacza po swym dziecku.

Joanna odsunęła się od Ludwika, jakby bliskość męża ją drażniła, i podeszła do okna, po czym patrząc w ciemne niebo, odparła:

– Mówiłeś, że nigdy go nie kochałam.

– Chwytasz mnie za słowa, źle mnie zrozumiałaś – powiedział. Zbliżył się do niej, cmoknął ją w policzek i zniknął za portierami.

Zaraz po jego odejściu zasłony się poruszyły i weszła Maria. Siostry w milczeniu na siebie popatrywały, obie były w podłych nastrojach, jedna myślała o synu, druga o Ludwiku Węgierskim.

– Myślisz, że Lupo mówił prawdę? – Joanna pierwsza przerwała ciszę.

– Nie wiem, wolałabym, aby kłamał. Może poślij do Awinionu. Papież na pewno ma wiarygodne wieści o twoim synu – poradziła jej Maria.

Joanna uścisnęła jej rękę. W oczach siostry ujrzała strach. Wiedziała, co ją dręczy, i powiedziała:

– Nie bierz sobie do serca grózb króla Węgier. Jego słowa mają zasiać w nas strach, spowodować, że nie zaznamy spokojnego snu.

– Jak mam się nie bać, Joanno! Zamordował mi męża. To straszny człowiek – obruszyła się Maria, dygocząc ze strachu.

Królowa nie potrafiła jej pocieszyć, zresztą sama nie wierzyła w to, co powiedziała. Księżna Durazzo miała rację, należało obawiać się Ludwika i szykować się do wojny.

– Jutro opuszczę pałac twego męża – oznajmiła nieoczekiwanie Maria.

– Dokąd chcesz iść? Na via Carbonara?

– Nie. Nie tam, zbyt mocno przypomina mi szczęśliwe lata z Karolem – odparła zasmucona wspomnieniami.

– W takim razie zamieszkaj w Castel dell'Ovo – zaproponowała Joanna. – To będzie bezpieczne miejsce dla ciebie i dzieci.

Księżna Durazzo z chęcią na to przystała i niebawem przeniosła się do zamku na wyspie.

Tymczasem Konrad Lupo w eskorcie dwóch zbrojnych królowej dotarł do Castel Nuovo. Tuż za murami pałacu księżąt Tarentu chciał ich odesłać,

ale jeden z nich rzekł, że dopóki nie zniknie w zamku, nie odstąpią go na krok. Tak więc jechali w trójkę, od czasu do czasu gawędząc jak przyjaciele, którzy już za chwilę staną się wrogami. Konrad zatrzymał konia przed bramą, a gdy podniesiono kratę, popędził na dziedziniec. Zeskoczył z siodła i pognął do zamku. Garai właśnie jadł wieczerzę z Wolfartami: Ulrykiem i Gustawem, których podobieństwo do siebie było uderzające. Obaj byli krzepcy, wysocy, krótkowłosi, o świdrujących spojrzeniach szarych oczu. Gdy skierowali wzrok na Konrada, także László spojrzął w stronę drzwi, a widząc pana Lupo, wstał z za stołu i zażartował:

– Jednak żyjecie, panie Lupo? Już myślałem, że królowa odesłała waszą głowę do Budy.

– Nie tak prędko – odrzekł otępiałym głosem.

Węgier przyjrzał mu się bacznie. Konrad wydał mu się odmieniony. Nie tak zapiekły, nie tak hardy jak wcześniej, nim wyruszył z zamku do królowej.

– Widzę, że wasz duch tu jeszcze nie powrócił, wasze myśli błąkają się gdzieś daleko stąd... – zauważył, a gdy Konrad milczał, spytał: – Widzieliście się z Joanną? Daliście jej list od króla?

Lupo wlepił oczy w Lászla i wyznał:

– Królowa nie ma w sobie nic z wilczycy...

Garai zbliżył się do pana Lupo i uważnie na niego popatrzył. Oczy Konrada były zamglone, jakby nieobecne.

– Ulegliście jej pięknym oczom, panie Lupo, jej złemu urokowi... – rzucił zirytowany.

Garai przeżegnał się, a wówczas Konrad jakby ocknął się z letargu, spojrzął na kompana i powiedział z przestachem:

– Jeśli tak, to tylko święty ogień może zabić czarownicę.

ROZDZIAŁ 5



– Rad jestem, widząc was w moim domu – rzekł Klemens VI do krewniaków siedzących przy suto zastawionym stole. Otoczył się bratankami, siostrzeńcami i powinowatymi, bo nikomu innemu tak nie ufał jak swoim. Umoczył opuszki palców w chłodnej wodzie. Zapach róży podrażnił mu powonienie, ale to była miła woń, słodka, tak jak obraz owego chłopca, który usługiwał kardynałom, trzymając przed nimi misę z wodą z pływającymi na jej powierzchni szkarłatnymi płatkami róż. Biegły ku paziowi lubieżne oczy i nie lękały się nawet Ojca Świętego. On jeden znał słabości krewniaków, zamiłowania do uciech i rozkoszy, nawet tych Bogu najbardziej niemiłych. Pouczał ich, napominał, by nie grzeszyli, gdyż Bogu przysięgli czystość. Ale żaden z nich nie brał sobie do serca jego przestróg. Żyło im się w Awinionie jak w raju. A może raj niebiański nie jest tak piękny i pełen uciech jak ten, jaki sobie uwili pod skrzydłami swojego papieża. Gdy jesteście w swoich pałacach, nie widzę waszych przewinień, lecz Bóg przenika najgrubsze mury i widzi oraz słyszy wszystko, także wasze myśli. On jest sędzią najsroższym i Jego się lękajcie – powiadał papież. Pomrukiwali na to, bo stary oczekiwał aprobaty tych słów. Ale swoje wiedzieli – że to nie oni służą Bogu, lecz Bóg służy im. I dziś, kwietniowego wieczoru, ucztowali w prywatnych komnatach papieża, choć niejeden z nich wolałby być teraz w zaciszu swego pałacu w ramionach kochanków albo przemierzać Awinion w zwykłych szatach jak każdy śmiertelnik, odwiedzić jakąś tawernę, napełnić brzuch mięsiwem i winem i skorzystać z powabów wprawnych w sztuce miłosnej ladacznic. Tym nagłym porannym wezwaniem do stawienia się w pałacu papieskim

Klemens pomieszał im szyki. O czym stryj, wuj, szwagier chce mówić? Musi mieć im coś ważnego do zakomunikowania. Teraz, gdy na niego popatrywali, obserwując go dyskretnie, lecz czujnie, odczuwali niepokój. Klemens dobiegał sześćdziesiątki, ale w ostatnim czasie bardzo zmarniał, zsechł się na wiór, pomarszczona cienka skóra oblekła kości, ręce i twarz pokrywały sine starcze plamy. Zaraza spadła jak grom z jasnego nieba, nie tylko dziesiątkując ludność miast, ale stając się także przyczyną pogromów Żydów i wzmożonej pobożności wędrownych biczowników, których papież wcześniej otoczył opieką. Rozprzestrzenili się po królestwach, rozleźli jak robactwo pod płaszczem bractw, coraz bardziej hardzi i niebezpieczni. I tylko papieska klątwa ich zatrzymała. Ciężki to był czas zmagania ze śmiercią, lecz z tego boju Klemens wyszedł zwycięsko, choć przyplacił to zdrowiem. I teraz, gdy kardynałowie popatrywali na papieża, życzyli mu długiego życia, ale nie z troski i współczucia, lecz we własnym interesie. Wkładając tłuste kawałki pieczystego do gęb i popijając najlepsze wina z kryształowych kielichów, kardynałowie gawędzili, schlebiali Klemensowi, pokpiwali z wrogów i oplotkowywali koronowane głowy, nie oszczędzając swego francuskiego króla – Filipa. Papież przysłuchiwał się krewniakom, wykrzywił wargi w uśmiechu, pokazując wyszczerbione zęby, jakby rozbawiony tym, co prawią, aż w końcu umęczony i skołowany mieszającymi się ze sobą głosami zaczął przysypiać i wnet rozległo się jego pochrapywanie. To ośmieliło kardynałów. Ustały żarty i niewinne pogawędki, a wypłynęły pretensje, jakieś waśnie, niesnaski między krewnymi, wzajemne żale o uwagę papieża, o zaszczyty i złoto. Klemens ocknął się z krótkiej drzemki, potoczył spojrzeniem po rodzinie, posłuchał chwilę i pomyślał, że nim potrząśnie biskupami, winien rozprawić się z własną rodziną. Spostrzegli, że się obudził, i umilkli. Teraz patrzyli na tego starca już nie jak na powinowatego, lecz jak na króla, jak na Boga najpotężniejszego, przed którym zginają karki wszyscy monarchowie chrześcijańskiego świata.

– Nie swarście się, nie zazdroście jeden drugiemu zaszczytów – napomniał ich srogo. – Każdego z was doceniłem i każdego nagrodziłem za wierną służbę. Dałem wam też coś więcej – moją miłość. Lecz nic

z doczesnych dóbr nie zabierzecie ze sobą, nic prócz dobrej pamięci i takichże uczynków.

Spotulnieli, lecz nie słów Jego Świątobliwości się przelękli, nie gniewu Bożego, lecz niepewnej przyszłości bez swego opiekuna. Ową ciszę przerwało nadejście sługi, który zapowiedział gońca z Węgier. Papież kazał go wpuścić, gdyż był to jego człowiek posłany na wschód, by miał na oku to, co dzieje się na tamtej ziemi. Za plecami, po cichu zwano go wylegającym i niejeden z kardynałów dostrzegał podobieństwo młodzieńca do papieża. Umordowany podróżą zatrzymał się w pół drogi przed papieżem i pochyliwszy kark, rzekł:

– Wasza Świątobliwość, armia węgierska opuściła Budę.

Na tę wieść powiało grozą. Klemens VI zamarł.

– Widziałeś to? – spytał papieski siostrzeniec, kardynał Nicolas de Besse.

– Na własne oczy. Kilka tysięcy ludzi ruszyło na południe, po drodze dołączali najemnicy. W Zadarze czekają galery.

– A Wenecjanie? – dociekał kardynał.

– Wygląda na to, że Węgrzy ułożyli się z Republiką – odparł posłaniec.

Papież zasepił się i posłał karcące spojrzenie bratankowi, Pierre'owi Rogerowi de Beaufort, który pod wpływem wzroku stryja wcisnął szyję w ramiona, jakby poczuł się winny niepowodzenia swojej misji na Węgry.

– To zła nowina – ocenił papież.

– Co teraz, stryju? – dopytywał się Nicolas de Besse.

– Będziemy się modlić o klęskę Ludwika.

– A jeśli Bóg nas nie wysłucha? – W rozmowę włączył się kuzyn papieża, kardynał Bernard de la Tour. – Czy nie pora przejść do czynów, Ojczy Świąty? Na nieposłusznych macie mocny bat.

Klemens rzucił mu srogie spojrzenie. Kardynał de la Tour nie był młody, dobiegał pięćdziesiątki, i sprawował swój urząd już od ośmiu lat, ale nie nauczyło go to roztropności i gorącej krwi nie ostudziło. Klemens nie chciał wojny z Węgrami. Każda wojna zawsze pociąga za sobą koszty i szarpie nerwy. Droga z Neapolu do Rzymu nie taka daleka. Jeśli Andegaweńczyk

zdobędzie Neapol, pójdzie na Rzym, a potem czemuż by nie miał pójść dalej, na północ, na Awinion?

– Tu są potrzebne rozważa, Bernardzie, i cierpliwość. – Papież ostudził jego zapał. – Jeśli Ludwik nie zdobędzie Neapolu, będzie musiał się wycofać, a nawet jeśli uda mu się zdobyć miasto, Bóg wie, jak długo tam pozostanie.

Wiatr zakołysał galerami na srebrzystych wodach Adriatyku. Okręty wylaniały się zza horyzontu i rosły w oczach Apulijczyków, którzy przybyli na brzeg, by je obserwować. Wieści o wielkiej armii pod proporcami węgierskich Andegawenów, zmierzającej przez doliny, równiny, bezkresne lasy i morze, już wiosną 1350 roku dotarły do Apulii, budząc strach przed najeźdźcą. Dziesiątki galer dobiły o świtaniu do brzegu i rzuciły w wodne odmęty kotwice. Gdy słońce było już wysoko na niebie, tysiące ludzi, koni i dziesiątki armat wylało się z galer jak rwąca rzeka i wdarło na ląd. Zgiełk, wrzawa, szczeł stali, śmiech, ludzkie głosy, komendy – wszystko to huczało w uszach króla Ludwika wojenną melodią, przy której na jego znak ruszyły hufce i połączyły się z najemnikami, czekającymi na wodza na rozgrzanej słońcem ziemi apulijskiej. Działa toczyły się po drogach skalistych i rozmokłych, w skwarze majowego słońca albo w chmurze kurzawy. Słony pot rosił czoła siłaczy ciągnących armaty, w wiosennym słońcu połyskiwały broje rycerzy i stalowe ostrza mieczów. Szli równo kusznicy, miarowo odmierzali kroki halabardnicy – wszyscy zmierzali za swym monarchą do celu, którym był Neapol. Król Ludwik Węgierski przemierzał ziemie królestwa, które chciał wziąć we władanie, i wspomniał, że gdy przed paru laty szedł tą samą drogą, witały go przyjaźnie tłumy tubylców, na jego widok szeroko otwierano bramy miast, goszczono go w zamkach, a tutejsi baronowie składali mu przysięgę lojalności. Tym razem było inaczej. Ludzie uciekali przed obcymi wojskami jak przed zarazą, zamykano miasta, a wokół zamków unosiła się złowróźbna cisza. Mimo wrogości, jaką mu okazywano, król parł do przodu miła za miłą, mieczem wyrąbując sobie drogę do Neapolu i pozostawiając za sobą drogi i pola nasiąkłe krwią, wody rzek zmacone trupami oraz lament wdów,

matek i dzieci. Goniły go złorzeczenia i szły jak echo w dal, by powrócić do jego uszu jak klątwa. Po dwóch miesiącach marszu po ziemiach Królestwa Neapolu, gdy z lipcowego nieba lał się żar, Ludwik stanął u bram Benewentu.

Tymczasem w Neapolu strach zajrzał w oczy królowej Joannie. Co rusz dochodziły do pałacu książąt Tarentu nowiny o marszrucie wojsk węgierskich, o ich wielkiej liczebności i brutalności. Armia królowej, rzucona przeciwko wrogowi, topniała, szła na rzeź pod węgierskie miecze, a odór krwi i śmierci wiatr przyganiał aż do Neapolu.

– Jeszcze można powstrzymać Węgrów. Jeśli uda się wam obronić Aversę, wyrąbać Węgrów co do jednego, będziemy ocaleni – rzekła Joanna do męża, gdy fama o tym, że Węgrzy są pod Benewentem, dotarła do pałacu książąt Tarentu.

Gdy książę milczał, Joanna podeszła do niego i zapewniła:

– Tym razem cię nie zawrócę, Ludwiku.

Poczuł ciężar tych słów. Może właśnie liczył, że Joanna go zatrzyma, gdyż nie chciał podzielić losu braci i stać się zakładnikiem króla Węgier.

– Wierzę, że pokonasz Węgrów – powiedziała, jakby chciała mu dodać otuchy.

– Jesteś wielkiej wiary, pani – odparł.

Pierwszy raz królowa nie ujrzała na mężowskim obliczu wesołości i beztroski, jakby zdał sobie sprawę, że gra idzie nie tylko o najwyższą stawkę – o koronę, na której tak mu zależy, lecz jeszcze o coś więcej – o jego życie.

– Poprowadzę armię przeciwko Węgom i rozgromię węgierskiego diabła. A jeśli nie... zachowaj po mnie okres żałoby, nie bierz sobie od razu męża, jeśli choć trochę mnie szanujesz... – powiedział.

Joanna usłyszała w jego głosie żal. Może chciał wywołać w niej odruch współczucia?

– Idziesz po zwycięstwo i wrócisz, tym bardziej że masz na co czekać, na narodziny syna...

Joanna położyła dłoń na brzuchu, uwydatniając jego krągłość. Była brzemienna.

Ludwik nie miał odwrotu, musiał opuścić wygodne gniazdko u boku żony i stawić czoła Węgrom. Lipcowego poranka, przy dobrej pogodzie i rześkim wietrze, książę Tarentu opuścił pałac przy via Tribunali. Zostawił tu nie tylko żonę, lecz także coś więcej: spokój i pewność siebie, jakby przeczuwał klęskę, jakby oczami wyobraźni widział własną śmierć. Żał umierać pod błękitnym niebem Kampanii – myślał, kierując oczy na Joannę, która spoglądała na niego z dziedzińca pałacu na via Tribunali. Ale zaraz się ożywił, coś zdało mu się pociechą. To jadący obok Henryk Caracciolo. Ludwik pocieszał się myślą, że jeśli zginą, to obaj. Powiewały proporce, na których pyszniły się francuskie lilie, i co rusz przesłaniały królowej męża i kochanka, aż obaj całkiem zniknęli jej z oczu w barwnym tłumie.

Nad Aversę nadciągał zmierzch i wraz z kurzawą piachu i ziemi okrywał tysiące trupów i koni. Jeszcze świeża woń prochu, krwi, rozplątanych flaków i jęki dogorywających świadczyły o tym, że bitwa niedawno ustała. Zbierano swoich, w których tliło się jeszcze życie. Węgierskie piki i miecze zanurzały się w ciepłych ciałach wrogów, trafiając prosto w serce, dla pewności, że żaden z nich nie zostanie żywy. Węgrzy syci zwycięstwa już nie pragnęli zemsty. Dziękowali Bogu, że ocalił ich króla. Ludwik rzucił się w wir walki, siekąc mieczem i atakując wroga z największą zaciekłością. Miał u boku najwaleczniejszych rycerzy. Naraz wysunął się naprzód, pozostawiając ich w tyle, i przepadł w tłumie. Zaraz wyłuskało go bystre oko Filipa Drugetha, który rzucił się za nim z okrzykiem: Chronić króla! W jego pamięci powróciły słowa królowej Elżbiety, które wypowiedziała do niego ostatniego wieczoru przed wymarszem z Budy: Chronić króla, Filipie. Bądź zawsze blisko niego. Nie pozwól, by mój drugi syn zginął na twoich oczach. Wtedy jej przysiągł, że prędzej da się zabić, niż dopuści do śmierci Ludwika.

Naraz zdało się Filipowi, że Ludwik się zachwiał. Dostrzegł też jego dłoń zaciskającą się na ramieniu oraz ostrze miecza skierowane ku władcy. Drugeth nadstawił własną pierś, by chronić króla, tarczą odparł atak i dostrzegł w szparach w przyłbicy przeciwnika znajome spojrzenie. Gdy rycerz ją uniósł, Filip już nie miał wątpliwości, że ma przed sobą Ludwika z Tarentu. Naraz przy królu znaleźli się László Garai i wojewoda siedmiogrodzki Stefan Lackfi oraz kilku innych rycerzy. Węgrzy jak wściekłe bestie rzucili się na wroga i zmusili Neapolitańczyków do wycofania się. Po Ludwiku z Tarentu przepadł ślad. Kiedy króla położono na darni, omiótł wzrokiem pochyłające się nad nim twarze i rzekł, jakby chciał pocieszyć swoich towarzyszy:

– Śmierć jeszcze daleko, nie umrę dziś. – I odjął dłoń od kolczugi, krew ciekła mu po palcach. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech podszyty strachem i niepewnością. Czyżby Baldwin się pomylił? Przed wymarszem z Budy Ludwik kazał mu sporządzić horoskop. Gwiazdy były dlań pomyślne. Nadworny astrolog zapewnił, że król szczęśliwie powróci z wyprawy. Ludwik uwierzył jego słowom.

Węgrzy wdarli się do zamku, rozlali się po dziedzińcu, rozsiekli załogę, opanowali strażnicę i blanki. Króla wniesiono do jednej z komnat i wezwano medyka. Rana nie była głęboka i rokowała prędkie wyzdrowienie, co dodało Węgrom otuchy. Wieczorem Ludwik poczuł się znacznie lepiej i nawet żartował ze swoimi doradcami. Wysłuchawszy sprawozdań z zakończonej bitwy, król nakazał trzy dni odpoczynku dla ludzi i koni, by czwartego dnia o brzasku ruszyć na Neapol.

Tymczasem królowa Neapolu, pozbywszy się męża, poczuła ulgę. Ludwik powrócił po dwóch dniach, gdy letni dzień ustępował zmierzchowi, a dworzanie zebrali się w jadalni na uczenie. Niecierpliwy głos księcia rozległ się w holu.

– Gdzie królowa? Gdzież jest moja żona?! – pytał, rzucając rozbiegany wzrok po kątach.

– W jadalni, wasza dostojność – odparł jeden ze sług i zszedł mu z drogi.

Książę, wspierając się na ramionach dwóch dworzan, skierował się do komnaty. Im bliżej jadalni, tym wyraźniej słyszał dochodzący stamtąd wesoły gwar rozmów i muzykę. Wkroczył do środka cuchnący dymem i zbroczony krwią. Zatrzymał się w progu i rozejrzał wokół. Oto zobaczył Joannę siedzącą przy stole pośród dworzan, radosną i rozweseloną, jakby nieobecność małżonka pozwoliła jej rozwinąć skrzydła, jakby bez niego odżyła. Ludwik zmarszczył brwi, na usta cisnęły mu się piekące gniewem słowa, ale zmilczał i tylko przygryzł wargi, aż posiniały. Gdy po chwili przy stole zrobiło się cicho, bo wzrok królowej natknął się na męża, książę burknął do Joanny:

– Jak widzicie, żyję... Ponieśliśmy klęskę. Węgrzy nas rozgromili.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Ludwika. Dworzanie wstali od stołu i pochylili przed nim głowy, wpatrując się w niego z jakąś dezaprobatą. Odczytywał w ich oczach posądzenie o tchórzostwo i był pewien, że każdy z nich wolałby dostać wieść o jego śmierci, niż ujrzeć go tutaj żywego, lecz pokonanego. Joanna podeszła do męża i powiedziała:

– Wesprzyj się na mnie, trzeba cię opatryć, książę, zaprowadzę cię do twej komnaty. Gisoldo, przynieś płótna i gorącą wodę, a wy, marszałku – zwróciła się do signora Gerolama – poślijcie po medyka.

Ludwik wsparł się na ramieniu żony. Poczul ciepło jej ciała i słodką woń pomarańczy, jaką pachniały jej włosy, i rzekł drżącym głosem, spozierając na wpatrujących się w niego dworzan:

– Za kilka dni tu będą. Przyjdą po nasze głowy.

Joanna zadrżała na tę groźbę i ugięła się pod ciężarem męża, tymczasem zza jego ramienia wpatrywał się w królową wielki konetabl, Tommaso Sanseverino. Posępny wyraz jego twarzy ją przybił, lecz na razie nie pytała o nic, należało zająć się rannym księciem. Wyprowadziła go na korytarz, gdzie natknęła się na rannego Henryka Caracciola, wspierającego się na ramieniu Gotfryda Marzano. Marzano, który jako młodzieniec rozpoczął służbę u starego króla Roberta, teraz liczył sobie prawie pięćdziesiąt lat i wiek przyprószył mu głowę siwizną, ale miał jeszcze w sobie wiele

krzepy, umysł jasny i bystry. Joanna zatrzymała się i spojrzała na Henryka, gdy usłyszała nagłą ją głos męża.

– Chodźmy! Na co czekasz? – powiedział zniecierpliwiony książę Tarentu.

Jakże żałował, że miecz, który wbił się głęboko, ominął serce hrabiego Gerace. Postępując, książę dotarł do komnaty. Zwalił się jak kamień na łożo, gdy weszła Gisolda z dzbanem gorącej wody i płótnami. Królowa zaraz ją odprawiła i sama zajęła się rozbieraniem męża. Kolejno zdjęła z niego krótki płaszcz, jedwabny kaftan i koszulę. Po chwili książę był nagi od pasa w górę. Nalała wody do misy i zamoczyła płótno.

– Obiecałem ci zwycięstwo, Joanno, i... było ono bliskie – rzekł książę z goryczą, spoglądając na żonę i pojękując, gdy obmywała mu ranę. Rana nie była głęboka, krew już zdążyła zakrzepnąć, za to książęca duma bardzo ucierpiała w potyczce z Węgrami.

– Bliskie? – powtórzyła.

– Stałem przeciwko Ludwikowi oko w oko, drasnąłem go w ramię, i byłbym go zasięgnął na śmierć, gdyby nie jeden z jego rycerzy.

– Skąd wiesz, że to był król? – spytała zaintrygowana.

– Gdy go dopadłem, usłyszałem okrzyk: Chronić króla! Jego Węgrzy ocalili mu życie. A potem była już tylko rzeź. Skąd w nich tyle sił, roznieśli nas w pył – rzekł ze zgryzotą, spoglądając ku żonie w oczekiwaniu, że coś powie. Rozsierzony milczeniem, chwycił jej dłoń, w której trzymała mokre płótno, spojrzał w oczy i rzucił zirytowany: – Masz mi za złe, że wróciłem do Neapolu! Zapewne wołałabyś, aby mnie posiekano jak królika! – Naraz zwolnił uścisk, a wtedy wysunęła rękę, odwróciła oczy i zanurzyła płótno w wodzie. – Spójrz mi w oczy, Joanno! – zażądał.

– Galery czekają na morzu – odparła wymijająco.

– Znowu mamy uciekać?! – obruszył się.

– Uciekłeś spod Aversy, czemuż teraz wzdrygasz się przed ucieczką z Neapolu, jeśli to ocali nasze głowy? – odparła.

– Dobrze! Udowodnię, że nie jestem strachliwym zającem! Zostanę w Neapolu, by go bronić, choćbym miał zginąć!

Zacietrzewił się, gniew się w nim rozpalił i buchnął z taką mocą, że Joanna nie zamierzała odwodzić męża od tego postanowienia i tylko powiedziała:

– Dobrze, zatem zostań. Popłynę sama.

– Nie sama! – krzyknął i pochwycił ją za przeguby rąk, po czym przyciągnął do siebie i potrząsnął nią mocno. – Nosisz mojego syna! Nie zapominaj o tym!

– Nie wydrę go sobie z łona, by go tobie zostawić! – rzekła zuchwale.

Książę rozwarł palce i oswobodził żonine ręce z uścisku. Uspokoił się.

– Popłyniemy razem – postanowił i wsparł głowę na poduszce. Z gardła dobył mu się jęk. Może tym chciał przyciągnąć uwagę Joanny, skruszyć jej serce, wzbudzić w niej współczucie, lecz królowa nie okazała żadnego z tych uczuć. Jego obecność tutaj ciążyła jej i irytowała. Naraz od strony drzwi usłyszała szmer i kroki. Joanna dostrzegła Gisoldę, za którą kroczył medyk, Żyd Azariasz. Nieraz wzywano go na dwór królewski jeszcze za życia starego króla Roberta, gdy akurat signora Tebaldea nie było pod ręką albo gdy ów bezradnie rozkładał ręce nad chorym. Królowa podniosła się i rzekła do męża:

– Zostawiam cię w rękach medyka. – I zwróciła się do lekarza: – Rana nie wydaje się głęboka, lecz twoje oko, Azariaszu, jest bystrzejsze niż moje i lepiej to oceni. Spraw, żeby książę szybko odzyskał siły.

Medyk kątem oka pochwycił spojrzenie księcia. Ludwik popatrywał ku nim i nadstawiał ucha. Jego wzmożona czujność była następstwem nieufności. Miał wrażenie, że nikt na królewskim dworze nie spogląda na niego przychylnie, a jego powrót budzi niechęć.

– Przynieś mi wina, pani – powiedział książę, zatrzymując żonę u progu.

– Dobrze – odparła i wyszła na korytarz. Czekala tu na nią Gisolda, którą spytała:

– Gdzie zanesiono hrabiego Gerace?

– Do komnaty gościnnej – odparła.

– Przynieś wino księciu Ludwikowi – powiedziała Joanna i udała się do Henryka Caracciola. Gdy weszła do komnaty, zastała przy rannym Gotfryda Marzano, który właśnie zacisnął szeroki pas płótna na jego ramieniu, by zatamować krew.

– Wyjdzie z tego? – spytała.

Podniósł się i pochyliwszy kark, odparł:

– Tak. Stracił sporo krwi, ale będzie żył.

Poczuła ulgę i spojrzała na Caracciola – był wymęczony, mizerny i słaby. Popatrzył na królową mętnym, coraz mniej obecnym wzrokiem, aż zamknął powieki.

– Potrzebuje odpoczynku – rzekł Gotfryd.

– Zatem chodźmy, przyślę sługę, by przy nim czuwał.

Wyszli na korytarz, tutaj królowa jęła wypytywać signora Marzano o przebieg bitwy, o siły węgierskie i o klęskę jej wojsk. Opowiedział o niezliczonych regimentach najemników, o ich sile i imponującej odwadze, o bezwzględności, o bitwie, która przypominała rzeź, o ataku łuczników, o deszczu strzał, które na nich spadły z nieba, wreszcie o księciu Ludwiku, który rzucał się jak dzikie zwierzę na przeciwnika, lecz wszystko to na nic się zdało wobec przewagi liczebnej wroga.

– Podobno książe Ludwik był blisko króla Węgier – rzekła.

– Nie widziałem, pani – odparł. – Ale na polu bitwy wszystko może się zdarzyć.

Joanna się zadumała. Może ta opowieść jest jedynie wymysłem jej męża. Może chciał dodać sobie zasług, a jeśli to w istocie był król, żałowała, że nie zginął, gdyż jego śmierć rozwiązałyby ich kłopoty. Tymczasem muszą uciekać, ale odkąd dotarła wieść, że Węgrzy są u wybrzeży Adriatyku, królowa liczyła się z koniecznością ucieczki do Prowansji. Przygotowywano się na tę chwilę z każdą kolejną nowiną o klęsce wojsk neapolitańskich, które Węgrzy roznosili w proch, aż dotarli do Benewentu. Każdego dnia królowa wydawała dyspozycje dotyczące ładowania wielkich

skrzyń i kufrów, worków pełnych mąki oraz beczek z oliwą i winami. Od kilkunastu dni galernicy nie opuszczali statku. Jej myśli spłoszyło nadejście admirała del Balzo. Spojrzała na niego z poczuciem klęski i oznajmiła:

– Jutro o wschodzie słońca każcie podnosić kotwice, admirale.

– Jedna z galer może odpłynąć w każdej chwili, ale druga czeka na prowiant, wasza wysokość – odparł Rinaldo del Balzo.

– Kiedy będzie mogła wypłynąć? – dopytywała się.

– Jutro przed zmierzchem.

– Dobrze, ruszycie w ślad za nami, admirale. Trzeba uprzedzić księżną Marię, by była gotowa jutro przed świtem.

– Księżna może płynąć wraz ze mną drugą galerą, wasza wysokość – zaproponował Rinaldo.

– Zgoda – przystała królowa bez wahania. Maria zyska więcej czasu i nie trzeba będzie budzić dzieci jeszcze nocą.

– Spotkamy się w Gaecie – postanowiła królowa. – Poślijcie człowieka do Castel dell'Ovo z wiadomością dla Marii.

Królowa spiesznie skreśliła na pergaminie parę słów, po czym wręczyła list admirałowi.

– Tak uczynię – rzekł i odebrawszy list, pochylił głowę. Kropelki potu zrosiły mu czoło, od wewnątrz rozpierało go niezwyčajne gorąco. Czuł pulsowanie w skroniach, krew rozpychała tętnice, a serce tak mu waliło, jakby chciało rozwalić pierś. Ochłonął dopiero w korytarzu. Skoczył wzrokiem po mrocznych kątach pałacu, jakby czegoś szukał. Wreszcie z zaaułka wypełził cień i Rinaldo dostrzegł swego syna Roberta.

– Jedź do księżnej Durazzo, oto list od królowej – rzekł do niego, a oczy świeciły mu triumfem.

Robert odetchnął pełną piersią. Los im sprzyjał. Jeśli wszystko się powiedzie, niebawem będzie się tytułować księciem.

Tymczasem Gisolda weszła do komnaty księcia Ludwika z dzbanem pełnym wina. Żyd próbował napić rannego jakąś miksturą, którą ten wypłuł i otarłszy usta, rzucił z gniewem:

– Cóż to za paskudztwo, którego smród i smak przyprawiają o mdłości!
Dwórka królowej napełniła czarę winem i podeszła do księcia.

– Napijcie się, książę – powiedziała i wyciągnęła ku niemu kielich.

– Gdzie moja żona? – spytał Ludwik, świdrując Gisoldę podejrzliwym wzrokiem. – To ona, a nie ty, miała przynieść mi wina! – krzyknął i wytrącił kielich z rąk dwórki. Wino rozlało się na pościel. – Idź do niej i powiedz, że ma tu przyjść!

Gisolda spłoszona natychmiast pospieszyła do Joanny. Wieść o furii księcia ani nie zdziwiła królowej, ani jej nie przstraszyła. Kiedy weszła do komnaty, Ludwik spał kamiennym snem, pochrapując głośno. Stary Azariasz, wystraszony gniewem księcia, na widok królowej poczuł wielką ulgę.

Tymczasem Robert del Balzo gnał konno zaciemnionymi uliczkami. Pora była już późna i słońce przybrało barwę szkarłatu, gdy stanął przed obliczem Marii otoczonej gromadką dzieci.

– Signor Robercie – rzekła księżna, trzymając na rękach najmłodsze dziecko, trzyletnią Małgorzatę. – Z czym przybywasz?

– Księżno, przywiozłem list od królowej.

Wyjął spod płaszcza złożony pergamin i podał Marii, która oddała dziecko jednej z dwórek, by móc czytać.

Droga Mario, nasze wojska zostały pokonane. Ludwik Węgierski jest w Aversie. Jutro skoro świt moja galera odbija od Neapolu. Ciebie i Twoje dzieci powierzam pieczy admirała, zabierze Was na pokład drugiej galery, która popłynie w ślad za mną. Będę czekać na Was w Gaecie.

Obłok niepokoju okrył czoło Marii. Księżna skierowała wzrok na signora del Balzo i powiedziała:

– Jak długo to potrwa, signor Robercie? Jak długo jeszcze król Węgier będzie nas nękać? Lękam się o przyszłość, boję się o moje dzieci.

To wyznanie go ośmieliło, bo zbliżył się i chcąc ją uspokoić, rzekł:

– Z dala od Ludwika jesteście bezpieczni, księżno... a ja zrobię wszystko, by was uchronić przed niebezpieczeństwem. Nawet nie wiecie, jak jesteście

mi drodzy...

Bił od niego jakiś żar i niezwykły blask, ale w jego spojrzeniu było coś, czego nie potrafiła nazwać i co przejmowało ją niezrozumiałym lękiem. Próbowała go zdusić, tłumacząc sobie, że nie ma bardziej oddanych królestwu lordów niż Balzowie.

– Wiem, signor Robercie, wasz ojciec i wy służycie nam wiernie, bądźcie pewni, że pierwsi będziecie nagrodzeni za zasługi – zapewniła.

Chytry uśmiech przemknął przez jego szerokie wargi, ale Maria już go nie dostrzegła, gdyż zwróciła twarz w stronę okna, za którym niebo fioletowiało od zmierzchu. Robert śledził księżną wzrokiem i oblizał usta na myśl, że jutro sam odbierze nagrodę.

– Zabierzcie tylko niańkę do dzieci – rzekł Robert na odchodne.

Gdy spojrzała na niego, nie rozumiejąc tego żądania, wyjaśnił:

– W Gaecie przesiądziecie się na galerę królowej. Będzie ciasno, ale za to odbędziecie podróż u boku jej wysokości, księżno.

Już nie drażyła sprawy. Oczywiście, że wolałaby zabrać ze sobą służbę i zbrojnych, ale rozumiała, że nie dla każdego znajdzie się miejsce na pokładzie.

– Dobrze, uczynię wedle woli królowej – odrzekła. Gdy Robert odszedł, wezwała do siebie Niccoliniego i powiedziała:

– Ludwik Węgierski lada dzień stanie u bram Neapolu, musimy uciekać, lecz ty, signor Niccolini, zostaniesz tu, by zamek nie wpadł w łapy króla Ludwika.

Był zaskoczony tą decyzją, wolałby być u boku księżnej i jej dzieci, służyć im i strzec przed niebezpieczeństwem.

– Uczynię, jak rozkażecie, księżno, lecz kto będzie was strzegł?

– To rozkaz królowej, nie mój, admirał ręczy za nasze bezpieczeństwo – odparła. Wolałaby być na jego miejscu, a jednak nie mogła tu zostać, bo jeśli król Węgier zwęszy, że Maria ukrywa się w murach Castel dell'Ovo, uczyni wszystko, by ją dostać w swoje ręce.

Tymczasem Robert del Balzo opuścił zamek i pognął do rodzinnego domu. Na dziedzińcu zostawił konia i zniknął w nagranych od słońca murach pałacu. Pobiegnął na piętro, szukając ojca i brata. Zastał ich w komnacie przy zastawionym stole, była bowiem pora wieczerzy.

– Maria odprawi służbę i zbrojnych? – spytał Rinaldo, dostrzegłszy zza kotary Roberta.

– Tak, wejdzie na pokład jedynie z niańką i dziećmi. A właśnie, co z dziewczynkami? – spytał Robert. – Lepiej, żeby nie było ich przy matce, gotowe narobić wrzasku.

– Perotto będzie je eskortował na galerię, a księżnę zatrzymam w komnacie pod byle pretekstem. Gdy Niccolini odstawi je na statek, wróci po Marię, lecz księżnej już w zamku nie będzie.

Admirał uniósł kielich z winem i upił parę łyków. Odstawił czarę i dostrzegł na twarzy starszego syna frasunek. A może to był lęk? Ojciec podniósł się i poklepał Roberta po ramieniu, jakby chciał dodać mu sił.

– Odwagi, Robercie. Służyłem starem królowi długie lata, teraz służę jego wnuczce i choć dochrapałem się tytułu admirała, już mi on nie wystarcza i chcę więcej, ale nie dla siebie, lecz dla was. Chcę widzieć na waszych szatach złote lilie.

Robert się uśmiechnął, wargi Perotta także wykrzywił uśmiech, ale nie wiadomo, czy była w nim życzliwość dla brata, czy zazdrość. Był o rok młodszy od Roberta, więc na gorszej pozycji. Nie dla niego tak łakomy kąsek jak sama księżna Durazzo.

Narada w pałacu del Balzów trwała długo w noc, ojciec z synem omawiali każdy szczegół planu, jaki nazajutrz mieli wprowadzić w życie.

ROZDZIAŁ 6



Mewy to wzlatywały w niebo i białymi plamami dziurawiły jego przybrudzony nadciągającym zmierzchem błękit, to zniżały lot i kołowały nad spokojnymi wodami morza. Stojąc na rozległym zamkowym tarasie, Maria podążała za nimi zamyślonym wzrokiem. Jutro o tej porze znajdzie się na statku, a wiatr będzie ich gnał na północ, do Prowansji. Czy kiedykolwiek tu powróci? Czy znowu ujrzy to samo niebo, które teraz żegna tęsknym wzrokiem? Nic nie było pewne, oprócz ucieczki. Wiatr szarpnął welonem Marii. Księżna uniosła cienki woal z twarzy i dostrzegła stojącego opodal Niccoliniego. Niedawno wyszedł z niszy i przypatrywał się jej ukradkiem.

– Księżno, przybył signor del Balzo – oznajmił, natrafiwszy na jej wzrok.

Maria skierowała się do zamku, w milczeniu minąwszy dworzanina. Niccolini podążył za nią. W komnacie już szykowano dzieci do drogi, ale w oczekiwaniu na admirała pozwolono im bawić się drewnianymi bąkami, które wprawione w ruch migotały tęczą barw, wywołując śmiech i radosne okrzyki. Księżna dostrzegła Rinalda pochylającego przed nią głowę i w tym samym momencie poczuła, jak ktoś chwycił ją za rękę, i usłyszała głos Klementyny:

– Teraz wy zakręćcie bąkiem, mamó.

Maria przykucnęła i rozruszała zabawkę, a wtedy dziewczynka klasnęła w dłonie z entuzjazmem, budząc śmiech starszych sióstr, Joanny i Agnieszki. Najmłodsza, Małgorzata, podbiegła do matki i wcisnęła twarz w jej suknię, jakby lękała się spojrzenia przybysza. Maria wzięła ją na rękę.

– Galera gotowa, księżno – oznajmił Rinaldo.

Nagle w komnacie zrobiło się mroczno. Niebo posiniało od ciężkich chmur. Nadciągnęły nieoczekiwanie, zwiastując burzę.

– Możemy iść, admirale – powiedziała, a wówczas pan del Balzo rzekł do niej:

– Mam wam coś do przekazania, księżno, w cztery oczy.

Zawahała się, a wtedy dodał:

– Perotto zabierze księżniczki na statek. Trzeba się spieszyć, nadciąga burza.

Maria dostrzegła zza ramienia admirała jego synów. Czekali na rozkazy. Oddała Małgorzatę Rosanie i przykazała jej:

– Zabierz dzieci, zaraz do was dołączę. Spotkamy się na statku.

Na twarzy dwórki odmalowało się wahanie.

– Pójdzie z wami signor Niccolini – powiedziała księżna, żeby ją uspokoić.

Dzieci wyszły pod pieczę Niccoliniego, którego szyję mocno objęły chude ramiona Klementyny, dalej szli Perotto i kilka dwórek, z których tylko Rosana miała wsiąść na statek. W korytarzu czekali zbrojni admirała, by eskortować książęcą rodzinę aż do portu. Naraz z mrocznego korytarza wyłonił się chudy jasnowłosy chłopiec i wlepiwszy wystraszone oczy w Niccoliniego, rzekł do niego:

– Odjeżdżacie, stryju?

Niccolini zatrzymał się i zbliżywszy do chłopca, odparł:

– Tak, Armandzie, ale wkrótce wrócę.

– Jeszcze dziś?

– Tak, nim ustanie burza.

– Wiecie, że boję się błyskawic, stryju – rzekł Armand.

Niccolini pochylił się nad nim i poradził:

– Schowaj się w jakąś ciemną dziurę, tam nie będziesz ich widział.

Armand przez ramię stryja spojrział na księżniczki. Starsza, Joanna, tak bardzo podobna do swej ciotki, królowej Neapolu, uśmiechnęła się.

Niccolini uszczyptał chłopca w policzek z jakąś serdecznością i zaraz zniknął w mroku długiego korytarza. Armand, dziewięcioletek, niedawno osierocony przez matkę i ojca, był pod opieką stryja, zawsze blisko niego. Gdy Niccolini i reszta zniknęli mu z oczu, chłopiec ruszył w przeciwną stronę, mijając dwóch zbrojnych, którzy przybyli tu z admirałem. Jeszcze przez moment czuł na sobie ich wzrok.

Gdy w sieni ucichły kroki, Maria zwróciła się do Rinalda:

– Zatem mówcie, admirale, co macie mi do przekazania.

Pan del Balzo postąpił kilka kroków, podszedł do okna, jakby chciał coś sprawdzić, i odczekał chwilę.

– Nie milczcie, na Boga! – Zniecierpliwiła się. – Wiecie, że pora odpływać.

Admirał odszedł od okna jakiś nerwowo i uspokoił się dopiero, gdy z sieni zawrócił Robert. Syn Rinalda, zamknąwszy drzwi, przystanął tuż przy progu. Jego obecność zdziwiła Marię.

– Chcieliście mówić w cztery oczy, admirale – zauważyła, prześlizgując się wzrokiem to po Rinaldzie, to po jego synu.

– Ta sprawa dotyczy także Roberta – oświadczył.

– Dobrze, niech zostanie – zgodziła się, chcąc zakończyć sprawę i czym prędzej opuścić zamek.

– Pamiętacie, księżno, kiedy wiele lat temu potajemnie poszliście do pałacu Durazzów, a wkrótce potem poślubiliście księcia Karola? – zaczął stary pan del Balzo.

Maria nie rozumiała, dlaczego wraca do tego zdarzenia, wszak minęło wiele lat.

– W czymże my, lordowie de Baux, jesteśmy gorsi? – spytał.

Dalej nie wiedziała, do czego zmierza, więc wyjaśnił wprost:

– Pora zrzucić wdowie szaty, potrzebujecie męża...

Zauważył, jak wytrzeszczyła oczy z zaskoczenia, a chcąc uprzedzić jej słowa, dodał:

– Nie musicie go daleko szukać. Stoi przed wami.

Admirał odwrócił się i skierował wzrok na syna.

Maria zeszywniała i powiedziała grobowym głosem:

– Naigrywacie się ze mnie, admirale.

– Nie, księżno – zapewnił z powagą. – Żaden z nas nie ośmieliłby się z was naigrywać. Uszanujemy was, dlatego najpierw ślub, nie godzi się bowiem brać oblubienicy przed świętym sakramentem.

– Nie poślubię signora Roberta, admirale! Nigdy! Gotowa jestem puścić w niepamięć wszystko, co rzekliście, jeśli natychmiast stąd odejdziecie! – powiedziała podniesionym głosem. Była tak oburzona, iż nie wątpił, że przeprawa z nią nie będzie łatwa. Mimo jej uporu obaj del Balzowie tkwili w miejscu, wówczas Maria skierowała się do drzwi, lecz Robert zagroził jej drogę, rozpościerając muskularne ramiona. Spojrzała mu hardo w oczy i odnalazła w nich to samo spojrzenie, które widziała wcześniej. Już wiedziała, że były to zawziętość i przebiegłość, a teraz dostrzegła jeszcze lubieżność. I domyśliła się, że ten pomysł załagł się w jego głowie wcześniej, że wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane.

– Nie przestąpicie progu zamkowej bramy, signor Robercie! – zagroziła. – Straże was nie przepuszczą! Podniosę taki krzyk, że usłyszą wszyscy, nie wyjdziecie stąd żywi!

– Nie piśnecie słówka, Mario – rzekł z cynicznym uśmiechem Robert. – Chyba że... chcecie ujrzeć trupy waszych dzieci.

Maria zamarła, pociemniało jej przed oczami i poczuła na ustach kwaśny pocałunek Roberta. Oderwała wargi i splunęła mu w twarz.

– Zniosę od was każdą obelgę – zapewnił i otarł ślinę. Rozwarł drzwi do sieni i z mroku wyłoniła się zakapturzona postać.

– Wejdz, klecho. Maria pragnie mnie poślubić z własnej nieprzymuszonej woli.

Połyскуюjąca stała w rękach duchownego przykuła wzrok księżnej, a gdy jedwab złączył dłonie ofiary i kata, przed jej oczami zaległa ciemność

i pośród piorunów walących w morze słyszała słowa przysięgi recytowanej przez klechę.

– Czy wy, pani, Maria Andegaweńska, księżna Durazzo, macie nieprzymuszoną wolę poślubić signora Roberta del Balzo?

Obaj Balzowie wlepili w nią źrenice, także klecha czekał na jej odpowiedź. Pragnęła krzyknąć, że nie chce, że go nienawidzi, że ją zwiódł i go przeklina, ale coś utkwilo jej w krtani, a przez głowę przemknęło, czy aby ten ksiądz nie jest tak jak ona przymuszony groźbą. Zatem próżno szukać u niego ratunku, gdy sam drży o swój los.

– Odpowiedzcie, najmilsza Mario – ponaglił ją Robert. Spojrzała na niego i wspomniła swoje dzieci, zadrżała z lęku o ich życie. Tak, zrobi dla nich wszystko.

– Mam – potwierdziła.

Robert przysiągł Marii, że jej nie opuści aż do śmierci i Boga oraz klechę przywoływał na świadka, że bierze ją sobie za żonę i że przyrzeczenia dotrzyma.

– Możesz już iść – rzekł Robert do księdza.

Klecha z duszą na ramieniu wycofał się do sieni. Rinaldo wyszedł ostatni. Nie zamknął drzwi, lecz przytknął ucho do szpary i usłyszał słowa syna skierowane do żony:

– Teraz wezmę to, co należne mężowi. Po waszej woli albo wbrew wam, wybierajcie, Mario...

Niccolini wstrzymał wierzchowca nad brzegiem morza, nad którym błyskawice cięły sine niebo, a pioruny waliły w wodę z taką siłą, jakby chciały rozłupać morskie dno. Zdjął z siodła Klementynę. Dziewczynka oplótła ramionami jego krótką szyję i przytuliła twarz do jego policzka. W objęciach sługi, którego widywała każdego dnia, czuła się bezpiecznie.

– Dajcie dziecko – rzekł Perotto do Niccoliniego i wyciągnął ręce po księżniczkę.

– Nie chcę z nim iść. – Klementyna mocniej zacisnęła rączki na szyi sługi. – Chcę do mamy.

– Zaraz ją tu przywiozę, ale musisz iść z donną Rosaną, signorem Perottem i twoimi siostrami. Słuchaj się niani.

Poczuł, jak uścisk na jego szyi się poluźnia, chwilę potem Klementyna była na rękach pana del Balzo, i ruszyli ku galerze. Niccolini nie czekał, aż wsiądą na pokład, lecz wskoczył na konia i wrócił do Castel dell'Ovo. Spodziewał się, że w drodze natknie się na księżną Durazzo eskortowaną przez admirała. Gdy jej nie spotkał, uznał, że coś ją zatrzymało w zamku. Wjechał na dziedziniec w strugach ulewnego deszczu. Przekroczywszy bramę, od razu spytał strażników o księżną.

– Księżna odjechała z admirałem i signorem Robertem.

Niccolini skierował się do zamku. Wszedł do przestronnego holu i ruszył na górę. W zamku panowała głucha cisza. Zauważył, że drzwi od alkierza Marii są uchylone, rozwarł je na oścież i zniknął w środku. W komnacie ciągle unosiła się woń kwiatów, jaką pachniały suknie księżnej Durazzo. Żałował, że musiał tu zostać, ale rozkaz wypełni i da odpór Węgrom, jeśli odważą się podejść pod mury fortecy, i utrzyma zamek, by Maria i jej dzieci miały dokąd wrócić. Wyszedł na korytarz i nagle usłyszał czyjeś pochlipywanie. Stare zamczysko miało niezliczoną liczbę komnat, nisz, tajemnych przejść. Nadstawił ucha i wyłapał ów płacz, który dochodził z pobliza. Dostrzegł jakąś ciemną wnękę, i tam się skierował. Strop był tak niski, że musiał pochylić nie tylko głowę, lecz także plecy. Zszedł schodami w dół, do niszy, i ujrzał Armanda wciśniętego w kąt. Siedział z podkurczonymi nogami, kolana oplótł chudymi ramionami i patrzył na stryja.

– Chodź, Armandzie. – Niccolini wyciągnął do niego dłoń.

Gdy chłopiec uparcie tkwił w miejscu, spytał:

– Tak bardzo boisz się burzy?

Armand potrząsnął głową i odparł:

– Signor del Balzo... Nie ma go tutaj? Poszedł sobie?

– Tak, jest już na galerze z księżną Marią i księżniczkami. Wiesz, że odpływają do Prowansji...

– Wiem – potaknął wylękniony.

– Martwisz się? Przecież kiedyś wrócą.

– Nie wrócą, bo...

Nagle zamilkł i spuścił wzrok.

– Bo? – powtórzył Niccolini.

– Signor Robert powiedział, że utnie im głowy. Widzicie, stryju, że nie wrócą...

Niccolini zmarszczył brwi.

– Komu utnie głowy?

– Księżniczkom.

Niccolini wyciągnął chłopca z kryjówki i spytał spieszenie:

– Byłeś w pobliżu, gdy admirał był w komnacie księżnej Marii? Kiedy ja odjechałem z zamku?

Armand potrząsnął głową.

– Tam był signor Robert – sprostował spieszenie. – Skryłem się za zasłoną. Bałem się błyskawic.

– Powiedz mi, chłopcze, wszystko, co widziałeś, co słyszałeś... To bardzo ważne. Mów!

– Signor Robert był zły na księżną, gdy krzyczała, zatkał jej usta ręką i powiedział, że utnie głowy księżniczkom, i przestała krzyczeć.

– Co było potem? – dopytywał się Niccolini. A gdy chłopiec milczał, potrząsnął nim i żądał odpowiedzi: – Co było potem, Armandzie? Musisz mi powiedzieć!

– Nie wiem, bałem się, uciekłem...

Niccolini aż cały się spocił. Przeczynał, że Maria znalazła się w niebezpieczeństwie i że Balzowie uknułi jakiś podstęp. Poczuł, jak koszula przykleja mu się do ciała.

– Muszę wyjechać z Neapolu, pójdziesz do mojej komnaty i tam będziesz na mnie czekać.

Ujrzał przerażenie w oczach Armanda.

– Nie bój się, Robert del Balzo już tu nie wróci.

– A admirał?

– Żaden z del Balzów. Zrobisz, co powiedziałem?

– Zrobię, stryju.

– Powiem strażnikom, że cię tu zostawiam.

– Dobrze, stryju, tylko wracajcie prędko – poprosił. – Ale nie pozwolicie, by pan del Balzo uciął im głowy?

– Nie pozwolę – rzekł twardo i się oddalił.

Wpadł z zamku w ulewę i dosiadłszy konia, pognał ku morzu. Przy brzegu wstrzymał wierzchowca i z mroku wyłuskał wzrokiem galerę. Kołysała się niespokojnie na wodzie, szarpana wichrem i smagana deszczem, zakotwiczona. Niccolini miał tylko nadzieję, że Rinaldo nie odważy się odpłynąć w czasie burzy i że wyruszy dopiero o świcie. Skierował wierzchowca do Gaety, a w głowie tłukła mu się jedna myśl, że musi być pierwszy, nim statek admirała tam dotrze. Musi uprzedzić królową o podstępie Balzów. Pognał wzdłuż wybrzeża. Jego koń rozchlapывał kopytami mokry piach. Niccolini poczuł błotnistą maź na twarzy. Otarł ją i się obejrzał. Zdało mu się, że burza za nim podąża, a on nadaremno próbuje jej umknąć. Wkrótce zostawił Neapol za sobą, lecz niebo nad nim iskrzyło się od błyskawic i pioruny uderzały w ziemię blisko niego, jakby próbowały go zatrzymać, udaremnić jego zamiar, jakby i niebo sprzyjało Balzom.

Burza szła na północ i niebawem dotarła do Gaety, wywołując niepokój królowej. Joanna przebywała w kajucie kołyszącego się statku. Gdy wszedł przemoczony Ludwik z Tarentu, królowa uniosła na niego oczy. Widząc, jak żona drży, księżę powiedział:

– Nie lękaj się, Joanno. Będę przy tobie, aż burza się oddali.

– Nie o siebie się boję, Ludwiku, lecz o Marię i dzieci.

– Twoja siostra jest w dobrych rękach. Rinaldo to stary wyjadacz i wiele mórz opłynął w najgorsze sztormy. Zapewne przeczeka burzę i ruszy nad ranem, a może nad Neapolem już świeci księżyc i o poranku ujrzysz siostrę.

– A jeśli burza złapała ich na pełnym morzu? – spytała.

– Na to nic nie poradzisz – skwitował. – Możesz tylko czekać i się modlić.

A więc modliła się, ale to nie przynosiło jej ukojenia, co widząc, Ludwik rzekł:

– Chodźmy już spać, pani, żadna modlitwa tak cię nie pokrzepi jak sen.

Joanna odesłała dwórki i wślizgnęła się pod pościel. Zaraz poczuła oplatające ją w talii ręce małżonka. Cmoknął ją w policzek, a wtedy wyczuła woń cierpkiego wina i po chwili usłyszała chrapanie Ludwika. Sama nie mogła zmrużyć oka i dopiero, gdy galerą przestało kołysać, zapadła w sen, a kiedy otworzyła oczy, świt przedzierał się przez ostatnie okruchy nocy.

Niccolini, mokry od deszczu, z pozlepianymi od brudu włosami, w ubłoconych butach i takim samym odzieniu, spoglądał na morze ku dwóm galerom oblepionym strzępkami mgieł, które wiatr rozganiał, a wtedy wysoko na maszcie ukazywały się powiewające sztandary Andegawenów. Statki spokojnie unosiły się na wodzie, trzymając się blisko siebie, nieopodal fortecy. W sercu czuł wściekłość i rozpacz na przemian. Nie zdążył, galera admirała go wyprzedziła, wszystko stracone. Na nic zdała się gonitwa nocą pośród błyskawic i w deszczu. Umordowany wraz z wierzchowcem ledwo zipali. Zsiadł z konia i poklepał go po chrapach, jakby mu dziękował za poświęcenie, po czym ledwo żywy usiadł na kamieniu i spoglądał w dal. Myślał o księżnej Durazzo i jej córkach. Co się z nimi dzieje i jakie zamiary mają Balzowie.

Maria z córkami i Rosaną siedziały w kajucie. Izba nie była zamknięta na skobel. Balzowie byli pewni, że księżna nie narazi dzieci, że będzie milczeć jak grób. I milczała, czując na sobie nieustannie śledzące ją oczy Balzów.

Popatrywała ukradkiem na załogę, chcąc dociec, kto sprzyja admirałowi, który wmieszany jest w grę. Rinaldo legł w swojej kajucie, uskarżając się na bóle w kościach, i postanowił wysłać na królewską galerę pana Marzano, by powiadomił Joannę, że admirał leży złożony chorobą i nie może przybyć i że płynie z nim księżna Maria. Gdy o poranku księżna Durazzo wyszła na pokład, jej wzrok podążył do galery Joanny w nadziei, że na pokładzie ujrzy siostrę. Admirał zakotwiczył jednak statek dość daleko od galery królowej, więc widziała jedynie niewyraźne postaci załogi. Oczy Marii nabrzmiały od łez, ukradkiem otarła wielkie krople spływające po policzkach. Signor Marzano, który dostrzegł księżnę, podszedł do niej i zauważywszy jej czerwone oczy, powiedział:

– Teraz nic złego, księżno, nie może wam się przytrafić, na morzu jesteście bezpieczni.

Rzuciła mu krótkie, badawcze spojrzenie, jakby chciała dociec, czy on także jest wmieszany w spisek.

– To wiatr – odparła wymijająco i już chciała się oddalić, gdy zauważyła, że spuszczają łódź na wodę. Wtedy spytała z ożywieniem: – Dla kogo ta łódź?

– Dla mnie. Płynę do królowej.

– Admirał płynie z wami?

– Podagra przykuła go do łózka. Królowa musi o tym wiedzieć; także o tym, że wy pozostaniecie na tej galerze, księżno.

Serce skoczyło jej do gardła. Jeśli Gotfryd Marzano nie jest wmieszany w spisek i ona pozwoli mu odpłynąć bez słowa, to straci jedyną szansę wyrwania się z łap Balzów – przez wiele dni, przez tygodnie będzie więziona tutaj, na galerze, i kto wie, co stanie się potem, gdy wypłyną na szerokie wody. Czy admirał nie zmieni kursu i nie zniknie pośród mgieł którejś nocy? Nie uprowadzi jej i dzieci w nieznaną? Jeśli obiecano mu profity w zamian za pomoc? Przyglądała się temu mężczyźnie o przydługich włosach przeplecionych srebrnymi nitkami. Gotfryd zamierzał już odejść, gdy Maria położyła dłoń na jego rękę i ledwie poruszając wargami, rzekła:

– Powiedźcie królowej, by zażądała, aby admirał odesłał nas na jej galerę. Przekażcie to, signor Marzano, Joannie. – Jej wzrok czujnie skakał po bokach, a głos był stanowczy i błagalny. Nagle cofnęła dłoń jak oparzona, jakby zobaczyła niepożądanego świadka tej rozmowy. Gdy signor Marzano się odwrócił, ujrzał Perotta. Nie rozumiał, dlaczego jego pojawienie się wzbudziło w księżnej Durazzo nagły popłoch.

– Księżno, wracajcie – polecił jej Perotto. – Galerą mocno kołysze.

Posłuszna jego rozkazowi oddaliła się w milczeniu. Gotfryda zastanowiła reakcja księżnej Durazzo – przecież słoneczna pogoda i niezbyt silny wiatr sprzyjały temu, by siedzieć z dziećmi na zewnątrz, a nie w ciemnej i ciasnej kajucie.

Gdy Maria zniknęła, Robert, który z oddali obserwował księżnę i Gotfryda, teraz wyszedł do brata i syknął:

– Miałeś nie odstępować jej na krok.

– Sam mówiłeś, że słowa nie piśnie, choćby ją żywcem kroili. Zresztą to twoja żona.

Signor Marzano zmarszczył brwi, przypatrywał się braciom i coś wzbudziło jego podejrzenia. Księżna nie cieszyła się, że dotarła do siostry, admirał nagle się rozchorował, a młodzi Balzowie, dotychczas zgodni, teraz toczyli między sobą jakąś cichą wojnę. Zaraz zszedł na łódź wraz z dwoma ludźmi i popłynął ku galerze królowej. Joanna i Ludwik już czekali na niego na pokładzie. Gdy im doniesiono, że od drugiej galery odbiła jakaś łódź, byli pewni, że to Maria z dziećmi. Ujrawszy jedynie signora Marzano, Joanna spytała:

– Dlaczego nie przywieźliście księżnej Durazzo i dzieci, signor Marzano?

– Admirał zapewnia, że na galerze jest wystarczająco dużo miejsca, by księżna mogła na niej odbyć podróż.

– Zatem signor Rinaldo mógł sam się tu pofatygować, a nie was posyłać, signor Gotfrydzie – zauważył Ludwik z Tarentu.

– Admirał leży złamany podagrą, wasza książęca mość. I pyta waszą wysokość – zwrócił się do królowej – czy może odpływać.

– Skoro księżna Durazzo pragnie pozostać na jego galerze, niech admirał podnosi kotwice – odparła i skierowała się do kajuty.

Ku jej zaskoczeniu Marzano poszedł za nią. W kajucie zastali dwórki, co nie było na rękę Gotfrydowi, bo chciał się podzielić z królową swymi przypuszczeniami.

– Nie wiem, wasza królewska mość, czy księżna Durazzo nie wolałaby z wami odbyć tej podróży – rzekł Gotfryd.

Joanna się zawahała, co prawda tutaj miejsca nie pozostało zbyt wiele, ale przecież nie odmówi siostrze.

– Nie pytaliście jej?

– Księżna koniecznie chce być przy was, pani.

– Zatem czemu nie przybyła wraz z dziećmi? – zachnęła się.

– Admirał nie wydał rozkazu.

– Słuchacie się Rinalda, nie mnie? – powiedziała oburzona i gestem odprawiła dwórki.

– Młodzi Balzowie nie odstępują księżnej Marii na krok. Obawiam się, że dzieje się coś złego. Księżna błagała mnie, byście rozkazali admirałowi odesłać ją na waszą galerę – wyjaśnił, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Usłyszał to książę Ludwik, który stanął w progu kajuty.

– Sprowadźcie ją tutaj, signor Marzano – rzekła Joanna.

– Sam przywiozę ci Marię – zwrócił się Ludwik do Joanny. – Popłynę z signorem Marzano.

– Bądź ostrożny, Ludwiku – przestrzegła go królowa, obawiając się, że za jej plecami toczy się jakaś gra, w którą uwikłani są Balzowie i jej siostra. Wkrótce łódź z księciem Ludwikiem, Gotfrydem Marzano, Giacomo Sanseverinem i sześcioma zbrojnymi płynęła do galery admirała. Gdy Ludwik postawił nogę na pokładzie, rozejrzał się bacznie wokół, ale nie ujrzał Marii ani dzieci, nie było też dwóch del Balzów, jedynie Perotto powitał go bladym uśmiechem, czujnym spojrzeniem i pochyleniem głowy.

– Co z admirałem, signor Perotto? – spytał Ludwik i nie czekając na odpowiedź, rozkazał: – Prowadźcie do niego!

Młody del Balzo ruszył przodem. Trzymający się blisko księcia zbrojni rzucali czujnymi spojrzeniami po bokach, spodziewając się zasadzki. Książę dał swoim ludziom cichy rozkaz, by odnaleźli Marię z księżniczkami. Skrzypnęły drzwi i Ludwik wszedł do ciasnej, mrocznej kajuty, za nim wsunął się singor Giacomo Sanseverino. Między lekko zaciągniętymi portierami książę dostrzegł leżącego w łóżu admirała.

– Co wam dolega, admirale? Signor Marzano powiadomił mnie, żeście zaniemogli. Nie w porę to, signor Rinaldzie, nie w porę. Wiecie, że musimy ruszać.

– Nie trapcie się, wasza książęca mość. Signor Marzano moją ręką ćwiczony, a i moi synowie od niego nie gorsi, nieraz wypływali ze mną na szerokie wody, pokierują galerą, a ja daję wam słowo, że do wieczora stanę na nogi. Dajcie tylko rozkaz wypłynięcia – odrzekł stary.

– Skoro mówicie, że dojdziecie do siebie... Zgoda. – Ludwik przystał na to i zwrócił się do młodego pana del Balzo: – Signor Perotto, przyprowadźcie księżną Marię. Chcę jej przekazać, że na życzenie królowej pozostanie tutaj pod pieczę waszego ojca. Zobacz się w Prowansji.

Perotto spojrział na ojca, a widząc, że Rinaldo mrugnął powieką na znak zgody, wyszedł z kajuty i zamknął za sobą drzwi. Ledwo uszedł kilkanaście kroków, gdy na krtani poczuł ostrze i usłyszał pełen srogości szept:

– Ci... Ruszaj! Przed siebie!

Uszli kilkanaście kroków, oddalając się od kajuty admirała, gdy ktoś zasyczał mu do ucha:

– Gdzie księżna Maria?

– W kajucie – wychrypiał przez ściśnięte gardło Perotto.

– Tam jej nie ma. Co tu się wyprawia, signor Perotto? Mówcie, inaczej poderżnę wam gardło jak wieprzowi.

Perotto poczuł, jak ostra stal wrzyna mu się w skórę, i wyznał, nie wiedzieć, czy w obawie o własne życie, czy może z zazdrości o wyniesienie

starszego brata:

– Jest w klitce pod masztem.

– Prowadź!

Perotto ruszył pierwszy. Czuł, jak ostrze dziurawi mu kaftan i wpija się w plecy.

Pokonawszy kilkanaście kroków, zatrzymał się i podniósł deskę. Odsłoniła się czarna dziura.

– To taką wygodę chcieliście zapewnić księżnej i jej dzieciom? – syknął mu do ucha signor Barillo. – Kto rozkazał ich tam zamknąć?

– Ja! – Głos z tyłu zaskoczył Barilla. Odwrócił się i ujrzał drugiego z del Balzów. Robert skoczył na niego jak ryś, ostrze jego miecza załśniło w słońcu i Barillo ujrzał przed oczami śmierć. Odchylił głowę i stał tylko przecięła ze świstem powietrze. Od burty już biegło ku nim trzech ludzi księcia Tarentu. Robert del Balzo stanął im naprzeciw. Jeden z nich potężnym ciosem rozłupał głowę Perotta, a pozostali uwolnili Marię, jej córki i damę dworu. Księżna, do której tuliły się wystraszone dzieci, dostrzegła trupa Perotta, a obok broniącego się Roberta. Słaniając się na nogach od odniesionych ran, jeszcze walczył o życie. Naraz błysnął w słońcu miecz i czyjaś ręka zamachnęła się na niego, a wtedy Maria krzyknęła:

– Nie zabijajcie!

Zbrojny zastygł w bezruchu i obejrzał się na księżnę.

– Prędka śmierć będzie dla niego łaską. Nie zasługuje na nią. Zabierzcie go do Castel dell'Ovo i wtrąćcie do lochów, sama mu odpłacę za moją krzywdę.

Głos jej zadrzał, w pamięci ożyły świeże obrazy. Gdy się obejrzała, dostrzegła stojącego opodal szwagra. Książę Ludwik skinął na zbrojnych, by cofnęli ostrza. Maria narzuciła na głowę kaptur i zesła wszystkim z oczu, jakby chciała się skryć. Dziewczynki wraz z nianią poszły za matką.

Niccolini nie spuszczał oczu z morza. Zakotwiczone galery stały w miejscu kołysane wiatrem. Oddziało je pasmo błękitnego nieba, które odbijało się w wodnej toni. Dlaczego nie odpływają – zastanawiał się i po chwili dostrzegł ciemną plamę. Była to łódź, która dobiwszy do statku królowej, zaraz zawróciła. Nie wiedział, że płyną na niej księżę Ludwik, Gotfryd Marzano i kilku uzbrojonych po zęby ludzi. Nie wiedział, że na statku są dwa trupy: admirała i Perotta. Naraz z galery admirała spuszczone łódź, która ku zdziwieniu Niccoliniego skierowała się do brzegu. Gdy była już blisko, Niccolini rozpoznał królewskie barwy Andegawenów. Kilku ludzi skoczyło w morze, by wypchnąć łódź na ląd. Niccolini wbiegł do wody, by im pomóc. Na widok skrepowanego powrozem Roberta del Balzo wpadł w furję. Chwycił go za głowę, silnym ramieniem oplótł mu szyję i zwałił z łodzi w wodną toń.

– Co robicie, Niccolini?! – wrzasnął Giacomo Sanseverino, wyskakując z łodzi.

– Winien zdechnąć! – krzyknął, zanurzając głowę Roberta w wodzie. Signor del Balzo trzepotał ramionami, lecz z każdą chwilą słabł.

– Z rozkazu księżnej Durazzo ma żyć! – wrzasnął Sanseverino.

Do Niccoliniego dopiero po chwili dotarły jego słowa, ale Robert już nie walczył, Giacomo rzucił się ku niemu i wyciągnął go z wody. Del Balzo z trudem łapał powietrze. Wywleczono go zaraz na ląd – pokonanego olbrzyma, w którym nie było ani krzty siły. Robert usiadł na kamieniach i zwiesił głowę. Oto utracił wszystko, co miał, a swą grą niczego nie ugrał. Niccolini stanął nad nim, przesłaniając mu słońce, i splunął na niego z pogardą, po czym poszedł w stronę swojego konia.

– Dokąd, Niccolini? – zawołał za nim Giacomo.

– Do Neapolu, do Castel dell'Ovo, królowa rozkazała strzec zamku przed Węgrami.

– W takim razie zmierzamy w tym samym kierunku – rzekł Sanseverino.

ROZDZIAŁ 7



Konrad Lupo z wieży Castel Nuovo patrzył ku morzu. Było w jego głębinach coś, co nęciło, co przyciągało uwagę, w jego lustrze odbijały się wspomnienia. Dwa dni temu u brzegu, tuż pod nosem Konrada, krótko przed zmierzchem, na spokojnej wodzie unosiły się galery, a wokół nich krążyło mnóstwo ludzi. Co rusz podjeżdżały wozy pełne skrzyń i objuczone woły, ładowano ciężkie worki na pokład, wtaczano beczki po szerokich kładkach. Panował tu nieustanny ruch, a nazajutrz o poranku ujrział królową. Przygalopowała na białej klaczy, z odsłoniętymi włosami, w bławatnej sukni, której barwa wtopiła się w kolor morza. Skąd wiedział, że to ona? Z daleka nie mógł dostrzec jej twarzy, ale eskorta kilkudziesięciu zbrojnych i kilkanaście dwórek trzymających się blisko niej nie pozostawiało wątpliwości, że to Joanna. Na ten widok pana Lupo rozparła radość, ucieczka Andegawenki wróżyła bowiem rychłe nadejście króla Ludwika. Tamtego dnia bardzo pożałował, że mu się królowa wymyka z rąk. Gdyby miał przy sobie więcej ludzi, wypadłby z zamku, pobił neapolitańczyków, a królową powiódł na grubym powrozie do lochów fortecy. A może wprzód, zanim wydałby ją Ludwikowi, założyłby na grzbiet czystą koszulę i kaftan, uczesałby włosy i pachnidłem skropił odzienie, a potem rozkazałby wydobyć Joannę z lochów i przyprowadzić przed swoje oblicze. Pozwoliłby jej usiąść za stołem i częstować się do woli, i patrzyłby na nią tak, jak ona przyglądała się jemu w pałacu książąt Tarentu, z wyższością, a zarazem z zaciekawieniem. On patrzyłby przede wszystkim z podziwem, jak patrzy się na zachwycający diament, którego nie ma się śmiałości dotknąć. Ale tego dnia, ku jego zdziwieniu, tylko jedna

galera odbiła od brzegu. Druga unosiła się na wodzie jakby na coś albo na kogoś czekała. A nazajutrz, pośród błyskawic i nadciągającego zmroku, ona także wypłynęła na szerokie wody i zaraz zniknęła w ciemnościach. Ale dziś morze było spokojne i puste. Lupo skierował wzrok ku miastu i ujrzał ciemną plamę sunącą w stronę Castel Nuovo, a chwilę potem witał na dziedzińcu Lászla Garaia niczym wytęsknionego gościa.

– Witajcie, panie Lupo. – László wstrzymał wierzchowca i lekko skinął głową, po czym dodał: – Król już przekroczył bramę miasta. Jedzie prosto do zamku. Królowa w Neapolu?

– Nie głupia ona, ażeby czekać tu na śmierć z rąk króla – odparł Lupo i pochwycił końską uzdę. – Dwa dni będzie, jak umknęła.

– Król nie będzie zadowolony – skwitował królewski dworzanin.

Garai popędził do bramy, by dołączyć do Ludwika, który był już na via Tribunali. Król właśnie przejeżdżał pod pałacem książąt Tarentu i rzucił czujnym wzrokiem po oknach.

– Sprawdzić, czy kto się tam nie kryje – rozkazał Garaiowi, który z dziesiątką ludzi wnet zniknął w wielkiej bryle pałacu. Ludwik tymczasem kierował się do Castel Nuovo. Miasto zdało się wymarłe. Mieszkańcy Neapolu nie wylegli na place i ulice, by go witać. Siedzieli w domach wystraszeni, a ich nienawiść do Węgrów rosła. Nie podobał się królowi ten posępny widok, któremu wtórował zawodzący wiatr, jakby wszystko zwiastowało jakieś nieszczęście. Nad miastem wisiały siwiejące chmury i jakiś chłód spłynął na ziemię, choć była pełnia lata. Gdzie podziało się to gorejące żarem słońce, które Ludwik zapamiętał z poprzedniej wyprawy, gdzie ludzkie uśmiechy i życzliwość? Z ciekawością popatrywali na wielkie pałace i kościoły ci, którzy po raz pierwszy znaleźli się na tych ziemiach – najemnicy złaknieni zapłaty przenikali spojrzeniami grube mury, by gdy się ściemni, wyruszyć w miasto i wziąć, co dusza zapragnie. Ci natomiast, co tu powrócili, miny mieli posępne, w oczach podejrzliwość, a w sercach obawy, jak zakończy się ta wyprawa. Nikt na króla Ludwika tu nie czekał, mimo że płynęła w nim ta sama krew co w Joannie, i nikt teraz nie chciał tu Węgrów. Przemykały ulicami pojedyncze postacie, w ostatniej chwili

umykające przed wzrokiem najeźdźcy. Spoglądały z wysokich okien pełne niepokoju oczy i spiesznie znikwały spłoszone spojrzzeniami nieproszonych gości. Przy melodii stukotu końskich podków Ludwik dotarł do Castel Nuovo. Tutaj, witany na dziedzińcu przez Konrada Lupo i obu Wolfartów, poczuł się pewniej. Podziękował im za to, że trwali tu wiele miesięcy, i zaprosił do komnaty, by opowiedzieli, co tu się działo pod jego nieobecność. O tym, że Joanna mu się wymknęła, już wiedział od Garaia i jego myśli podążały ku innej kobiecie. Ale wnet pojawił się marszałek dworu królewskiego i rzekł:

– Wasza wysokość, ludzie się niecierpliwią. Czekają na rozkazy... Dowódcy najemników chcą wiedzieć...

– Niech jeszcze czekają – przerwał mu. – Dajcie im jadła i wina. Jutro wydam rozkazy.

Gdy Lajos Lackfi, młodszy brat wojewody siedmiogrodzkiego, wyszedł, Konrad, dotąd tak ochoczo biorący udział w mordach, zwiesił głowę, najchętniej wyniosłby się z Neapolu, tak mu to miejsce obrzydło. Spędził tu wiele miesięcy w drętwocie, jak w niewoli, tymczasem on łaknął przestrzeni, woni łąk i kurzawy w nozdrzach, zapachu potu wyciskanego przez wojaczkę i krwi toczonej z wroga. Wolałby pomachać mieczem w bitwie, niż rozplątywać flaki tym, którzy nic już nie mogą im ofiarować.

– W mieście została biedota, szlachta uciekła, ledwo królowa Neapolu odbiła od brzegu – powiedział pan Lupo. – Nie ma kogo łupić, a zabijać ich – szkoda tępić stal, wasza miłość.

– Ludzie tu nieufni, nie życzą nam dobrze i tylko czekają powrotu królowej – dodał Gustaw Wolfart.

– Neapolitańczycy na własnej skórze muszą odczuć moją srogość – oznajmił władca. – Ale nie wydam rozkazu rzezi ani grabienia domów, złotem zapłacą za zdradę i sami przyniosą mi je w zębach. Jutro w południe wy trzej ruszycie przez główne ulice miasta i rozgłosicie, że pojutrze w Anioł Pański zostanie odczytana moja odezwa do ludu. Lepiej, aby tubylcy wysłuchali mojego głosu.

Ruszyli do wyjścia, mijając się w progu z Garaiem. Lupo jeszcze usłyszał strzępki jego rozmowy z królem.

– W pałacu Tarentów ani żywego ducha, wasza miłość.

– A księżna Durazzo? Gdyby miała pozostać w Neapolu, gdzie mogłaby się ukryć?

László wbił w króla wzrok i odparł:

– Z pewnością księżna uciekła z królową.

Król zwiesił głowę i milczał. Mógł się tego spodziewać, a jednak gnało go tutaj przeświadczenie, że wdowa po Karolu Durazzo wpadnie mu w ręce, że ją poślubi i zabierze na Węgry. Stało się inaczej. Władca odprawił dworzanina, po czym rozlokował się w przestronnej i jasnej komnacie. Tego wieczoru, gdy jadł wieczerzę, zjawił się marszałek dworu i zapowiedział Konrada Lupo. Ludwik kazał go wprowadzić i zaraz ujrzał pana Lupo dźwigającego okutą żelazem skrzynię.

– Znalazłem to w lochach, wasza miłość, gdy opuściliście Neapol – powiedział. – Ukryte umyślnie przed waszym okiem.

– Musi być bardzo cenne – skwitował Ludwik – albo przeciwnie, nie tak wartościowe, skoro Joanna to pozostawiła.

– Musiała być pewna, że tego nie znajdziecie, wasza wysokość – dodał Konrad i postawił ciężką skrzynię przed Ludwikiem.

Król podniósł wieko, lekka chmura pyłu uniosła się w powietrzu. Ujrzał księgi, a że bardzo je cenił, pochylił się i przeglądał w skupieniu. Obwoluty były gdzieś przetarte, jakby starość ich dosięgła, tak jak dosięga człowieka, marszczy mu skórę i kruszy kości. Naraz pośród obwolut błysnęły złoto i czerwień, przyciągając uwagę władcy. Wyjął księgi leżące na wierzchu i sięgnął głębiej. Przyjrzał się uważnie. Pamiętał tę księgę z dawnych lat i przypomniał sobie ojca, jak mu ją pokazywał, i matkę, gdy ową księgę zabierała ze sobą, by ofiarować ją Andrzejowi. Dobre wspomnienia przeniknęły się z tym, co gorzkie – ze śmiercią brata i rozpaczą królowej matki.

– Dobrze, że odnalazłeś tę skrzynię, Konradzie – rzekł naraz. – Zatrzymam ją przy sobie.

Zza ramienia pana Lupo Ludwik dostrzegł Filipa Drugetha. Wzrok Konrada podążył za spojrzeniem władcy i Lupo, dostrzegłszy Filipa, oddalił się.

– Spójrz, Filipie, *Acta Sanctorum pictis imaginibus adornata*. Matka się wzruszy – powiedział Ludwik z rozrzewnieniem. – Myślałem, że ta księga przepadła na wieki, że już nigdy do nas nie wróci. – Król otarł parę łez w kącikach oczu. – Ale dość wzruszeń na dziś – skwitował. – Jutro wieczorem wydam ucztę. Sproście dowódców najemników, chcę im podziękować za wytrwałość i zapewnić, że za wyprawę na Neapol dostaną sowitą zapłatę w złocie.

Następnego dnia o poranku kilku królewskich heroldów pędziło głównymi ulicami miasta, obwieszczając mieszkańcom, że nazajutrz w Anioł Pański ustami swego urzędnika przemówi do nich król węgierski Ludwik i żeby stawili się pod kościołem Świętej Klary, by poznać wolę króla Neapolu. Pośród neapolitańczyków przeszedł szmer niepokoju. Oczekiwano najgorszego. Nazajutrz pod kościołem Świętej Klary długo przed południem zaczęli gromadzić się tubylcy i z każdą chwilą ich przybywało. Gdy dzwony biły na Anioł Pański, dostrzeżono od via Tribunali pędzących konno królewskich wysłanników. Przybyli Konrad Lupo i László Garai, a wraz z nimi wojewoda siedmiogrodzki Stefan Lackfi i kilkudziesięciu zbrojnych. Wojewoda odczytał odezwę króla, w której przestrogi i groźby mieszały się z wyrzutami. Ludwik nie skąpił poddanym cierpkich słów i wyrzucał im zdradę, w końcu wspaniałomyślnie postanowił zaniechać zemsty, lecz nakładał na mieszkańców podatki, co wzbudziło w tubylcach pomruk gniewu. Garai chmurnym wzrokiem ogarnął tę ludzką masę, jakby jej nie ufał, i wnet wyłuskał wzrokiem znajomą twarz. Gianna, napotkawszy jego wzrok, odwróciła się i zniknęła w tłumie. Garai zsiadł z konia i wmieszał się w tłuszcę. Na widok węgierskich barw schodzono mu z drogi. Wszedł przez bramę na niewielkie podwórze, gdzie zniknęła hrabina. Słyszał stukot jej trzewików. Nagle

Gianna się odwróciła, a ujrawszy idącą za nią postać, wystraszyła się i wyraźnie przyspieszyła, lecz Węgier nie zamierzał ustąpić. Gdy zniknęła w korytarzu, skoczył za nią i zawołał:

– Pani!

Wołanie jej nie zatrzymało, więc ruszył za nią i pochwyciwszy za ramię, zmusił, by się zatrzymała.

– Gianno – powiedział z jakimś ciepłem.

Ton głosu ją uspokoił. Przyjrzała się Garaiowi, a rozpoznawszy go, poczuła ulgę, lecz ta prędko ustąpiła miejsca obawie, bo spytała:

– Czego ode mnie chcecie? Czemuż za mną idziecie, panie?

– Dlaczego nie uciekłaś z Neapolu? Czemu nie szukałaś schronienia. Wiesz, że drugim razem możecie nie ujść z życiem.

– Król nie chce naszego życia, chce złota – odparła.

– Dostanie złoto, a najemnicy splądrują wasze domy i zhańbią kobiety. Król długo ich nie utrzyma w posłuszeństwie. Muszą dostać łupy.

Wystraszyła się tej groźby. Nagle skrzypnęły drzwi i dobiegł ich męski głos:

– Kto przyszedł, Gianno?

Spłoszyła się i odparła spiesznie:

– Nikt, ktoś pytał o drogę.

Hrabina pospieszyła do izby, ale jeszcze usłyszała przestrogę Lászla:

– Uciekajcie, póki czas!

Garai powrócił do swych towarzyszy. Na placu tłum rzedniał. Ludzie rozchodzili się do domów. Konrad Lupo podjechał do Garaia, prowadząc mu konia, i rzekł rozbawiony:

– Musiało was mocno przycisnąć, żeście szukali ustronnego miejsca w jakimś obskurnym podwórzu. Ale lepsze to niż byście mieli narobić w portki.

Węgier ujrzał roześmianą gębę Konrada, lecz jego uwagę zbył milczeniem, dosiadł konia i jeszcze spojrzął w okna. Zdało mu się, że

w jednym z nich mignęła mu twarz Gianni.

– Pora do zamku! – wydał komendę Lupo i ruszył, by zrównać się z wojewodą siedmiogrodzkim.

Mijały dni i tygodnie. Kończyło się lato, a król Węgier tkwił w Neapolu niczym w oblężonej twierdzy. Nieufne i złowrogie wydało mu się to miasto. Gdy przemierzał ulice, widział podejrzliwe spojrzenia tubylców; gdy wstępował do kościołów, patrzyły na niego udręczone twarze świętych i w ich oczach widział potępienie. Nawet święci widzą we mnie najeźdźcę – myślał i zastanawiał się, jak długo przyjdzie mu tu siedzieć i po co tu przybył, skoro winowajczyni znowu mu uciekła. Wykurzył ją z królestwa, ale przecież ona ciągle żyje, i ledwo on stąd odejdzie, ona powróci. Tymczasem czekał na złoto, którego zażądał od mieszkańców, lecz zamiast złota neapolitańczycy przyszli do niego z gniewem i nienawiścią. Już o poranku pewnej sierpniowej niedzieli, gdy szykował się na mszę w zamkowej kaplicy, doniesiono mu, że wielka chmara ludzi maszeruje na Castel Nuovo. Zaskoczony nie wiedział, co rzecz i o co pytać. Kazał spieszenie podać sobie ubranie, wdział spodnie, koszulę i kaftan, stopy wsunął w trzewiki i wyszedł na blanki. Tłum aż gotował się z wściekłości, groźby mieszały się z żądaniem, by Węgrzy opuścili Neapol, w przeciwnym razie tubylcy króla wykurzą albo wezmą głodem.

– Miarka się przebrała! – ryknął Ludwik rozsierzony zuchwałością neapolitańczyków i wrócił do komnat. Wsparł ramiona na stole, gniew mącił mu rozum, bo rzucił do dworzan: – Łagodnością nic nie wskóram! Powinienem już pierwszego dnia wypuścić na nich sforę najemników, ale i na to nie jest za późno! Wołajcie Wolfartów i pana Lupo!

Garai i Mate Bebek zbledli, wszak dobrze pamiętali rzeź neapolitańczyków parę lat temu. Lecz gniew króla mogła ugasić tylko zemsta i gdy zaczynało zmierzchać, rozszalała się po mieście niczym nawałnica żądna łupów armia i zbierała żniwo aż do świtu. Mleczna biel budzącego się dnia ukazała ulice zaścielone trupami, a woń dymiących zgliszcz i krwi jeszcze długo wisiała w powietrzu.

ROZDZIAŁ 8



W dzień śmierci biskupa Gellerta^[2] królowa Węgier udała się na wzgórze Kelen. Ilekroć tu przychodziła, czuła wyjątkowość tego miejsca, jakby jakieś dobre duchy opiekowały się tym wzgórzem. A może to nie duchy, lecz sam Bóg spoglądał z niebios na to miejsce i błogosławił tym, którzy tu się znaleźli, błogosławił więc także królowej. Latem z Neapolu nadeszły wieści od Ludwika. Król szczęśliwie dotarł na apulijską ziemię, lecz królowa Joanna zdążyła umknąć. Elżbiecie spędzało sen z oczu pytanie, czy król znalazł Marię, i odetchnęła, gdy posłaniec od Ludwika zaprzeczył. Już wiedziała, że los jej sprzyja i należy działać. Posłała do Bośni list, w którym prosiła swą krewniaczkę, Elżbietę kujawską, wiele lat temu poślubioną banowi Bośni Stefanowi Kotromaniciowi, by pozwoliła swej córce, również Elżbiecie, przybyć na Węgry, ma bowiem względem dziewczynki pewne plany. Napomknęła, że gdyby za kilka lat ożenić Ludwika z Elżbietą, wówczas więzy między Węgrami a Bośnią zacieśnia się na zawsze. Elżbieta kujawska nie zastanawiała się długo. Propozycję królowej przyjęli wraz z mężem jako dar od losu, choć władczyni zastrzegła, że jeszcze musi przekonać Ludwika, ale jak zapewniała, ma na niego przemożny wpływ. Kilka dni później żona bana Bośni przybyła z córką do Budy i pokłoniła się królowej Elżbiecie.

– To stąd strącono w beczce biskupa Gellerta? – dopytywała się dziesięcioletnia Elżbieta, którą matka zabrała na wzgórze Kelen, gdyż obiecała jej to, zanim opuściły Bośnię.

Głos dziewczynki wyrwał z zamyślenia królową węgierską, bo zwróciła twarz w jej stronę. Mała Elżbieta była podobna do matki, lecz od niej

piękniejsza, i królowa miała nadzieję, że przez kolejne lata nie zbrzydni. Jej syn nie poślubi brzydkiej dziewczyny. Resztą zajmie się ona. Wychowa dziecko, urobi ją na przyszłą władczynię, swoją następczynię, by mądrością, pokorą i pobożnością była Ludwikowi podporą. Sprowadzi dla niej najlepszych nauczycieli, odzieje w najcenniejsze złotogłowa i jedwabie, synowa będzie lśnić od klejnotów i królewskiego majestatu, lecz nie przyćmi majestatu matki króla, dopóki ta będzie żyła. Matka króla nie pozwoli jej przy sobie urosnąć. Oczy królowej podążyły za uśmiechem dziecka. Nigdy nie widziała dziewczynki tak szczerze obdarowanej przez Boga. Włosy rozjaśnione słońcem niebawem ściemniają, opalona twarz nabierze alabastrowego odcienia, gdy nastaną chmurne jesienne dni. Ale rzęsy pozostaną czarne i długie, a spod nich zawsze będzie wyzierać to samo nieśmiałe, a może bardziej czujne spojrzenie, pod którym kryje się dziecięca ciekawość.

– Tak, Elżbieto. – Matka, potakując, popatrzyła na gęstwiny porastające wzgórze.

Skierowano się na południowe zbocze, porośłe figowcami i roślinnością lubującą się w prażącym słońcu. Wszystko jeszcze bujnie kwitło, zodiakalna Waga dopiero wkroczyła w swój znak i tylko gdy dzień gasł, czuć było pierwszy powiew jesieni, jeszcze łagodnej i łaskawej dla przyrody.

– Idź do Eudoksji – rzekła Elżbieta do córki i obserwowała, jak dziewczynka w podskokach biegnie do swojej ulubionej niani, jak chwyta ją za rękę, jak rzuca Irmie, która była w pobliżu, niechętnie spojrzenie.

– Za miesiąc odprawię Eudoksję – zwróciła się królowa do krewniaczki. – Myślę, że do tego czasu Elżbieta zżyje się ze swoją nową nianią, a przynajmniej ją polubi.

Bośniaczka wiedziała, bo była o tym mowa wcześniej, że miejsce dotychczasowej niani zajmie Irma, wdowa po Pawle Nagymartonim. Do tego wyboru matka dziewczynki nie była przekonana i królowa chyba to dostrzegła, bo zapewniła:

– Opiekowała się moimi synami, zatem bądź spokojna, a ty zawsze możesz przybyć do Budy, aby zobaczyć córkę.

– Dziękuję wam, najjaśniejsza pani, lecz będzie lepiej, jeśli Elżbieta prędko przywiąże się do was. Wiem, że będzie tęsknić za domem, nie chcę widzieć jej łez, gdy będę odjeżdżać – odparła Elżbieta kujawska.

– Może tak będzie lepiej. – Królowa na to przystała i uśmiechnęła się pocieszająco. Wspomniała dzień, w którym ona żegnała Andrzeja. I może teraz, spoglądając tyle lat wstecz, mogła powiedzieć, że los wydarł jej z ramion syna, że było to okrutne, i gdyby nie skończyło się jego śmiercią, teraz mogłaby powiedzieć, że to dobra metoda. Tęsknotę przykurzy czas, im szybciej przerwą się więzy, tym lepiej, choć jest to bolesne.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu z Budy, Elżbieta kujawska poszła do córki. Gdy uniosła grubą kotarę, dostrzegła dwa długie cienie na ścianie. Jeden z nich był cieniem jej dziecka. Dziewczynka klęczała przed krzyżem, odmawiając wieczorną modlitwę, obok stała niania. Matka odczekała, aż pacierz ucichnie, i wtedy weszła do środka. Mała Elżbieta przeżegnała się i usłyszawszy kroki, zaraz się odwróciła. Na widok matki poderwała się na nogi.

– Widzę, że odmówiłaś pacierze – rzekła Elżbieta. Dziecko wyczuło w jej głosie pochwałę.

– Tak, mamó, modliłam się o wasz szczęśliwy powrót do Bośni – powiedziała z uśmiechem.

– Bóg na pewno wysłucha twoich modlitw – odparła i kryjąc smutek, spytała: – Wiesz, że jutro odjeżdżam?

Dziewczynka wślizgnęła się pod kołdrę i zerknęła na Eudoksję, trzydziestolatkę o pełnych ramionach i zadartym nosie, o łagodnych oczach i życzliwym uśmiechu.

– Eudoksja zostanie ze mną? – spytała.

– Przez jakiś czas – potwierdziła matka i przysiadła na brzegu łóżka. Otuliła córkę kołdrą i nakazała jej: – Bądź posłuszna królowej. Słuchaj

niani i nauczycieli. Mów mało i nie odzywaj się niepytana, módl się i ufaj Bogu. Niedługo tu przyjadę i spytam królową o ciebie.

– O co spytacie królową, matko?

– O to, czy jest z ciebie zadowolona, czy wypełniasz jej polecenia z największą starannością, czy z uwagą słuchasz preceptorów i czy nie grzeszysz.

– Kiedy przyjdziecie, matko?

– Wiosną.

– To długo – stwierdziła ze smutkiem dziewczynka.

– Czas szybko zleci, zobaczysz. Drzewa zrzucą liście, spadnie śnieg, a potem znowu wszystko się zazieleni. A ty masz tak wiele do obejrzenia w Budzie. Pewnego dnia królowa zabierze cię na Wyspę Królików, którą zawsze chciałaś zobaczyć. – Matka próbowała rozproszyć jej smutki.

– Bardzo się cieszę – zawołała dziewczynka i opłotła ramionami matczyną szyję. Poczowała na policzku ciepły pocałunek matki i powiedziała: – Będę na was czekać, mamó, ale nie polubię pani Irmy.

Bośniaczka pogładziła głowę córki z troską i rzekła:

– Nie musisz jej lubić, ale musisz być jej posłuszna. Będziesz?

– Tak, matko – obiecała.

ROZDZIAŁ 9



Kardynał Pierre Roger de Beaufort czekał na królową w komnacie, w której zwykła przyjmować posłów. Nie spodziewała się wysłannika papieża, zanim król Ludwik postawi stopę w swoim królestwie. Był początek listopada 1350 roku. Fama o tym, że Węgrzy uciekli z Neapolu, rozeszła się po Europie. Do Budy przyniósł ją w początkach października Imre Bakócz, który nieraz przywoził wieści z południa. Spodziewano się, że za kilkanaście dni Ludwik dotrze do Budy. Dlaczego więc poseł Klemensa VI nie poczekał do tego czasu, lecz przybył już teraz? Władczyni podejrzewała, że uczynił to umyślnie, że wolał rozmówić się z nią, wiedząc, że wiele od niej zależy, choć poprzednia próba pogodzenia Ludwika z Joanną się nie powiodła i Elżbiecie nie udało się zatrzymać syna na Węgrzech.

– Spodziewam się, kardynale, że sprowadziły was do Budy ważne powody – przemówiła, gdy pochylił przed nią głowę, lecz uczynił to jak zwykle zbyt delikatnie. Zauważyła, że wszyscy duchowni z trudem zginają karki przed królewskim majestatem. Wskazała mu krzesło, lecz nie usiadł, dopóki królowa nie zajęła swojego miejsca. Wyglądał dostojnie w czarnej podróźnej sutannie, spojrzenie miał skupione i czujne.

– W istocie, wasza wysokość – przyznał. – Papież niczego bardziej nie pragnie jak pokoju między Węgrami a Neapolem. Sami rozumiecie, najjaśniejsza pani, że wyprawy na Neapol nie przynoszą królowi oczekiwanych korzyści.

– Tylko dlatego, że Joanna ma dokąd uciec i że chroni ją papież – rzekła oskarżycielsko.

– Jego Świątobliwość chroni każdego katolickiego króla – oświadczył.

– Nawet gdy ma krew na rękach?! – spytała podniesionym głosem.

– W oczach papieża i Boga królowa jest niewinna – przemówił spokojnie. – Król Ludwik sam zabiegał o proces, zatem winien uszanować każdy wyrok, nawet ten, który nie jest dlań pomyślny. – Zauważył, że twarz Elżbiety chmurnieje. Nie tędy winna mnie wieść droga do pokoju – pomyślał. Postanowił więc nieco spasować i rzekł łagodnym tonem: – Jak wiecie, raz ukoronowana głowa nie może zostać strącona z tronu, tylko śmierć kończy władzę. I aby nie pozostawić was bez nadziei, przywożę królowi ofertę, która powinna go zadowolić.

– Ofertę? – powtórzyła Elżbieta zaskoczona. Słowa kardynała wydały jej się kpina z jej majestatu. Wsparła plecy o krzesło, dłonie w czarnych rękawiczkach położyła na podłokietnikach i rzekła chłodno: – Zatem słucham was, kardynale, mówcie!

– Papież proponuje królowi Ludwikowi tron Neapolu... po śmierci Joanny.

W istocie zaskoczył Elżbietę, która rozważywszy coś w myślach, spytała:

– A jeśli Ludwik umrze przed Joanną?

– Tron przejdzie na potomków waszego syna.

Elżbieta milczała, jakby nie do końca przekonała ją ta propozycja – na śmierć Joanny może trzeba będzie czekać wiele lat. Kardynał miał jednak jeszcze coś w zanadru, więc dodał:

– Jako zadośćuczynienie za śmierć księcia Andrzeja królowa Neapolu wypłaci królowi węgierskiemu trzysta tysięcy złotych florenów. – Powiedziawszy to, nie spuszczał oczu z Elżbiety. Dostrzegł, że oferta zrobiła na niej wrażenie. W milczeniu rozważała propozycję. Nigdy się nie spodziewała, że przyjdzie jej się targować o cenę za śmierć syna.

– Joanna zgadza się na te warunki? – spytała wreszcie i przeniknęła go świdrującym wzrokiem.

– Bez aprobaty królowej nie byłoby mnie tutaj, wasza wysokość – oświadczył.

Elżbieta zamyśliła się. Oferta była kusząca i gdyby Ludwik ją przyjął, położyłaby kres wojnie. Korona Neapolu w przyszłości należałaby do Węgier. Jeśli teraz odrzucą tę propozycję, jej syn po raz trzeci wyprawi się za morze, zapewne z miernym skutkiem, byle pokazać Joannie, że będzie ją ścigać aż do jej śmierci, że jej życie uczyni wieczną tułaczką. A Joanna? Będąc tak blisko Awinionu, musiała być częstym gościem w pałacu papieskim, gdzie wraz ze swym opiekunem Klemensem VI rozważali kolejne kroki przeciwko Ludwikowi. Ale czy Joanna dobrowolnie przyjęła ofertę papieża? Czy też Ojciec Święty musiał pogrozić jej palcem? A może właśnie ją przekonał, że pokój na tych warunkach jest jedynym rozwiązaniem, dzięki któremu powróci do królestwa. A jeśli Joanna urodzi synów, choćby jednego? Czyż nie staną kiedyś przeciwko Ludwikowi?

– Jakże Węgry potrzebują pokoju – westchnęła Elżbieta i wyrwawszy się z zadumy, oświadczyła:

– Papież musi poczekać na powrót króla.

– Ojciec Święty jest cierpliwy – powiedział kardynał z uśmiechem. – I będzie modlił się o pokój i przebaczenie win.

– Uczynię wiele, by winy zostały przebaczone, lecz nigdy nie będą zapomniane – zaznaczyła i wstała z krzesła, dając tym znak, że audyencja skończona.

Od tego dnia królowa z niecierpliwością wypatrywała wieści od syna. Dziesięć dni później przybył Imre Bakócz z wiadomością, że król w południe stanie u bram budzińskiego zamku. Elżbieta, nie mogąc doczekać się syna, w towarzystwie kilku dworzan wyjechała Ludwikowi naprzeciw. Niespełna milę na południe od Budy na horyzoncie ujrzała sunące nad ziemią plamy, barwy jaskrawe mieszały się z szarościami i czernią. Pospieszyła klacz, z każdą chwilą plamy nabierały kształtów i wkrótce ujrzała powiewające pod niebem węgierskie sztandary. Na przedzie jechał król. Już mu powiedziano, że zmierza ku nim królowa matka w asyście kilkunastu zbrojnych, więc tam się skierował i wnet wzrokiem wyłuskał jej sylwetkę odzianą w ciemne szaty. Zostawił za sobą kilku zbrojnych i wysunął się naprzód. Elżbieta dostrzegła Ludwika

i pognęła ku niemu. Przy zagajniku młodych świerków zsiadła z konia i czekała na syna. Gdy się zbliżył, nie mogła opanować wzruszenia i ucałowawszy mu policzek, rzekła ochrypłym od łez głosem:

– Wróciłeś, synu...

Uniósł na nią posępne spojrzenie. Zwyciężył, a jednak powraca z niczym. Bez Joanny i bez Marii. W Neapolu znowu zostawił węgierską załogę w przekonaniu, że tam wróci.

Obydwoje dosiedli koni i skierowali się ku Budzie. Dworzanie Elżbiety tymczasem dołączyli do ludzi króla i wespół wkroczyli na zamkowe wzgórze. Król opowiadał matce o wyprawie, o Neapolu, lecz nie było entuzjazmu w jego głosie. A wieczorem, po wieczerzy, udał się do matki. Zabrał ze sobą okrytą jedwabną tkaniną księgę, na której skupiła się uwaga królowej. Elżbieta odprawiła dwórki.

– To dla was, matko, podarunek z Neapolu – powiedział i położył go na stole.

Słowa syna spowodowały, że oblicze Elżbiety zasnuł smutek.

– Mam stamtąd złe wspomnienia, nie chcę pamiątek, które będą mi przypominać tamto miejsce i tamtych ludzi – oświadczyła.

– Ten wzbudzi w was dobre uczucia. Przekonajcie się sami – zapewnił radośnie.

Elżbieta zbliżyła się i zsunęła jedwab. Ujrzawszy *Legendarium andegaweńskie*, dłonią zakryła usta, jakby chciała zdusić nagły szloch.

– Wiedziałem, że was to rozczuli – rzekł król na widok łez, które bezgłośnie toczyły się z matczynych oczu. Królowa sięgnęła po księgę, przekartkowała i zamknawszy, przycisnęła do serca.

– Pamiętam dzień, w którym podarowałam ją twemu bratu – powiedziała i szloch dobył się jej z piersi.

– Już dobrze, matko. – Próbował ją uspokoić. – Wspomnienia boją, trzeba zapomnieć. Nie myśleć, choć to niełatwe.

– Tak, wiem – przyznała i odłożyła księgę na skrzynię. – Liczy się przyszłość... Napijesz się wina?

– Odrobinę – zgodził się i usiadł do stołu.

Królowa napełniła kielich złocistym trunkiem i postawiwszy go przed synem, stanęła za królem i położyła mu dłonie na ramionach.

– Jak dobrze – zamruczał jak rozleniwiony kot. Lubił, gdy masowała mu zeszywniały kark.

– Nagromadziło się trochę spraw pod twoją nieobecność, ale dziś nie będę zaprzętać ci nimi głowy, bo widzę, że jesteś zmęczony. Wypocznij, pomówimy jutro.

– Mówcie, matko – zachęcił ją, ale oczy ciągle miał zamknięte, jakby pragnął, aby ta przyjemna chwila odprężenia trwała jak najdłużej.

– Żadne sprawy nie są pilne – zapewniła. – Dziękuję Bogu, że wróciłeś żyw i cały, i modłę się, abyś zapomniał o Neapolu...

– Zostawiłem tam naszą załogę – odparł.

– Zawsze możesz ją odwołać – stwierdziła, a z jej piersi dobył się głęboki i ciężki oddech. I zaraz nieoczekiwanie spytała: – Co byś powiedział, gdyby Joanna pozostała królową do swojej śmierci, a potem korona przypadłaby tobie?

Otworzył oczy i wbił w matkę bystre spojrzenie.

– Skąd ten pomysł, matko? Podejrzewam, że ktoś go wam podsunął, a wyście chwycili przynętę jak łakoma ryba.

– To nie pomysł, to oferta... papieża – oświadczyła. – Ale może to nie jest dobra pora, by ją rozważyć. Wrócimy do tego wkrótce.

– Nie odkładajmy tego, matko. – Pochwycił jej dłoń, gdy zsunęła ją z jego ramienia i chciała się oddalić. – Domyślam się, że zdążyliście się już rozmówić z wysłannikiem Klemensa.

– Nie poczyniłam kardynałowi żadnych obietnic – zastrzegła – ale propozycja wydaje się nęcąca i wreszcie położyłaby kres wojnie.

– Do rzeczy! Co wam zaproponował ten święty łajdak?

Elżbieta obruszyła się na to porównanie i skarciła syna:

– Nosi papieską tiarę, którą – czy chcesz, czy nie – powinieneś szanować.

– Tiarę szanuję, lecz tym, który ją nosi, pogardzam – odburknął.

– Dobrze, zostawmy to – skwitowała, widząc, że w Ludwiku uraza do papieża jest zbyt głęboka, by ją zwalczył, choć ona sama gniew do Ojca Świętego już pogrzebała. Przecież ona pragnie ufundować klasztor w Starej Budzie, a zgoda na fundację leży w gestii papieża. Królowa wyrwała się z rozmyślań i przeszła do sedna: – Klemens oferuje nie tylko tron po śmierci Joanny, lecz także trzysta tysięcy złotych florenów jako zadośćuczynienie za śmierć Andrzeja, płatne po zawarciu pokoju.

– Wyście na to przystali? – Ludwik podniósł z oburzenia głos.

– Nigdy nie czynię nic bez twojej aprobaty. Kardynał de Beaufort przywiózł tę propozycję dziesięć dni temu. Ale nie mógł czekać, aż dotrzesz do Budy, więc odjechał.

– Ciekawe! – rzucił. – Czy Joanna z własnej woli przystała na tę kwotę, czy papież musiał ją wydrzeć jej z gardła. Ale wiedzcie, matko, że przyjmowanie złota za życie Andrzeja urąga mojej godności i mojemu sumieniu. Nigdy się na to nie zgodzę!

Królowa przez chwilę milczała, wahała się, może poczuła wstyd, że ona jednak przyjęłaby złoto, nie jako zadośćuczynienie za śmierć syna, ale choćby na pokrycie kosztów dwóch wojennych wypraw do Neapolu, nie wspominając o jej kosztownej wyprawie sześć lat temu, by przekonać Klemensa do koronacji jej syna. Tamta łapówka poszła na marne i teraz Elżbieta miała prawo zażądać od papieża jej zwrotu. W duchu przyznała Ludwikowi rację, że Klemens to chciwy łotr i że Bóg się pomylił, pozwalając na wybór takiego człowieka na Tron Piotrowy.

– Tak, to niecna propozycja i byłoby hańbą, gdybyśmy ją przyjęli... – zgodziła się. – A co do tronu, rozważ to. Joanna może umrzeć szybciej, wszystko zależy od Boga albo od nas...

Intencje Elżbiety były zakamuflowane, ale Ludwik prześwietlił matkę na wylot.

– Chyba nie chcecie przyłożyć ręki do jej szybkiej śmierci? – spytał.

– Ja?? – odparła, udając zdziwienie tą insynuacją. – Nie chcę. Nasze ręce muszą pozostać czyste.

Mimo tych słów jej odpowiedź nie była oczywista. Ludwik popatrzył na matkę baczny wzrokiem, jakby po raz pierwszy zdała mu się inna, twardsza niż zwykle, przebiegła. Zaczęła chodzić po komnacie, to kryjąc się w mroku, to stając w świetle kandel, ledwo muśnięta ich blaskiem. Wreszcie zatrzymała się i zwiesiła głowę nagle zadumana. Widział teraz profil jej sylwetki, blask księżycy toczył walkę ze światłem pochodni żarzących się w trójnogach. Włosy upięte w kok obleczone złotą jedwabną siatką spoczywały na karku. Rozumiał jej strach. Mimo że urodziła wielu synów, Bóg pozostawił przy życiu zaledwie dwóch. Król podniósł się z za stołu i zbliżył do matki. Musnął palcami jej policzek i spytał:

– Czym się znowu trapiacie, matko?

– Obiecuj, że zastanowisz się nad ofertą Klemensa. Wiesz, jak bardzo wojna odwróciła twą uwagę od naszych spraw – przemówiła.

– Neapol również jest naszą sprawą – sprostował.

– Słusznie, lecz Ruś Halicka szarpana przez Litwinów potrzebuje naszego wsparcia. Jeśli pozwolimy Litwinom, by odebrali ją Kazimierzowi, w przyszłości po bezpotomnej śmierci mego brata dostaniesz okrojone królestwo. Przecież tego nie chcemy.

– Kazimierz do was pisał? – spytał.

Potaknęła i rzekła:

– Prosi o wsparcie.

– Macie rację, matko, byłoby wielką stratą wypuścić z rąk Ruś. Wspomogę stryja, jeśli o to prosi.

Oblicze Elżbiety pojaśniało i zaraz dodała z uśmiechem:

– Pomyślałam jeszcze, że może warto zacieśnić sojusz z Bośnią.

– Zacieśnić? Kotromanić jest wobec nas lojalny, poślubił waszą krewną, księżniczkę kujawską, czy to mało?

– Chodzi mi o silniejsze zacieśnienie więzi. Twoje małżeństwo z jego córką, Elżbietą...

– Widzę, że pod moją nieobecność nie próżnowaliście, matko – rzekł, a ona wyczuła w jego głosie kąśliwość. Może za bardzo wkracza w jego sprawy, ale to wszystko dla dobra korony.

– Wybacz, synu – odparła skruszona, a on poczuł się nieswojo. Pod jego nieobecność to matka była regentką Węgier. Zawsze i w pełni jej ufał, wierząc, że jej wybory i decyzje są właściwe.

– Dobrze, poślijcie po nią, choć wiecie, że sam zdecyduję – powiedział, na co królowa się rozpromieniła i oświadczyła:

– Elżbieta jest tutaj, w Budzie.

– Doprawdy wyprzedzacie moje myśli – rzekł zaskoczony jej pośpiechem. – Ale skoro już jest, to przyprowadźcie ją jutro przed południem. Albo nie, może być zawstydzona moją obecnością, a ja pragnąłbym ją ujrzeć taką, jaka jest. W południe każcie ją przyprowadzić do ogrodu, pokażecie mi ją z okna zamkowego.

– Dobrze, synu, jutro w południe. – Przystąpiła na to.

Nazajutrz, w Anioł Pański, Ludwik udał się do jednej z komnat od strony ogrodu, gdzie matka już na niego czekała. Zastał królową przy oknie, co rusz zerkającą na ogród. Pogoda dopisała, zza kłębow chmur wyglądało słońce.

– Chodź! – Elżbieta skinęła na syna. Zbliżył się sprężystym krokiem, po czym spojrzał w dół. Ujrzał kilka dwórek przy różanym krzewie, wśród nich Irmę i Matyldę, pozostałe trzy były to bardzo młode damy niedawno przyjęte na dwór matki, i to pośród nich Ludwik szukał przyszłej żony. Pomędzy nimi kręciło się kilka dziewczynek, co go nie zdziwiło, gdyż na dworze węgierskim nigdy nie brakowało wychowanic jego matki. Elżbieta brała je pod opiekuńcze skrzydła, gdy były dziećmi, aby zapewnić im dobrą przyszłość, lecz przede wszystkim kierowała się interesem królestwa – wydając je za mąż, zyskiwała sojuszników i niszczyła wrogów.

– Która to z nich? – spytał, na co Elżbieta już rozchyliła wargi, by mu odpowiedzieć, ale ją uprzedził: – Nie mówcie, matko, sam zgadnę. Serce powinno mi wskazać moją przyszłą żonę. Mam rację?

Elżbieta poczuła na sobie jego podekscytowany wzrok i odparła:

– Dobrze, próbuj.

Ludwik przyglądał się damom. Odziane wienne suknie, z odkrytymi włosami, w pelerynach, co kolejna to piękniejsza. Jego matka zawsze miała dobry gust, wiedziała, co piękne i co spodoba się jej synowi.

– Jestem pewien, że to niewiasta w niebieskiej pelerynie, włosy ma ciemne, odkryte – powiedział.

Elżbieta uśmiechnęła się i odparła:

– To jedna z moich dwórek.

– Doprawdy, urodę ma królewską – przyznał i znowu wlepił wzrok w kobiety, próbując tym razem trafić. Milczał przez chwilę i wahał się, jakby serce go zwodziło. Wtedy królowa, która podążyła za spojrzeniem syna, oświadczyła:

– To żadna z nich, Ludwiku. Elżbieta ma brązowe włosy, odziana jest w zieloną suknię.

Król, przyjrząwszy się dziewczynce bawiącej się z innymi dziewczynkami, zeszywniał.

– To jeszcze dziecko – rzekł. – Nie uprzedziliście, matko.

– Jakże to ma znaczenie? Za dwa lata będzie gotowa do małżeństwa.

– Dwa lata! – uniósł się. – Potrzebuję żony już teraz, a tymczasem podsuwacie mi dziecko. Pamiętajcie, jak czekałem, aż Małgorzata stanie się kobietą?

– Chyba nie żałujesz? – spytała.

– Nie o to chodzi! Dynastia potrzebuje dziedzica, dobrze to wiecie i czekacie na wnuka tak samo niecierpliwie jak ja na syna.

– W końcu się go doczekasz – odparła spokojnie.

– Mówicie tak, jakby to było pewne jak śmierć, a pamiętacie, że wasz brat nie doczekał się syna z Litwinką, a z Adelajdą jak dotąd nie ma nawet córki.

– Ale czyż nie skorzystamy na tym? Może Bóg właśnie tego chce, aby korony Andegawenów i Piastów się połączyły – rzekła.

– A jeśli wolą Boga będzie, że i ja nie doczekam się syna? W czyje ręce pójdą Węgry?

– Nigdy się z tym nie pogodzę – powiedziała stanowczo.

– A widzicie! – rzucił. – Zważajcie, aby Bóg nie spletał wam figła.

– To tylko dwa lata, Ludwiku – prosiła.

– Nawet nie chcę o tym słyszeć, ani roku, rozumiecie, matko? Mógłbym poczekać do wiosny, ale to na nic!

– Dobrze. – Już nie oponowała. – Odeślę ją, ale najpierw wezwij, proszę, Elżbietę przed swoje oblicze. Obiecałam jej, że gdy wrócisz z Neapolu, zostanie ci przedstawiona.

– Mam nadzieję, że niczego więcej jej nie obiecaliście, że nie wie, po co tak naprawdę tu przybyła.

– Nie wie – zapewniła.

Król uspokojony odezwał się po krótkiej chwili:

– Jutro przed zmierzchem przyprowadźcie ją. Skoro tak bardzo chce mnie zobaczyć, spełnię jej życzenie.

Królowa odeszła, a Ludwik jeszcze przez chwilę przypatrywał się wysokiej dziewczynce, która trzymała się blisko jednej z młodych dam dworu.

Nazajutrz monarcha przyjął Elżbietę z Bośni w otoczeniu dworzan i matki. Wprowadził ją do komnaty marszałek dworu, obok Bośniaczki szła Irma. Gdy dziewczynka pojawiła się w progu, król wbił w nią wzrok, a gdy się zbliżyła i uniosła na niego zielone jak wiosenna trawa oczy, pożałował, że nie jest starsza. Doprawdy nigdy nie widział tak pięknego dziecka, o tak delikatnie wykrojonych ustach, o dużych oczach w oprawie tak czarnych rzęs.

– Wasza wysokość – powiedziała i pochyliła głowę.

– Witaj na budzińskim dworze, Elżbieto – przemówił król, a gdy się wyprostowała, spytał: – Dobrze ci tu? Niczego ci nie brakuje?

– Niczego, wasza wysokość – odparła.

– Nie tęsknisz za domem, za rodziną? – dopytywał się.

– Matka i ojciec są zadowoleni, że tu jestem – rzekła i kątem oka zerknęła na królową. Elżbieta była wyraźnie zadowolona z jej odpowiedzi. Ludwik pochwycił to spojrzenie dziewczynki i już wiedział, że została wyćwiczona przez jego matkę. Zaraz odesłał Bośniaczkę, a kolejne dni upływały mu na załatwianiu bieżących spraw i na polowaniach. Wieczorami król wydawał uczyty i bale, jakby chciał rozruszać to miejsce, przywrócić mu dawną radość, swoim ludziom wynagrodzić trudy wojennych wypraw. Zbliżał się adwent, więc tym bardziej monarcha pozwalał na zabawy i fety, wiedząc, że wkrótce nastanie czas pokutny. Jednego z chłodnych listopadowych poranków zebrał swoją radę i zapytywał każdego z urzędników, co myśli o pokoju z Joanną. Sędzia królewski, palatyn i kanclerz oraz dowódcy armii węgierskiej, wojewoda siedmiogrodzki Stefan Lackfi, jego brat Lajos i Olaf Wolfart, którego bracia Ulryk i Gustaw zostali w Neapolu – wszyscy byli zgodni, że pokój jest lepszy niż wojna. Gdzie podzieli się moi wierni, odważni rycerze – rozmyślał król, przeskakując oczami po ich twarzach. Dawniej gotowi pójść za nim w ogień, teraz zaszyliby się w domach i zimę przepędzili pod pierzynami niewiast. Ludwik się zasepił. Co rusz na Węgry dochodziły wieści przynoszone przez Garaia i pana Bakócza o niepokojach w Neapolu, o gniewie ludu, o napaściach na Węgrów, o tym, że rozzuchwalony tłum nieraz podchodził pod zamek, wygrażając, że zrobi wszystko, aby wykurzyć najeźdźcę. Garai i Bakócz musieli poruszać się po Italii, pozbywszy się z szat węgierskich herbów w obawie o życie. Cisza pobrzmiwała z każdego kąta, król ujrzał wpatrujących się w niego w wyczekiwaniu, niepewności i nadziei rycerzy.

– Pokój – powiedział, a im kamień spadł z serca. Gdy wyszli, w sieni natknęli się na Elżbietę i pochylili przed nią głowy. Królowa minęła ich bez

słowa i weszła do komnaty.

– Będziecie mieć swój upragniony pokój z Neapolem – oświadczył Ludwik, ujrawszy matkę. – Poślijcie kogoś do Awinionu.

– Nie trzeba – odparła. – Kardynał de Beaufort zapewnił, że zjawi się około Bożego Narodzenia. Myślę, że jest już w drodze.

Gdy spojrział na matkę podejrzliwie, wyjaśniła:

– Miał zamiar przybyć bez względu na twoją decyzję, ale ucieszy się z pokoju. – Uśmiechnęła się. Naprawdę sojusz z Neapolem był jej na rękę, zdjął jej z głowy jeden kłopot.

Już Elżbieta zamierzała odejść, gdy Ludwik ją zatrzymał:

– Nie spieszcie się z odprawieniem małej Bośniaczki.

Królowa otworzyła szeroko oczy, nie do końca rozumiejąc intencję syna.

– To znaczy, że...

– Przemyślę ożenek z nią.

– Długo każesz nam czekać?

– Skoro ja miałbym czekać dwa lata, by ją poślubić, wy na odpowiedź poczekacie, aż wrócę z Rusi.

– Zgoda, synu. – Przystała na to pełna wiary, że serce Ludwika przez ten czas zmięknie, a może już zaczęło bić dla tego dziecka, i tylko on nie chce tego przyznać.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem na królewski dwór w Budzie zawitał kardynał de Beaufort. Śnieżyca i podróż nadwątlily jego siły, ale zmierzał do celu pełen wiary, że jedzie po dobrą nowinę. Gdy więc król i Elżbieta przyjęli go w przestronnym gabinecie, w którym z kominka przyjemnie buchał ogień, duchowny pochylił głowę przed ich majestatem i czekał na ich słowa. Ludwik, nim przeszli do sedna rzeczy, wypytał kurtuazyjnie o podróż, o ceny zboża w Prowansji, o zdrowie papieża i wreszcie rzekł:

– Przystanę na pokój z Joanną.

Kardynał odetchnął. Prawdę mówiąc, jechał z duszą na ramieniu, niepewny i uzbrojony jedynie w gorącą wiarę w powodzenie misji.

– Ale mam warunek – zaznaczył. – Nie przyjmę złota za życie zamordowanego Andrzeja.

– Stanie się wedle waszej woli, najjaśniejszy panie – odrzekł kardynał dopiero po chwili, tak był zdumiony odmową przyjęcia niemałej fortuny w złocie, po czym zastrzegł: – Lecz papież również ma jeden warunek.

Ludwik wlepił w niego oczy i czekał, co powie.

– Zanim odjadę z dobrą nowiną do Awinionu, chcę zobaczyć książąt Tarentu i Durazzo.

Ludwik poczuł się dotknięty insynuacją i rzekł wprost:

– Macie moje słowo, że żyją. Chyba słowo króla węgierskiego ma dla papieża wartość?

– Nie mnie oceniać, wasza wysokość, życzenie papieża.

Ludwik wlepił w kardynała przenikliwe oczy. Gdyby to Joanna wysłała swego posłańca, król węgierski nie dość, że nie pokazałby mu aresztantów, lecz uczyniłby na złość kuzynce i wtrącił go do lochu, gdzie wszelki słuch by po nim zaginął. Tymczasem odmówić papieżowi niełatwo, a z drugiej strony ta nieufność nieco go rozsierdziła, bo rzekł:

– Zatem zejdziecie zaraz do lochów i ujrzyście ich żywych, a co, jeśli jutro każę im poucinać głowy? A potem martwych odeślę do Neapolu?

– Co ujrzę, to zawiozę do Awinionu, choć co wam, wasza wysokość, po trupach. To nie oni władają Królestwem Neapolu, a ich wolność za koronę po śmierci Joanny to chyba transakcja godna rozważenia?

Król się uspokoił, wezwał Filipa Drugetha i polecił mu:

– Panie Drugeth, zaprowadźcie jego ekscelencję do lochów.

Filip spojrział niepewnie najpierw na władcę, potem na kardynała. Zdawał się zmieszany żądaniem króla. Bo jak to? Uwięzić osobę duchowną? Posła samego papieża?

– Kardynał de Beaufort ma życzenie ujrzeć książąt Durazzo i Tarentu – wyjaśnił władca, na co Filip poczuł ulgę.

– Wam, kardynale – powiedział Ludwik – nie wolno się odezwać. Jeśli wypowiecie choć jedno słowo do aresztantów, odeślę wam do Neapolu trumny, a w nich truchła moich wujów.

Widząc ściągnięte brwi króla i surowy wyraz jego twarzy, kardynał był pewien, że Ludwik nie rzuca słów na wiatr. Potaknął na znak, że rozumie, po czym podążył za dworzaninem. Zeszli do podziemi, chłód tutaj się wzmógł, wiatr hulał po korytarzach i wygrywał melodię grozy. Wilgoć przeniknęła Pierre'a na wskroś. Wnet z mroku usłyszeli kroki i ujrzeli targane podmuchem wiatru nikłe światło, które rosło w oczach, odsłaniając przed nimi postać potężnego więziennika, u którego pasa kołysał się wielki pęk kluczy. Strażnik zbliżył się i prześlizgnął wzrokiem po przybyłych. Rozpoznawszy Filipa Drugetha, pochylił przed nim głowę.

– Otwórz nam – rozkazał Filip.

Strażnik sięgnął po pęk kluczy, po czym jeden z nich włożył do zamka w kracie. Rozległo się skrzypienie i Drugeth oraz kardynał znaleźli się po drugiej stronie.

– Prowadź do książąt Tarentu – rozkazał Filip.

– Tędy, wasze dostojności – rzekł mężczyzna i powiódł ich szerokimi ciemnymi korytarzami, w których ogień nielicznych pochodni tylko gdzieniegdzie rozpraszał mrok. Kardynał de Beaufort szedł z duszą na ramieniu. Miejsce to zdało mu się odpychające, niegodne książąt, w których płynie krew francuskich królów. Strażnik zatrzymał się przed grubymi drzwiami i już miał je otwierać, gdy Drugeth zakazał.

– Nie otwieraj! Chcemy jedynie ujrzeć więźniów. Daj pochodnię.

Strażnik otworzył małe okienko w drzwiach i Filip zbliżył ogień. Światło ukazało obskurne wilgotne wnętrze. Ktoś leżał na prycy okryty pledem. Naraz się poruszył i wlepił w nich złaknione światła oczy. To był Filip z Tarentu, tymczasem jego brat, Robert, siedział oparty o ścianę ze zwieszoną na piersiach głową, z długimi włosami opadającymi na twarz. Drugeth rzekł:

– Książę Robert i książę Filip z Tarentu.

Posłyszawszy to, Robert podniósł głowę.

– Widzicie, kardynale, że obaj żyją – powiedział Drugeth.

– Tak – przyznał de Beaufort.

Nieoczekiwanie Robert dopadł do drzwi. Kardynał w ostatniej chwili zdołał się cofnąć i pobladły spojrzał księciu w oczy. Były w nich żal i bojaźń.

– Powiedzcie, co nas czeka, ekscelencjo – powiedział. – Żyjemy tu gorzej niż szczury! One mają wolność!

Naraz młodszy, Filip, podniósł się z siennika i spytał:

– Co z naszymi stryjecznymi braćmi Durazzami, Ludwikiem i Robertem? Żyją?

Kardynał już otwierał usta, by dać mu słowa otuchy, lecz natknąwszy się na napominający wzrok Drugetha, milczał.

– Chodźmy – ponaglił go Filip. Przez chwilę niesły się złorzeczenia książąt i goniły przybyłych, którzy nie dali im żadnej nadziei.

Tymczasem Drugeth i kardynał podążyli do celi książąt Durazzo. Gdy wpadło tam światło, Ludwik i Robert natychmiast się poruszyli.

– Książęta Durazzo, Ludwik i Robert – rzekł strażnik.

Kardynał ujrzał ich obu przez małe okienko w drzwiach, lecz żaden z nich nie zdążył się zbliżyć, gdyż okienko się zamknęło.

ROZDZIAŁ 10



Grudniowe mgły 1350 roku oblepiły Neapol, położyły się na spokojnych wodach. Ciężkie od wilgoci osiadły nisko. Morze zdawało się jeszcze spać i tylko delikatnie kołysało galerą. Lekki wiatr od północy rozpraszał mleczną biel i oczom Marii Durazzo ukazała się posępna bryła Castel dell'Ovo. Księżna patrzyła na fortecę, jakby chciała przeniknąć ją wzrokiem i ujrzeć tego, który ją skrzywdził. Na wspomnienie tamtych zdarzeń serce podrywało się do mocnego bicia i podchodziło do gardła. Tego dżdżystego zimowego poranka na Castel Nuovo dostrzeżono węgierskie sztandary, co oznaczało, że choć król Ludwik opuścił Neapol, to nie wycofał z królewskiej siedziby swojej załogi. Joannę to zmartwiło, lecz pan de Fos, którego zabrała ze sobą z Prowansji, odwrócił jej uwagę od przykrych spraw. Maria przez moment patrzyła na nich. Byli zajęci rozmową i swoim towarzystwem. Joanna mogła pozwolić sobie na odrobinę swobody, bo nie było przy niej księcia Ludwika. Ostatniego wieczoru małżonek królowej zanadto raczył się winem i jeszcze spał w swojej kajucie. Gdy Joanna zerknęła na siostrę, Maria uciekła wzrokiem, jakby nie chciała im przeszkadzać. Jednak królowa podeszła do księżnej, a podążwszy za jej spojrzeniem skierowanym ku Castel dell'Ovo, rzekła:

– Nie musisz tam wracać, Mario. Znajdzie się dla was miejsce w pałacu przy via Tribunali.

Księżna Durazzo zmarszczyła czoło, jakby Joanna nagle zmąciła jej jakieś zamysły dawno tkane niczym przedza, nitka po nitce, misternie, dzień po dniu, w świetle słońca i w blasku księżyca, przy czystym i przy chmurnym niebie, dniem i nocą.

– Muszę – odparła Maria. – Chcę, Joanno...

– Dobrze. – Królowa nie oponowała. – Ale gdy Węgrzy wyniosą się z Castel Nuovo, zamieszkas z nami.

– Nie, Joanno, wrócimy do pałacu Durazzów, tam jest dom moich dzieci. Obiecay mi jednak, że o każdej porze dnia i nocy pošlesz po mnie, kiedy zaczną się bóle.

– Pośle – obiecała Joanna i położyła dłonie na wielkim sterczącym brzuchu. Do porodu zostało niewiele dni, spodziewano się, że królowa urodzi na galerze, teraz zaś Joanna dodała z dumą: – Urodzi się w Neapolu.

Maria uśmiechnęła się, lecz zaraz jej uśmiech przygasł.

– Joanno! – poniósł się głos. Ujrzały księcia Ludwika. Przyszedł z rozczochranymi włosami i w rozchełstanej koszuli, spod której widać było owłosiony tors. Potoczył mętnym wzrokiem po żonie, potem po szwagierce i rzekł do królowej:

– Dlaczego nie kazałaś mnie budzić, Joanno? Neapol jest na wyciągnięcie ręki.

– Właśnie miałam to zrobić – odparła ze słodkim uśmiechem w nadziei, że ułagodzi nim złość księcia, który już dostrzegł pana de Fos. Pomysł zabrania do Neapolu tego Prowansalczyka nie spodobał się małżonkowi królowej i starał się wybić go żonie z głowy. Przekonywał, że w Castel Nuovo nie ma miejsca dla obcych i jeśli go zabierze, trzeba będzie dać mu jakiś urząd i pensję.

– Ależ mężu, pan de Fos jest moim dworzaniem, lecz jeśli uważasz, że to za mało, pomyślę o jakimś zaszczytnym urzędzie dla niego.

Królowa skierowała się pod pokład. Księżę odprowadził ją chmurnym wzrokiem, aż zniknęła mu z pola widzenia. Musiał liczyć się z jej zdaniem. Był przecież tylko jej mężem, ale wiedział, że wszystko się zmieni, gdy zostanie królem. Wtedy nie pozwoli małżonce wodzić się za nos.

Przed zmierzchem galera dobiła do brzegu, gdzie czekali na Joannę poddani. Serce królowej rosło, gdy słyszała wiwaty na swoją cześć. Tymczasem Maria pod eskortą kilku zbrojnych opuściła pokład wraz

z córkami i Rosaną. Niewielki odcinek drogi, jaki dzielił ich od zamku, pokonali szybko, lecz nagły rześisty deszcz przemoczył ich do suchej nitki. W murach Castel dell'Ovo odczucie mroku i chłodu się spotęgowało. Księżna poleciła dwórcę, by przebrała dzieci, a sama skierowała się ku schodom, lecz zdążyła ująć ledwie kilkanaście stopni, gdy usłyszała czyjeś zbliżające się z góry kroki. Uniosła wzrok i ujrzała Niccoliniego. Dworzanin pochylił przed nią głowę, a ona nie mogła znieść jego spojrzenia. Opuściła oczy, czując, jak jej policzki płoną ze wstydu. On wie – przemknęło jej przez głowę. – Wszyscy wiedzą o mojej hańbie. Maria minęła dworzanina bez słowa.

– Wróciłyście? – Usłyszała z dołu radosny głos małego Armanda.

– Tak. Cieszysz się, Armandzie? – spytała księżna Durazzo.

Potaknął ochoczo, a jego okrągłą buzię ozdobił szeroki uśmiech.

Rozlokowano się w komnatach. Maria wydała dyspozycje, a potem wezwała Niccoliniego.

Wszedł niepewnie, bo księżna zdała mu się inna, nie ta sama co dawniej, posmutniała, choć ciągle piękna jak anioł.

– Wiecie, signor Niccolini, co się stało tutaj, w zamku, zanim opuściłam Neapol? – spytała, aby rozwiać wszelkie wątpliwości.

– Wiem, księżno – przyznał, obserwując jej sylwetkę, którą światło świec ledwo lizało. Księżna umyślnie stanęła przy oknie, z dala od Niccoliniego i odwrócona do niego plecami. Przygryzła wargi i dopiero po chwili, gdy już zdołała zapanować nad emocjami, odwróciła się do niego twarzą i powiedziała:

– Zatem wiesz i to, że rozkazałam signorowi Giacomo Sanseverinowi odprawić do Castel dell'Ovo Roberta del Balzo.

– Siedzi w lochach, tak jak rozkazaliście, pani – zapewnił.

Zapadła cisza, ale Niccoliniego nurtowało jedno, więc odważył się spytać:

– Dlaczego nie pozwoliliście go zabić, księżno? Dlaczego okazaliście mu litość?

Maria skierowała na niego oczy, coś jej ciążyło na duszy, wreszcie orzekła:

– Na wszystko przyjdzie pora.

Maria nie ciągnęła tego tematu, zresztą robiło się późno i chciała jeszcze zajrzeć do dzieci. Nakarmione do syta i przebrane w koszule spały pod okiem Rosany kamiennym snem udręczone długą morską podróżą. Weszła cicho i ucałowała ich czoła, po czym wycofała się bezszelestnie i wróciła do alkierza. Zastawszy tu pokojową, odprawiła ją. Gdy drzwi za dwórką się zamknęły, księżna podeszła do okna. Słyszała bicie swego serca. Z każdą chwilą mocniejsze i niespokojne. Powróciły wspomnienia, rozniecając gniew, i tylko pojawienie się Rosany na moment je przyćmiło.

– Księżniczki śpią. A wy, pani? – Zdziwiła się, że księżna jeszcze w dziennej sukni. – Nie wezwaliście pokojowej, by wam pomogła się przebrać?

– Odesłałam ją, jeszcze nie będę się kładła spać.

– Zatem wezwijcie mnie, ja wam usługę.

– Sama sobie poradzę, a ty, Rosano, połóż się do łóżka. Jesteś utrudzona drogą.

– Jak każdy – odparła dwórka.

– Śpij dobrze – rzekła Maria, uśmiechając się, jakby tym uśmiechem chciała uspokoić damę dworu.

Gdy Rosana się oddaliła, księżna odczekała jeszcze jakiś czas, a potem wyjęła ze skrzyni pelerynę w ciemnym kolorze i narzuciła ją na ramiona, głowę skryła pod szerokim kapturem, wzięła ze stołu latarnię i wyszła z komnaty. Światło pochodni wiodło ją korytarzami aż do dziedzińca rozjaśnionego blaskiem księżyca.

Maria zatrzymała się na moment i ciężko westchnęła. Światło latarni przyciągnęło czyjeś oczy, bystre i dociekliwe. Cóż on tu robił o tak późnej porze, w środku nocy? Może sprawdzał, czy strażnicy nie usnęli, czy zamek jest bezpieczny, a brama dobrze zawarta. A może nie mógł spać, bo myśli zaprzętały głowę i jakieś walczące ze sobą uczucia. I teraz ujrawszy

Marię, Niccolini poszedł za nią. Księżna pewnym krokiem zmierzała do celu, lecz nagły delikatny chrupot kamyka przykuł jej uwagę. Przystanąła i się odwróciła, patrzyła z lękiem w ciemności, próbując przeniknąć jej wzrokiem, a gdy dostrzegła zielone ślepia i umykającego w mrok kota, uspokoiła się. Zeszła do podziemi. Chłód zatęchłych murów wypełnił jej nozdrza. W dali ujrzała płonąca pochodnię. Ruszyła w tamtą stronę. Światło rosło w jej oczach, po ścianie skoczyły długie cienie, aż zadrżała z nagłej bojaźni. Naraz ujrzała dwóch strażników siedzących przy chwiejącej się ławie i grających w kości. Jeden z nich zauważył Marię i wstał, drugi obejrzał się i wlepił oczy w postać odzianą w ciemną szatę. Dopiero po chwili rozpoznawszy księżnę Durazzo, podniósł się, a wtedy ukazała się w pełni jego wielka sylwetka. Obaj pochyłili głowy.

– Otwórzcie kratę – rzekła do strażników.

Ten, który miał przy pasie pęk kluczy, ruszył przed siebie, księżna poszła za nim. Wsunął klucz do zamka i otworzył kratę. Weszli w szeroki korytarz, w którym znajdowały się cele.

– Prowadź do signora del Balzo.

Strażnik uczynił, co kazała. Maria widziała przed sobą jego kołyszące się plecy, muskularne ramiona poruszały się rytmicznie, a umięśnione nogi dźwigały krótki szeroki korpus. Strażnik zatrzymał się przed niszą i rzekł:

– To tutaj, wasza dostojność.

Maria zeszła po stopniach pierwsza. Niewielki przedsiónek prowadził do celi, od której oddzielała ją solidna krata. Strażnik miał tylko nadzieję, że nie rozkaże mu jej otworzyć i sama nie przejdzie na drugą stronę.

– Oddalcie się – rzekła do strażnika i spojrzała w ciemne kąty celi.

Zawahał się, ale odszedł. Tymczasem księżna wyłuskała z mroku siedzącą na słomie zgarbioną postać zakutą w łańcuchy przytwierdzone do muru. Robert del Balzo podniósł głowę i patrzył na Marię, jakby ujrzał ducha. Nie spodziewał się jej powrotu tak szybko i teraz z niepokojem jej się przypatrywał. Nagle w jego sercu zapulsował gniew, jakby to ona była wszystkiemu winna. Chęć zbliżenia się do tronu neapolitańskiego przyćmiła rozum Rinaldowi del Balzo, a Robert uległ namowom ojca

i poważyl się sięgnąć po Marię w złudnej nadziei, że dzięki niej także oni, lordowie z Prowansji, znajdą się bliżej tronu.

– Wróciliście – odezwał się wreszcie, pewny, że wraz z Marią musiała powrócić także królowa Neapolu, a to oznaczało, że Ludwika Węgierskiego już tu nie ma.

Ponieważ księżna Durazzo milczała, Robert podniósł się i z ciężkimi obręczami na rękach i stopach poczłapał w jej stronę. Zatrzymał się i wbił w nią wzrok. Zawsze ją podziwiał i skrycie wielbił. Zawsze zazdrościł tym, którzy mają szczęście mieć takie kobiety jak ona, królewskiej krwi i wyjątkowej urody. Wodził za Marią wzrokiem podczas uczt wydawanych w Castel Nuovo, podczas konnych przejażdżek, lecz nigdy nie odważył się pomyśleć, że mógłby ją mieć. Potem, gdy z rozkazu królowej przeszedł na służbę do księżnej Durazzo, owo pragnienie się w nim spotęgowało, lecz tłumił je lojalnością, oddaniem, rozsądkiem. Ale kiedy ojciec mu powiedział: Maria może być twoja, wybuchło ze zdwojoną siłą i pomyślał, że wraz z Marią – kto wie? – może także korona Neapolu. Wtedy poczuł, jak tętno mu przyspiesza na myśl o wspaniałej przyszłości. Tak, dlaczego nie miałby sięgnąć po Marię Andegaweńską, wdowę po księciu Durazzo? Naraz latarnia w jej ręku się zachybotła i signor del Balzo dostrzegł, że dłoń księżnej drży, a światło ukazało bladość jej lica. Patrzyła na niego odważnie, prosto w oczy, zhańbiona, a jednak dumna, jakby nic, żadne nikiemności nie mogły umniejszyć jej czci. A jednak w jej źrenicach czaił się lęk.

– Podejdźcie bliżej, Mario... – powiedział, a gdy księżna trwała nieporuszona, rzucił z szyderczym uśmiechem: – Chyba się mnie nie boicie?

Księżna przygryzła wargi, a wtedy dodał:

– Macie klucze do celi? Otwórzcie mi. Cokolwiek się zdarzyło, jestem waszym mężem. Wyście mi przed Bogiem przysięgli, a ja także wam przysięgi dochowam. Zapomnijcie, co było złe, Mario. Nie chciałem waszej krzywdy...

– Zapomnieć? – odparła lodowato.

– Co się stało, to się nie odstanie, Mario – ciągnął. – Niczego już nie odmienicie. Pogódźcie się z losem.

– Nigdy – odrzekła. Najgorsze uczucia tłamszone przez rozsądek i dumę już nie mieściły się w jej sercu, musiały znaleźć ujście, wylać się jak wody rwącej rzeki występującej z koryta, by mogła wreszcie poczuć ulgę.

– Nienawidzę was. Każdego dnia modłę się, by Bóg wam odpłacił, byście cierpieli męki na tym i na tamtym świecie, byście nigdy nie zaznali spokojnego snu, byście lękali się własnego cienia.

Nagle Robert skoczył do Marii, wyciągnął ramiona, by wielkimi dłońmi opasać jej szyję, zacisnąć na niej twarde jak stal palce. Księżnę przeszył lęk, serce podeszło jej do gardła. Lecz dłonie Roberta nie sięgnęły żony, zatrzymały je grube łańcuchy wkute w ścianę. Maria dostrzegła na niej czyjś cień i się obejrzała. Szczęk łańcuchów sprowadził tu Niccoliniego. Sługa rzucił się, by bronić swej pani, i czuł teraz ulgę, że jest cała, oraz złość na nią za bezmyślność. Robert spojrzął na Niccoliniego i rzekł do żony:

– Każdego dnia, służąc wam, zebrałem o jedno dobre słowo, o jedno wasze spojrzenie! Lecz byłem dla was jedynie sługą z rodu del Balzów! Nigdy wam przez głowę nie przeszło, że mogę żywić do was gorące uczucia.

Oczy księżnej się zaszklily, wargi się rozchyliły, jakby chciała coś rzec. Tak, odgrzebała w pamięci te wszystkie dni, kiedy on był blisko niej, zwykle milczący, lojalny, usłużny, wypełniał jej polecenia z gorliwością, niewiele się odzywał, ale ona zawsze czuła na sobie jego wzrok, przenikał ją na wskroś, czasem niepokoił, budził w niej jakiś niezrozumiały lęk. Bała się tego olbrzyma, który gołymi rękami mógł skrócić kark krzepkiemu bykowi. Maria skierowała się do korytarza, gdy usłyszała jeszcze głos Roberta:

– Kochałem was, Mario!

Księżna odwróciła się i posławszy mu pełne pogardy spojrzenie, rzuciła:

– Bądź przeklęty, Robercie! – I opuściła lochy. Niccolini szedł za nią, naraz usłyszała jego głos:

– Księżno!

Przystanąła i zwróciła twarz ku niemu. Wtedy rzekł:

– Nie chodźcie tam więcej i nigdy sami.

Nic nie powiedziała i rozdygotana wróciła do zamku. W korytarzu natknęła się na Rosanę, choć kazała jej iść spać.

– Już wiecie, pani – powiedziała dwórka, widząc, że księżna ma na sobie pelerynę.

Maria ściągnęła brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Królowa rodzi, posłaniec czeka na dziedzińcu.

W tej chwili wszystkie ponure myśli księżnej nagle uleciały i skupiła uwagę na siostrze. Teraz najważniejsza jest Joanna. Maria, która rodziła już czterokrotnie, da jej wsparcie, otoczy opieką, będzie przy niej do momentu, aż usłyszy płacz noworodka.

Zimowe powietrze napełniło płuca Marii rześkim chłodem, ale gdy przestąpiła próg pałacu książąt Tarentu, uderzył ją zaduch, jakby mury teraz, zimową porą, oddawały z nawiązką gorąco, którym nasiąkły w upalne letnie miesiące. Pokonawszy schody i kilka korytarzy, księżna zniknęła w sieni, od której rodzącą oddzielała gruba portiera. Zaniepokoiła ją panująca tu cisza. Pokój zdał się opustoszały, lecz gdy weszła do środka, ujrzała wielkie łoże, w nim Joannę i dziecko łapczywie ssące jej pierś.

– Franciszka – rzekła królowa, unosząc oczy na siostrę.

Maria się uśmiechnęła i podeszła do łóżka. Dopiero teraz spostrzegła służki uwijające się w mrocznych kątach i czekające na polecenia królowej oraz Fulwię, która wszystkim dyrygowała.

– Jest piękna – powiedziała z zachwytem księżna, ale ta pochwała wcale nie rozjaśniła oblicza królowej, która rzekła:

– Ludwik chciał syna.

– Bóg dał mu córkę – odparła Maria, jakby chciała przekonać Joannę, że ani ona, ani jej mąż nie mają wpływu na płeć dziecka.

Joanna utrudzona porodem szybko zasnęła, a wtedy księżna Durazzo wzięła z jej ramion dziecko i przytuliła do siebie. Miało włosy złociste jak

miód, tak jak jego matka. Ów spokój naruszył książę Ludwik, który o poranku wtargnął do alkierza żony, budząc królową i przyciągając uwagę szwagierki.

– Dlaczego nie posłałaś po mnie, Joanno? – rzucił z pretensją. – Przecież wiesz, jak bardzo czekałem na tę chwilę.

– Wiem, Ludwiku, lecz wątpię, żebyś był zadowolony.

– Bo powiłaś córkę? – spytał, domyślając się, co oznacza odpowiedź żony.

– Franciszkę – powiedziała.

– Gdzież ona jest? – dopytywał się.

– W ramionach Marii.

Ludwik odwrócił się, księżna już szła do niego z maleństwem, które smacznie spało, lecz gdy Ludwik zabierał je z ramion ciotki, otworzyło oczy i spojrzało na ojca.

– Ma moje oczy – zawołał Ludwik z entuzjazmem. – Jest taka krucha.

– Może ją pokochasz, tak jak kochałeś Katarzynę – rzekła Joanna, powróciwszy myślami do nieżyjącej córki. Miała nadzieję, że małżonek nie okaże obojętności, pragnęła choć odrobinę przychylności dla dziecka, które nie urodziło się chłopcem.

– Już ją Kocham – zapewnił i cmoknął dziecko w czoło. Nie był to jednak czuły pocałunek. Złe myśli księcia przeniknęły maleństwo, które wzdrygnęło się i rozplakało w ramionach ojca. Dla korony warto czekać – przemknęło przez głowę księcia. – Jeśli ona będzie mi rodzić córki – zerknął na Joannę – porody ją wykończą i prędko umrze...

– Ludwiku! – Głos królowej przywołał księcia do rzeczywistości. Spojrzał na nią, a gdy wyciągnęła ku niemu dłoń, zbliżył się i ją pochwycił. Dostrzegł wymalowane na twarzy żony wzruszenie.

– Następnym razem będzie syn – zapewniła i poczuła na policzku męzowski pocałunek.

Kilka dni później, z początkiem stycznia, nadszedł z Awinionu list od papieża i zmącił zgodę między siostrami. Klemens VI żądał uwolnienia

Roberta del Balzo i oddania go pod jego sąd. Maria, usłyszawszy o tym od Joanny, uznała to za kpinę. Spojrzała wyczekująco na siostrę, a gdy królowa milczała, spytała:

– Chyba nie staniesz po stronie papieża, Joanno?

– Ja poddałam się jego osądowi – rzekła nieoczekiwanie królowa.

– Zatem mam pozwolić, by Klemens obnosił moją hańbę publicznie???

– Ja, Mario, przeszłam tę próbę w Awinionie. Słyszałam za plecami, jak mi złorzeczono, nazywano ladacznicą, łajdaczką i morderczynią – odparła Joanna.

– Nie jestem tak silna jak ty, Joanno – wyrzuciła jej Maria i skierowała się do drzwi, ale głos królowej ją dogonił:

– Papież nam sprzyja! Będę musiała uwolnić del Balza, by nie stracić przychylności Ojca Świętego.

Maria opuściła pałac książąt Tarentu rozgoryczona i przybita. Powróciwszy do Castel dell'Ovo, wbiegła spieszenie na taras i tam, nie mogąc dłużej dusić goryczy, wybuchła płaczem, po czym spojrzała w brudne od chmurnego nieba morze. Bezkres wód ją przyciągał, głębiny toni były nieprzeniknione i czarne jak jej myśli. Minęło tyle miesięcy od tamtego upiornego dnia, dla niej był to czas udręki, niespokojnych nocy. Miewała koszmary, sen przychodził i błędził jak zagubiony wędrowiec, tylko na moment sklejały się ciężkie od zmęczenia oczy.

Niccolini stał opodal, skryty za kolumną, i przypatrywał się księżnej. Przyszedł tu za nią, bo mu powiedziano, że wróciła, i gdy teraz zbliżyła się do niewysokiego muru, który dzielił ją od morskiej otchłani, jej zachowanie go zaniepokoiło. Wyszedł z ukrycia. Maria popatrzyła na niego chwilę i zaraz zwróciła twarz w stronę morza i w nim zatopiła spojrzenie. Milczała, jakby nie pragnęła niczyjego towarzystwa. Zdusiła szloch. Sługa zbliżył się, ryzykując, że go odprawi. A gdy tego nie zrobiła, rzekł:

– Pozbądźcie się tego kamienia, który zalega wam na sercu, księżno, i nie pozwala żyć.

Skierowała na niego oczy. Patrzył na nią przenikliwie, nie dał się zwieść jej uśmiechowi, który jak na zawołanie spłynął jej na twarz.

– Pozbyć się... Jak? – powiedziała, marszcząc czoło. – Tylko śmierć mnie uwolni od kajdanów, którymi mnie skrupowano. Moja śmierć albo jego...

– Jego śmierć – rzekł twardo, jakby za nią postanowił.

Maria nic nie powiedziała, ale dawno temu zasiana myśl o tym, by przerwać udrękę, teraz dojrzała. Nadeszła pora czynu. Nie odda Roberta papieżowi, sprawiedliwość ona wymierzy. Dworzanin pochylił głowę i odwrócił się, by odejść, gdy usłyszał jej głos:

– Dziś w nocy...

Zatrzymał się i wlepił w nią oczy, szukał w jej źrenicach stanowczości i ją odnalazł. A jednak ten pośpiech go zastanowił, wtedy wyjaśniła:

– Dziś albo nigdy. Weź tylu zbrojnych, ilu potrzeba, i powróż – rozkazała, po czym się oddaliła.

Niccolini patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu. A potem, zaraz po północy, przy czarnym niebie, którego mroku nie rozjaśniał ani blask księżyca, ani gwiazdy, księżna opuściła zamek. Latarnia w jej dłoni kołysała się przy każdym kroku, światło migotało płochliwie, przykuwając uwagę Niccoliniego. Czekał w pobliżu lochów i ruszył w stronę księżnej. Maria wyłuskała z ciemności jego odzianą w ciemne szaty sylwetkę. A gdy się zbliżył, rzekła cicho:

– Chcę, by cierpiał i by skonał na moich oczach.

Sługa potaknął. Zeszli do podziemi, gdzie czekało trzech zbrojnych z grubym powrozem. Strażnicy rozwarli kratę lochów i rzuciwszy wzrokiem na Niccoliniego, którego dobrze znali, i na Marię, której głowę zakrywał czarny kaptur peleryny, wpuścili ich do środka.

Księżna szła za dworzaninem. Niedaleko celi Roberta del Balzo zatrzymała się, zbrojni poszli dalej. Jedna pochodnia wbita w mur dawała niewiele światła. Skrzypnęła krata u celi i zbrojni wpuszczeni przez strażnika weszli do środka. Robert, zakopany w wilgotnej słomie, ocknął się i dostrzegł kotłujące się w ciemności sylwetki. Przeczuwał, że gra idzie

o życie, serce podeszło mu do gardła, strach zagęścił krew. Nie zdążył się podnieść, gdy skoczyli ku niemu, wykręcili mu ramiona i zarzucili powróż na szyję. Nie mógł się bronić. Zaczął charczeć, oczy wylazły mu prawie na wierzch i zanim wyzionął ducha, w mdłym świetle pochodni ujrzał Marię Durazzo. Spojrzenie księżnej było twarde i zimne. Słyszała, jak rzeźił, i widziała, jak po chwili osunął się na posadzkę. Zapadła cisza, w której było słycać jedynie głębokie oddechy zbrojnych i westchnienie księżnej. Niccolini pochylił się nad trupem, a upewniwszy się, że nie żyje, rzekł do Marii:

– Już po wszystkim... Zdechł.

Dopiero teraz księżna pchnęła kratę i weszła do środka. Pochyliła się nad martwym Robertem i zbliżyła latarnię. Światło rozproszyło mrok na obliczu trupa. Maria miała wrażenie, że z jego nozdrzy unosi się ciepły oddech, że życie w nim się jeszcze tli, że zaraz wyciągnie po nią ramiona i zakleszczy w sobie, że zabierze ze sobą w daleką wędrówkę do piekieł. Nigdy nie pozwoli jej odejść. Rozsunęła pelerynę, sięgnęła po sztylet i bez wahania wbiła go w serce Roberta. Ostrze ugrzęzło głęboko, krew wypłynęła spod stali, a gdy księżna wydobyła puginał z ciała, buchnęła jej w twarz. Maria poczuła w ustach mdłą słodycz. Bliska wymiotów otarła wargi i rzekła:

– Byłeś łotrem i zdechłeś jak łotr. – Po czym zwróciła się do Niccoliniego i zbrojnych: – Przywiążcie mu kamień do szyi i wrzucicie do morza.

Wywleczono ciało z lochów, do sznura przywiązano ciężki kamień i wrzucono trupa w morskie głębiny pośród czarnej styczniowej nocy. Dopiero teraz, gdy Robert zniknął pod wodą, Maria była wolna. Nie czuła grzechu, lecz radość, i stan ten trwał przez kilka kolejnych dni, gdy Joanna wezwała ją do pałacu książąt Tarentu. Księżna stawiała się w południe, zastała siostrę tulącą w ramionach Franciszkę. Maria podeszła do nich i ucałowała rączkę dziecka.

– Zabierz Franciszkę – poleciła Fulvii królowa i gdy niania zniknęła im z oczu wraz z dzieckiem, rzekła do siostry:

– Dziś wyłowiono z morza trupa Roberta del Balzo.

Maria zeszywniała i w pośpiechu zbierała myśli. Widziała na własne oczy, jak wrzucano ciało do wody, ciężki kamień u szyi Roberta dawał pewność, że trup nigdy nie wypłynie, zgnije na dnie morza, nikt więcej go nie zobaczy. Jak to możliwe, że wypłynął?

– Powiedz, Mario, że nie przyłożyłaś ręki do jego śmierci – rzekła królowa, ale milczenie księżnej Durazzo nie pozostawiało wątpliwości, choć Joanna bardzo pragnęła, by siostra potwierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Jednak! Nie miałaś prawa! – wyrzuciła jej.

– Wybacz, Joanno, nie pomyślałam, by cię spytać, czy wolno mi samej wymierzyć sprawiedliwość, rozkazać zabić męża, który mnie zhańbił i zmusił do małżeństwa. Mogę jedynie zdać się na twoją wyrozumiałość, ty także miałaś męża, którego nienawidziłaś... – Maria wpatrywała się w królową. Joanna milczała, nie mogła znieść jej oskarżycielskiego spojrzenia. – Wiem, że będziesz musiała tłumaczyć się przed papieżem – powiedziała Maria, tym razem łagodnie, bez pretensji. – Wierzę, że jego gniew będzie krótkotrwały.

– Tak, niczego już nie odmienimy – skwitowała królowa i położywszy dłoń na ramieniu siostry, dodała: – Jesteś wolna, pomyśl o mężu, którego sama sobie wybierzesz. Jak widzisz, wdowieństwo czyni z kobiety łatwy łup. Wiem, co mówię, i chcę ci oszczędzić tego losu. Miejmy nadzieję, że wkrótce powrócą z niewoli nasi wujowie, pomyśl o jednym z nich...

Jeszcze tego dnia Neapol obiegała wiadomość o śmierci Bertranda del Balzo, wielkiego justycjariusza Królestwa Neapolu. Nie przygniotła królowej ta nowina, choć Bertrand był wielce zasłużony dla neapolitańskiej korony. Pokrewieństwo z Rinaldem i jego synami rzucało cień także na niego, choć jak zapewniał Joannę, nie uczynił nic przeciwko niej i księżnej Marii. Gdy doszły go słuchy o wyłowionym z morza trupie Roberta, poczuł, że jego koniec jest bliski. Ostatnie wydarzenia odebrały mu siły i jakby gwałtownie przybyło mu lat. Z trudem przełknął śmierć księcia Andrzeja – ta zbrodnia położyła się cieniem na jego życiu, a teraz zdrada uknuta przez Rinalda i jego synów była jak cios prosto w serce. Od wielu

dni nie wstawał z łóżka i pewnej zimowej nocy usnął na wieki, opróżniając jeden z najzacniejszych i najbardziej pożądaných urzędów Królestwa Neapolu. Wielkim justycjariuszem królowa mianowała wiernego i zasłużonego Giacoma Sanseverina, hrabiego Tricarico.

ROZDZIAŁ 11



Była wiosna 1351 roku, gdy księżęta Tarentu i księżęta Durazzo stanęli przed obliczem króla Ludwika w budzińskim zamku, jak żebracy, w łachmanach, z bojaźnią w oczach i niepewni swego losu. Pamięcią powrócili do chwili, gdy w ciemności zamigotało światło pochodni i kilku strażników stanęło pod celą. Byli pewni, że nadchodzi ich kres. Robert z Tarentu nie stawiał oporu, wiedział, że niczego nie wskóra, ale Filip nie zamierzał tanio sprzedać skóry, jego krzyk poniósł się po lochu, jakby chciał przebić mury. Księżę próbował się wyszarpnąć z rąk strażników i krzyczał, że nie chce umierać.

– Okażcie godność, wasza księżęca mość – rzekł strażnik – i zdajcie się na łaskę króla.

Filip przestał się szarpać, skurczył kruche ramiona i wyszedł z celi na miękkich nogach, po policzkach ciekły mu łzy. W korytarzu czekało dziesięciu zbrojnych. Otoczyli ich ciasnym kordonem i wyprowadzili z lochów. Wczesnowiosenne słońce oślepiło Roberta i Filipa, gdy znaleźli się na dziedzińcu, i ukazało bladość ich twarzy. Tarentowie patrzyli teraz na srogie oblicze Ludwika Węgierskiego i chłodną twarz jego matki. Elżbieta siedziała obok syna na tronie wyściełanym czerwonym aksamitem, jej czarna suknia mieniła się od szlachetnych kamieni, a ciemny welon okrywał ramiona. Jakaś świetlista poświata otoczyła jej postać i rozpromieniła ową żalobną czerń. Robert z Tarentu złakniony światła spojrział w stronę okna.

– Podejdźcie – rzekł władca.

Robert z Tarentu oderwał oczy od okna, po czym przebiegł wzrokiem po królu, jego matce i po urzędnikach. Pomyślał, że okoliczności są niezwykcyjne, skoro Ludwik Węgierski zgromadził tylu dworzan, i on, podobnie jak jego brat, zadrżał na myśl o bliskiej śmierci.

Gdy obaj książęta Tarentu zbliżali się do tronu, usłyszeli za sobą szcęk zelastwa. Oto wprowadzono do komnaty Durazzów, Ludwika i Roberta. Szli upokorzeni, złamani i wychudzeni. Dwa lata niewoli w wilgotnych murach, o chlebie i wodzie nadwątlili siły każdego z nich. Tarentowie patrzyli na krewniaków i nie poznawali tych niegdyś rosnących i krzepkich młodzieńców i pomyśleli, że w oczach stryjecznych braci wyglądają podobnie. Ludwik Węgierski przeszył więźniów wzrokiem przenikliwym i pozbawionym krzty litości. Nie żałował ich. Oto jego wujowie, w których płynie ta sama krew francuskich Kapetyngów i węgierskich Arpadów, jaka płynie w nim, stają przed nim zakuci w kajdany i niepewni swego losu. Niech drżą – pomyślał – życie Andrzeja jest warte ich bojaźni. A jednak uległ matce, zgodził się na uwolnienie jeńców, na pokój z Joanną i na koronę Neapolu po jej śmierci. Ale za życie zamordowanego brata nie weźmie ani florena. Brzydzi się takim targiem.

– Jutro opuścicie Budę – oznajmił król. – Wróćcie do Neapolu.

Milczeli. Ta nowina spadła na nich nieoczekiwanie, spodziewali się bowiem śmierci, nie wolności. Z gardła Filipa z Tarentu dobywał się śmiech na przemian ze szlochem.

– Kardynał Pierre de Beaufort będzie wam towarzyszył do Neapolu – dodał monarcha, na co duchowny stojący przy królu się poruszył. Więźniowie wlepili w niego oczy i przypomnieli sobie, że widzieli go w lochach. – Ale wcześniej dajcie im nowe szaty – zwrócił się Ludwik do marszałka dworu, Lajosa Lackfiiego. – Nie godzi się, by książęta, w których płynie krew królów Francji i Węgier, pokazali się w tak podłym odzieniu.

Aresztanci pochylili karki przed królewskim majestatem, tylko Robert z Tarentu jedynie lekko skłonił głowę, jakby owa wolność okupiona była zbyt długą niewolą, żeby mógł teraz w pełni się nią cieszyć. Zbrojni wyprowadzili ich wprost do jasnej komnaty, w której zasłano cztery

wygodne łóżka i przygotowano kąpiel, a stół zastawiono suto jadłem i winem. Podczas pierwszej nocy na nowym miejscu i na miękkim pościeliu nie zmrzyli oka, w sercu czuli euforię, a w głowie tłukły się różne myśli. Ludwik Durazzo rozmyślał o żonie, Małgorzacie z Sanseverinów, i synu, który miał już sześć lat i z pewnością po tak długim czasie nie pozna ojca. Robert z Tarentu myślał o swym bracie, również Ludwiku, mężu Joanny, i wspominał królową, która spośród braci nie jego wybrała na męża. O poranku kolejnego dnia, przy dobrej pogodzie, odziani w aksamity i jedwabie, w wygodnych butach z ostrogami do konnej jazdy książęta wsiedli na konie i ruszyli na południe w towarzystwie kardynała de Beauforta, Łászla Garaia i Mate Bebeka. Jechali z nimi wojewoda siedmiogrodzki Stefan Lackfi i jego dwaj bracia, nie tylko eskortując więźniów, lecz wioząc akt pokoju, który miał być podpisany przez królową Neapolu. Jechał także biskup weszpremski Henryk. Zimą papież powiadomił Joannę, że król Węgier zgodził się na pokój i można się spodziewać, że wiosną jeńcy opuszczą Budę. I teraz kardynał de Beaufort posłał przodem do Neapolu Guy, papieskiego bękarta, by uprzedził Joannę i jej męża, że bracia księcia Ludwika oraz Durazzowie są w drodze. Królowa natychmiast rozesała dobre wieści po krewnych, powiadomiła swą siostrę Marię i Małgorzatę Sanseverino. Małgorzata zjawiła się nazajutrz wraz z synem. Joanna, ujrzawszy chłopca o rudych kędziorach, rozpostarła ramiona i rzekła z radością:

– Chodź do mnie, Karolu.

Chłopiec podbiegł do niej ochoczo, a gdy się pochyliła, poczuł na policzku pocałunek ciotki. Oplótł ramionami jej szczupłą szyję i całym ciałem przywarł do królowej. Joanna poczochnęła mu włosy i wspomniała swego syna, Karola Martela. Ze smutkiem pomyślała, że gdyby żył, byłby w tym samym wieku.

– Pokażecie mi Franciszkę? – spytał chłopiec.

Joanna poruszyła dzwonkiem, na którego dźwięk zjawiła się Fulvia. Poleciła jej, by zabrała malca i pokazała mu córkę, ona tymczasem ma do pomówienia z Małgorzatą.

– Chcę żebyście ze mną poszli, ciotko – nalegał Karol, chwyciwszy ją za rękę. Mimo że królowa w istocie była jego kuzynką, ze względu na wielką różnicę wieku Karol traktował Joannę jak ciotkę i tak też się do niej zwracał.

– Przyjdę za chwilę, ale najpierw pomówię z twoją matką.

– O czym chcecie mówić?

– O rzeczach, które bardzo by ciebie nudziły. Idź, pobaw się z Franciszką, dopóki jeszcze nie śpi.

Gdy malec się oddalił, Joanna rzekła do Małgorzaty:

– Ludwik niebawem do was wróci, w maju dotrą do Neapolu.

– Drzę o niego – przyznała pani Sanseverino, którą ta nowina nie do końca uspokoiła.

– Nie obawiaj się, jest pod opieką kardynała de Beauforta, nie spadnie mu włos z głowy – zapewniła królowa, a jej myśli skierowały się ku Robertowi z Tarentu. Czy się zmienił? Czy jej przebaczy, że nie jego wybrała? Gdyby mogła cofnąć czas...

– Jeśli chcesz, zostań tu w pałacu wraz z Karolem, razem będziemy świętować ich wjazd do Neapolu – rzekła Joanna.

Małgorzata przystała na to i majowego popołudnia doszły do pałacu Tarentów nowiny, że orszak zbliża się do miasta. Spodziewano się, że będzie zmierzał przez via Tribunali, i tak też się stało. Ulica prędko zapełniła się tłumem gapiów, pragnących ujrzeć jeńców powracających z długiej niewoli. Joanna i Małgorzata, a także Maria Durazzo, która przybyła do pałacu z córkami, by wraz z siostrą obserwować wjazd, wyległy na długi balkon i pilnie obserwowały ulicę. Małgorzata karciała syna, który się niecierpliwił, nakazywała, by był uważny i czujny, bo lada chwila ujrzy ojca. Córki Marii tkwiły przy matce i przy ciotce Joannie, wpatrując się w tłum. Słońce jeszcze wysoko stało na niebie, gdy od zamku Capuano dostrzeżono orszak, na którego przedzie jechał kardynał de Beaufort mający u boku biskupa Werszpremu. Za nim zmierzali książęta Tarentu i Durazzo w bogatych szatach; uprząż ich koni lśniła od szczerzego

srebra. Ludwik Węgierski hojnie wyprawił wujów w podróż do Neapolu. Długa droga do domu nie nadwątlila ich sił, przeciwnie – wzmocniła je. Węgrzy bowiem zadbali o to, by w drodze nabrali ciała i krzepy, nie żałowano im dobrego jadła i wina. A może to myśl o powrocie tak ich pokrzepiła? Gdy postawili stopę na apulijskiej ziemi, poczuli się jak u siebie, odetchnęli pełną piersią tutejszym powietrzem przesyconym zapachem oliwek i rozmarynu, oczy sycili widokami rodzinnych stron. Naraz coś przyciągnęło uwagę Roberta z Tarentu. Ujrzał wychylającą się z balkonu królową otoczoną niewiastami i dziećmi. Wzrok Joanny lepił się do księcia, lecz z równą uwagą spoglądała na niego Maria Durazzo i wspomniała słowa Joanny, by poślubiła jednego z ich wujów. Maria już wiedziała, którego z nich wybierze. Naraz koń niosący na grzbiecie Filipa z Tarentu potknął się, przyciągając uwagę Marii Durazzo. Księżę ujarzmił go, uspokoił poklepaniem po grzbiecie, po czym posłał spoglądającym ku niemu kobietom promienny, lecz niezmiennie brzydki uśmiech. Księżna Durazzo przyglądała mu się przez chwilę. Filip nic się nie zmienił, był jak dawniej pokraczny i chudy, jemu jednemu Bóg poskąpił przystojności i rosłej sylwetki.

– Widzisz ojca, Karolu? – spytał małżonek królowej, Ludwik, który nagle pojawił się za kobietami.

– Nie widzę, wuju – odparł chłopiec. Wówczas Ludwik wziął go na rękę i wskazał na Ludwika Durazzo jadącego u boku młodszego brata, Roberta.

– Jedzie na gniadym koniu. O, spójrz, obejrzał się.

Naraz małżonek królowej wlepił wzrok w swego brata, Roberta. Zdało się, że kilkuletnia niewola nie odjęła księciu dumy – głowę trzymał wysoko, a z oczu biła mu hardość. Gdy księżę Ludwik spojrział na swą żonę, Joannę, ta, jakby złapana na gorącym uczynku, odwróciła wzrok. Wkrótce orszak książęcy zniknął w tłumie i królowa wróciła do komnat pewna, że lada dzień zjawi się ktoś z Castel Nuovo. Jakież było jej zdumienie, gdy jeszcze tego wieczoru przybyli do pałacu książąt Tarentu Konrad Lupo i László Garai w obstawie dwóch zbrojnych, którym rozkazano czekać pod bramą. Garai obruszył się i zażądał wpuszczenia

zbrojnych, lecz pan Lupo go przekonał, by weszli sami. Zapamiętał, jak tu się traktuje posłów, i nie zamierzał drzeć o to kotów, a może nade wszystko pragnął ujrzeć królową. Jeszcze raz, choć krótką chwilę, popatrzeć na nią i podziwiać jej urodę, słuchać łagodnego tonu głosu. Wjechali na dziedziniec obstawiony silną królewską strażą. Spośród tubylców wysunął się naprzód młody szczupły mężczyzna i złapał uzdę konia jednego z gości.

– Królowa na was czeka – powiedział i pochwycił dociekliwy wzrok Konrada. Odzienie tego, który ich witał, świadczyło o tym, że nie jest to byle kto.

– Z kim mamy do czynienia? – spytał pan Lupo.

– Onorato Gaetani, hrabia Fondi – wyjaśnił i nie zwlekając, zakomenderował: – Chodźcie za mną.

Zsiedli z koni i ruszyli za Gaetanem, czując na plecach oddechy królewskich strażników uzbrojonych w długie miecze. W powietrzu unosiła się woń korzennego pachnidła, którym skropił się Konrad, nim opuścił Castel Nuovo, i spotęgowała się, gdy weszli do holu. Wprowadzono ich do komnaty ozdobionej barwnymi tapiseriami, na których tle wybiła się postać królowej. Joanna siedziała na tronie odziana w jasną suknię i welon, przez który prześwitywał miodowy blond jej włosów. Ujrawszy przybyłych, skinęła, by podeszli. Gdy się zbliżyli i królowa rozpoznała Garaia, jej oblicze ochłodziło. To on wraz z innymi Węgry złożył jej w katedrze w Awinionie. Nigdy nie zapomni tamtego dnia i tamtego miejsca. I teraz, gdyby nie to, że przybywa tu jako poseł, rozkazałaby wtrącić go do lochów i żywcem drzeć z niego skórę. Pan Lupo tymczasem szedł pewnie, jakby tym razem niczego nie musiał się wstydzić. Zanim tu przybył, zmienił kaftan i umył twarz, długie włosy przeczesał grzebieniem, rozgniół kawałek korzenia imbiru i natarł nim szyję. Teraz imbir rozgrzewał go od środka, jeszcze bardziej rozpalając na widok królowej jego zmysły. Pragnął ujrzeć ją po raz drugi i ostatni i jej się pokłonić, gdyż wraz z decyzją króla o zawarciu pokoju porzucił marzenia, by ją pojmać, a potem upokorzoną i zdaną na jego łaskę zaprowadzić przed oblicze Ludwika Węgierskiego. Popatrując teraz na władczynię, ujrzał ją odmienioną, inną od tamtej

łagodnej istoty. Twarz miała pochmurną, brwi ściągnięte w gniewie, a w jej oczach był mrok. Pan Lupo poczuł przejmujący chłód. Pora wynosić się z Neapolu – pomyślał i ta myśl napawała go optymizmem. Posłańcy pochyłili karki przed majestatem królowej i przed jej małżonkiem.

– Mówcie, panie Lupo, kiedy Ludwik Węgierski będzie gotów podpisać stosowne dokumenty. – Joanna zwróciła się do Konrada, umyślnie pomijając Garaia.

Konrad oświadczył, że nazajutrz w południe przybędą posłowie króla Ludwika. Joanna to właśnie chciała usłyszeć. Powściągając radość, jakby nie chciała pokazać ani mężowi, ani Konradowi, jak bardzo cieszy ją ta nowina, tylko oznajmiła:

– Będziemy czekać, panie Lupo. Nie zapomnijcie przyprowadzić zakładników.

– Stanie się to, wasza wysokość, lecz nie jutro – zastrzegł, czym wprowadził ją w popłoch. – Książęta zostaną wam przekazani w dniu, w którym posłowie króla Węgier będą mieli w garści dokument z waszą pieczęcią poświadczający przekazanie korony Neapolu z chwilą waszej śmierci. Do tego dnia będą oczekiwać w Castel Nuovo.

– Jaką mam gwarancję, że ich nie ukatrupicie? – spytała zaskoczona i rzuciła mu nieufne spojrzenie.

– Żadnej... prócz słowa węgierskiego króla, któremu musicie zaufać – odparł Konrad.

ROZDZIAŁ 12



W dzień Świętej Zofii^[3] przed obliczem królowej Neapolu i jej małżonka stanęli książęta z rodu Tarentu i książęta Durazzo. Na ich twarzach nie było już śladu po długiej niewoli. Odziani w jedwabie i aksamity, z przypasanymi do boku mieczami wlepili oczy w siedzących na tronach królową i jej małżonka. Naraz Robert z Tarentu, jako najstarszy z rodu dziedziczący tytuł księcia Achai, wysunął się naprzód, a jego potężna sylwetka skupiła na sobie spojrzenia. Książę ledwie pochylił głowę przed królową, przed bratem nie zgiął karku, w źrenicach miał tę co dawniej hardość, której nie złamał nawet długi pobyt w lochach budzińskiego zamku. Małżonek Joanny pomyślał, że jeśli się z nim nie rozprawi, nie stłamsi jego buty, to wkrótce Robert pokaże pazury. Tymczasem jednak Ludwik odrzucił niepokoje i z radosną twarzą zszedł do braci, serdecznie uściskał najstarszego, Roberta, i rzekł mu:

– Cena waszej wolności jest bardzo wysoka, Robercie, mam nadzieję, że to docenisz.

Podszedł też do Filipa i do braci stryjecznych, Roberta i Ludwika Durazzo, i uściskawszy każdego z nich, powiedział głośno z radosnym uśmiechem:

– Uczcimy wasz szczęśliwy powrót do Neapolu. Wieczorem na uczcie opowiecie nam, jak was traktowano w budzińskich lochach.

Robert z Tarentu nie był głuchy ani w ciemię bity, usłyszał kpinę w głosie brata i wzrok skierował na królową. Na jej twarzy nie było uśmiechu, lecz posępność. Przed trzema dniami podpisała dokumenty, w których zrzekła się korony Neapolu z chwilą swojej śmierci w zamian za

pokój z królem Węgier i głowy swych wujów. Tamtego dnia zadrżała jej ręka i czuła wpatrzony w nią oczy posłów węgierskiego króla i spojrzenie kardynała Pierre'a Rogera de Beauforta, gdy pochylała się nad stołem. Zdało jej się, że skinął lekko głową, by ją podnieść na duchu, aby się nie wahała uczynić tego, co obiecała. Pióro ślizgało się po pergaminie, gdy kreśliła litery, jakby ciągle niepewna, że czyni słusznie. Gdy już dokument był w rękach biskupa, Joanna poczuła na sercu ciężar, jakby traciła coś najcenniejszego, coś bardziej wartościowego niż życie swoich dzieci. Coś wymykało jej się z rąk za jej zgodą. Położyła dłoń na łonie w wielkim poczuciu winy. A jeśli kiedyś urodzi syna? Jest jeszcze młoda i płodna. Co odziedziczy jej syn, gdy ona zamknie oczy na wieki?

– Doskonale, najjaśniejsza pani – rzekł de Beaufort.

Pochwała kardynała przegnała rozterki i Joanna ujrzała uśmiech na jego twarzy oraz triumf w oczach Węgrów. I teraz dostrzegła wpatrującego się w nią Roberta z Tarentu. Nagle przeszły ją ciarki, gdy przeniknął ją wzrokiem jak dawniej, gdy ze sobą byli. Poczwała w sercu tęsknotę za tamtymi latami, za jego miłością, i zarazem obawę przed jego zapalczywością i pamiętliwością. Nie, on nigdy jej nie zapomni, że nie jego wybrała na męża, nie jego głowę ukoronuje papież. Trzeba się go lękać, tym bardziej, im bardziej będzie mi posłuszny i uległy – pomyślała.

– Zatem jesteście wolni, choć zawsze związani wolą królowej i posłuszni rozkazom władców Neapolu. – Głos małżonka Joanny przerwał ciszę.

Filip uśmiechnął się szeroko, a jego brat Ludwik skierował słowa do księcia Achai:

– A wolą królowej jest, abyś się ożenił, Robercie.

Robert z Tarentu wbił oczy w Joannę. Wzrok księcia Achai nie złamał jej odwagi, bo patrzyła mu śmiało w twarz. Obok stali wielki seneszał pan Acciaiuoli i kanclerz, signor Spinello. Maria Durazzo, która znalazła się nieopodal, poczuła, jak serce bije jej jak dzwon. W dniu, gdy doszły wieści, że wujowie mają być uwolnieni, poszła do Joanny i wyznała jej, że wzięła sobie do serca jej radę i poślubi Roberta z Tarentu. Wówczas królowa poczuła ukłucie zazdrości, ale nie dała po sobie tego poznać i o nic nie

pytała. Maria doskonale wiedziała, że kiedyś Joannę i Roberta łączyła bardzo bliska zażyłość. Teraz księżna Durazzo, napotkawszy wzrok Roberta z Tarentu, uśmiechnęła się do niego. Kilka lat niewoli nie odebrało mu przystojności i może właśnie z wiekiem przyciągał coraz więcej kobiecych spojrzeń.

– Poślubisz Marię de Burbon – oświadczył małżonek Joanny.

Maria Durazzo zbladła, a Robert popatrywał zdumiony to na brata, to na królową. Nie mogła znieść jego spojrzeń. Podniosła się z tronu i gdy zeszła z podwyższenia, Robert chwycił ją za ramię i zatrzymał. Ludwik jednym susem skoczył do brata. Książę Achai, ujrawszy srogość na jego obliczu i pojąwszy, że mimo wszystko ma przed sobą królową, cofnął rękę i wycedził:

– Chcę to usłyszeć z waszych ust, wasza wysokość. Powiedzcie, że z waszej woli mam poślubić starą wdowę po księciu Galilei. Kulawą jak jej siostra i być może obłąkaną jak ojciec i brat.

Dostrzegł, jak wargi Joanny się rozchyliły, a brwi ze sobą zbiegły w nagłym wahaniu. Wierzył, że to nie jej wola, lecz jego brata. Ona nie jest aż tak nikczemna i mściwa.

– Poślubisz córkę człowieka wielce zasłużonego dla królów Francji, której siostra jest królową Czech...

– Królową wdową! – sprostował. – Jan Luksemburski od dawna gryzie ziemię!

– Tak, lecz jego śmierć nie ujęła czci Beatrycze. Nadal jest królową, a ty pojmiesz za żonę jej siostrę, bo tak chcę – postanowiła.

Robert usłyszał stanowczość w jej głosie, choć w oczach widział ten sam co dawniej płomień, podsycany jego widokiem, lecz gaszony rozsądkiem. O, gdybyż rozkazała ukrećić łeb Ludwikowi, zaczęliby życie od nowa, a Robert puściłby w niepamięć jej zdradę i nikczemność. Lecz Joanna nic więcej nie rzekła i oddaliła się w ciszy mąconej jedynie szelestem jej sukni i krokami dwórek, które za nią pospieszyły. Maria stała jak skamieniała, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. Przed oczami mignęły jej twarze urzędników i rozpromienione szczęściem oblicze Małgorzaty

Sanseverino, która teraz, gdy Joanna wyszła, znalazła się w ramionach Ludwika Durazzo. Obok przemknął Robert Durazzo, ale Maria miała wrażenie, jakby na chwilę zatrzymał na niej wzrok. A może tylko jej się zdawało? Odwróciła się i wyszła z komnaty. W korytarzu przyspieszyła, jakby chciała stąd uciec, uciec przed upokorzeniem, jakiego dziś doznała za sprawą swojej siostry, ale nie zamierzała pytać, dlaczego królowa podjęła taką decyzję. Otarła ukradkiem kilka łez, gdy usłyszała za sobą głos jednej z dwórek Joanny.

– Księżno...

Maria zatrzymała się i odwróciła.

– Królowa chce z wami mówić... czeka na was – rzekła Mona.

Maria zawahała się, a widząc wlepione w nią oczy dwórki, powiedziała:

– Zaraz przyjdę.

Mona czekała w milczeniu, trochę skonfundowana. Księżna zawróciła więc do komnaty siostry. Mona uniosła portierę i Maria przestąpiła próg, po czym się zatrzymała. Widziała, jak damy dworu odpinają welon z głowy Joanny i zdejmują pelerynę z jej ramion. Królowa zaraz odesłała pokojowe, ale Maria nadal tkwiła w progu, jakby umyślnie pragnęła zachować dystans.

– Muszę ci wyjaśnić, Mario... – rzekła władczyni.

– Nie musisz – przerwała jej księżna. Joanna poczuła chłód jej tonu. – Jesteś królową, twoja wola jest rozkazem. Mam tylko nadzieję, że to nie zazdrość tobą powodowała, Joanno.

– Nie. To strach.

– Strach? – Na ustach Marii zadrgał kpiący uśmiech.

Joanna podeszła do siostry i powiedziała spokojnie:

– Gdybym pozwoliła ci poślubić Roberta, miałabym wroga nie tylko w nim, lecz także w tobie. Teraz rozumiesz?

Maria przygryzła wargi. Joanna wyłożyła karty na stół i księżna musiała jej przyznać rację. Maria nigdy nie zapomni, jaką niechęć czuł do Joanny jej mąż Karol i jak żądza korony Neapolu odebrała mu rozsądek. Maria

znalazła się wówczas w trudnym położeniu. Czuła, że musi wybrać między miłością do męża a lojalnością wobec królowej. Jednak słowa Joanny nie do końca rozwiały wątpliwości Marii, bo rzekła:

– Rodzony brat Roberta z Tarentu, Filip, i ich stryjeczni bracia również stanęli przeciwko tobie.

– Lecz żaden z nich nie ma w sobie tyle buty i hardości, tyle zapiekłości co Robert. Tyle ambicji.

– Zatem który z nich będzie najbardziej uległym mężem? – spytała Maria.

– Filip. Pomyśl o nim, Mario – rzekła Joanna.

Ta propozycja zmroziła Marii krew w żyłach.

Majowy wieczór w pałacu książąt Tarentu należał do przyjemnych, radość z podpisanego pokoju przyćmiła obawy o koronę Neapolu. Joanna już nie myślała o tym, co trudne, nie troskała się o przyszłość, a widząc kardynała de Beauforta, który był najważniejszym gościem tego wieczoru, rzekła do niego:

– Zawieziecie papieżowi dobrą nowinę, kardynale.

– Jego Świątobliwość na nic tak nie czekał jak na pokój z Węgrami. Teraz już nic nie zachwieje waszego prawa do tronu, który dzierzycie z woli Ojca Świętego – odparł.

– Dopóki jestem żywa, kardynale – zauważyła. – Wszak dobrze wiecie, że moja teściowa pragnęła pokoju nie mniej niż ja i papież.

– Dlatego miejcie się na baczności, bądźcie czujni, wasza wysokość – przestrzegł ją, a jego przestrogi spowodowały, że niepokój w niej odżył z większą siłą. Uśmiech zniknął z jej twarzy, czoło okryła ciemna chmura. Dostrzegł to kardynał i dodał: – Patrzą na was, wasza wysokość, pokażcie pogodną twarz, rozdawajcie uśmiechy, tak jak byście rozdawali złote dukaty, niech cieszą obdarowanych.

Joanna uśmiechnęła się jak na rozkaz i potoczyła wokół wzrokiem. Zobaczyła dworzan i gości przy suto zastawionych stołach. Zajęci

jedzeniem i piciem nie bardzo zwracali uwagę na królową. Naraz oczy Joanny wyłuskały Marię tańczącą z Robertem z Tarentu. Królowa zadrżała na myśl, że być może powinna mieć się na baczności przede wszystkim przed najbliższymi. Czy właśnie w tej chwili nie knują przeciwko niej? I czy z ich rąk nie należy obawiać się trucizny? Jak dobrze, że Robert niebawem poślubi Marię de Burbon.

– A papież? – spytała naraz, przerywając milczenie.

Spojrzał na nią i spytał:

– Cóż papież, wasza wysokość?

– Czy gniew w nim przygasł z powodu śmierci Roberta del Balzo?

– Owszem, lecz uspokojenie mego stryja nie było łatwe – przyznał. – Na drugi raz postarajcie się, by nikt nie wyręczał papieża i nie stawiał się ponad Jego Świątobliwość.

Joanna odetchnęła z ulgą. Wieść o morderstwie Roberta del Balzo wywołała w Awinionie wielki gniew. Posypały się gromy na głowę królowej Neapolu. Uznała, że musi przeczekać tę burzę, i uzbroiła się w cierpliwość.

Tymczasem wiele osobistości kierowało dyskretne spojrzenia ku królowej i ku księżnej Marii. Ludwik Durazzo podszedł do swego brata, Roberta, pana Montalbano, i skwitował:

– Maria przyciąga spojrzenia.

– Nie jest już młoda – stwierdził Robert, jakby podawał w wątpliwość słowa brata, jakby on nie widział w niej tego, co ciągle dostrzegał Ludwik.

– Ale ciągle płodna... To jeden z jej atutów.

– Ma ich więcej? – dociekał Robert.

– Dziedziczy tron Neapolu, jeśli Joanna nie urodzi syna.

– Neapol należy się Węgrom – zauważył Robert.

– Tylko na pergaminie – odparł Ludwik. – Pomyśl o tym, nim ktoś inny sprzątnie ci Marię sprzed nosa, weź przykład z naszego brata.

– Karol gryzie ziemię.

– Dzięki temu ty możesz zająć jego miejsce – pouczył go i zamilkł, widząc, jak jedna z dwórek królowej zbliża się do nich, zapewne na wyraźne polecenie Joanny, i nadstawia ucha. Bracia wypili wino ze złotych czar i się rozstali. Ludwik wrócił do żony, pan Montalbano zaś skierował uwagę na kardynała de Beauforta, przy którym znalazł się małżonek Joanny.

– Kiedy ruszacie do Awinionu, kardynale? – spytał Ludwik z Tarentu.

– Lada dzień, wasza książęca mość.

– Zatem nie krępujcie się, jeśli wam czegoś potrzeba, choćby szybkich koni albo zbrojnych, którzy szczęśliwie doprowadzą was do Francji.

– Będę o tym pamiętał – zapewnił kardynał. Wiedział, że gdyby Ludwik mógł, natychmiast posłałby go do Awinionu, tak niecierpliwie oczekiwał korony. Tymczasem Robert Durazzo zbliżył się do Marii i rzekł:

– Jeśli zezwolicie, Mario, odwiedzę was w pałacu, rad bym zobaczyć bratanice.

Księżna była zaskoczona, wszak dotychczas żaden z braci Karola Durazzo nie okazywał większego zainteresowania nią ani dziećmi, ale przystała na to:

– Dobrze, Robercie.

Chwilę potem dostrzegła, jak rzuca spojrzenie swemu bratu Ludwikowi i znika w tłumie.

Robert Durazzo przybył nazajutrz wczesnym popołudniem. Maria z dziećmi była w przestronnej komnacie. Gdy pan Montalbano stanął w progu, Maria przedstawiła córkom Roberta, mówiąc:

– To wasz stryj.

Rozweselone głosy umilkły i dzieci z ciekawością wlepiły oczy w przybysza.

– Nie pamiętam was, stryju – rzekła najstarsza, Joanna, i podeszła do niego. Uśmiechnęła się, jakby chciała mu się przypodobać, sprawić, by ją zauważył. Uwielbiała skupiać na sobie uwagę i być chwalona. Robert dostrzegł wielkie podobieństwo bratanicy do królowej; miała ten sam

uśmiech i to samo figlarne spojrzenie ciemnych oczu, złociste włosy zakrywały ramiona. Durazzo ucałował jej policzek, po czym popatrzył na najmłodszą, czteroletnią Małgorzatę, która trzymała się matczynej sukni i nieufnie spozierała na przybysza.

– Jeszcze jej nie widziałeś – powiedziała księżna i zwróciła się do dziecka: – Podejź do stryja, Małgorzato, niech cię ucałuje, tak jakby ucałował cię twój ojciec, gdyby żył. – Księżna lekko wypchnęła córkę przed siebie. Małgorzata niechętnie zbliżyła się do stryja. Robert pochylił się i wyciągnął ramiona po księżniczkę, a gdy chwilę potem całował jej policzek, oczy Marii napełniły się łzami. Otarła je spiesznie, ale Robert je dostrzegł.

– Zabierzcie dzieci – poleciła księżna dwórkom, a gdy została sama ze szwagrem, powiedziała:

– Wiele bym dała, aby móc teraz widzieć Małgorzatę w ramionach Karola.

– To się nie zdarzy – odparł zamyślony.

Maria bezsilnie potaknęła, wówczas pan Montalbano rzekł:

– Minęła żałoba po Karolu, Mario, to już trzy lata.

Rozsierdził ją tą uwagą, bo bijąc się w pierś, podniosła głos, jakby chciała wykrzyknąć ból, jaki ją dręczy od śmierci męża. Lata go nie ujmują, lecz pogłębiają.

– Mylisz się! Ona ciągle jest w moim sercu i nigdy nie wygaśnie! Miną lata, dziesiątki lat, rozumiesz Robercie? Do samej śmierci!... Kochałam Karola, dlatego tak boli... – Wstrząsnął nią nagły szloch.

– Masz rację, Mario, lecz nie mogę patrzeć, jak cierpisz, chciałbym ulżyć twej doli.

– Nic nie możesz zrobić, Robercie, nikt nie może zmienić losu, nawet Bóg, choć jest mocarny, powiadają, że wszechmocny, a jednak patrzy na naszą niedolę w milczeniu.

Robert przez moment milczał, wreszcie rzekł:

– Pozwól mi choć przychodzić do was i widywać się z bratanicami. Wiem, że nie zastąpię im ojca, ale może chociaż mnie polubią?

Uśmiechnął się i ten uśmiech spowodował, że Maria się uspokoiła i odparła:

– Już cię polubili, a ten pałac zawsze będzie dla ciebie otwarty.

Kardynał ruszył z Neapolu w niedzielny poranek po mszy świętej, odprowadzany poza miasto przez królewski oddział zbrojnych na czele z księciem Ludwikiem. Kilka tygodni później, w dzień Świętego Wita^[4], ulice Neapolu przemierzało kilka setek uzbrojonych Węgrów prowadzonych przez Konrada Lupo i obu Wolfartów, Gustawa i Ulryka. Tubylcy zegnali ich nienawistnymi spojrzeniami, czując ulgę, że w końcu się wynoszą. Węgrzy także nie kryli radości, że opuszczają to miasto, tak im nieprzychylnie. Konrad Lupo obejrzał się na Castel Nuovo. Czuł się tam jak w niewoli. Pokój z Joanną zwrócił mu wolność. Miejsce takich jak on nie jest pośród murów, sen w miękkim łożu jest katuszą, miłsze mu noclegi pod gołym niebem, gdy na policzkach czuje chłód nocy, a o poranku rosa obmywa mu twarz. Jednego tylko mu żal – kobiet. Neapolitanki są gorące, jeśli kochają, to czule, z sercem, nawet ladacznice tchną jakimś ciepłem. Z ich oczu i głosu wybrzmiewa radość, w jasnych spojrzeniach czai się zalotność, uwodzą tańcem i uśmiechem. Ale czego najbardziej mu brakowało, to walki – jej woni i wrzawy, która wyzwala wszystkie siły. Nawykły do wojaczki, nieznoszący bezruchu, każdego dnia w Castel Nuovo oddawał się fechtunkowi, ćwiczył mięśnie, by nie utracić w nich siły. Ale to nie to samo co stanąć na polu walki twarzą w twarz z wrogiem. Naraz spostrzegł, jak na wieżycach zamku załopotały andegaweńskie sztandary, co w tubylcach wzbudziło euforię. Po drodze dołączyła do niego załoga z Castel Capuano i już około tysiąca ludzi króla węgierskiego przekroczyło mury Neapolu, kierując się na północ.

Joanna wraz z mężem powróciła do rodowej siedziby. Odtąd Castel Nuovo znowu ożył, każdego wieczoru rozsadały go radosna muzyka i gwar. I niebawem na królewskim dworze zaroilo się od arystokracji, która

na wieść o powrocie królowej do zamku zleciała się łąsa nowych zaszczytów. Władczyni wszystkich przyjmowała z otwartymi ramionami i nagradzała nowymi nadaniami za zasługi i lojalność. Mijały beztraskie dni lata. Ulatywał miesiąc za miesiącem, a wraz z upływem czasu narastała w księciu Ludwiku z Tarentu niecierpliwość. Nadeszła jesień, gdy do Neapolu dotarł kardynał Pierre Roger de Beaufort z wieścią, że koronacja księcia Ludwika odbędzie się w przyszłym roku, w maju. Tak odległy termin nie był na rękę małżonkowi królowej i Joanna musiała studzić jego irytację z powodu odwlekającej się ceremonii.

– Wiosna jest dobrą porą, Ludwiku, czas szybko minie – przekonywała.

– Mam nadzieję, że do tego czasu Ludwik Węgierski nie naruszy postanowień traktatu i że pokój nie był tylko próbą uśpienia naszej czujności – rzekł pełen obaw.

– Nie sądzę – uspokoila go. – Pamiętasz? Kardynał mówił, że Ludwik jest zajęty podbojem Rusi, oczy zwrócił ku Polsce. Zależy mu na polskim tronie.

– Ruś? A cóż to takiego? I gdzie to jest? – Ludwik zdziwił się, na próżno starając się przypomnieć sobie słowa kardynała.

– Nie słuchałeś uważnie kardynała. – Joanna dobrotliwie skarciła męża.

– Istotnie – przyznał – ale co nas obchodzi polska korona, niech ją sobie bierze, byle od Neapolu trzymał się z daleka.

Koniec maja 1352 roku był skwarny, powietrze i wody morza niemal gotowały się od słonecznego żaru. Ale nawet to nie mogło popsuć radości z celebry, która przypadła w Zielone Świątki. Koronację Ludwika z Tarentu świętował cały Neapol. Domy, place i ulice udekorowano kwieciami i zielonymi gałązkami. Małżonek królowej, namaszczony świętymi olejami, dzierżący berło, w złotej koronie wysadzanej klejnotami, w płaszczu z najcieńszego jedwabiu ozdobionym liliami, opuścił katedrę przy chóralnych śpiewach i dosiadłszy konia, którego srebrna uprząż błyszczała w słońcu, przemierzał pośród wiwatów ulice dumny jak paw. Obrzucał wzrokiem tłum, to zerkał na jadącą po jego prawicy Joannę, to podnosił

ramię, jakby błogosławił swój lud. Para królewska otoczona książętami, hrabiami, baronami i rycerstwem zmierzała do Castel Nuovo. Orszak już wjeżdżał w via Tribunali, gdy koń Ludwika się potknął o wystający bruk i z głowy króla spadła korona, która potoczyła się wprost pod kopyta rumaka niosącego na grzbiecie księcia Achai. Król okiełznał swego konia i rzucił bratu chmurne spojrzenie, jakby w tym incydencie dopatrzył się nieszczęścia. Nie tylko on uznał to za złą wróżbę, bo z tłumu doszły go głosy: To zły znak! I niejeden z neapolitańczyków przeżegnał się. Robert z Tarentu wykonał gest, jakby zamierzał zsiąść z wierzchowca i podnieść koronę, lecz powstrzymał go przed tym wzrok brata. Zdało mu się, że Ludwik wzbrania mu, by choć dotknął świętego insygnium. Cały orszak stanął. Henryk Caracciolo znajdujący się w pobliżu zeskoczył z konia i podniósł koronę, po czym podał ją królowi. Ludwik włożył koronę na czoło i ruszył za arcybiskupem Neapolu oraz arcybiskupem Bragi, którzy otwierali jego orszak.

Uczta koronacyjna olśniła przepychem zaproszonych z różnych stron Italii gości i tych, co przybyli z dalekich krain. Nie zabrakło posła króla Francji i posła króla czeskiego, Karola Luksemburga, który już obwołał się cesarzem rzymskim, choć jeszcze korona cesarska nie spoczęła na jego czole. Nie skąpiono najlepszego mięsiwa i win, zwerbowano najsprawniejsze kurtyzany, by bawiły gości i nocą dostarczały im uciech. Słodkie ciasta piętrzyły się na stołach, misy pełne świeżych i kandyzowanych owoców roztaczały przyjemną woń. Ludwik siedzący za stołem rad rozprawiał z gośćmi, lecz podejrzliwie spozierał ku żonie, która nie potrafiła długo usiedzieć w miejscu i chętnie krążyła pomiędzy swymi dwórkami, szeptała coś do nich albo zerkała ku gościom, lecz nad wyraz często spoglądała na signora Caracciola. Wywoływało to na królewskim obliczu niezadowolenie przykrywane sztucznymi uśmiechami. Oczy Joanny podążały nie tylko ku Henrykowi, lecz także ku przybyłym z różnych stron gościom, którzy budzili jej ciekawość taką samą, jaką ona wzbudzała w nich. Wielu z nich po raz pierwszy ujrzało na własne oczy ową osławioną zabójstwem własnego męża Wilczycę, o której urodzie krążyły pieśni wyśpiewywane przez trubadurów. Przed północą para królewska udała się

do swych komnat. Pokojowe przebrały Joannę w koszulę, gdy zjawił się Ludwik.

Musnął wzrokiem żoniną sylwetkę prześwitującą pod białym batysem. Królowa gestem odprawiła dwórki. Ludwik nawet nie czekał, aż znikną w sieni, i już pochwycił żonę i zaniósł na łożo. Joanna wsparła głowę na wielkiej poduszce obleczonej w jedwab i poczuła na ustach męzowski pocałunek.

– Mam już koronę... – powiedział Ludwik, rozsupłując tasiemki u dekoltu jej koszuli, pod którą zaraz wsunął upierścienioną dłoń. – Może teraz pora odzyskać Sycylię?

Joanna zaskoczona pomysłem odrzekła:

– Najpierw syn. Potrzebujemy następcy tronu.

– Zrzekłaś się korony – przypomniał jej.

– To była cena pokoju z Węgrami. – Zmarszczyła brwi z niechęcią. – Ale klnę się na Boga, że uczyniłam to pod przymusem. Zrobię wszystko, by po mojej śmierci Neapol nie dostał się w ręce Węgrów. Zadbamy o to oboje.

Spodobały mu się jej słowa. Gdy było trzeba, jego żona potrafiła być stanowcza, wyrachowana, odważna. Nie liczyła się z nikim. Ludwik zsunął koszulę z jej ramienia i ucałował rozgrzaną skórę.

– A więc niebawem wraz z twoim sercem będzie bić serce naszego syna – powiedział i wrócił do tematu. – Czyż oboje nie pragniemy dać mu więcej, niż sami posiadamy?

Gdy spojrzała na niego, nie rozumiejąc tej przemowy, wyłuszczył:

– Muszę zostać w Neapolu, przy tobie, aby spłodzić dziedzica, ale na Sycylię możemy posłać pana Acciaiuolego.

– Seneszał bez złota nie odzyska Sycylii – orzekła.

– Istotnie. A jeśli poszukamy dukatów na wojnę?

– A więc szukaj, Ludwiku – przystała na to i uśmiechnęła się pewna, że ich nie znajdzie. Gdy rozchyłał wargi, by coś powiedzieć, położyła mu palec na ustach i zabroniła łagodnie: – A teraz ani słowa więcej o wojnach i sojuszach, świętujmy twoją koronację.

Kolejny dzień koronacji Ludwika uczczono fetami oraz turniejami. Liczne grono dam obserwujących zapaśników powodowało, że ci dumnie prężyli muskuły, wypinali pierś i poprzysięgali zwycięstwo. Potem, przy zachodzącym słońcu, do walki stanęli rycerze, którzy dosiedli koni i chwycili długie ostre kopie, by natrzeć na przeciwnika. Szczęk oręża i odgłos spadających z koni ludzi przyciągały spojrzenia gapiów. Chmura kurzawy wzbijała się spod końskich kopyt i zatykała dech. Pan Montalbano stanął przeciwko swemu stryjecznemu bratu, Filipowi z Tarentu, który z chęcią przyjął rzuconą rękawicę. Starcie rosłego Roberta Durazzo z chudym Filipem wzbudziło w obserwujących śmiech, w mało którym sercu zrodził się niepokój. Robert odrzucił z czoła rozjaśnione słońcem włosy, po czym skrył głowę pod przyłbicą. Jeszcze spojrzął ku Marii Durazzo i ruszył naprzeciw pędzącemu ku niemu kuzynowi. Nie udało się panu Montalbano za pierwszym razem strącić z siodła przeciwnika. Była w Filipie jakaś zuchwała hardość i determinacja, aby zwyciężyć. Lecz mimo zapалу i odwagi przegrał, a wtedy Robert stanął przeciwko Henrykowi Caracciolowi. Ten pojedynek przykuł uwagę króla, który pochylił się ku Joannie siedzącej obok na krześle pod baldachimem i spytał:

– Komu życzysz szczęścia, pani?

Dostrzegł, że się zawahała.

– Lepszemu – odparła.

– Zatem zostawiacie to losowi, ja natomiast życzę szczęścia Robertowi, gdyż łączy nas krew.

– Roztropnie – przyznała.

Robert natarł na Caracciola. Jego kopia z mocą uderzyła w Henryka i zwała na ziemię. Na trybunie rozległy się krzyki. Hrabia Gerace leżał jak martwy, budząc niepokój królowej, która ledwo powstrzymała się, by nie zerwać się na równe nogi. Zaraz nadbiegli słudzy i dworzanie. Król podniósł się z krzesła i wyteżył wzrok.

– Martwy?! – krzyknął w tłum, ledwo kryjąc w sercu nadzieję.

– Żyje! Wasza wysokość, hrabia żyje.

Pomruk niezadowolenia wyrwał mu się z ust, lecz nikt go nie dosłyszał, gdyż rozproszył się pośród wielu głosów.

Mimo upadku signor Caracciolo pojawił się wieczorem na ucztę. Królowa odetchnęła z ulgą. Siedząc u boku męża, zerkąła na Roberta z Tarentu. Książę Achai lekko prowadził w tańcu Marię Burbon, którą poślubił w kaplicy Castel Nuovo w przeddzień koronacji Ludwika. Zerkąła na Roberta także Maria Durazzo tkwiąca w pobliżu siostry, ale czyniła to dyskretnie. Ilekroć widziała ich razem, czuła w sercu ukłucie zazdrości. A gdy mimochodem gdzieś przed jej oczami przemknęła twarz Filipa z Tarentu, odwracała od niego z niechęcią wzrok. Nigdy nie pójdzie za radą Joanny. Nigdy go nie poślubi. Dobry nastrój i wesołość potęgowało wino i mnóstwo pięknych dam. Kilka z nich dotrzymywało towarzystwa Henrykowi Caracciolowi, jakby chciały mu wynagrodzić dzisiejszą klęskę w potyczce na kopie. Hrabia nie odmawiał sobie wina, które poluzowało zasady, tak że wkrótce zaczął z damami flirtować i nie hamował się nawet przed zagładaniem im do głębokich dekoltów. Król, jednym okiem zerkając ku niemu, w końcu nie wytrzymał i zwrócił się do małżonki:

– Spójrz, pani, hrabia znieważa damy. Nie dawajmy naszym gościom powodu do plotek. To, co tu ujrzą, rozniosą po obcych dworach.

Królowa spochmurniała na widok mocno podpitego kochanka, lecz nie jego pijaństwo ją raziło, lecz swoboda, z jaką obcował z damami. W jej sercu odezwała się zazdrość. Pragnąc przerwać hrabiemu zabawę, skinęła na marszałka dworu, a gdy się pochylił, szepnęła mu coś do ucha. Chwilę potem dwóch dworzan podniosło Henryka zza stołu i wsparło na swych ramionach.

– Ja sam! Nie potrzebuję niańki! – Hrabia Gerace obruszył się, strząsnął z siebie ręce dworaków i poszedł ku drzwiom. Był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach.

– Na powietrzu wytrzeźwieje – skwitował król.

Przed północą para królewska opuściła jadalnię. Nazajutrz miała wyjechać z Neapolu i udać się do Aversy na polowanie. Komnata jadalna szybko opustoszała, dudniły ostatnie kroki w korytarzach, zamykały się

drzwi komnat. Cichły wesołe głosy. Tylko w jadalni ruch i gwar niósł się do świtu, nim służba uprzątnęła stoły, opróżniła naczynia, pozbierała srebrne łyżki i pościagała poplamione winem i jadłem obrusy. To dobra pora dla służby, aby skubnąć resztki z talerzy i ukradkiem posmakować mocnych trunków.

Księżna Durazzo, opuściwszy zamek, skierowała się do stajni, skąd wyprowadzono jej klacz. Niccolini, który tutaj na nią oczekiwał, pomógł jej dosiąść wierzchowca. Chwilę później pędziła ku bramie w eskorcie kilku zbrojnych odprowadzana bacznym wzrokiem Roberta Durazzo. Pan Montalbano właśnie zmierzał do stajni, gdy usłyszał chrzęst kamyków. Obejrzał się i zobaczył swego brata Ludwika.

– Widzimy się w Aversie, Robercie – rzekł starszy Durazzo, który zobaczywszy, że brat chwieje się na nogach z powodu nadmiaru wypitego wina, przestrzegł go: – Obyś nie pogruchotał sobie kości, spadając z konia. Lepiej poproś Joannę, aby ci zezwoliła przenocować w zamku. Do rana wytrzeźwiejesz.

– Jak widzisz, jeszcze trzymam się na nogach – uspokoił go pan Montalbano i poczekał, aż brat się oddali. Gdy Ludwik zniknął w mroku, Robert podszedł do studni i ze stojącego obok cebrzyka nabrał wody w garście i ochlapał sobie twarz. Potem spojrzął do studni – w lustrze wody odbijał się księżyc, lecz Robert zobaczył coś jeszcze. Zdało mu się, że widzi człowieka, który to unosi się na powierzchni, to znowu znika w czarnej głębinie. Pomyślał, że w istocie nadto sobie pofolgował, skoro ma zwidy, i aby całkiem do siebie dojść, wylał wodę z cebrzyka wprost na głowę i wstrząsnął się jak źrebię. Znowu spojrzął w wodną toń. Niczego już nie widział, tylko gładką czarną otchłań. Wyprowadził ze stajni konia i opuścił zamek. Zostawiwszy za sobą fosę, zmusił zwierzę do galopu i przemierzając uliczki miasta, wyraźnie kierował się na via Carbonara. Nad głową wisiało mu rozgwieżdżone niebo, a na twarzy czuł chłodny blask księżyca. Wiatr od morza wepchnął mu w płuca rześkie powietrze i rozwiął długie wilgotne włosy. Krew w nim popłynęła jak rwący potok wraz z szybszym biciem serca. Ani się obejrzał, jak stanął przed pałacem Marii

Andegaweńskiej. Wokół głucho i pusto, w pałacowych oknach na piętrze palą się świece. To znak, że Maria nie śpi. Światło przyciąga uwagę jak lep. Robert spogląda w okna i myśli. Może waży to, co snuje mu się po głowie i nie daje spokoju. Jutro Marii tu nie będzie, opuści Neapol i uda się do Aversy, podąży w ślad za Joanną. Dwór królewski opustoszeje. Goście się rozjadą. Jeśli teraz się nie odważy, będzie pogardzał sam sobą. W czymże on jest gorszy od swego brata Karola? Będzie kochał Marię równie gorąco jak on i może właśnie spłodzi z nią syna. Naraz światła w oknie zaczęły gasnąć, tylko jedno tliło się niebieskim blaskiem. Zsiadł z konia i podszedł do bramy. Zastukał mosięzną kołatką w grube drewniane drzwi okute żelazem. Rozległ się donośny odgłos, na którego dźwięk ktoś przemknął ulicą, gdzieś zaszczekał pies. Uchyliło się małe okienko w bramie.

– Kto tam? – spytał strażnik.

– Robert Durazzo, nie poznajecie? – rzekł.

Drzwi otwarły się natychmiast. Strażnicy nie dociekali powodu późnej wizyty i nie powiadomili księżnej o przybyciu Durazza. Pan Montalbano miał bowiem wstęp do pałacu o każdej porze dnia i nocy, ale nigdy nie nadużywał gościnności gospodyni, nigdy nie zjawiał się o tak późnej porze. Robert pogładził zwierzę po pysku, jakby mu nakazywał, żeby było spokojne, i wprowadziwszy je na dziedziniec, zostawił w pobliżu bramy. Skierował się do pałacu. Wszedł śmiało do wielkiego holu. Osaczyła go ciemność, tylko w trójnogach paliły się nieliczne pochodnie, jęczory ognia zdały się przysypiać. Wokół panowała cisza. Naraz się zawahał. Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać. Jeszcze może opuścić pałac i zapomnieć o koronie Neapolu. Ale on nie chciał zapomnieć. Natrętne myśli mąciły mu spokój, wizja korony na własnej głowie była kusząca. Owładnięty żądzami szybko wytrzeźwiał. To one wzburzyły w nim krew i wlały weń odwagę. Nie chciał być tylko panem Montalbano. Kilkoma susami pokonał schody i znalazł się na piętrze. Słabo oświetlone korytarze zdały mu się wąskie i ciasne. Skierował się do alkierza Marii. Nagle w dali otwarły się drzwi i wiązka światła padła na korytarz. Zatrzymał się i przywarł całym ciałem do ściany, wstrzymał oddech i patrzył na nikłe światło, które płynęło

w mroku, zbliżało się i rosło. Rozbrzmiały drobne kroki, lecz z każdą chwilą stawały się wyraźniejsze i dudniły mu w uszach. Pokojowa, która właśnie wyszła od Marii i drogę oświetlała sobie świecą, minęła Roberta. Uszła kilkanaście kroków i przystanąła, po czym się obejrzała, przemknęła wzrokiem po kątach ledwo muśniętych światłem, jakby wiedziona przecuciem, że nie jest tu sama. Zastanowiła ją woń skwaśniałego wina i zatechłego potu roztaczająca się w pobliżu. Robert wstrzymał oddech. Ostatecznie służąca machnęła ręką i poszła dalej, rada położyć się do łóżka. Po chwili zaległa cisza. Ośmieliła ona Roberta, bo oderwał się od ściany i ruszył do komnaty Marii. Zaszumiało mu w głowie i zachwiało się, jakby serce nie krew, lecz wino tłoczyło. Oparł się o ścianę, zaraz odzyskał równowagę i poszedł dalej. Stał pod drzwiami i nacisnął klamkę delikatnie, jakby sprawdzał, czy drzwi nie są zawarte na skobel. Zaskrzypiały cicho i lekko się uchyliły. Niespiesznie wszedł do środka i ostrożnie rozchylił portiery, które oddzielały sień od alkierza. Wlepił wzrok w Marię. Księżna była już w nocnej koszuli i rozplatała warkocze. Robert widział jej twarz rozjaśnioną światłem świecy tłącej się na stoliku, lecz zaraz dostrzegł w oczach szwagierki zaskoczenie, gdy skierowała ku niemu wzrok.

– Co się stało, Robercie? – spytała, podnosząc się z krzesła.

Pan Montalbano postąpił kilka kroków i zapewnił spokojnie:

– Nic, Mario. Chciałem ucałować dziewczynki.

– Jest noc, już śpią – odparła zdziwiona.

Robert podszedł do łoża i usiadł na nim ciężko, dłonią musnął jedwabną pościel. Miał Marię na wyciągnięcie ręki. Księżna poczuła od niego woń niestrawionego wina i powiedziała:

– Przychodzisz pijany, Robercie.

– Nie, Mario, nie jestem pijany – zaprzeczył.

Spojrzał na nią tak dziwnie, nieswojo, jak nie on, a w jego źrenicach odbiło się wspomnienie spojrzenia Roberta del Balzo. Maria przełękła się, a chcąc wydostać się z alkierza pod byle pretekstem, rzekła z bladym uśmiechem:

– Skoro ci zależy, chodźmy, chociaż spojrzysz na dziewczynki. Uchylę drzwi...

Już zrobiła krok, gdy ją zatrzymał. Poczowała jego palce zaciskające się na przegubie jej dłoni i zadrżała na myśl, że znalazła się w pułapce.

– Zależy mi na tobie, Mario – powiedział.

Przyciągnął ją do siebie, opasał ramionami jej biodra i wtulił twarz w jej łono. Księżna zeszywniała. Robert uniósł głowę, a dostrzegłszy jej zimne spojrzenie, sięgnął dekoltu jej koszuli i nagle rozległ się odgłos prującego się jedwabiu. Maria stała przed Robertem z obnażonymi ramionami, z nagimi piersiami. Bała się oddychać, a z jej oczu skapnęły łzy.

– Dam ci wszystko, co chcesz – rzekła wreszcie drżącym głosem – ale oszczędź mnie. Poniechaj, Robercie, tego, co jest grzechem w oczach Boga.

Czuł, jak drży z bojaźni, i zaraz odrzekł:

– Chcę korony Neapolu, Mario, zatem najpierw muszę dostać ciebie.

– Korona należy do Joanny – powiedziała, marszcząc brwi.

– Ona nie ma syna, ty możesz go mieć, my oboje, Mario – odparł ogarnięty euforią, która rozsadzała mu czaszkę, aż piekły go oczy, i czuł, jak galopujące serce łomocze mu w piersi.

Za oknem noc jeszcze głęboka. Na dziedzińcu słychać jedynie kroki strażników, ich rozmowy i zduszone śmiechy, to znowu parskanie zniecierpliwionego konia. Niccolini, który wyszedł, by zaczerpnąć nocnego powietrza, widząc wierzchowca pod bramą, mruknął do siebie:

– Dostanie po uszach nicpoń. – I zaraz zwrócił się do strażnika: – Wołajcie stajennego, widać zasnął i zapomniał o koniu. Niech go wprowadzi do stajni, a jutro się z nim policzę.

– To koń pana Montalbano – uspokoił go strażnik.

– Pan Montalbano tutaj? – zdziwił się Niccolini.

– Przybył niedawno i tu zostawił konia. Widać zaraz będzie wracał.

Dworzanin kazał otworzyć bramę i zniknął za nią, rzucił wzrok na okna na piętrze. W alkierzu księżnej tliło się mdłe światło. Czyżby Robert Durazzo odważył się pójść do Marii o tak późnej porze? I po co przybył

w środku nocy, skoro widział się z księżną tego wieczoru w Castel Nuovo? Czuł, że ta późna wizyta wróży kłopoty. Wrócił do pałacu i podążył na górę. Na schodach natknął się na pokojową i spytał:

– Gdzie pan Montalbano?

Dwórką pokręciła głową zdziwiona.

– Pan Montalbano? Nie widziałam go w pałacu.

Niccolini pokonał spieszenie schody i ruszył do alkierza księżnej. Nie zastanawiał się, czy wejść, miał bowiem przecucie, że Robert Durazzo nie przybył tu w czystych zamiarach. Zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu i pchnął drzwi. Rozwarły się na oścież, słabe światło świecy ledwie przeganiało mrok w łóżu, nad którym wisiał baldachim, a pod nim ujrzał Roberta i szamoczącą się z nim Marię.

Świt przenikał przez cienkie szyby komnaty królowej. Joanna spała twardo obok małżonka pod jedwabną kapą, gdy jej sen przerwał krzyk dochodzący z korytarza. Królowa się przebudziła i zerknęła na Ludwika, a widząc, że śpi, wsunęła stopy w trzewiki i wyszła z alkierza. Kroki i głosy służby niesły się po jeszcze pustawych korytarzach. Natknąwszy się na jakiegoś sługę, spytała:

– Co się stało? Kto krzyczał?

– Trup w studni, wasza wysokość – odparł, pochyliwszy nisko głowę. Nie pytała więcej, tylko pobiegła do korytarza, tam, gdzie okno wychodziło na dziedziniec. Spojrzała przez szybę. Przy studni przybawało gapiów pochylających się nad topielcem. Poczowała niepokój. Wybiegła na dziedziniec. Na widok królowej słudzy rozstępowali się i pochylali głowy. Czowała na sobie ich oskarżycielskie spojrzenia. Po chwili ujrzała Henryka Caracciola leżącego na bruku. Skóra mu zsiniała, Bóg wie, jak długo pływał w wodzie, oczy pełne przerażenia patrzyły martwo. Joanna spojrzała w okno swego alkierza i dostrzegła króla. Wtedy zrodziły się w niej podejrzenia. Kazała zabrać trupa do kaplicy i wróciła do komnaty. Ludwik ciągle stał przy oknie, a usłyszawszy kroki, zwrócił twarz na żonę i spytał:

– Co tam się dzieje, Joanno?

– Ze studni wyciągnęli topielca – rzekła.

– Kogo? – dociekał.

Pragnęła teraz podejść do niego i go spoliczkować. Wyrzucić mu, że to jego sprawka, że nikt tak jak on go nie nienawdził, lecz przygryzła wargi i powiedziała chłodno:

– Hrabiego Gerace.

– Caracciola! A pamiętasz? Gdy wychodził z uczty, ledwo trzymał się na nogach.

Ludwik nie przejął się tą śmiercią i zdało się królowej, że nie potrafi pohamować radości.

Joanna milczała, wpatrując się w męża przenikliwym wzrokiem. Wtedy zbliżył się i odgarniając włosy z jej twarzy, powiedział:

– Był nieostrożny. Gdyby nie odrzucił pomocy dworzan, którzy chcieli go odprowadzić do komnaty, teraz by żył. Prawda, Joanno?

Wyrwana z zadumy jego natarczywym głosem, potaknęła.

– Wracajmy do łóża, dopiero świta – zaproponował.

– Dziś jedziemy do Aversy – przypomniała mu.

– Aversa niedaleko i nie ucieknie, a dzień długi. – Uśmiechnął się bez troski i musnął palcami jej policzek.

Drewniane deski podłogi noszą ślady krwi, a woń śmierci unosi się w powietrzu i zatyka, dusi. Maria ciągle nie może dojść do siebie. Jak żywe stają jej przed oczami obrazy z nocy. O tym, co się zdarzyło, wie tylko ona i wiedział Niccolini, nikt więcej. I nikt się nie dowie. On zabrał tajemnicę ze sobą do grobu. Robert Durazzo odjechał nie niepokojony. Nie rozkazała zbrojnym go ścigać. Niech jedzie, niech syci się swoim nad Marią zwycięstwem. Lecz wygrał tylko jedną bitwę, wojnę wygra Maria. Pukanie przerwało rozmyślenia i księżna zwróciła oczy na drzwi. Weszła Rosana, która na wezwanie księżnej wprowadziła Armanda.

Maria podeszła do chłopca i pochyliwszy się nad nim, rzekła:

– Twój stryj wyjechał, Armandzie.

– Kiedy wróci? – spytał.

– Nie wróci.

– Zawsze wracał – powiedział z uporem.

– Wiem, lecz bywa tak, że ktoś bliski wyrusza w daleką drogę i nie może już wrócić.

Spod powiek chłopca spłynęły po policzkach łzy, jakby wszystko zrozumiał. Otarł je i uniósłszy oczy na Marię, rzekł:

– Teraz już nie mam nikogo.

– Masz, Armandzie, mnie i signorę Rosanę, zostaniesz z nami, póki nie dorośniesz.

Chłopiec cokolwiek pocieszony wyszedł z komnaty, Maria zaś rzekła do dwórki:

– Niech signor Zanetti rusza do królowej i powiadomi ją, że nie przyjadę do Aversy.

– Mieliście jechać, pani, królowa będzie dociekać – zauważyła Rosana, przypatrując się ze współczuciem swojej pani. Gdy nocą szła do swego alkierza, natknęła się na zbiegającego z piętra Roberta Durazzo z takim pośpiechem, że gdyby nie ustąpiła mu w ostatniej chwili z drogi, byłby ją stratował. Rosana podążyła do księżnej. Na pukanie do drzwi Maria nie odpowiedziała. Tknięta złym przeczuciem dwórka weszła bez pozwolenia. Z przerażeniem patrzyła na zakrwawioną podłogę, pościel i koszulę księżnej. W końcu spytała:

– Był u was Robert Durazzo?

Księżna przełknęła łzy i podeszła do łoża, ściągnęła skrwawioną kapę. Rosana ujrzała martwego Niccoliniego.

– Kto to zrobił? Durazzo? – spytała z trwogą.

– Przyszedł pijany – oświadczyła. Coś jeszcze chciała powiedzieć, lecz słowa utkwily jej w krtani.

– Zawołam służbę, trzeba posłać do Castel Nuovo. Powiadomić królową.

– Nie – zabroniła Maria. – Nikt nie może wiedzieć. Nikt. Trzeba go pogrzebać w katakumbach. – Wskazała na trupa. – Sprowadź Zanettiego.

– Dobrze pani, uczynię, jak rzekliście.

Maria poczuła na sobie jej wyczekujący wzrok, w którym drgało współczucie, a nie mogąc go znieść, powiedziała:

– Idź już. Trzeba to zrobić przed świtem. A zaraz potem niech Zanetti rusza do królowej i powie, że Małgorzata się rozchorowała. Przyjadę do Aversy, gdy księżniczka poczuje się lepiej.

Nad Aversą zachodziło słońce, gdy oczom Joanny ukazał się zamek. Jakże pragnęła uciec z Castel Nuovo, z tego miejsca, którego mury rozsadza zbrodnia. Ale także Aversa budzi w niej najgorsze wspomnienia. Królowa wstrzymała klacz i okręciła się na niej. Zwierzę wyraźnie poczuło niepokój jeźdźca, bo zastrzygło nerwowo uszami i zarżało bojaźliwie. Lico Joanny okryła bladość i strach zajrzał w oczy.

– Co ci, Joanno – spytał Ludwik, bacznie przypatrując się żonie, i jakby przeniknął jej duszę, dodał: – Chyba nie lękasz się duchów?

Posłyszeli to towarzyszący im dworzanie: wielki seneszał signor Acciaiuoli oraz kanclerz signor Spinelli, i spojrzeli na władczynię. Poczuła się przymuszona do odpowiedzi, więc odparła zdecydowanie:

– Nie. Są niegroźne. Ruszajmy!

Poderwała konia do galopu, lecz gdy przekraczała bramę zamku, serce zaczęło jej bić jak dzwon. Gwar panujący na dziedzińcu rozproszył złe wspomnienia i niepokój. Krótco przed parą królewską dotarły z Neapolu wozy z niezbędnymi sprzętami, a kilka dni temu posłano do Aversy wozy z prowiantem i służbę. W zamkowej kuchni uwijano się jak w ukropie, by podać na czas wieczerzę. Joanna śmiało przekroczyła wrota zamku, lecz do alkierza, który dawniej zajmowała, weszła z duszą na ramieniu, jakby nagle straciła pewność siebie i odwagę. Na widok szerokiego łoża nakrytego baldachimem i przesłoniętego jedwabnymi portierami ogarnęły ją złe przeczucia. Obiegła wzrokiem komnatę. Z kątów wyzierał pogłębiający się mrok. Pod ścianami ozdobionymi zwiewnymi tkaninami stały wielkie

skrzynie, a w powietrzu unosił się kurz. Minął szmat czasu, gdy po raz ostatni przestąpiła próg zamku – siedem długich lat naznaczonych tułaczką i strachem o życie. Teraz, wraz z jej powrotem, wróciły wspomnienia tamtych dni i owej tragicznej nocy. I znowu usłyszała głos Filipy: „Nie wolno wam wychodzić z alkierza”. I krzyk Andrzeja, błaganie o ratunek. Poczula nagły ból w skroniach, przeniknął ją na wylot, wdarł się w każdą cząstkę jej umysłu, coraz mocniejszy, pulsujący i ostry, i usłyszała żądanie, by otworzyła drzwi i zapobiegła zbrodni, i znowu krzyki, które rozsadzały jej głowę. Koszmarne wspomnienia osaczyły ją jak zjawy, aż przycisnęła dłonie do uszu, jakby owe prześladowujące ją głosy chciała zdusić i oddalić od siebie koszmarne obrazy. Naraz drgnęła, usłyszawszy za sobą kroki i oddech. Odwróciła się. W oddali stała Gisolda i popatrywała na królową z ledwie skrywaną dociekliwością.

– Nie zmrużę tu oka – rzekła Joanna. – Ta komnata przypomina mi to, o czym chcę zapomnieć.

– Pokonajcie strach, najjaśniejsza pani – powiedziała dwórka. – Przed wspomnieniami nie uciekniecie.

– Masz rację, Gisoldo – przyznała królowa. – Nie ucieknę i nigdy nie zapomnę.

Ich rozmowę przerwała Mona, która zapowiedziała przybycie signora Zanettiego, sługi Marii Durazzo. Nie zastawszy królowej w Neapolu, Zanetti pognał w ślad za nią. Joanna przywitała go z jasnym licem, była bowiem pewna, że przybył z Marią. Dworzanin szybko wyprowadził ją z błędu, oznajmiając, że księżnę zatrzymała w Neapolu choroba księżniczki Małgorzaty. Joanna jęła wypytywać o siostrzenicę, lecz sługa niewiele wiedział. W końcu królowa skwitowała:

– Dobrze, signor Zanetti, odpowiedz księżnej, że jej nie ponaglęm z przyjazdem. Niech Małgorzata dojdzie do zdrowia.

Zanetti opuścił zamek, zmienił konia i bezzwłocznie udał się w drogę powrotną.

Tymczasem Joanna zatraciła się w polowaniach, fetach, balach i ucztach, jakby pragnęła zapomnieć o wszystkim, co ją dręczyło. Przyczyniła się do

tego również obecność księcia Achai. Chwytała jego ukradkowe spojrzenia; popatrywał na nią podczas biesiad i tańców, przyciągając nie tylko jej uwagę. Jego brat Ludwik z coraz większą niechęcią spoglądał na Roberta, pamiętając, jak wiele dawniej łączyło go z królową. Zazdrosny o przeszłość i pełen niepokoju o przyszłość, za plecami żony nadał mu tak rozległe ziemie, że księżę Achai stał się jednym z najpotężniejszych panów w Królestwie Neapolu. Gdy Joanna się o tym dowiedziała od kanclerza, wpadła w furję. Wtargnęła do komnaty małżonka, w której odbywała się narada z radą królewską. Przebiegła wzrokiem po seneszalu, konetablu, admirale, tawerniku, po czym wbiwszy oczy w męża, zażądała:

– Możecie mi wytłumaczyć, wasza królewska mość, co ma oznaczać to tajne spotkanie beze mnie?! Czyżbyście zapomnieli mnie powiadomić???

Ludwik podniósł się zza stołu i wyjaśnił:

– Omawiamy kwestię wyprawy na Sycylię, której byłaś przeciwna, pani. Zresztą, sprawy wojny nie są na niewieścią głowę.

– Być może nie na niewieścią, lecz na głowę królowej owszem! – podniosła głos.

– W koronie czy bez niej, nie przestajecie być niewiastą – powiedział z drwiącym uśmiechem.

Zbliżyła się i wypomniała mu przez stół, który ich dzielił:

– Przypominam ci, że jestem ci równa! I że to ja wprawdzie zostałam królową, niżli ty włożyłaś koronę. I to mnie ją zawdzięczasz!

Król poczerwieniał z gniewu, odszedł od stołu i pochwyciwszy żonę za łokieć, oddalił się wraz z nią kilka kroków i zagroził ściszonego głosem:

– Doceniam, a teraz wyjdźcie i nie przeszkadzajcie. Wszystko wam potem powtórzę, w łożu. – Zacisnął mocno palce na jej ramieniu i zmusił ją, by wraz z nim szła w stronę drzwi.

– Wytłumacz mi jeszcze, Ludwiku, co mają znaczyć liczne nadania poczynione na rzecz waszego brata, księcia Achai? – rzekła głośno, a hardość biła jej z oczu. – Uczyniliście go panem Bari, Molfetty, Bisceglie, Potenzy i Trani! Co jeszcze mu ofiarujecie?!

Ludwik kątem oka spojrzął na urzędników, którzy przysłuchiwali się kłótni małżonków. Naraz oswobodził żonę i zwrócił się do rady:

– Panowie, dokończymy potem. Nie oddalajcie się z zamku.

Odeszli w milczeniu, niezadowoleni, że sprawy nie zostały ukończone i będą musieli siedzieć na zamku Bóg wie jak długo. Zamknęły się drzwi za seneszalem, który wyszedł ostatni.

– Mów! – zażądała Joanna, ledwo zostali sami. – Powiedz, co tobą powodowało, że uczyniłeś Roberta jednym z najpotężniejszych panów w królestwie!

– Kupiłem go licznymi lennami, by nam sprzyjał, by był nam uległy i wobec nas lojalny. Teraz rozumiesz, Joanno?

Królowa nadal nie mogła ochłonąć i podniosła głos:

– Zrobiłeś to bez mojej wiedzy, Ludwiku!

– Owszem! Ale czy to by coś zmieniło, gdybyś wiedziała? – powiedział twardo. – Jestem królem, mogę wszystko.

Spojrziała mu w oczy i ujrzała w nich butę. Zmarszczyła czoło w niepokoju, już nie odnajdywała w mężu dawnego Ludwika.

– Wynosząc Roberta tak wysoko, zasiałeś ziarno zawiści pośród baronów. To niebezpieczne, Ludwiku – przestrzegła go.

Pobyty w Aversie dobiegał końca. To miejsce już zaczęło ciążyć Joannie, drażniła ją obecność męża, jego uśmiech, pod którym wyczuwała nieszczerość. Wracając do Neapolu, wiedząc jednak, że i tam nie zazna szczęścia. Powróciwszy do zamku o zachodzie słońca, posłała do pałacu Durazzów signora Barilla, by dowiedział się od Marii o zdrowie Małgorzaty. Dworzanin minął się z księżną, gdyż ta wkrótce zjawiała się w Castel Nuovo. Ujrzawszy siostrę, Joanna spytała zatrwożona:

– Czyżby coś z Małgorzatą?

Maria przecząco potrząsnęła głową i zapewniła:

– Jest zdrowa.

Joanna poczuła ulgę i uśmiechnęła się do Marii. Mimo że choroba minęła, z oczu księżnej wyzierała zgryzota.

– Jednak to nie choroba Małgorzaty cię trapi, Mario, i nie ona zatrzymała cię w Neapolu – stwierdziła królowa.

Księżna pochwyciła przenikliwe spojrzenie Joanny i opuściła powieki, po czym oświadczyła:

– Chcę, by moim mężem został Filip z Tarentu.

Na obliczu królowej malowało się zaskoczenie. Nie rozumiała tej nagłej decyzji.

– Nie byłaś mu przychylna – zauważyła Joanna.

– Nie byłam, lecz wzięłam sobie do serca twą radę. Chcę go poślubić. Choćby jutro.

– To niemożliwe, potrzebujecie dyspensy, a to potrwa.

– Do diabła z nią! – Głos Marii zadrgał nerwowością. – Najpierw ślub, potem papież da ci wszystko, czego zażadasz.

Joanna zamyśliła się. Zauważyła, że Maria jest zdenerwowana.

– Nie rozumiem twego pośpiechu, Mario – powiedziała. – Jeśli możesz mi powiedzieć, co cię do tego skłoniło...

Księżna uparcie milczała, a wtedy Joanna rzekła:

– Jeśli Filip się zgodzi, wkrótce będziecie małżeństwem. Czekaj na wieści.

Gdy tego wieczoru, leżąc w łóżu u boku męża, Joanna wyjawiała mu, że może warto by połączyć sakramentem małżeństwa jej siostrę z jego bratem, Ludwik był zaskoczony, ale się ucieszył. Uznał, że przez to małżeństwo ród Tarentu zostanie związany z królewską krwią podwójnie, i zapalił się do tego projektu.

– Należy przekonać Filipa – powiedziała.

– A cóż on ma do gadania. Teraz, gdy jestem królem, niczego nie może mi odmówić.

– Lecz małżeństwo nie po myśli może być brzemieniem trudnym do udźwignięcia. – Joanna nie kryła obaw.

– Masz rację, sama tego doświadczyłaś z Węgrem – przyznał trochę zbity z tropu. – Jutro poślę po Filipa. Bądź gotowa w południe, rozmówimy się z nim.

Ludwik opasał ramieniem szyję żony i bąknął pod nosem:

– Tylko głupiec by przepuścił taką okazję.

Nazajutrz król posłał po brata do pałacu przy via Tribunali i przyjął go w obecności Joanny. Królowa pierwsza się odezwała:

– Mamy dla ciebie propozycję, Filipie.

Książę Tarentu w szerokim uśmiechu pokazał pośliznięte zęby i spozierając to na bratową, to na Ludwika, czekał, co Joanna powie.

– Chcemy, byś poślubił Marię, księżnę Durazzo – oznajmiła królowa.

Filip milczał, nagle wesołość roziskrzyła się w jego oczach. Jako że chwila ciszy się przeciągała, król ponaglił brata:

– Filipie, chyba nie zapomniałeś języka w gębie? Naszą wolą jest, byś pojął za żonę siostrę królowej – powiedział, akcentując ostatnie dwa słowa.

Joanna zbliżyła się do szwagra i spytała, jakby chciała złagodzić rozkazujący ton męża:

– Chcesz Marię za żonę? Powiedz, Filipie...

– Chcę. – Wszedł jej spieszenie w słowo, jakby w obawie, że się z tej propozycji wycofa.

Uśmiechnęła się z ulgą, a po kilku dniach wysłała do Marii służbę z krótką wiadomością, by nazajutrz wieczorem oczekiwała Filipa.

Czerwcową noc była gorąca, w blasku księżycy przez uliczki miasta pędziło dwóch zakapturzonych jeźdźców. Gdy stanęli przed pałacem Durazzów, natychmiast im otworzono i obie postacie spieszenie wjechały na dziedziniec. Pozostawiwszy tu konie, pomknęły do pałacu i zaraz rozległo się stukanie kołatką w drzwi. Otworzyła im Rosana. Czarne kaptury zasłaniały ich oblicza, wzbudzając niepokój dwórki. Gdy je zdjęli, rozpoznała księcia Filipa. Obok niego stał niski podstarzały opat.

– Chodźcie za mną – poleciała i skierowawszy się do holu, weszła na schody prowadzące do alkierza księżnej. Otworzyła drzwi. W komnacie

panował mrok, ale w świetle nielicznych świec dostrzegli księżnę Durazzo. Maria spoglądała na przyszłego męża z drżącym sercem i jakimś smutkiem, jakby nie do końca przekonana do tego małżeństwa. A jednak gdy opat złączył stulą ich dłonie, księżna poczuła spokój i bijące od męża ciepło^[5]. W końcu była bezpieczna.

ROZDZIAŁ 13



– To nada się do klarysek, to do zamkowej kaplicy. – Elżbieta przekładała tkaniny zaścielające okazałych rozmiarów stół, które niedawno przyniesiono do jej komnaty, i z werwą dyrygowała dwórkami. Entuzjazm królowej także im się udzielił. Oczy im błyszczały z zachwytu.

– A to, miłościwa pani? – spytała jedna z młodych dam dworu, niska ciemnowłosa Nóra.

Królowa rzuciła okiem na materiał w kolorze kasztanów i odrzekła:

– Sukno. Na habity dla mniszek, zimą nie będą marzły.

Nóra się uśmiechnęła. Odkąd Elżbieta uzyskała od papieża zgodę na budowę klasztoru w Starej Budzie^[6], każdą wolną chwilę poświęcała tej sprawie. Włożyła w projekt wiele trudu, pasji i serca, dzięki czemu mury klasztorowego budynku z każdą porą roku pięły się ku niebu, a jesienią zeszłego roku, gdy klasztor był gotowy, przybyło dziesięć zakonnic, by służyć Bogu. Królowa rzuciła się w wir pracy, tym większy, że tej wiosny Ludwik po raz kolejny opuścił Węgry, by u boku Kazimierza Piastowicza zdobywać Ruś Halicką. W ciągu dnia wypełnionego obowiązkami od rana do zmierzchu udawało się Elżbiecie rozproszyć niepokoje, lecz powracały nocą, nieco gaszone przez gorliwą modlitwę i prośby niesione do Boga, by pozwolił Ludwikowi szczęśliwie powrócić do Budy. Ludwik jest cenniejszy od Rusi – Elżbieta nieraz to powtarzała, leżąc w łożu za zasuniętymi kotarami, przez które białą rozmazaną plamą przekradał się blask księżyca. – Lecz czy wszystko, co czyni król Węgier, nie czyni dla Stefana? Dla niego nadstawia głowę, dla niego ponosi trudy wojaczki, by kiedyś Stefan zasiadł na polskim tronie. Kazimierz nie ma synów i nie spłodzi ich

z Adelajdą, drugą żoną, którą mu podsunął Karol Luksemburski. Od ich ślubu minęło jedenaście lat, zatem czy nie lepiej się stanie, gdy tron Polski przejdzie na Piastowicza, aniżeli miałyby na nim zasiąść któryś z Luksemburgów? Zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić. A może nie muszę nic czynić, bo wszystko, co się dzieje, jest wolą Bożą?

W lipcowe popołudnie przybył goniec od Stefana węgierskiego, księcia Siedmiogrodu. Pokłonił się królowej i podał jej list. Przeczytawszy wiadomość, uniosła oczy na posłańca, po czym przemknęła wzrokiem po damach dworu i oznajmiła ze wzruszeniem:

– Książę Stefan doczekał się córki, Elżbiety.

Królowa miała dumę w oczach. Zawsze marzyła o córce i teraz Bóg obdarował ją wnuczką, której na jej cześć nadano imię Elżbieta^[2].

– Jutro ruszysz do księcia Stefana – zwróciła się królowa do gońca, po czym wezwała ochmistrza dworu i kazała nakarmić przybysza oraz dać mu nocleg. Jedną z dam posłała po Elżbietę Bośniaczkę i zwracając się do dwórek, rzekła:

– Wybierzcie tkaniny na suknie. Dla ciebie może ten bławat, Nóro.

Damy dworu nie kryły radości i domyślały się, że to narodziny wnuczki spowodowały tę wielką hojność królowej. Piętnastoletnia Nóra z rodu Bebeków, odkąd przybyła na budziński dwór, stała się ulubienicą królowej. Teraz przyłożyła tkaninę do piersi – pasowała do jej zielonych oczu, a gdy zerknęła na królową, pochwyciła jej uśmiech. Naraz uwagę Elżbiety przyciągnęła poruszająca się portiera i za chwilę ujrzała Irmę, która zapowiedziawszy Elżbietę Bośniaczkę, odstąpiła na bok.

– Małgorzata urodziła córkę. – Królowa natychmiast podzieliła się dobrą nowiną z przyszłą synową.

Na wargach Bośniaczki zadrgał uśmiech. Elżbieta powróciła do tej chwili, gdy przed rokiem Ludwik wrócił z Rusi i oświadczył, że poślubi Bośniaczkę. Poczwała wtedy ulgę. Teraz uświadomiła sobie, że minęły dwa lata, odkąd to dziecko przybyło do Budy. Z każdym rokiem uroda dziewczynki olśniewała coraz bardziej, lecz zarazem bił od niej jakiś chłód. Może to wynika z temperamentu. – Królowa próbowała to sobie

wytłumaczyć. – A może tęsknota za rodzinnym domem, za matką, nigdy w niej nie wygasła. Lecz w końcu czas pokona wszystko, wszelkie żale i tęsknotę. Gdy Elżbieta poślubi jej syna, bliskość z mężem wynagrodzi jej wszystko, co utraciła. Stanie się to za rok, latem, termin ślubu został ustalony. Dziewczynka skończyła niedawno dwanaście lat, lecz dotychczas nie krwawiła. Królowa zrzuciła to na karb szczupłej budowy przyszłej synowej i podtykała jej pod nos smakołyki, a wieczorem posyłała do niej jedną z dwórek z najlepszymi specjami, prosząc, by niczego sobie nie odmawiała. Gdy nazajutrz pytała, jak jej smakowały figi albo kandyzowane w miodzie owoce, dziewczynka raz odpowiedziała, że ich nie tknęła, czym wzbudziła zdziwienie przyszłej teściowej.

– Obżarstwo i dogadzanie sobie jest grzechem, wasza wysokość – wytłumaczyła się.

Wtedy Elżbieta powiedziała do niej cicho:

– Będiesz królową. Bóg przymknie oczy na takie błahostki. – I uśmiechnęła się do dziewczynki życzliwie, po matczynemu, po czym pogładziła zielony jedwab rozłożony na stole i rzekła do Bośniaczki: – Podoba ci się? Każę uszyć dla ciebie suknię.

Twarz dziewczynki ledwo się rozpromieniła, lecz podziękowała królowej za podarek. Jakże jest nieśmiała – przemknęło władczyni przez głowę. – Nawet wdzięczność w jej ustach brzmi chłodno, a radość ma w sobie jakąś powściągliwość. Jak bardzo jest inna od mojej poprzedniej synowej, Małgorzaty.

– Może pojedziesz ze mną jutro do klarysek? – spytała królowa.

– Uczynię, co rozkażecie, najjaśniejsza pani.

Posłuszeństwo Bośniaczki było Elżbiecie miłe, jednak z drugiej strony uważała, że może nie we wszystkim powinna się z nią zgadzać. Ale wszak jeszcze nie jest moją synową, choć ja pragnę mieć w niej córkę – myślała królowa. – Może gdy poślubi Ludwika, nabierze śmiałości i pewności siebie.

Nazajutrz królowa z Elżbietą i dwoma dwórkami, Matyldą i Nórą, w eskorcie kilkunastu zbrojnych, udały się konno do Starej Budy, do

klasztoru klarysek. W obrębie murów wytyczono ogród, a w nim posadzono drzewa i krzewy, które teraz wystrzeliły ku niebu. Deszcz i słońce potrafią zdziałać cuda – królowa z podziwem przypatrywała się zieleni wiązów, które łąpczywie chwyciły się muru i pięły się w jego szczelinach. Jakże dobrze byłoby tu spocząć na wieki pośród szumu wierzb i topoli, pod błękitnym niebem, z dala od gwaru. Elżbieta dobiegała pięćdziesiątki i choć zdrowie jej dopisywało, to jej głowa zapełniała się także takimi myślami. Królowa nabrała w płuca wilgotnego rzeczno powietrza i skierowała wzrok ku wodom Dunaju, które przepływały nieopodal, i ku długiej wyspie, sąsiadującej z Wyspą Królików. Pan Újlaki zapukał do furty, małe okienko się rozwarło i pojawiły się czujne oczy.

– Otwórzcie, królowa przybyła – rzekł dworzanin.

Mniszka rozwarła furtę na oścież i Elżbieta wraz z dwórkami przekroczyła mury klasztorne, zbrojni zaś pozostali na zewnątrz. Jeszcze w trakcie budowy klasztoru królowa wystarała się u Klemensa VI o pozwolenia na odwiedzanie klasztoru, na udział we mszach, na ingerowanie w jego sprawy i decydowanie o wielu rzeczach. Gdy przed jej obliczem stanęła niespełna czterdziestoletnia kobieta, Elżbieta zwróciła się do niej życzliwie:

– Wielebna matko.

Przełożona klasztoru pochyliła głowę przed królową, mając w niej nie tylko założycielkę klasztoru, lecz także najtroskliwszą matkę przebywających tu klarysek. Nie zbywało im na niczym, a każda prośba zanoszona do fundatorki spotykała się z przychylnością. Dzięki szczodrości węgierskiej władczyni kościół klasztorny nabierał blasku. Gdy Elżbieta ze swą skromną świtą przestąpiła próg świątyni, poczuła się tutaj jak u siebie. To ona wybierała obrazy zdobiące ściany i krzyż, który wisiał na wprost i przyciągał wzrok surowym drewnem. Królowa uklękła przed krzyżem, pomodliła się, po czym przeżegnała i rzekła cicho do przeorowsy:

– Przyślę tu jeszcze kilka obrazów i obrusy na ołtarz, a niebawem podaruję wam kilka wsi i młyny. Dochody z nich wystarczą na bieżące potrzeby.

Oblicze wielebnej matki się rozpromieniło, ośmielona hojnością królowej powiedziała:

– Bóg wam zapłać, najjaśniejsza pani. Co się tyczy kościoła, nic nie przyniesie mu większej czci niż święte relikwie.

– I o tym pomyślimy – odparła królowa, trochę zakłopotana tą sugestią. I chociaż była w posiadaniu własnych relikwii, które skwapliwie gromadziła i przechowywała w swojej kaplicy, to nie była skłonna dzielić się owymi skarbami z kimkolwiek, nawet z klaryskami, które dzięki jej uporowi i determinacji zagnieździły się tuż pod jej nosem i które wszystkimi siłami wspierała. Śpiew, jaki poniósł się z wysoka, zatrzymał Elżbietę, która spojrzała ku górze. Mimo że wyteńczyła wzrok, nikogo na chórze nie dostrzegła.

– To jedna z sióstr ćwiczy psalm – wyjaśniła przeorysza.

– Nie przeszkadzajmy jej – rzekła Elżbieta i wyszła z kościoła przy wtórze śpiewu, który ją urzekł. Przeorysza zawiodła ją do ogrodu, gdzie między grządkami uwijały się mniszki, a pośród nich kilka nowicjuszek. Wszystkie natychmiast przerwały prace i pochyliły głowy. Ona zaś skinęła na idącą tuż za nią Elżbietę, która trzymała koszyk wypełniony lnianymi woreczkami, i rzekła do mniszek:

– Nasiona na jesienny siew.

Dziewczęta w białych zawiciach okalających ich oblicza i rozjaśniających czerń ich welonów podziękowały uśmiechem. Elżbieta Bośniaczka i dwórki królowej pozostały przy nowicjuszkiach, a królowa wraz z matką przełożoną oddaliły się, aby pomówić na osobności. Przyjemnie mijał czas zarówno królowej, jak i jej dwórkom, lecz nadeszła pora powrotu do zamku. Elżbieta dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo zasiedziała się u klarysek. Jasne niebo niepostrzeżenie zakryła szara smuga, lecz nadciągający zmierzch nie uwolnił z kwiatów owej niezwykłej mocnej woni, jaką królowa czuła tu zawsze u schyłku dnia. Dziś było w powietrzu coś niemiłego, co drażniło powonienie, lecz Elżbieta nie zaprzętała sobie tym głowy i wróciła do zamku. Nocą niebo rozżarzyło się czerwienią. Wicher uderzył w okna alkierza i otworzył je na oścież. Wyrwana ze snu

królowa patrzyła na płonące niebo. Właśnie wsuwała stopy w trzewiki, gdy przysła Matylda i roztrzęsiona wydukała, że pożoga po drugiej stronie Dunaju trawi lasy i że gniew Boga musi być wielki, skoro zsyła na ludzi tak srogą karę. Czerwona łuna ognia zaczęła płowieć dopiero z nadejściem świtu, lecz pożar trwał jeszcze kilka dni. W budzińskich kościołach i pobliskich klasztorach modlono się żarliwie o deszcz. Czarna chmura dymu zakryła słońce i w środku dnia zapadła noc, trzymając w swych kleszczach naddunajskie ziemie aż do Świętej Weroniki^[8]. Potem przyszedł wymodlony ulewny deszcz i zmył ludzkie grzechy. Bóg przebaczył grzesznikom i wyjrzało słońce, lecz woń spalenizny jeszcze unosiła się w powietrzu, a Dunaj zapełnił się trupami szukającej ocalenia zwierzyny. Królowa udała się na Górę Gellerta, by stamtąd objąć wzrokiem swoją krainę. Gdy wdrapała się na szczyt, poczuła głęboki smutek na widok poczerńiałej od ognia ziemi po drugiej stronie rzeki, a kiedy milcząca i posepna schodziła w dół, ogarnął ją jakiś niepokój. Przeżegnała się, jakby chciała odpędzić zło. Powiadano bowiem, że góra jest święta za sprawą męczennika biskupa Gellerta, ale zarazem przeklęta, gdyż nocą jest we władaniu diabła. Zlatują się tutaj na sabat czarownice, by odprawiać swoje rytuały i szkodzić ludziom. Ile w tym prawdy, nie wiadomo, ale trzeba się lękać czarta, który wiele dusz może przywieść do zguby – tego Elżbieta była pewna. Królowa skierowała się ku południowemu stokowi góry rozgrzanej od prażącego słońca. Mijała rozłożyste drzewa figowe, gdy dostrzegła pędzącego ku nim jeźdźca w barwach Andegawenów. Jeździec jeszcze nie zeskoczył z konia, a już zakrzyknął ochrypłym głosem:

– Miłościwa pani, wieści z Rusi! Król ranny! – I zaraz osadził wierzchowca, zeskoczył z konia i pokłonił się królowej.

Elżbietę przeniknął ból, a głowę rozsadała jedna myśl: czyż rozszałała pożoga nie była znakiem niebios, przestrogą przed nieszczęściem? Droga powrotna wydała się królowej długa jak nigdy dotąd, wzgórze zamkowe odległe, mimo że w wielkim pośpiechu mijała bukowe zagajniki i nadrzeczne skupiska zarośli. Gdy dotarła na miejsce, w korytarzu już czekał na nią Imre Bakócz i pochylał przed władczynią głowę.

– Mów, panie Bakócz, co z królem! – rozkazała Elżbieta.

– Najjaśniejsza pani, król ciężko ranny, ale żyw, niech Bóg chroni króla.

Szloch wyrwał się z piersi królowej. W duchu przeklinała Ruś, przeklinała wojnę, która może kosztować życie syna. Naraz zza ramieniem gońca ujrzała zapłakaną twarz Bośniaczki. Królowa po raz pierwszy widziała jej łzy. Ona, władczyni Węgier, potrzebuje pocieszenia, a kto pocieszy jej przyszłą synową?

Elżbieta podeszła do dziewczynki i zdusiwszy w sobie szloch, rzekła, ocierając jej łzy płynące gęsto po policzkach:

– Będziemy się modlić. Każdego dnia będą msze i gorące modlitwy w intencji powrotu Ludwika do zdrowia. Zobaczysz, Elżbieto, Bóg nas wysłucha. Wysłucha nas...

A jednak żalność była w królowej tak wielka, że nie mogła powstrzymać łkania. Potrzebowała chwili, by się uspokoić, i roztrzęsiona rzekła do Bakócza:

– Zapraszam was na wieczerzę, opowiecie nam o wszystkim, a jutro, skoro wypoczniecie, ruszycie do króla. Powiedzcie Ludwikowi, że czekam na niego, niech wraca, powiedzcie, że nie chcę opłakiwać kolejnego syna.

Nazajutrz Imre Bakócz opuścił Budę, a królowa z Bośniaczką popłynęły na Wyspę Królików. Władczyni modliła się u grobu Świętej Małgorzaty. Obok niej tkwiły na klęczkach przyszła synowa i dwie towarzyszące im dwórki, równie jak władczyni rozmodlone. Potem udały się do pobliskiego cudownego źródła. Orzeźwiająca woda przeciskała się szczelinami i spływała niewielkim strumykiem po gładkich kamieniach. Delikatny odgłos mieszał się z szumem topoli i wierzb otaczających źródło. Elżbieta pochyliła się i nabrała wody do naczynia. Gdy przycisnęła je do serca, poczuła błogość, i pełna wiary rzekła do dziewczynki:

– On wróci, Ludwik wróci cały i zdrow, Elżbieto. – Uniósłszy oczy ku niebiosom, dodała z przekonaniem i spokojem: – Ja to wiem.

Uśmiech ożywił oblicze dziewczynki. Uwierzyła w te słowa. Jasne myśli sprowadzają dobre rzeczy. Królowa wsłuchiwała się w odgłosy ptactwa,

przeciągłe miauczenie odezwało się tuż nad ich głowami. Gdy zwróciły tam źrenice, dostrzegły myszołowa krążącego nad ziemią, jego rozpostarte wielkie skrzydła na moment okryły obie Elżbiety cieniem. Lecz królowa nie czuła strachu przed ptaszyskiem, nieraz widziała, jak nagle zniża lot i chwyta szponami mysz albo inne niewielkie zwierzę. Wyspa należała do dzikich, lecz niegroźnych zwierząt, których ślepia błyszcząły pośród gęstwiny i wyglądały z nadbrzeżnych szuwarów. Królowa czuła na sobie ich wzrok. Lecz oprócz oczu zwierzyny śledziły Elżbietę i jej niewielki orszak oczy Kostuszy błyszczące wśród tataraku. Przybyła na wyspę po pożarze, który wygonił z drugiej strony rzeki z bujnej krainy wiele stworzeń, i tu osiadła po długim czasie tułaczego życia. Do Baróki, która przysłała tu za nią, jak dziecko idzie za matką, powiadała: Tu chcę żyć i tu umrzeć. Każdy rok życia kruszył jej kości, twarz naznaczał grubą siecią zmarszczek i garbił plecy. Łasica patrzyła na swą matkę ze smutkiem, a wtedy starucha mówiła: Nie lękaj się, dla ciebie chcę żyć. A potem zobaczyła, jak skośne oczy łasiczki poweselały, jak nadstawiała łepkę do głaskania, złakniona pieśczoły. Teraz obie, matka i jej przybrana córka, wpatrywały się w obcych, uzbrojonych po zęby ludzi. Gdy królowa nagle się odwróciła, Kostusza skryła się w wysokich trawach z łasicą pod pachą.

Elżbieta wróciła do zamku na wzgórzu budzińskim spokojna i pełna jasnych myśli, a mimo to nieustająca w modlitwach o szczęśliwy powrót syna. I stało się to wrześniego dnia. Chłodny wiatr zwiastował schyłek lata, z drzew spadały pierwsze pożółkłe liście, a pomiędzy gałązkami tkały się pierwsze pajęczyny. Wieść o tym, że król jest już na węgierskiej ziemi, wyprzedzała jego armię o wiele mil i w połowie sierpnia dotarła do Budy, powodując ogólną radość. Odtąd obie Elżbiety z niecierpliwością wypatrywały Ludwika. U schyłku dnia zjawił się na zamku pan Bakócz. Pokłonił się królowej nisko i rzekł:

– Najjaśniejsza pani, król pięć mil za miastem.

Elżbieta spiesznie podniosła się z zydła, odłożyła na stół koszulę, którą haftowała dla Ludwika, i wezwała sługę, by rozkazał siodłać dwa konie, po czym rzekła do Bośniaczki:

– Wyjdziemy królowi naprzeciw, będzie nam rad. Poprowadzisz nas do króla, panie Bakócz – zwróciła się do dworzanina i zaraz odesłała Elżbietę do komnaty dwórek, nakazując, by się ciepłej ubrała, sama zaś wydawała spieszenie pilne dyspozycje. Spotkały się na dziedzińcu skąpanym w zachodzącym słońcu. Królowa dostrzegła, że dziewczyna nie ma na sobie czepka, a jej głowę zdobi bramka z białych pereł, których piękno podkreślały ciemne włosy. Pomyślała, że przyszła synowa chce się Ludwikowi przypodobać i że owe starania dobrze wróżą.

– Wasza wysokość, konie gotowe – rzekł Ferkó Újlaki, który już zebrał dziesięciu zbrojnych, gotowych natychmiast ruszać w drogę. Czekali na rozkazy, wlepiając oczy w młode dwórki królowej, które tutaj, na zamku, miały oczekiwać powrotu królowej i króla.

Dwie Elżbiety, dosiadłszy wierzchowców, skierowały się ku bramie i pognały na północ. Na przedzie galopował pan Bakócz. Niebawem jeźdźcy wjechali w gęsty mroczny bór. Powietrze tutaj było rześkie, nasiąkłe wonią mokrego mchu i grzybów. Gdy stanęli na skraju lasu, roztoczyła się przed nimi rozległa polana pełna wrzosów skąpanych w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i przecięta wąską ścieżyną wydeptaną przez końskie kopyta. Królowa już miała ruszać naprzód, gdy pan Újlaki zakrzyknął do zbrojnych:

– Otoczyć królową!

Klacz królowej przysiadła na zadzie, rozdęła nerwowo chrapy, zbrojni w okamgnieniu otoczyli kobiety. Elżbieta nie zrozumiała tej nagłej sytuacji, pojęła ją dopiero, gdy dostrzegła pędzących od strony lasu jeźdźców. Powiewały na wietrze ich krótkie peleryny, błyszczał oręż u boku, budząc niepokój. Dworzanin pierwszy rozpoznał barwy królewskie i rzekł do Elżbiety:

– Najjaśniejsza pani, król.

Zbrojni się rozstąpili i królowa pognała przed siebie, zostawiając z tyłu przyszłą synową i dworzan. Wpatrywała się w kilkunastoosobowy orszak, od którego nagle oderwał się jeździec i popędził galopem jej naprzeciw. Wtedy rozpoznała syna. Po chwili, będąc już całkiem blisko, zsiadła

z klaczy i czekała, aż Ludwik się zbliży. Podjechał ku matce, wstrzymał wierzchowca. Elżbieta pochwyciła uzdę jego konia i uniosła oczy na króla.

Ludwik ujrzał w nich łzy i powiedział pocieszająco:

– Matko, wróciłem w chwale. Bełz^[9] poddał się mnie, królowi Węgier, nie waszemu bratu.

Zsiadł z konia i zachwiał się, prawicę położył na sercu, jakby przeszył go nagły ból. Królowa wsparła Ludwika na swym ramieniu i odparła zasmucona:

– Bełz nie jest wart twego życia, synu.

Poczuł, jak jej dłoń delikatnie spoczęła na ręce, którą trzymał na swej piersi. Wtedy pochwycił ją i ucałował. Nagle spostrzegł narzeczoną, która właśnie zsiadała z konia.

– Jestem szczęśliwy, że obie was widzę w zdrowiu – powiedział i zostawił matkę, by przywitać się z Elżbietą.

Królowa obejrzała się za synem, poczuła jakiś nagły chłód i pustkę. Wiedziała, że żona musi zastąpić matkę, że to nieuniknione, lecz trudno się z tym pogodzić, trudno dzielić się ukochanym synem z drugą kobietą. Widziała, jak Bośniaczka pochyła przed królem głowę, jak on ją z ukłonu podnosi, a ona się rumieni, lecz wnet ten rumieniec znika z jej lica i tylko uśmiech rozjaśnia jej twarz, dodając wdzięku. Królowa przypatrywała im się ukradkiem, lecz już z jakimś ciepłem, gdy widziała oboje szczęśliwych. Ludwik ucałował policzek przyszłej żony, lecz pragnąłby już teraz skosztować jej ust. Nie widzieli się od zimy, czas przysłużył się jego narzeczonej. Elżbieta zdała się Ludwikowi jeszcze piękniejsza, piersi uniosły jej suknię, choć nadal była smukła i nad wyraz wysoka. Inna od Małgorzaty, którą kochał. Miała w sobie chłód bijący z jej spojrzeń, lecz za nim kryło się ciepło, była jak małża, którą tylko wprawne ręce potrafią otworzyć i wydobyć z niej to, co najlepsze. Twarz młodej Elżbiety jaśniała na widok przyszłego męża, a blask w jej oczach gasł, gdy spoglądała na jego matkę. Ludwik to dostrzegł, lecz pomyślał, że może się myli, może zwodzą go oczy. Przecież to matka wybrała mu żonę.

– Tęskniłaś? – spytał narzeczoną.

– Modliłam się o was, panie. I bałam się, że was już nie zobaczę – odparła, a głos jej zadrżał.

– Nadaremno – rzekł na to i uśmiechnął się, jakby chciał przegnać złe myśli. – Bóg dla mnie łaskaw, jak widzisz, Elżbieto, wróciłem, by cię poślubić.

Król musnął palcami jej brodę, rad by ucałować jej usta i może byłby to zrobił, gdyby nie spuściła wzroku, jakby odczytała w jego oczach owo pragnienie i się spłoszyła. Ludwik pomógł narzeczonej dosiąść klaczy, po czym wskoczył na swego wierzchowca i nakazał panu Bakóczowi, by pospieszył do taborów i przekazał marszałkowi dworu, że zmierza na zamek wraz z matką i narzeczoną. Powracano do Budy, gawędząc miło i mimo zapadającego zmroku bez pośpiechu. Król rad by jeszcze przedłużyć przejażdżkę u boku narzeczonej, lecz zawodzące od lasu wilki ponagliły jeźdźców do szybszej jazdy. Niebawem przy blasku pochodni wjechano na dziedziniec zamku. Król rozstał się z Elżbietą i pospieszył do swych komnat, gdzie zastał dwóch pokojowców. Ledwo zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy zjawiła się królowa i zaproponowała:

– Pomogę ci zdjąć płaszcz.

Ludwik nie wzbraniał się, rana jeszcze mu dokuczała. Ściągając odzienie z syna, Elżbieta gestem odprawiła służbę, po czym spytała:

– Jak rana? Goi się?

– Tak, nie trapcie się, matko – zapewnił.

Rozsupłał rzemyki u kaftana i rozwiązał sznurki u koszuli, obnażając piersi. Królowa dostrzegła zaczerwienioną ranę tuż pod sercem i zatrwożyła się, jak blisko śmierci był jej syn.

– Kazałam przygotować kąpiel. A potem, jeśli pozwolisz, sama cię opatrzę, przygotuję gojące maści. Prędko zasklepią ranę.

– Marzę o kąpeli... a dziś, gdy byłem tak blisko Budy, zatęskniłem za polowaniami w naszych lasach.

– Musisz się oszczędzać, Ludwiku, nie jesteś jeszcze zdrowszy – zauważyła, a gdy usiadł na krześle, dodała: – Wyciągnij nogi, zdejmę ci buty.

– Ach, matko, przestańcie mnie niańczyć – powiedział wzburzony i przyłożył dłoń do rany, jakby chciał uśmierzyć ból. – Mam od tego pokojowca. I przyślijcie kogoś z maściami, sługa mnie opatrzy.

– Dobrze, przyślę – odparła. Jego irytacja nieco zgasiła jej gorliwość, lecz tylko na chwilę, gdyż zrzuciła ją na karb trudów podróży i ciągle dokuczającej mu rany. – Sporządź maść, która uśmierzy ból.

– O wszystkim myślicie, matko, dziękuję wam – powiedział tym razem łagodnie.

– Jutro wydamy ucztę na twoją cześć, a dziś powinienes odpocząć. Kazałam przynieść wieszczę do twojej komnaty – rzekła i już miała się wycofać, gdy ją zatrzymał.

– W takim razie zjedzcie ze mną. Na pewno chcielibyście usłyszeć nowiny.

– Chętnie posłucham, co u Kazimierza. Mam nadzieję, że jest zdrow – powiedziała.

– Jest silny jak tur, trzyma się prosto, choć dawno przestał być młodzieńcem. Zwierzył mi się z pewnej sprawy, która doprawdy mnie niepokoi.

– Jakiej sprawy? – Elżbieta nadstawiła ucha.

– Najchętniej unieważniłby małżeństwo z Adelajdą.

– Wyznał ci to? – spytała z lekkim niedowierzaniem w głosie.

– Nie jest tak naiwny, by wyjawiać zamysły przed czasem.

– Nawet jeśli chodzi mu to po głowie... To nie zależy od niego – skwitowała Elżbieta.

– Rzeczywiście, ale jeśli papież się ugnie i stryj poślubi trzecią żonę, a ona da mu syna...

– Nie poślubi, Klemens nie unieważni świętego sakramentu – odparła królowa spokojnie, ale jej słowa go nie przekonały.

– Korona Polski nie zjednoczy się pod berłem Andegawenów, Stefan nie zasiądzie na tronie – powiedział. – Przekonajcie stryja, matko, że nie godzi

się katolickiemu królowi odtrącać małżonki poślubionej przed Bogiem tylko dlatego, że jest bezpłodna.

– Dobrze, powiem Kazimierzowi – przystała na to.

– Napiszcie do niego, i to jeszcze dziś, a jutro poślijcie gońca do Krakowa – sprostował i położył rękę na matczynej dłoni spoczywającej na stole.

– Gdy przybył pan Bakócz z wieścią, że jesteś ranny i bliski śmierci, złożyłam Bogu obietnicę – odparła. – Jeśli pozwoli, byś wrócił żywy do Budy, udam się do grobu naszej prababki królowej Kingi i tam podziękuję Mu za twoje ocalenie.

– Możecie podziękować tutaj. Dość u nas kościołów, nie musicie wyprawiać się w daleką drogę, tym bardziej że jesień coraz bliżej.

– Wrócę przed zimą. Zresztą sam wiesz, że modlitwa tutaj byłaby zbyt prosta i łatwa, tymczasem poświęcenie i trudy, które ponosimy dla Boga, są w Jego oczach największą zasługą. I pomówię z Kazimierzem – obiecała.

– Dobrze, jedźcie, a o Elżbietę się nie troszczcie.

– Zabiorę ją ze sobą – oświadczyła.

Nie pytała, czy jej wolno, czy mu się to podoba. Bośniaczka nie była jeszcze jego żoną, lecz dwórką i jej wychowanicą, do dnia ślubu z Ludwikiem należała do królowej Węgier.

– Ona także złożyła przed Bogiem przysięgę? – spytał.

Królowa potaknęła:

– Dziś widziałam, jak na nią patrzysz. Myślę, że stała ci się bliska.

– Nic nie zwiedzie waszych oczu, matko. – Ludwik się uśmiechnął, królowa zaś opuściła powieki i zwróciła twarz w stronę okna, jakby lękała się, że myśli, jakie zakłębiły się jej w głowie, zbyt wyraźnie odbijają się w jej oczach i że Ludwik może je odgadnąć. Nie chciała zostawiać tej dziewczyny bez opieki, wolała mieć ją na oku. Może nie ufała synowi, może pamiętała zdarzenie sprzed wielu lat i lękała się, że krew wzburzy się w Ludwiku tak jak tamtego kwietniowego dnia wzburzyła się w jego stryju Kazimierzu.

– Kiedy chcecie jechać, matko?

– W Świętego Remigiusza^[10].

– Nie zdążę się wami nacieszyć – skwitował, nie kryjąc smutku. – Do Świętego Remigiusza pozostały trzy niedziele.

– Wynagrodzimy ci to z nawiązką po powrocie – obiecała. – Tymczasem dbaj o siebie i nie chodź na grubego zwierza.

– To mogę wam obiecać – rzekł z uśmiechem. – Ale tylko do waszego powrotu.

Nazajutrz królowa z właściwą sobie werwą zaczęła wydawać polecenia, wszystkim sama zawiadywała, jakby chciała jak najlepiej przygotować się do dalekiej podróży. Wieczór przed wyjazdem spędziła z Ludwikiem. Wspominała wówczas spędzone w Krakowie dzieciństwo i młodość i nieraz przywoływała w pamięci ojca, a jeszcze częściej matkę, jakby ona była jej ostoją i mówiła, jak żyć, by było to miłe matce, ojcu i Bogu. Wszystkie nauki Elżbieta przyjmowała z uwagą i pokorą. I gdzieś między tymi obrazami przewinęła się postać jej starszej o dziesięć lat siostry, Kunegundy. Rozstały się, gdy Elżbieta miała pięć lat, a Kunegunda opuszczała rodzinny dom, by poślubić księcia świdnickiego. I potem, gdy w 1333 roku doszły na Węgry wieści o śmierci siostry, na Elżbiecie ta śmierć nie wywarła wrażenia, nie przeżywała żałoby, bo też siostrę pamiętała jak przez mgłę. Elżbieta cieszyła się na wyjazd i myślami już była na Wawelu, stąpała po korytarzach klasztoru klarysek w Starym Sączu i modliła się u grobu matki i ciotecznej babki, Kingi, już za życia uznawanej za świętą, przez wzgląd na łaski, jakimi obdarowywała gorliwie proszących o wstawiennictwo do Boga.

Dzień Świętego Remigiusza, biskupa z Reims, wypadł w niedzielę. Mając boskie błogosławieństwo, królowa Węgier zaraz po śniadaniu opuściła zamek w Budzie i skierowała się na północ. Ludwik towarzyszył matce i narzeczonej, która jechała konno u jego boku i coraz popatrywała na przyszłego męża, jakby żałowała nieuchronnego rozstania. Królowa wysunęła się naprzód, pozostawiając młodych samych, by mogli się sobą nacieszyć, zanim się rozłączą. Niebo dotąd zakryte kilkoma obłokami naraz

zasnuło się szczerlnie bielą, zza której próbowało się przebić blade słońce. Wiatr ustał. Dojeżdżano do rozstaju leśnych dróg, gdy zaczęło siąpić. Tutaj król pożegnał matkę i narzeczoną, które po chwili skryły się w karocy, a Ludwik pognął w drogę powrotną, pozostawiając przy królowej pana Bakócza, by odprowadził ją do ziemi sądeckiej, a potem przyniósł mu wiadomość, że matka z narzeczoną szczęśliwie dotarły do celu.

ROZDZIAŁ 14



Rozległe ziemie Równiny Panońskiej wygrzewały się w październikowym słońcu 1352 roku. W wodach Dunaju odbijało się błękitne niebo, a pogoda sprzyjała podróżującym, lecz gdy królowa Węgier dotarła do Karpat, zaczął padać marznący deszcz i orszak z niemałym trudem pokonywał śliskie przełęcze górskie, po czym oblepiony chłodną mgłą, po siedemnastu dniach podróży dotarł do ziemi sądeckiej. Wtedy znowu zaświeciło słońce, a w jego promieniach lśniły złote lilie na niebieskim tle zdobiące królewskie karoce. Kierowały się ku nim nieufne spojrzenia tubylców. Niejeden z nich zginał kark przed obcymi i czynił na piersiach znak krzyża, jakby w orszaku nie jechała Łokietkowa córka, nie siostra króla Kazimierza Piasta, lecz jakaś obca pani z dalekiego królestwa. Elżbieta nie dostrzegła owych czujnych spojrzeń, spoglądała ku dalekim krajobrazom porudziałyh lasów. Im bliżej Nowego Sącza, tym orszak królewski coraz częściej mijał wozy zaprzęgnięte w woły, które zmierzały traktem handlowym na Węgry; to już ostatni czas dla kupców, by zdążyć przed zimą. Elżbieta syciła oczy zmurszałymi kapliczkami u rozstaju dróg. Przy jednej z nich zatrzymała się na krótki postój, by pod figurą świętego zmówić modlitwę. Jakże poczuła się tu szczęśliwa pośród odpoczywających po lecie pól i łąk wypłowiałyh od uschłych traw. A gdy w dali ujrzała zamek górujący nad okolicą, serce zabiło jej mocniej. Kiedy minęli głębokie parowy, oczom królowej ukazał się Dunajec, na jego lewym brzegu łanie piły wodę, lecz coraz podnosiły głowy i spoglądały czujnie ku obcym. Przeprawiwszy się przez rzekę, orszak prowadzony przez kilkunastu polskich panów, którzy z rozkazu króla wyruszyli

królowej naprzeciw, wjechał na zamkowy dziedziniec. Od kilku dni Kazimierz czekał tu na siostrę, czas spędzając na łowach i w leśnej gęstwinie zapominając o kłopotach. Stracił radość nawet z polowań, gdy ostatniego dnia przybyła do Nowego Sącza jego żona, Adelajda. Nie mógł jej odmówić przyjazdu, uznano by to za lekceważenie, więc Kazimierz zacisnął zęby i nie wzbraniał Adelajdzie, by wraz z nim powitała w progach zamku węgierską królową. Gdy Elżbieta wysiadła z karocy i natychmiast otoczyły ją dwórki, które ze sobą zabrała z Budy, pochwyciła wzrok brata, jakim się po nich prześlizgnął, a gdy całowała Kazimierzowe policzki, dostrzegła, że utkwił oczy w czymś lub kimś. Gdy się obejrzała, wnet odgadła, któż tak jej brata zauroczył.

– Elżbieta z Bośni, narzeczona Ludwika – przedstawiła przyszłą synową, pamiętając, jak swego czasu wpadła Kazimierzowi w oko matka Bośniaczki, gdy przebywał na Węgrzech.

– Wypada mi pogratulować – odparł król z uznaniem, ale Elżbieta wyczuła w jego głosie nutę zazdrości i uśmiechnęła się, po czym wzrokiem przebiegła po niewiastach stojących za Kazimierzem, zastanawiając się, która z nich jest żoną jej brata.

– Adelajdo – rzekł król, oglądając się za siebie. Na te słowa, jak na rozkaz, kilka kroków naprzód wysunęła się wysoka i smukła królowa Polski. Nie tak ją sobie Elżbieta wyobrażała. Adelajda nie była urodziwa – małe, zbyt blisko osadzone oczy i długi nos nie dodawały jej wdzięku. Jednakże uroda nie jest posagiem nieodzownym, by zawrzeć mariaż – o tym Elżbieta dobrze wiedziała. Tylko zrodzeni z małżeństwa synowie umacniają pozycję królowej. Lecz mimo jedenastu lat Adelajda nie powiła nawet córki. I teraz królowa Węgier dostrzegła w oczach bratowej strach. Adelajda lękała się o przyszłość. Jeśli Ludwik przejrzał zamysły Kazimierza, jego żona z pewnością także je zna. Podkomorzy zawiódł królową Węgier i jej dwór do komnat, a wieczorem na cześć Elżbiety wydano ucztę. Kolejny dzień królowa spędziła w zamku, gdyż już nocą nad miastem zawisły ciężkie chmury i zaczęło się śnieżyć. Z rana rozpakowała skrzynie, a popołudnie spędziła z Adelajdą, tocząc błahe rozmowy,

w trakcie których udało się Elżbiecie dostrzec w oczach bratowej nieufność. Zgryzoty dręczyły królową Polski, lecz Adelajda trzymała język za zębami, wszelkie lęki zachowując dla siebie, i tylko nie kryła się z miłością do Kazimierza, nieraz wspominając, jak bardzo go kocha, jak jest jej bliski i drogi. Elżbieta chciałaby współczuć bratowej, gdyż nie widziała w niej żadnej winy, lecz jest siostrą jej męża, królową Węgier, wie, co to znaczy kobieca powinność wobec dynastii i że litość oraz współczucie nie mają tu nic do rzeczy. Królowa Węgier chętnie dzieliła się wiedzą o ziołach, na co Adelajda skwapliwie nadstawiała ucha, gdyż temat ten także jej nie był obcy. Wymieniły nowiny z obu dworów i nawet nie dostrzegły, jak prędko minął czas. Nadeszła pora wieczery. Kazimierz nie krył, że lada dzień opuści Nowy Sącz, lecz Elżbieta może zatrzymać się w zamku, jak długo zechce, a potem udać się do Krakowa, jeśli takie ma życzenie. Siostra z wdzięcznością uścisnęła jego dłoń i rzekła:

– Obiecałam Ludwikowi, że wrócę przed zimą.

Oznaczało to, że i ona nie zagrzeje tu długo miejsca. Kazimierz ucałował jej odzianą w czarną rękawiczkę dłoń. Elżbieta wysunęła rękę z jego uścisku i w pierwszej chwili spuściła wzrok, lecz zaraz odważnie spojrzała na brata i zaproponowała:

– Niebawem się rozstaniemy, zatem pojedź ze mną jutro do klarysek, do grobu naszej matki.

– Jutro polujemy – odparł, jakby te wspólne odwiedziny nekropoli nie były mu na rękę, a może po prostu nie chciał się pozbawiać przyjemności gonitwy za zwierzyną.

Elżbieta z trudem skryła rozczarowanie odmową i zaraz zwróciła się do bratowej:

– Adelajdo, chyba mi nie odmówisz.

Królowa Polski nie odmówiła. Pomyślała, że wspólna wyprawa ze szwagierką będzie miłą rozrywką przeganiającą nudę codzienności.

– Jutro po prymie – rzekła Elżbieta.

Pora była późna, więc udała się do swojej komnaty. Dwórki weszły, by jej usłużyć, lecz nieoczekiwanie zjawił się Kazimierz.

– Czyżbyś o czymś zapomniał? – spytała.

Spojrzał wymownie na jej damy dworu, więc królowa natychmiast się zorientowała, że nie chce przy nich rozmawiać, zatem je odesłała.

Gdy zamknęły się drzwi, król rzekł:

– Jedziecie obie do klasztoru.

– Masz na myśli Adelajdę? – spytała.

Potaknął.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu – odparła.

– Nie mam... lecz gdy będziecie same, nie słuchaj żalów mojej żony.

– Żalów? – powtórzyła, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli.

– Adelajda jest zgorzkniała. Robi z siebie cierpiętnicę.

– Ma powody? – spytała Elżbieta.

– Ja się nie skarżę, moich skarg słucha tylko Bóg – odparł wymijająco.

– Odpowiedział ci chociaż? Pocieszył, gdy tego potrzebowałeś?

– Nie oczekuję pociechy od nikogo – odparł porywczo. – Chcę jedynie żony, która urodzi mi syna.

– A jeśli Adelajda ci go nie da, co zrobisz? Oddalisz ją i spłodzisz syna z nałożnicą? On nie zasiądzie na tronie.

– Jest jeszcze papież. – Głos mu zadrżał nerwowo.

– Nie możesz unieważnić małżeństwa, które zawarłeś przed Bogiem – rzekła, a stanowczość w jej tonie spowodowała, że oblicze Kazimierza ochłodziło, i odparł:

– Widzę, że już cię sobie zjednała.

– Nie, Kazimierzu – rzuciła stanowczo. – Jestem twoją siostrą i będę stać po twojej stronie również teraz, lecz są rzeczy, które rozsądzić może tylko Bóg, nie człowiek. Składać przed Bogiem fałszywą przysięgę to grzech śmiertelny.

Zbliżyła się do niego i dostrzegła srebrzyste nitki w jego ciemnych włosach. Miał niewiele ponad czterdzieści lat, a nie widziała go kilkanaście. Jadąc tu, miała w pamięci jego dawną młodą twarz i radość w oczach. Nie, to już nie był tamten Kazimierz, lecz mężczyzna mocno dojrzały, naznaczony trudami wojaczki i doświadczony dwoma małżeństwami, które nie przyniosły mu upragnionego szczęścia. I teraz Elżbieta pragnęła dodać mu otuchy, wzmocnić jego ducha, więc rzekła żarliwie:

– Zawierz Mu, zawierz Bogu, bracie. Musisz wierzyć, że On cię wysłucha, że znajdzie rozwiązanie trudnych spraw.

– Mam się modlić o śmierć Adelajdy? – rzucił, a gdy milczała, dodał: – Dość mam bajania o boskiej łasce! Bóg odwrócił się ode mnie, nie widzisz tego, Elżbieto?! A może patrzy na mnie z niebios i naigrywa się z nadziei, którą ciągle noszę w sercu, nadziei na dobrą przyszłość!

– Błuźnisz przeciwko Niemu. – Zadrzała na samą myśl, jak wielki gniew może za owe słowa spaść na głowę brata, i zatroskana o jego los pogładziła go po szorstkim policzku i poradziła: – Zbyt wiele w tobie buty i gniewu. To nie może się Bogu podobać, musisz się pokajać, wyzbyć pychy, Każku. Bóg jest miłosierny i słucha skruszonych.

– Przestałem być Każkiem, nie praw mi nauk! – zachnął się. – I powiem ci, że zrobię wszystko, by mieć następcę, dziedzica. Nie, nie z Adelajdą! Ona jest jałowa. A ty, jeśli zwrócisz się przeciwko mnie, pokażesz, po czyjej stronie tak naprawdę stoisz.

Kazimierz wyszedł z komnaty mocno wzburzony, z piersi Elżbiety dobyło się ciężkie westchnienie. Zdało jej się, że idylliczny obraz z lat dzieciństwa, jaki miała w pamięci, nagle się zmącił, świat już nie był tak piękny i ciepły jak dawniej i że to upływ czasu go zmienił. Elżbieta sięgnęła po lusterko i spojrzała na swoje odbicie. Ona także przestała być tamtą młodą dziewczyną, która wiele lat temu opuściła Kraków. Gdy zdjęła z głowy welon, dostrzegła, jak wiele siwych włosów skrzy się w świetle świecy niczym srebro. W kącikach oczu i ust przybyło bruzd. Z niechęcią odłożyła na stolik lusterko i przywołała dwórki. Przebrawszy się w nocną koszulę, odesłała je, i zmówiwszy żarliwie modlitwę, położyła się do łóżka.

Sen nie przychodził. Królowa całą noc obracała się z boku na bok i przysnęła dopiero nad ranem. Za to pobyt w Starym Sączu u klarysek odwrócił jej uwagę od trudnych spraw, przegnał złe myśli i uspokoił ducha. Dzień – choć minęła połowa października – był ciepły i słoneczny. Klaryski przyjęły królową z otwartym sercem, z wielką radością powitała ją matka przełożona, to oprowadzając po ogrodzie, to wiodąc do kaplicy klasztornej, gdzie spoczywała królowa Jadwiga. Tam Elżbieta wyraziła życzenie pozostania samej. Mniszki poszły do swoich zajęć, dwórki się oddaliły, by nie przeszkadzać królowej w modlitwie. Przy Elżbiecie – na jej życzenie – pozostała tylko Adelajda. Ani obecność bratowej, ani szumiące za oknem drzewa nie zdołały rozproszyć uwagi Elżbiety. Niebawem królowa podniosła się z kolan i natchniona dobrą myślą uśmiechnęła się do Adelajdy. Wyszły na zewnątrz i skierowały się do kaplicy Świętej Kingi, w pobliżu której wypływało cudowne źródło. Elżbieta nabrała wody do naczynia, żeby zabrać ją ze sobą do zamku.

Nadszedł dzień wspomnienia Świętej Urszuli^[11]. Tego dnia Kazimierz opuszczał Nowy Sącz, zabierając ze sobą żonę. Gdy królowa węgierska zegnała bratową, zobaczyła w jej oczach głęboki smutek. Również Elżbiecie nie po myśli było to rozstanie. Szczerze polubiła Adelajdę, rozmowy z nią, spacer i przejażdżki po okolicy. Ze stajni wyprowadzono konie, zarżały radośnie, jakby nie mogły doczekać się przejażdżki. Elżbieta podeszła do bratowej i trzymając w rękach jakieś świecełko, powiedziała:

– Ufaj Bogu, Adelajdo. Niech ten relikwiarz z zębem Świętej Urszuli męczennicy umocni w tobie wiarę.

Królowa Węgier wspięła się na palce, Adelajda zaś pochyliła głowę i złoty relikwiarz na cienkim łańcuszku spoczął na jej szyi. Wiedziała, że modły winna wznosić do Boga za pośrednictwem Świętej Urszuli, która ma pieczę nad małżonkami. Adelajda poczuła, jak Elżbieta w życzliwym geście uścisnęła jej dłoń, a gdy zwróciła głowę w bok, ujrzała chłód w oczach męża. Kazimierz, który stał obok, podszedł do siostry i ucałowawszy jej obie ręce, rzekł:

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować...

– Mam wszystko – zapewniła i znów odnalazła w nim młodszego ufnego brata. Dobrze, że rozstają się w zgodzie, choć może ufność między nimi nie jest już ta sama co dawniej – bezwarunkowa.

ROZDZIAŁ 15



Dzień Zaduszny był chmurny. Całą noc padał deszcz i teraz wilgoć parowała z ziemi. Mgły oblepiły drzewa i osiadły na łąkach. Las mienił się ognistymi barwami, złotem i rdzą. Pachniał wilgotnymi liśćmi, pod którymi ziemia odpoczywała po lecie i wszystko, co uwiło sobie w niej posłanie na długi zimowy sen. Matyllda wciągnęła powietrze pełną piersią, a gdy nad jej głową rozległo się gęganie, spojrzała w górę i zatroskana o los dzikich gęsi pomyślała, że zbyt późno odlatują. Skierowała konia ku rzece. Pomiędzy drzewami trzepotały na wietrze pajęczyny, ale pajaków nie było, skryły się przed chłodem, a może umarły, tak jak umiera człowiek. Białe nitki oblepiły włosy Matylldy, w dali przed jej oczami rozpostarła się łąka przecięta szerokimi wodami Dunaju. Płynęły leniwie, łagodnie obmywając brzegi. Ponagliła klacz i zwierzę pognało galopem. Nagle zwolniło i stanęło, jakby przeniknąwszy myśli tej, którą dźwigało na grzbiecie, i nawet troskliwy dotyk dłoni Matylldy nie złamał jego uporu. Kobieta zeszła z konia i chwyciwszy uzdę, czule pogłaskała klacz po chrapach, szepcząc do niej:

– Chodź, już czas...

Zwierzę wyczuło zło i ani drgnęło. Matyllda poszła więc sama ku zimnym wodom Dunaju. Nie chciała żyć. Udręczona tym światem pragnęła z niego uciec. Stawała jej przed oczami twarz jej brata, Filipa, ale nawet wspomnienie o nim nie było w stanie jej odwieść od grzesznych zamiarów. Wczoraj byli tu razem, w dzień Wszystkich Świętych, i wcześniej nieraz tu przychodziła przyciągana przez rzeczne głębiny. Wtedy stawała nad brzegiem, patrzyła w wodę i w duchu mówiła: Tu umierać będzie łatwiej.

Głębiny zabiorą ciało, nikt trupa nie odnajdzie. Już nie potrafiła żyć u boku królowej – jej oddech, głos i obraz nigdy nie pozwolą jej zapomnieć o ukochanym, którego straciła z rozkazu Elżbiety. Matylda nie ma siły, by dalej dźwigać żałobę, czuje na plecach ciężar lat w czerni. Idzie przed siebie niespiesznie i wdycha zapach ziemi i roślin. Staje nad brzegiem w mokrej u dołu sukni i przemoczonych trzewikach, ale nie czuje zimna, serce spiesznie pompuje krew i rozgrzewa ciało. Zatrzymuje się i zdejmuje pelerynę, odpina czarny welon i rzuca w szare wody, a potem wyjmuje z włosów szpilki i dwa grube warkocze opadają jej na piersi. Schodzi z urwiska i znika we mgle, rozkłada ramiona szeroko i kładzie je na wodzie, nurt tutaj jest spokojny, trzeba wejść głębiej i dać się nieść wodom. W białej mgle majaczy jej czarna sylwetka, Matylda wygląda jak zjawą, a może to dusza czyścowa tego właśnie dnia zeszła na ziemię, by żywych prosić o modlitwę. Bogu oddaje się w opiekę i na boskie zdaje się miłosierdzie, pragnie dojść do dalekich krain, gdzie nie ma cierpienia, a pamięć się zatracą. Wody coraz mocniej ją zakleszczają, serce słabnie i tylko na chwilę nerwowe, jakby ludzkie rzenie konia, je ożywia. Matylda odwraca głowę i w tym momencie rzeka ją porywa.

Tu jary głębokie, jak wpadniesz, nie wyjdiesz. Umrzesz z głodu i pragnienia albo zjedzą cię wilki – myśli tłukły się w głowie Kostuszy i wzmagaly czujność. Zanurzała w gęstwinę grubo sękaty kij, jakby badała grunt, i szła do przodu ostrożnie i niespiesznie. Czas nie był dla niej cenny, i tak płynie, żadnym sposobem nie można go zatrzymać ani zawrócić. Słońce wschodzi i zachodzi, nic natury nie zwiedzie, nic kolei rzeczy nie odmieni. Szła za nią łasica, jak co dnia, gdy Kostusza przemierzała łąki i lasy, szukając leśnych owoców i ziół. Ale już listopad, trudniej o pożywienie, zwierzyna nadgryzła korę drzew, zjadła ostatnie listki i żołędzie. Kto chce przetrwać, musi jeść, ale Kostusza potrzebowała czegoś więcej – ciepła. Lata płynęły, a wraz z nimi przybywało starczych dolegliwości. Łupało ją w kościach, bolały stare gnaty, już by zagrzała gdzieś miejsca na dłużej, może na zawsze, przycupnęłyby w jakiejś chacie z wielkim gorącym piecem, na którym uwiłaby sobie legowisko i wygrzałyby kości. Niewiele jej potrzeba do szczęścia. Przeniosła się na

lewy brzeg Dunaju, opuściła Wyspę Królików, by tu przeżyć zimę. Tylko patrzeć, jak spadnie śnieg i pozawiewa ścieżyny, a brzegi rzeki skuje lód. Pójdzie więc do Budy pod kościół i w błagalnym geście nadstawi rękę. Może ulituje się nad nią jakiś człowiek albo jakaś pani odziana w bogate suknie, albo nawet sama królowa, o której słyszała, że rozdaje jałmużnę, szczególnie w czasie pokutnym. Mimo wszystko Kostusze jeszcze żyć się chce i cieszy się ze świtu i z nocy, z tego księżycy, co zagląda jej do szalasu przez czeremchowe gałęzie. I nawet gdy kapie na głowę, Kostusza ma dla kogo żyć. Rozpala ognisko i tuli w ramionach Barókę, i nuci jej smętne pieśni jak dziecku. Dzięki łasicy nie jest sama. Jeszcze ma dla kogo żyć. Dziś okolica jest spokojna, ciszy nie mąci ujadanie gończych psów ani dźwięk rogu wzywającego do gonitwy za zwierzyną. Dziś ziemią władają dusze czyścicowe, żywi niech nie wchodzą im w drogę, jedynie bożki leśne nie lękają się tego, co niewidzialne. Kostusza zostawiła za sobą zagajnik młodych sosen, co pną się ku niebu niespiesznie, lecz wytrwale, i ruszyła ku brzegowi rzeki, nad którym stado łań skubało ostatnie zielone źdźbła trawy. Spojrzała w dal. Przez biel mgieł prześwitywały sine wody rzeki, a na ich tle coś ciemniało. Kostusza podeszła bliżej i wyłuskała wzrokiem kobiecą postać. Czyżby jakaś brzegini^[12] pomyliła dzień z nocą? – pomyślała starucha, obserwując ją uważnie. Przychodziła nad Dunaj w księżycowe noce, by patrzeć, jak się kąpią, jak zanurzają w odmętach rzeki długie zielone włosy podobne do gęstych i zwodniczych wodorostów – kto się w te włosy zaplącze, już nigdy nie będzie wolny. Na wodach Dunaju unosił się czarny welon, mącąc na chwilę uwagę staruchy, i zaraz Kostusza dostrzegła, jak czarna postać znika jej z oczu. Wtedy poczuła bojaźń w sercu i przeżegnała się, bo już wiedziała, że to nie była brzegini. Jakież nieszczęście odwiodło od rozumu tę niewiastę, że na zatracenie skazuje swą duszę, i który diabeł ją zwiódł, rozkazując jej rzucić się w głębiny. Niechybnie to odtrącona ofiara miłości, Kostusze nieraz zdarzało się takie widzieć. Zlazła z urwiska i wyteżyła wzrok, widziała, jak postać płynie w jej stronę wraz z nurtem rzeki, tuż przy brzegu. Jeśli wiry nie porwą ciała, uda się nieszczęsną uratować przed wiecznym potępieniem. Kostusza zeszła niżej, tam, gdzie wierzby w wodnej toni

zanurzały smukłe gałęzie. Kijem wymacała płyciznę i czekała, aż ciało podpłynie bliżej.

– Ty, Boże, jesteś mocniejszy niż Lucyfer – wymamrotała pod nosem. – Niech stanie się Twoja wola, nie jego.

Uchwyciwszy się gałęzi, zeszła jeszcze niżej, podkasła spódnicę i zawiązała węzeł powyżej kolan, po czym grube jak pnie kulasy rozstawiła szeroko i czekała. Pobliskie nadbrzeżne zarośla były jej teraz pomocne. Kostusza wzrokiem podążała za topielicą i wyczekawszy stosownego momentu, kijem ją zawróciła, potem mocno pochwyciła jej warkocz i okręciwszy go sobie wokół dłoni, z nie małym wysiłkiem wciągnęła w wierzbowe chaszczce. Wielce się zdziwiła, że to wcale nie młoda niewiasta, lecz stara kobieta. Potem wywlekła ją na brzeg. Pochyliła się nad nią. Serce topielicy biło słabo, w nozdrzach tlił się jeszcze ciepły oddech. Pochwyciwszy ją za ręce, wlekła przez łąki do swego szałasusku skrytego w kniei.

– Będziesz żyć, bo Bóg tak chciał – mamrotała pod nosem.

Wiatr przegnał chmury i księżyc zimnym białym światłem przeniknął przez czeremchową strzechę domostwa Kostuszy. Od paleniska było ciepło, zarzyły się grube polana. Pod pledem, na słomie, tuż przy ogniu leżała Matylda. Otworzyła oczy i ujrzała krzątającą się przy ogniu staruchę. Kostusza mieszała w kociołku nad ogniem jakąś strawę. Nieopodal, na sznurku blisko paleniska, suszyła się suknia Matyldy.

– Pewnie się zastanawiacie, skąd się tu wzięliście – odezwała się gospodyni. Podeszła do Matyldy i przysiadła na niskim pieńku blisko niej. Widząc na jej szyi srebrny krzyżyk, wyciągnęła w jego stronę żyłastą rękę.

– Nie ruszajcie! – Matylda wzbronila hardo i uciekla wzrokiem, jakby lekala sie spogladać w oczy wiedźmie.

– Nie bójcie się, wierzę w tego samego Boga co wy... lecz wasza wiara mała, gniewu Jego się nie lękacie – skwitowała stara.

– Gorycz we mnie większa niż w Bogu gniew – odparła.

– Nie chcieliście żyć – rzekła Kostusza wprost. – Nie macie dla kogo... – Widząc trzęsącą się w gorączce Matyldę, nabrała ciepłej stawy na łyżkę i powiedziała: – Jedzcie, na śmierć nigdy nie jest za późno. Może następnym razem wam się uda.

– Wy mnie uratowaliście? – spytała Matylda, podnosząc głowę z posłania. Wygrzebała się z pledu i usiadła na słomie, ale zaraz nakryła się zatęchłą od wilgoci narzutą aż pod brodę.

– Ja, nie ja... a może jakaś dusza czyścicowa mnie tu przywiodła, aby zawrócić was z tamtego świata.

Matylda zmarszczyła brwi i zaraz zasepiona uniosła w górę oczy i spojrzała na prześwitujący między gałązkami księżyc. Może Gejza to sprawił. Może chce, by mimo wszystko żyła.

– Dziś Zaduszki, świat jest pełen pokutujących dusz, ale i tych dusz, co to tęsknią za żywymi. No, jedzcie – ponagliła ją stara.

Matylda przełknęła stawę, a wtedy gospodyni rzekła:

– Musicie być bardzo strapieni i samotni, żeście się na własne życie targnęli.

– To jedyna droga, jaką mogłam pójść – odparła.

– Doprawdy? Suknie na was bogate, jedwabne. Chleba wam w życiu nie zabrakło i głodem nie przymieraliście. Chyba że was kto przegnał na cztery wiatry i nie macie dokąd wrócić.

– Nikt mnie nie przegnał, służyłam królowej wiernie.

– Wy ze dworu królewskiego?... To już was szukają i przyjdą tu po was. – Starucha się spłoszyła i wymamrotała pod nosem, drżąc z obawy: – Biada mnie starej.

– Nie przyjdą. Myślą, że pojechałam do dominikanek, na Wyspę Królików.

Nastała cisza, jakby Kostusza rozważała jej słowa, wreszcie się odezwała:

– Zatem jedźcie, jak rzekliście... Rozmówcie się tam z Bogiem i ze sobą samą się rozprawcie, i z waszymi strachami, może one nie tak wielkie, jak

je widzicie.

– Pojadę – rzekła Matyllda i próbowała się podnieść, lecz niemoc jeszcze trzymała ją w kleszczach.

– Jak staniecie na własnych nogach – postanowiła starucha i wetknęła jej w ręce miskę ze strawą. – Jedzcie, nie będę was karmić... Jak was ujrzałam nad urwiskiem, myślałam, że wyście młoda dziewczyna.

Matyllda nic nie powiedziała, tylko zanurzyła drewnianą łyżkę w polewce, do której zaczęły skapywać jej łzy. Kostusza to zauważyła i tym razem odezwała się z jakąś matczyną tkliwością:

– Starzy ludzie też mają dość życia. Wiem, co mówię. Nieraz chciałam umrzeć, gdy głód skręcał kiszki, a zimno przenikało do szpiku kości, gdy ludzie przeganiali gorzej niż psa, a wcześniej gdy widziałam, jak umierają moje dzieci. Wtedy prosiłam Boga, by mnie zabrał do siebie z tego piekła. Ale mnie nie usłuchał, nigdy... On nie ma litości... a powiadają, że jest miłosierny.

– Błuźnicie przeciwko Niemu – powiedziała Matyllda.

– Tak, ale tylko słowem. Jestem strachliwa i nie mam odwagi, by uczynić to, co wyście chcieli zrobić. Ja krzywdy nikomu nie czynię.

Głos Kostuszy zadrżał żalnością, jakby ból ciągle był w niej żywy. Naraz coś skoczyło po zakamarkach, po pledzie, pod którym leżała Matyllda. Dwórka skurczyła się w sobie przerażona, że to dusze czyścicowe urządzają sobie harce. I ten strach w jej oczach dojrzała stara i rzekła:

– Nie bójcie się, to Baróka, obcych nie lubi, ale krzywdy nie robi.

– Nie jest strachliwa – zauważyła Matyllda, wlepiwszy oczy w zwierzątko, które przycupnęło w kącie.

– Boi się tylko złych – odparła starucha i gwizdnęła raz i drugi, na co łasiczka przybiegła do niej jak na rozkaz. Kostusza podniosła ją i czule pogłaskała, po czym rzekła do Matylldy: – Jak skończycie jeść, rozplećcie warkocze, włosy wysuszczone przy ogniu, z zimna i wilgoci biorą się choróbska. A potem idźcie spać. Nic tak nie krzepi jak dobry sen.

– A wy? Gdzie będziecie spać? – Matylda rozejrzała się po ciasnej chacie i nie zauważyła nigdzie drugiego posłania.

– Nie trapie się o mnie, pójdę w las. Noc jeszcze długa.

– Zostawicie mnie tu samą? – spytała Matylda załęczniona.

– A jakże! – rzuciła stara. – Chyba się nie boicie? Tu podejdzie jedynie zwierzyna i leśne duchy, ale ich nie przeganiajcie. Popatrzą i pójdą swoją drogą.

Matylda struchlała i przeżegnała się, a wtedy Kostusza rzekła:

– Chyba stąd nie uciekniecie w noc zaduszną?

– Nie ucieknę – odparła Matylda.

Nagle usłyszały rzenie konia.

– To wasza klacz, przyszła tu za wami, jak was wyciągnęłam z wody. Szła krok w krok.

– Jest rozumna – rzekła Matylda.

– Może to rozum, a może serce.

Gdy stara ruszyła do drzwi, dwórka spytała:

– Jak was zwą?

Starucha odwróciła się i rzekła:

– Kostusza.

– Jak śmierć – wyszeptła Matylda i gdy stara wyszła, przeżegnała się bojaźliwie, po czym rozplotła warkocze i nakryła się pledem po czubek nosa, tak jej było zimno, a może jeszcze bardziej trzęsła się ze strachu. Długo przewracała się z boku na bok, nasłuchując, czy aby stara nie wraca, i każdy najcichszy trzask gałązki albo szum drzew nad głową czy pohukiwanie sowy gdzieś niedaleko wzmagaly czujność i strach. Matylda słyszała, że w sowie siedzi diabeł i harcuje nocą, gdy ludzie śpią, i że najlepiej nie słuchać sowiego głosu, bo może przywieść do zguby. Blask księżyca prześwitywał przez gałązki i od jego zimnej poświaty Matyldę przeszły lodowate ciarki. Zrobiło się jeszcze groźniej, więc zacisnęła powieki i zmożona gorączką zasnęła. Obudził ją przejmujący chłód.

W palenisku zgasło, a przez szpary między gałązkami sączył się świt. Wygrzebała się spod pledu i zdjęła ze sznura suknię. Jeszcze była zawilgocona od panującego tu chłodu, lecz na rozgrzanym ciele szybko wyschnie. Matylda ubrała się spiesznie i usiadła na pieńku. Gdy zaplatała warkocze, wróciła starucha z chrustem, który przyniosła na własnym grzbiecie w szerokiej podziurawionej chuście. Kostusza zrzuciła z pleców ciężar i rzekła do Matyldy:

– Widzę, żeście doszli do siebie.

– Tak – powiedziała, ale bez przekonania. Stara przyjrzała się jej i skwitowała:

– Ale wasza dusza ciągle choruje. Nie wiecie, co robić i dokąd pójść.

– Gdybyście mi zezwolili tu zostać... jakiś czas, kilka dni, Kostuszo – poprosiła.

Stara spojrzała na nią spode łba, jakby niechętna tej prośbie, w końcu namyśliła się i odparła:

– Nie wygonię was, ale czy nie lepiej by wam było w zamku, a nawet w klasztornej celi? Mielibyście wygodny siennik i poduszkę pod głowę, a do tego strawę niegorszą pod nos podaną. Nie kapałoby wam na głowę.

– Może i lepiej, ale tu mi dobrze – rzekła Matylda.

Minęło kilka dni listopadowych, mglistych i chłodnych, a po nich nastąpiły dni słoneczne, z silnym wichrem i szronem, który tworzy się nocą i srebrzy trawy oraz gałązki. Późna jesień, a potem zima to trudny czas dla ludzi. Kostusza wiedziała o tym najlepiej, rzekła więc do Matyldy, gdy przemierzały uroczyska i głębokie jary w poszukiwaniu przemarzłych owoców dzikiej róży.

– Nie będę was dłużej zatrzymywać, zima idzie, nie przetrwacie mrozów.

– A wy? – spytała dwórka.

– Poradzę sobie, wiele zim przetrwałam, to i tę z pomocą Boga i leśnych duchów przeżyję.

Nazajutrz z rana Matylda zabrała się w drogę na Wyspę Królików. Dosiadła konia i rzekła:

– Bóg wam zapłać, Kostuszo, za wasze dobre serce. Otoczyliście mnie opieką, daliście dach nad głową i własne posłanie, bo nie chciałam żyć, ale i teraz nie wiem, czy chcę. Pojadę do klasztoru za waszą radą, a potem powrócę na zamek.

– Odprowadzę was na skraj lasu, abyście nie zbłądzili – zaofiarowała się Kostusza, której zrobiło się jakoś markotnie na myśl, że zaraz zostanie sama, i może chciała tę chwilę odwlec. I wspomniała towarzystwo nieznaną przez tych kilka listopadowych dni, a może było ich więcej, bo też żadna z kobiet tych dni nie liczyła. Matylda przemierzała las u boku starej, niewiele się odzywając, wsłuchana w głos drzew i ciężki oddech Kostuszy. I teraz szły niespiesznie, jakby żadnej z nich bliskie rozstanie nie było na rękę. Stały na skraju lasu, za którym rozpostarła się przykryta przekwitłymi trawami polana, i stara rzekła:

– Jedźcie, ale nie uciekajcie przed życiem, śmierć i tak was dogoni, módlcie się, aby nie przysłała po was w chwili, gdy znajdziecie swoje szczęście...

Matylda ruszyła wolno, naraz się obejrzała i ujrzała Kostuszę unoszącą rękę na znak pożegnania. Skierowała wzrok przed siebie i ruszyła z kopyta wąską ścieżyną ku rzece.

Listopad miał się ku końcowi. Stara co dzień przemierzała las, zawsze czujna i pełna trwogi, gdy słyszała trzask łamanych gałązek, ludzkie głosy i tętent końskich kopyt. Widziała nieraz niewiasty na przejażdżce, w długich płaszczach i w pięknych czepcach, obstawione zbrojnymi, pośród nich była Matylda. Zapewne jest wśród nich także królowa – pomyślała Kostusza, ale która to, nie wiedziała. A potem, gdy nadszedł grudzień i dzień stał się krótki, pośród przemierzających ośnieżony las kobiet już nie było Matyldy.

ROZDZIAŁ 16



Grudniowego wieczoru w pałacu Durazzów mieszkańcy udawali się na odpoczynek. Maria, w nocnej koszuli i szlafroku, wracała z komnaty dzieci, do których, jak co wieczór, zwykła zaglądać. Była blisko alkierza, gdy zatrzymały ją głosy dochodzące z parteru, cicha rozmowa, jakby rozmawiający obawiali się, że zbudzą domowników.

– Księżna już śpi, jest późno.

Maria rozpoznała głos Rosany.

– Zatem przekazcie księżnej ten list od królowej. To pilna wiadomość – rzekł mężczyzna.

– Dobrze, przekażę – przystała na to, tymczasem Maria zbliżyła się do balustrady i zawołała z piętra:

– Kto przyszedł, Rosano?

Dwórka wlepiała w księżną wzrok i odparła:

– Posłaniec z Castel Nuovo.

Maria, splótwszy dłonie na nabrzmałym od brzemienności brzuchu, skierowała się do schodów. Szybkie zajście w ciążę zaraz po ślubie z Filipem było w oczach księżnej dowodem boskiej przychylności dla ich małżeństwa, które zawarli za zgodą Joanny, lecz bez aprobaty papieża, i ciągle oczekiwali na dyspensę od Klemensa VI. I teraz wiadomość od królowej o tak późnej porze nasunęła księżnej myśl, że z Awinionu nadeszła dyspensza.

– Księżno – rzekł signor Barillo i pokłoniwszy się, podał jej list, po czym już miał odejść, gdy Maria spytała zdziwiona:

– Nie poczekacie na odpowiedź?

– Królowa jej nie oczekuje – odparł.

– Odprowadź do bramy signora Barilla – rzekła księżna do pana Zanettiego, który stał za królewskim dworzaninem, a gdy obaj wyszli, zbliżyła się do płonącej w trójnogu pochodni, której nigdy, nawet nocą nie gaszono, i odczytawszy list, zbladła. Naraz usłyszała na górze czyjeś kroki i tam skierowała uwagę. Przy balustradzie w półmroku stał Filip i wlepił w żonę wytrzeszczone oczy.

– Papież nie żyje. – Maria uprzedziła jego pytanie.

Księżę milczał. Ta nowina nie zrobiła na nim wrażenia, w przeciwieństwie do Marii, która poczuła się tak, jakby grunt usuwał jej się spod stóp.

– Będzie drugi – oświadczył i ponaglił ją: – Chodźmy spać, Mario.

Filip zniknął w mroku korytarza, ona zaś poszła za nim niespiesznie, głowę miała nabitą złymi myślami. Gdy weszła do alkierza, księżę już leżał w pościeli. Maria zdjęła szlafrok i przewiesiła go przez krzesło. Potem usiadła na brzegu łoża, gdy naraz poczuła na policzku pocałunek męża. Uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech pełen troski, Filip dostrzegł to i skwitował:

– Martwisz się...

Księżna czuła na sercu ciężar i westchnąwszy, odezwała się:

– Potrzebujemy dyspensy, Filipie. Módlmy się, aby kolejny papież był nam przychylny.

– Będzie, bo papieżem obwołają Francuza – odparł zdecydowanie i zebrawszy jej włosy, odsłonił szyję i ucałował.

Maria nieco pocieszona wślizgnęła się do pościeli. Długie ramiona męża oplotły ją w tali. Mimo że były szczupłe i kościste, poczuła ich siłę. Nie żałowała małżeństwa z Filipem – on stał się jej ostoją, już nie lękała się innych mężczyzn.

Nowina o śmierci Klemensa VI wzbudziła niepokój nie tylko w księżnej Durazzo, lecz także w jej siostrze. Czy kolejny papież będzie tak

przychylny królowej Neapolu, jak był jego poprzednik? Z niepokojem i niecierpliwie oczekiwano wieści z Rzymu. Tymczasem opróżniony Tron Piotrowy obudził w hrabim Graviny uśpioną zuchwałość. Małżeństwo Marii, wdowy po jego bracie, odebrał jako ujmę na honorze, a potem hojne nadania, które król Neapolu poczynił na rzecz rodzonego brata, księcia Achai, stanęły mu kością w gardle. Jego żona, Małgorzata Sanseverino, z trudem tłumiała w mężu chęć odwetu na królowej, którą Ludwik Durazzo obwiniął, że przyłożyła rękę do tego związku. Nazywał Joannę najpodlejszą z diabolic, wielką ladacznicą, i tkął w umyśle jakieś plany, nie zważając, że za dwa miesiące jego żona urodzi mu potomka i że należy jej oszczędzić złych wzruszeń. Ludwik Durazzo przybył do Castel Nuovo późnogrudniowego dnia i zażądał widzenia z królową. Szambelan monarchini pan de Fos, któremu doniesiono, że hrabia zmierza do komnat Joanny i że oblicze ma niczym gradowa chmura, poszedł do władczyni, u której właśnie była córka. Matka bawiła się z dzieckiem, znajdując w tym miłe odprężenie, otoczona wiankiem młodych dwórek. Gdy marszałek dworu wspomniał o hrabim Graviny, królowa rzekła:

– Gdy przyjdzie, nie zatrzymuj go.

– Wezwijcie strażę, wasza wysokość, gniew bije z oczu hrabiego. Nie mówcie z nim sam na sam – przestrzegł ją.

Pan de Fos ledwo zdążył to rzec, gdy weszła Mona, by zapowiedzieć hrabiego.

Joanna kazała go wpuścić, lecz nie odprawiała szambelana. Wysoka sylwetka Ludwika Durazzo wyłoniła się z sieni. Hrabia wszedł pewnym krokiem, zatrzymał się i wlepił wzrok w królową, a potem ledwie zgiął przed nią kark. Joanna dostrzegła jego marsowe oblicze, ale wyszła ku niemu, trzymając w ramionach dwuletnią Franciszkę, i posłała mu życzliwe spojrzenie.

– Co was sprowadza, hrabio? – spytała i nagły obłok niepokoju przemknął jej przez czoło. – Czyżby coś z waszą żoną?

Królowa wlepiła wzrok w krewniaka. Ludwik po powrocie z Węgier nabrał muskulatury, rozrósł się w barach, a za siłą jego mięśni szła siła

charakteru. Zhardział. Teraz, jako najstarszy z rodu Durazzów, rościł sobie należne z tego tytułu prawa. I nie zasypiał gruszek w popiele – Małgorzata była brzemienna. Lada dzień spodziewano się porodu.

– Nie trąpcie się o Małgorzatę, pani – odrzekł, świdrując wzrokiem Joannę i z ukosa spozierając na szambelana. Postąpił do przodu dwa kroki i powiedział: – Żądam wydania pod moją opiekę córek mego brata Karola.

Tego nawet we śnie się nie spodziewała. Joanna oddała Franciszkę jednej z dwórek i odparła zdecydowanie:

– Odmawiam.

– To moje bratanice – rzekł nieustępliwie.

– A moje siostrzenice – powiedziała chłodnym tonem.

– Potrzebują ojca!

– Mają go w osobie męża Marii, Filipa – odpowiedziała, jeszcze siląc się na łagodność.

– Zwrócę się do papieża – zagroził zuchwale.

– Tron Piotrowy jest pusty – rzekła.

– Do czasu – odparł. – Kolejny papież nie będzie was prosił, lecz zażąda wydania dzieci i będziecie musieli to uczynić, wasza wysokość! – podniósł głos i odszedł, ledwie skłoniwszy głowę.

Królowa poczuła lęk o siostrzenice i jeszcze tego dnia wezwała Marię i opowiedziała jej o żądaniu hrabiego. Wtedy księżna Durazzo rzekła strwożona:

– Myślałam, że poślubiając Filipa, zapewnię bezpieczeństwo sobie i moim córkom, byłam pewna, że będziemy nietykalne, ale myliłam się. Jestem naiwna.

– Strzeż dziewczynek, Mario, niech straż nie odstępuje ich na krok, Bóg wie, co chodzi po głowie Ludwikowi – przestrzegła ją królowa.

– Uchronię moje córki przed Ludwikiem, ale czy przed papieżem? Jeśli w istocie nowy papież usłucha naszego wuja i odbierze mi dzieci?

Joanna uścisnęła siostrzaną dłoń, co uspokoiło Marię.

– Poczekajmy, Mario. Nie gryź się złymi myślami. Na to zawsze będzie czas. A my zrobimy wszystko, byś nie straciła dzieci. Choćbym miała iść z kolejnym papieżem na wojnę.

Księżna Durazzo pełna otuchy, że ma w siostrze sprzymierzeńca, opuściła zamek, królowa zaś wezwała signora Gaetaniego i rzekła mu, by udał się do Rzymu i wyczekiwał werdyktu konklawe, a gdy obrany zostanie nowy papież, przybył z tą nowiną niezwłocznie do Neapolu. Hrabia Fondi jeszcze tego dnia wyruszył w drogę. Po jedenastu dniach, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, powrócił z Watykanu z nowiną, która uspokoiła Joannę. Papieżem został kardynał biskup Ostii, Étienne Aubert. Królowa natychmiast posłała z tą nowiną do pałacu Durazzów, przekazując wiadomość pisemną przez posłańca.

Możesz spać spokojnie, Mario – pisała Joanna do siostry. – Papieżem został Francuz, kardynał z nadania Klemensa VI. Gdy tylko otrzyma papieską tiarę, pošlę do niego z gratulacjami i przypomnę o dyspensie.

Słowa Joanny uspokoiły księżnę Durazzo. Trzeciego stycznia nadeszły wieści, że Étienne Aubert zasiadł na Tronie Piotrowym jako Innocenty VI. Nazajutrz z Castel Nuovo pognął do Rzymu posłaniec od królowej Neapolu i powrócił po kilkunastu dniach, oznajmiając, że pismo od władczyni przekazał Ojcu Świętemu. Odtąd Joanna niecierpliwie czekała na odpowiedź. Styczeń minął prędko i nadszedł deszczowy luty. Brzuch Marii Durazzo rósł, spodziewano się, że wczesną wiosną księżna urodzi. Maria co rusz dopytywała Joannę, czy przybył ktoś od papieża, lecz królowa nie miała dla niej żadnych wieści. Innocenty VI milczał. Wreszcie Joanna postanowiła posłać do niego kogoś godnego zaufania, kogoś, kto jest przychylny władcom Neapolu, i niebawem znalazła takiego człowieka. Był nim kanonik tutejszego kościoła katedralnego Bartolomeo Prignano. Ten trzydziestopięciolatek, urodzony w Neapolu i wykształcony na tutejszym uniwersytecie, bywał w Castel Nuovo, gdy jeszcze żył stary król Robert, a potem na jakiś czas wyjechał do Awinionu i służył w kancelarii papieskiej. Joanna wezwała go do siebie, przyjęła życzliwie i wyłuszczyła, w czym rzecz.

– Dowiedźcie się, księżę, co wstrzymuje dyspensę dla księżnej Marii i jej męża Filipa. Wskażcie Ojcu Świętemu, jak bardzo ważny jest dla księżnej Durazzo czas. Niebawem moja siostra powije dziecko.

Prignano strapiony milczał, gdyż nie wiedział, co powiedzieć. Królowa oczekiwała od niego wiele, chciała, by złamał zasady, których się trzymał dotychczas niezachwianie. Nie było dla niego wyjątków, prawo znaczyło prawo, a występek występek. Jakże on przeżył dziesięć długich lat w tym pełnym grzechów i przewin Awinionie! Głęboko wierzył, że kolejny papież rozprawi się z nikczemnością, pazernością i grzechem. I teraz on, tak wierzący w zasady, w prawo ludzkie i jeszcze bardziej boskie, miałby sam prosić papieża o naruszenie tych zasad?

– Możecie liczyć na naszą wdzięczność – powiedziała, widząc jego wahanie.

Spojrzał na nią przenikliwie i z takim chłodem, że aż się wzdrygnęła. Tak, jeszcze nie jest stary, w pełni życia, może piąć się po szczeblach kariery, coraz wyżej, ale czy warto? – zastanawiał się. Czy naprawdę tego chce?

– Pojadę, wasza wysokość, i przedstawię waszą sprawę papieżowi – zgodził się.

Joannie spadł kamień z serca. Prignano służył poprzedniemu papieżowi, więc zna tamtejsze niepisane zwyczaje, z pewnością uda mu się pozyskać przychyłność Innocentego VI i nakłonić go do przyspieszenia sprawy, a przynajmniej dowie się, skąd ta zwłoka ze strony Ojca Świętego.

Duchowny odjechał nazajutrz w chmurny i wietrzny dzień, do wiosny było już niedaleko.

Marcowego wieczoru 1353 roku Fulvia przyprowadziła królowej córkę, jak zwykła to robić co wieczór. Joanna, przy której krzątała się Mona, wzięła w ramiona dziecko i czule ucałowała w policzek. Dziewczynka roześmiała się i opłótła rączkami matczyną szyję. Wtedy Joanna przycisnęła ją do serca i poczuła ciepło jej skóry. Był w królowej głód czułości, którą pragnęła się dzielić i ją przyjmować. Utraciwszy dwoje dzieci, czuła, że każde kolejne ma dla niej większą wartość, i żadnego

z nich nie darzyła taką tkliwością jak tę najmłodszą, Franciszkę. Spędziwszy z córką kilka chwil, Joanna kazała zabrać dziecko i poleciła Beatrycze, jednej ze swych pięknych młodych dwórek:

– Idź do króla i powiedz mu, że na niego czekam.

Dwórką dostrzegła, jak dotąd rozpromieniona twarz Andegawenki nagle się zasepiła. Odkąd Ludwik z Tarentu włożył na głowę koronę, między małżonkami zaczął gasnąć miłosny żar. Joanna nie znajdowała radości w ramionach męża, miłość z nim stała się dla niej obowiązkiem. Gdy do niej przychodził, częstokroć podpity, odwracała od niego niechętny wzrok, lecz nie odmawiała mu siebie. Ciągłe mieli wspólny cel, jakim był syn – przyszyły dziedzic korony Neapolu. Bywało, że Beatrycze, opuściwszy alkierz, zatrzymywała się w sieni i cicho przystawała z boku, po czym przez lekko rozsunięte kotary obserwowała oboje. Widziała niecierpliwość Ludwika i chłód Joanny. I bardziej współczuła królowi niż królowej, której służyła. Drzwi cicho zamknęły się za Beatrycze. Joanna zdmuchnęła kilka świec, pozostawiając płomień tylko jednej z nich. Mrok zaległ w kątach i spowił łożo. Królowa wślizgnęła się pod zdobioną złotogłowieńską kapę i czekała na męża. Spodziewała się, że niebawem w sieni rozbrzmia jego mocne kroki. Tym razem ich nie usłyszała, gdyż usnęła. Obudził ją blask księżycy. Spojrzała w okno, za którym wisiała jego wielka tarcza. Joanna pomacała ręką posłanie męża. Ludwika nie było. Zwykle przychodził, gdy po niego posyłała. Jeśli jednak zdążyła zasnąć, nie budził jej, lecz kładł się obok, a potem, w nocy, jego chrapanie wyrywało ją ze snu. Teraz usiadła na łożu, wsunęła stopy w trzewiki i narzuciwszy na ramiona szlafrok, podążyła do komnat męża. Przebywszy kilka korytarzy, stanęła pod alkierzem Ludwika. Straże nie ważyły się jej zatrzymać. Weszła do sieni. Światło świec wylewało się z komnaty pomiędzy lekko rozsuniętymi kotarami. Zbliżyła się do portiery i uniosła ją, po czym spojrzała w głąb alkierza i zobaczyła Ludwika i Beatrycze w szerokim łożu pod baldachimem. Pograżeni w głębokim śnie nie spodziewali się królowej, bo od dawna tu nie przychodziła. Nie poczuła ukłucia zazdrości, nie zabolęła jej zdrada ze strony męża. Miała wrażenie, że im jest starszy, tym bardziej łasy na

miłość, coraz bardziej jej nienasycony, jakby bez niej nie mógł żyć. Ale czemuż wybrał właśnie jej dwórkę, jej ulubienicę? Królowa wróciła do komnaty, a nazajutrz z samego rana, gdy się ubierała, przyszedł do niej Ludwik wesół i w dobrym nastroju. Zauważyła, że ma na sobie strój do polowania i zapewne zaraz jej zaproponuje, by mu towarzyszyła.

– Joanno, ruszam na polowanie, wrócę o zmroku. Dziś na mnie nie czekaj. Będę spał u siebie – zapowiedział.

Królowa pochwyciła spojrzenie męża. Wyraźnie na moment zatrzymało się na Beatrycze, która właśnie zakładała na szyję Joanny naszyjnik z pereł. Zatem tak zasmakował w miłości z nią, że i tej nocy się z nią spotka – przemknęło przez głowę królowej. Władczyni z jakimś żalem zerknęła na swą dwórkę, gdy z zadumy wyrwał ją głos męża:

– Joanno.

Ocknęła się i rzekła do niego:

– Tak, Ludwiku, jedź, nie będę cię zatrzymywać. Udanej gonitwy po lesie.

Król cmoknął ją w policzek i zaraz odwróciwszy się, pewien, że Joanna nie widzi, posłał radosny uśmiech Beatrycze. Dwórka zachowała zimną krew, nie odpowiadając na uśmiech króla.

Ludwika już nie było w komnacie, a parę chwil potem Joanna, obserwując go przez szybę, widziała, jak dosiada konia i rusza ze swoją zgrają i psami ku bramie.

Było późne popołudnie, coraz bliżej zmroku, gdy królowa wezwała dworzanina i rzekła do niego:

– Każ osiodłać dwa konie, signor Barillo, i weź kilku zbrojnych, czekajcie na dziedzińcu.

Chwilę potem poleciła Gisoldzie, by sprowadziła Beatrycze.

Dwórka pojawiła się niebawem z czystymi koszulami królowej, wtedy Joanna powiedziała do niej:

– Wyjmij ze skrzyni płaszcz i narzuć mi na ramiona.

– Opuszczacie zamek, wasza wysokość? – spytała dama dworu.

– Tak – odrzekła Joanna. – Pojedziesz ze mną.

Dama wyraźnie się zdziwiła, widząc, że za oknem dzień już gaśnie, i powiedziała:

– Niebawem zapadnie zmrok, najjaśniejsza pani.

Joanna zbyła tę uwagę milczeniem i opuściła komnatę. Beatrycze podążyła za nią, w korytarzu dogoniła ją Gisolda, która przyniosła jej pelerynę.

– Weź, wieczór jest chłodny – powiedziała.

– Dziękuję, Gisoldo, za troskę – rzekła Beatrycze. – Królowa jest taka tajemnicza. Nie mówiła ci, dokąd jedziemy?

– Niestety. – Gisolda wzruszyła ramionami.

Na dziedzińcu zbrojni już oczekiwali na królową. Barillo pomógł kobietom dosiąść koni i pogalopowali w stronę bramy. Tuż za zamkiem odbili ku morzu i wkrótce stanęli pod Castel dell'Ovo. Mocny stukot końskich kopyt wybijał równy, lecz niepokojący rytm na zamkowym dziedzińcu i ten odgłos strwożył Beatrycze. Królowa zsiadła z konia i ruszyła ku schodom wiodącym do lochów. Dama dworu poszła za nią, czując na plecach oddech Barilla. Zeszły do podziemi. Naraz w dali błysnęło światło pochodni i w blasku ognia ukazała się zarośnięta gęba strażnika.

– Królowa, otwieraj! – rozkazał Barillo, który wyprzedził kobiety i stanął przed kratą prowadzącą do lochów.

Strażnik, wielki i kosmaty jak niedźwiedź, przeszył ich wzrokiem, po czym sięgnął po pęk kluczy przywieszonych u pasa i rozwarł kratę, która zaskrzypiała donośnie. Gdy Joanna wchodziła do środka, pochylił przed nią głowę.

– Dalej pójdziemy same – rzekła do mężczyzn i ruszyła przed siebie, pogrążając się w coraz większym mroku, rozpraszonym nielicznymi pochodniami wetkniętymi w ściany. Po bokach znajdowały się cele z małymi okienkami, przez które teraz spoglądały pełne nadziei i bojaźni oczy aresztantów. Szczęk łańcuchów ciągniętych po kamiennej posadzce,

błagania o litość, o kromkę chleba, o wodę, o ciepłe odzienie huczały w uszach Beatrycze złowrogą melodią. Dwórka szła za królową niepewnie, z duszą na ramieniu.

– Po co tu przyszłyśmy, najjaśniejsza pani? – spytała naraz. – To straszne miejsce.

Joanna zatrzymała się, blask pochodni rozświetlił jej twarz i spoglądając na dziewczynę, odparła:

– Chciałam, abyś je zobaczyła, nim tej nocy pójdziesz do króla.

Beatrycze zbladła, poczuła, jak przed oczami jej ciemnieje, i wybuchła płaczem. Uklękła przed królową i pochwywszy jej dłoń, ucałowała ją, rosząc łzami, i błagała:

– Łaski, miłościwa pani. Uległam królowi, bo wyrzekął na was i skarżył się, że już nie ma waszej miłości. Wzbudził we mnie litość.

– Dlatego go pocieszyłaś... – rzekła Joanna oschle. – Obie wiemy, że to nie brak mojej miłości nim powoduje, lecz zazdrość. O co cię wypytywał?

– O was, pani. Kto do was przychodzi nocą, gdy król śpi albo gdy bywa na polowaniu.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic, co mogłoby wam zaszkodzić – zapewniła spieszenie. – Przysięgam wam, pani. Nigdy więcej nie pójde do króla. Wolę iść precz z waszych oczu i z dworu.

– Wstań i posłuchaj – rozkazała Joanna. A gdy dwórka się podniosła, rzekła do niej: – Wrócisz do Ludwika, bo taka jest moja wola. Podjęłaś grę, w którą będziesz grać do końca. Lecz pamiętaj, że nie królowi, lecz mnie służysz. Chcę znać jego myśli, chcę wiedzieć, co o mnie mówi i co zamierza. Jeśli mnie zdradzisz i oszukasz, trafisz tutaj.

Beatrycze zadrżała na te słowa. Joanna skierowała się do wyjścia, dwórka zaś jeszcze przez chwilę pozostała w lochach, jakby biła się z myślami. Może żałowała tej gry, w którą dała się wplątać powodowana cichą miłością do króla. Nie, nie uwiódł jej, sama się do niego zbliżyła. Weszła do komnaty, by mu powiedzieć, że królowa na niego czeka, wtedy

Ludwik, leżąc w łóżu, poprosił, by naląa mu wina do kielicha. Uczyniła to chętnie i podała mu czarę z trunkiem.

– Gdy patrzysz na mnie, Beatrycze, masz w oczach ciepło i radość – zauważył, nie spuszczać z niej wzroku. – To, czego od dawna nie znajduję w Joannie.

– Może źle patrzycie, wasza królewska mość – odparła pewnie, niespieszona ani jego słowami, ani świdrującym ją wzrokiem.

– Widzę dobrze – oświadczył i pochwyciwszy dłoń, którą podała mu kielich, przytrzymał ją i powiedział: – Serce królowej ochłodziło dla mnie, dla kogo teraz bije? Dla pana de Fos?

– Królowa nie kocha nikogo prócz was, wasza wysokość – odparła zdecydowanie.

Król westchnął ciężko, po czym rzekł:

– Gdy wieczorami do niej przychodzę, udaje, że śpi. Nie śmiem jej budzić i kładę się obok.

– To nie jest oznaką chłodu ani zdrady – zauważyła.

– Ach, bronisz jej! – rzekł wzburzony Ludwik. – A może jesteście jej powiernicą w tajemnych schadzkach, Beatrycze! Pomagasz jej mnie zwodzić i oszukiwać, nawet nie wiesz, jak bardzo ją kocham. – Łzy wylały się niespodziewanie z królewskich oczu.

Dwórka nie wiedziała, co zrobić, gdy nieoczekiwanie poczuła na dłoni pocałunki króla.

– Pragnę mieć kogoś, kto by mnie kochał szczerze – rzekł Ludwik.

– Ja was kocham, panie – powiedziała cicho i mimowolnie odgarnęła mu z czoła włosy. Uśmiechnęła się i ani się spostrzegła, jak jego wargi przywarły do jej ust.

Kiedy Joanna powróciła do zamku, zapadał już gęsty zmrok. W korytarzu zatrzymała ją Gisolda, oznajmiając, że z pałacu Durazzów przybył signor Zanetti z wieścią, że księżna Maria powiła syna.

ROZDZIAŁ 17



W Awinionie wiosna 1353 roku. Wraz z nastaniem nowego Ojca Świętego papieska siedziba nabrała nowych kolorów, otworzyło się nad kopułą papieskiego pałacu czyste błękitne niebo. Pojawiły się nowe twarze. Nowe persony, rojące sobie w głowach kariery pod bokiem Innocentego VI, przemykały korytarzami wielkiego pałacu, w zadziwieniu i zachwycie dla piękna i rozmachu, które człowiek stworzył na chwałę Boga. Ale i dawnych urzędników papieskich dobrze pamiętał Bartolomeo Prignano, wysłannik królowej Joanny, i tym się kłaniał, choć nie każdego z nich považał, nie każdego obdarzał życzliwym spojrzeniem. I przemierzając teraz korytarze, wdychał pełną piersią woń awiniońskich murów przesiąkniętych zapachem kadzideł. Kilka tygodni temu przybył do Awinionu i czekał na audiencję u papieża. Znał go dobrze, jeszcze jako biskupa Noyon i Clermont, i nieraz widywał go potem, gdy w kardynalskiej purpurze przemierzał pałac papieski. Ale teraz, kiedy jeden z duchownych wprowadził go do papieskiej sali, Bartolomeo już nie widział biskupa Clermont, lecz Ojca Świętego siedzącego w złocistych szatach na Tronie Piotrowym, o przenikliwym spojrzeniu wyblakłych oczu. Zbliżył się i pochyliwszy nisko głowę, w milczeniu ucałował papieski pierścień. Naraz oblicze Innocentego VI się ociepliło, podniósł się z tronu i zszedł ze stopni, po czym przywitał Bartolomea, prawie ocierając policzkiem o jego policzek, jakby składał nań pocałunek, i rzekł z jakimś wielkim rozrzewnieniem:

– Teraz, gdy Bóg dozwolił mi zasiąść tak wysoko, z tronu widzę całą zgniliznę otaczającego mnie świata i słyszę głos Boga wzywający mnie do Rzymu.

Na te słowa wzruszenie przeniknęło duszę Bartolomea, w oczach zakreśliły mu się łzy i powiedział:

– Ja, choć spoglądam z dołu, widzę to samo, Wasza Świątobliwość. Dokonacie wielkich rzeczy, gdy zagubione owieczki sprowadzicie do Bożej owczarni. Tylko wy możecie to uczynić, Ojczy Świąty.

Słowa Bartolomea mogły zdać się zuchwałe, lecz nie dla Innocentego VI, który poklepał księdza po ramieniu, jakby miał w nim sojusznika, i uśmiechnąwszy się, oznajmił:

– Zasługujecie na dobre biskupstwo, a potem nawet na więcej.

Prignano wykrzywił wargi w uśmiechu i milczał, jakby próbował rozgryźć, czy to oferta, czy rzucona na wiatr obietnica.

– Razem uczynimy wiele. – Innocenty VI przerwał ciszę. – A tymczasem co w Neapolu? Królowa przy nadziei?

– Niestety. – Wzruszył ramionami i dodał: – Za to księżna Maria Durazzo, gdy opuszczałem Neapol, była bliska rozwiązania.

– Powiła chłopca – oznajmił Innocenty VI, jakby wieści wyprzedziły o wiele dni Bartolomea i jedynie on ich nie znał. – Co jeszcze?

– Nie będę kryć przed Waszą Świątobliwością, że brak dyspensy spędza sen z powiek królowej Joannie nie mniej niż księżnej Marii i księciu Filipowi.

– Nie prosili o dyspensę, nim złączyli się świętym sakramentem – skwitował Innocenty VI, który, owszem, znał sprawę, lecz nie kwapił się do jej załatwienia.

– To prawda, Ojczy Świąty, uczynili to potem, jednakże papież Klemens, zawsze przychylny Andegawenom, nie zdążył jej udzielić, ponieważ zmarł – oświadczył Bartolomeo, dokładając starań, aby wywiązać się z zadania powierzonego mu przez królową Neapolu.

Innocenty VI naraz uniósł oczy ku niebu, jakby tam szukał opamiętania dla grzeszników, i powiedział:

– Klemens Szósty był dobrotliwego serca, a to rozzuchwaliło potężne rody, czynili, co chcieli, poślubiali, kogo chcieli, pewni jego łask. Lecz złe

zwyczaje, jakie tu panowały, zostaną wyplenione, by dwór papieski lśnił czystością serc i obyczajów. Odpowiedz królowej Neapolu, że nie udzielię dyspensy księżnej Marii ani teraz, ani nigdy.

Bartolomeo wybałuszył oczy, tak go ta stanowczość uderzyła, lecz nie potępił Innocentego VI. Przeciwnie – uznał, że ten papież został obdarzony charyzmą, której nie miał żaden z jego poprzedników. I tą stanowczością Innocenty VI go ujął. Prignano ujrzał nad nim aureolę prawdziwej świętości, która nawróci duchowieństwo na drogę cnoty i posłuszeństwa Bogu. Jednakże mimo podziwu dla papieża Bartolomeo przybył tu z misją, więc starał się jeszcze przekonać Ojca Świętego i rzekł:

– Z małżeństwa Marii Andegaweńskiej i Filipa z Tarentu już narodził się syn. Sami mówiliście, Wasza Świętobliwość...

– Bękart – poprawił go spiesznie Innocenty VI. – W obliczu Boga ten związek jest nieważny.

Nastała cisza. Prignano pochylił głowę, uznając słowa papieża za ostateczne, i ucałował jego pierścień, wyszedł z sali audiencyjnej. Gdy szedł korytarzem pałacowym, ujrzał w oddali Ludwika Durazzo. Prignano zastanawiał się, jakie interesy przygnały Ludwika do Awinionu.

Nazajutrz o poranku ruszył w drogę powrotną do Neapolu. Gdy przemierzał Prowansję, była już połowa kwietnia i słońce przygrzewało przyjemnie, rumieniąc mu pełne policzki. Przebył obludzone górskie przełęcze Alp i skierował się na południe, minął Rzym i bagna rozlane po drugiej stronie Wiecznego Miasta, gdy doszły go słuchy o pokutnicy Brygidzie, która szła aż z Ziemi Świętej i podobno już dobiła do wybrzeża Amalfi, gdzie w tamtejszej katedrze złożono relikwie Świętego Andrzeja, którym chciała oddać cześć. Im bliżej Neapolu, tym wieści były obfitsze. Rozpowiadano, że Brygida widzi przyszłość i że przez jej usta przemawia Bóg. Mówiono także, że nie lęka się strofować nawet koronowanych głów. Bartolomeo nadstawił ucha, gdy w przydrożnej tawernie gruba cycata karczmarka prawiała o owej wieszczce, wymachując w wielkim podnieceniu tłustymi ramionami i nalewając wina do kubków tak nieostrożnie, że część trunku rozlewała.

– Powiadają, że idzie z daleka, od Chrystusowego grobu – ciągnęła. – Zatrzymała się w Amalfi, ale kto wie, czy do Neapolu nie pójdzie napomnieć tych, co żyją w grzechu. Nie lęka się nikogo: ani królów, ani cesarza, ani nawet papieża, tylko Boga się boi. I powiada, że to Bóg każe jej mówić ludziom prawdę prosto w oczy, napominać księży, że grzeszą, kupcząc odpustami, i żyją w grzechu nie tylko z niewiastami. – Tu się zarumieniała i spuściła oczy ze wstydem, gdy wzrok Prignano przykleił się do jej wielkich piersi. – Święta to niewiasta – rzekła karczmarka, a gdy nikt jej nie odpowiedział, zaraz się oddaliła.

Na Prignano opowieść o Brygidzie nie zrobiła większego wrażenia i nie uważał jej za świętą. To nie pierwsza niewiasta, która przemierza krainy, odwiedza groby Chrystusa, apostołów i świętych i napomina ludzi, by się opamiętali i zeszli z drogi grzechu na drogę cnoty. Niech idzie, niech głosi słowo Boże i grozi srogą karą zatwardziałym grzesznikom. Tylko tyle może zrobić, a choćby nawróciła jedną zbłąkaną duszyczkę, to zasługa wielka dla Pana. Ale gdy w majową spiekotę Prignano dotarł do Neapolu, dostrzegł, że wielkie grupy ludzi kierują się na Piazza del Gesù. Zwolnił konia i zapytał pastucha gnającego świnie, co też dzieje się teraz w Neapolu.

– Każdy chce ujrzeć pokutnicę Brygidę, a są tacy, co wierzą w jej moc uzdrawiania chorych ze ślepoty albo głuchoty – odparł młody pastuch.

Bartolomeo ruszył ku kościołowi Świętej Klary. Po drodze mijali tubylców oraz przyjezdnych – i wszyscy oni rozprawiali o Brygidzie. Nadstawiając ucha, dowiedział się, że wielu ludzi dołączało po drodze do wieszczki, że lgnęli do niej jak do świętej i wraz z nią przekroczyli bramy miasta. Gorejące słońce wisiało nad kościołem i poraziło Bartolomea, gdy dotarł na Piazza del Gesù. W jego jaskrawym świetle ujrzał ową niewiastę odzianą w ciemną prostą suknię i usłyszał jej pełen słodczy młody głos:

– Nie idźcie drogą zguby, bracia i siostry, zawróćcie z drogi występku, i patrzcie w niebo, tam, gdzie swój tron ma Bóg. On jeden przenika wszystko, widzi wasze dobre i złe uczynki. Widzi w waszych sercach gniew i nienawiść do bliźniego, nie podobają mu się umalowane twarze waszych córek i żon, które nie Bogu, lecz diabłu chcą się przypodobać. Upiększając

swe lica i obnażając ramiona, kuszą i zwodzą na manowce pocziwych mężów, idąc za przykładem koronowanej głowy. Któż, jeśli nie królowa, winna świecić przykładem skromności, cnoty i umiłowania Boga. W ślad za nią pójda niewiasty. Opamiętajcie się zatem, inaczej czeka was ogień piekielny. Czuję jego żar, pali skórę i spopiela kości, lecz wasze dusze płonąć będą po wieki.

Prignano przedarł się konno ku przodowi, by lepiej przyjrzeć się wieszczce, i zobaczył ją, już nie w promieniach słońca, lecz w cieniu obłoku, jaki nagle zawisł nad jej głową.

– Odrzućcie grzech i rozkosze ziemskie, naśladujcie jedynie dziewicę Marię, matkę Chrystusa, odrzućcie złe obyczaje idące z królewskiego dworu i od samej królowej Joanny! Czy nie dość Bóg was pokarał zarazą? Zabrał wam bliskich, ile jeszcze zniesiecie Jego srogich kar, ile poświęcicie, by trwać w grzechu – grzmiała coraz donośniej i odważniej, a jej głos nabierał srogości, aż napotkał wzrok Prignana siedzącego na siwym cętkowanym koniu. Wtedy umilkła, lecz jej kazanie dźwięczało mu jeszcze w uszach, gdy opuścił plac i skierował się na via Tribunali. Dotarłszy do zamku, poczuł, że to miejsce nie przypomina tego, które opuścił kilka miesięcy temu, jeszcze zimą. Wtedy zamek tętnił życiem, a teraz z każdego kąta wyzierały głucha cisza i posępność, jakby kto umarł. I trafił w sedno. Marszałek dworu signor Gerolamo, gdy go prowadził do królowej, uprzedził, że Joanna jest pogrążona w wielkim smutku po śmierci córki.

– Franciszka umarła? – spytał Bartolomeo, jakby rażony piorunem na tę wieść. I pomyślał, że może w istocie dzieci płacą za grzechy swych rodziców.

– Tak, odeszła w dniu Świętego Celestyna^[13]. Dwór w wielkiej żałobie... Bóg zabiera jedno po drugim dzieci królowej.

Był w tym stwierdzeniu jakiś wyrzut w kierunku Stwórcy, Jego okrutnej woli, która z nikim się nie liczyła.

Weszli do szerokiego korytarza prowadzącego do pokoi królowej. Signor Gerolamo zapukał w drzwi i zaraz wychyliła się głowa Gisoldy.

– Powiadom królową, że z Awinionu przybył ksiądz Bartolomeo Prignano.

Dwórka zniknęła w komnacie i zaraz powróciła, prosząc, by duchowny wszedł. Wkroczył śmiało, lecz w progu zatrzymał się, uderzył go bowiem panujący tu półmrok. Okna były przesłonięte portierami, przez których szczeliny przedzierało się słońce, dając niewiele ożywczego światła. Zaraz skierował oczy ku ścianie pokrytej tapiserią, przy której wyraźnie ktoś się poruszył. To była królowa. Siedziała na skrzyni w białym welonie przesłaniającym jej włosy i w prostej czarnej sukni. Ujrawszy pochylającego głowę Prignana, podniosła się i wyszła ku niemu, jakby nagle zbudzona z letargu. Serce zaczęło jej bić szybko i mocno, wiedziała bowiem, że Prignano przynosi wieści, na które obie z Marią niecierpliwie czekały.

– Przywieźliście dyspensę? – Joanna raczej stwierdziła, niż spytała przekonana, że odpowiedź jest pozytywna.

– Nie, wasza wysokość.

Zmarszczyła brwi, do głowy cisnęły się tysiące pytań i domysłów.

– Dlaczego papież zwleka? Czy nakreśliłeś mu, księżo, że pośpiech jest tu wskazany?

– Owszem, pani, lecz Jego Świątobliwość niczego nie czyni w pośpiechu.

– Potrzebuje czasu... dobrze! Zatem kiedy nadejdzie dyspensa? – spytała.

– Papież jej nie udzieli, najjaśniejsza pani.

Ta odpowiedź zmroziła Joannę.

– Jakże to? – wydukała. – Bez dyspensy małżeństwo Marii jest nieważne.

– W istocie – potwierdził. – Według prawa boskiego i papieża jest nieważne.

Joanna zadrżała, przeniknął ją chłód, jakby to nie był gorący maj w pełni, lecz dżdżysty i zimny grudzień. Zmierzyła Bartolomea świdrującym spojrzeniem i spytała:

– Czy dołożyliście starań, by Ojciec Święty przychylił się do mojej prośby?

– Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, wasza wysokość, lecz Jego Świątobliwość jest nieprzejednany, urażony...

– Urażony? – powtórzyła.

– Dotknięty – poprawił się – nieprzestrzeganiem praw. Najpierw dyspensa, potem ślub. Takie są boskie prawa.

– Zatem postanowił naprawiać owe prawa od Marii i Filipa, nie bacząc na ich syna – zachnęła się.

– Wskazałem Ojcu Świętemu, że dziecko jest bliskie przyjścia na świat, że nie można skazywać go na potępienie...

Joanna wbiła w Prignano lodowaty wzrok, aż momentalnie zamilkł. Domyślała się, że nie chodzi o zasady, o prawa, lecz o pełną kiesę w Awinionie, że skarbiec jest pusty przez nadmierne wydatki rozrzutnego Klemensa VI.

– Zbytek oraz rozkosze łoża i stołu w papieskim Awinionie kosztują słono – rzekła odważnie. – Étienne Aubert przejął po Klemensie Szóstym nie tylko Tron Piotrowy, lecz także długi. Dostanie złoto.

– Nie chodzi o złoto, wasza wysokość – zaprotestował spieszenie.

– Zatem także nie o zasady – rzekła i spytała wprost: – Czy stronnicy zmarłego Klemensa Szóstego już opuszczają pałac w Awinionie, by ustąpić miejsca nepotom Innocentego?

Gdy Prignano milczał, dodała:

– Powiedzcie, żeście nie napotkali w pałacu papieskim żadnego krewniaka Innocentego. I powiedzcie zgodnie z prawdą, że Ludwik Węgierski nie ożeni się, nie uzyskawszy wcześniej dyspensy na małżeństwo.

– Król Węgier zapewne otrzyma dyspensę, wasza wysokość, gdyż koronowane głowy mają w zwyczaju o nią prosić przed zawarciem małżeństwa, nie po nim. Co się tyczy nepotów papieża, nie, żadnego nie

widziałem, mój pobyt w Awinionie był zbyt krótki, bym to dostrzegł, lecz wystarczający, by ujrzeć tam kogoś, kogo ujrzeć tam się nie spodziewałem.

– O kim mówicie?

– O hrabim Graviny.

– Durazzo u papieża? – wydukała zaskoczona. – Jesteście pewni?

– Tak jak was widzę – oświadczył, a przez długie wąskie usta przemknął mu uśmiech, z oczu biła dociekliwość. Podążył wzrokiem za Joanną, gdy odeszła od niego, szurając trenem sukni po podłodze. Nowina wzbudziła w niej niepokój. Wreszcie czując na sobie spojrzenie Bartolomea, zwróciła ku niemu twarz i podziękowawszy mu za misję, odprawiła go. Gdy się kłaniał, gotów odejść, jeszcze rzekł: – Do Neapolu przybyła pokutnica Brygida. Zapewne wiecie o tym, wasza wysokość.

– Wiem – potwierdziła.

– Przegnajcie ją z miasta, najjaśniejsza pani – poradził jej.

– Świętą osobę? Jakież spadłoby na mnie odium – odparła.

– Pozwalając jej przemawiać w Neapolu na najbardziej ludnych placach i pod kościołami, już sprowadzacie na siebie nienawiść, lud bowiem chętnie jej słucha – przestrzegł ją.

Czoło królowej spochmurniało. Słyszała o tej wieszczce, o jej sławie, która wyprzedzała ją o wiele mil, tak że dotarła do Neapolu, zanim Brygida postawiła tu stopę. Joanna nie zdążyła nic rzec duchownemu, bo właśnie weszła Gisolda i oznajmiła, że do komnat królowej zmierza księżna Maria. Joanna spłoszyła się na tę wieść. Najchętniej zatrzymałaby siostrę, odprawiłaby Prignana, by się nie spotkali. Lecz księżna Durazzo natknęła się na niego w sieni, gdy wychodził od Joanny, i z rozpromienionym licem weszła do komnaty siostry, pewna, że Bartolomeo przywiózł dyspensę. Jakież było jej zaskoczenie, gdy Joanna temu zaprzeczyła.

– Nie mogę kryć przed tobą, Mario, że papież jest wam przeciwny, zapiekł się w srogości i odmówił dyspensy.

Księżna zeszywniała, jej lico zbiałało, skryła twarz w dłoniach, jakby chciała zdusić szloch i rozpacz. Wreszcie odjąwszy ręce, spojrzała na

siostrę i spytała:

– Jak mam to powiedzieć Filipowi? Znienawidzi mnie, gdyż to ja parłam do prędkiego ślubu bez zgody papieża.

– Ta zgoda była przesądzona, dopóki żył Klemens – oświadczyła królowa.

– Lecz on umarł! – powiedziała Maria podniesionym głosem. Po chwili opanowała gniew i spytała: – Co teraz z nami będzie, Joanno? Co z naszym synem?

– Złamiemy upór Innocentego – postanowiła Joanna. – Papież chce wojny ze mną, będzie ją miał.

Maria zdruzgotana wróciła do pałacu przy via Tribunali, do którego niedawno przeniosła się wraz z mężem i dziećmi. Obietnica Joanny wcale jej nie pokrzepiła. Znalazłszy się na dziedzińcu, zaraz spytała stajennego, czy w pałacu jest jej małżonek.

– Nie, dostojna pani – odparł. – Książę Filip jeszcze nie wrócił z Aversy.

Filip ze swym bratem, małżonkiem Joanny, polowali od kilku dni. Pomyślała, że może to lepiej, będzie miała czas, by oswoić się z nowiną i pomyśleć, jak ją przekazać mężowi. Majowy dzień mijał leniwie, żar lejący się z nieba ustąpił dopiero po zachodzie słońca, lecz nawet nadciągający zmrok nie wyparł duchoty z Neapolu. Maria co rusz podchodziła do okna wychodzącego na dziedziniec w oczekiwaniu na męża, w końcu, nie doczekawszy się go, poszła do córek, by je ucałować przed snem. Potem zajrzała do syna. Filip spał w kołysce poruszanej przez nianię. Rosana odwróciła głowę i ujrzała zasmucone oblicze księżnej. Jednak nie pytała o nic. Chwilę potem księżna zamknęła drzwi i pograżyła się w mrocznym korytarzu, którego ciemności rozpraszały nieliczne pochodnie. Poszła do alkierza. W drodze spostrzegła z naprzeciwka długi cień i zaraz zza zaułka wyłonił się Zanetti.

– Czy wrócił mój mąż? – spytała.

– Nie, księżno.

Maria poszła do siebie, czekała tu na nią pokojowa, która pomogła jej zdjąć suknię i włożyć nocną koszulę. Niebawem księżna pogasiła świece, pozostawiając tylko jedną zapaloną, i położyła się do łóżka. Rozmyślała. O swoim życiu i o Filipie, o nowym papieżu, w którym nie ma miłosierdzia, lecz srogość. O tym wszystkim, co życie jej uczyniło ciężkim, co spowodowało, że zhardziała, i o pierwszym mężu, którego kochała i który teraz by żył, gdyby nie jego ambicje. Zdało jej się, że w tych wspomnieniach się zatracza i śni. Dobre obrazy przenikają się ze złymi, śmiech ze łzami i rozpaczą. Naraz poczuła, jak chude żylaste dłonie czule oplatają ją w talii, i usłyszała tkliwy głos Filipa tuż przy uchu:

– Wybacz, zasiedziałem się w Aversie.

– Polowanie się udało? – spytała.

– Ludwik miał lepsze oko do zwierzyny – skwitował i ucałował żoniny policzek. Maria odwzajemniła czułość. To go zachęciło. Włożył dłoń pod jej koszulę i sunął coraz wyżej, gdy księżna zatrzymała jego rękę i powiedziała:

– Nie możemy, Filipie.

– Nie krwawisz, a połóg dawno minął – powiedział, nie rozumiejąc odmowy.

– Papież nie dał nam dyspensy i nie da – załkała nagle, nie mogąc powstrzymać łez.

– To znaczy, że nasze małżeństwo jest nieważne? – spytał.

– Właśnie. Nasz syn jest bękartem – rzekła oschle i poczuła, że Filip cofnął rękę i się odsunął. Ukradkiem otarła łzy, gdy usłyszała:

– Będę przy tobie, Mario, nawet wbrew papieżowi, wbrew Bogu i całemu światu. I zapłacę każdą cenę.

Księżna odwróciła się w stronę męża, po raz pierwszy poczuwszy do Filipa coś więcej niż zyczliwość, i ucałowała mu usta.

Tymczasem w Castel Nuovo dwór usypiał. Król Ludwik, powróciwszy z Aversy, poszedł do alkierza żony. Wszedł cicho i ostrożnie, przeniknął podejrziwym wzrokiem ciemne kąty, zbliżył się do łóża, nad którym wisiał

baldachim, rozsunął kotary i pochylił się nad żoną, potem wsłuchał się w jej płytki spokojny oddech. Uznał, że śpi, i się wycofał. Poszedł do siebie. Rano, gdy pokojowcy go ubierali, zjawił się szambelan króla i napomknął Ludwikowi o pokutnicy Brygidzie, o jej zuchwałości, o ciętym języku i o pogłosce, która już obiegła Neapol i jeszcze bardziej rozzuchwaliła ową wieszczkę.

– Jaka pogłoska? – spytał król.

Szambelan popatrzył na króla uważnie, starając się dociec, czy król z niego drwi, czy rzeczywiście nie zna sprawy, i rzekł z powagą, uznając, że będzie to najlepsze wyjście:

– Papież odmówił dyspensy księżnej Marii Durazzo i jej małżonkowi, waszemu bratu, wasza wysokość, o czym mówią nawet w kramach.

Ludwik poczerwieniał, z trudem hamując gniew, i co rusz pospieszał pokojowców, by szybciej go ubierali, po czym udał się do komnat żony. Królowa jadła śniadanie.

– Papież nie dał dyspensy Marii i Filipowi, o czym nie raczyliście mnie powiadomić, pani! – rzucił król do Joanny.

Królowa skinęła na służbę, by się oddaliła, i odparła spokojnie:

– Nie było cię w zamku, Ludwiku, nie wróciłeś na noc.

– Otóż wróciłem! Lecz udawałaś, że śpisz, zamiast czekać na mnie i powiadomić o nikczemności diabła z Awinionu! A może to nie jego wina, lecz twoja! Chciałaś prędko ożenić Filipa z Marią, nie zważając na prawa! – krzyczał. – I Bóg zemścił się na nas, zabierając nam córkę!

Ugodził ją tym oskarżeniem, lecz opanowała gniew oraz żal i powiedziała chłodno:

– Nikt nie mógł przewidzieć, że Klemens umrze, zanim udzieli dyspensy.

– Ty powinnaś była o tym pomyśleć, bo nawet papieże umierają nagle!

Król w złości opuścił komnatę żony i rozsierdzony wpadł do swych pokoi. Wezwał do siebie seneszała i rzekł:

– Co zrobić, signor Acciaiuoli, by papież się ugiął?

Seneszał spojrział na niego, nie wiedząc, co czym mówi, wtedy wyjaśnił:

- Innocenty nie chce dać dyspensy Marii Durazzo i mojemu bratu.
- Trzeba poszukać sposobu, który go do tego zmusi, albo kogoś, w kim papież ma wroga.
- Znasz takiego człowieka?
- Galeotto Malatesta, jest na waszej służbie, wasza wysokość. Zajął spory kawałek ziem papieskich, za co ciąży na nim papieska klątwa. Uczynicie go wikariuszem generalnym w Abruzji.
- To rozwścieczy papieża.
- O to nam chodzi, panie – odparł.

Król kazał wezwać Malatestę. Jeden z dworzan przyprowadził go przed oblicze króla. Ludwik rzucił okiem na tego mocno posiwiałego barczystego mężczyznę, który już wiele lat temu walczył z papieżem o Rimini i zwyciężył. Galeotto urząd uznał za zaszczytny i przyjął go, o czym wieść szybko dotarła do Awinionu, budząc wściekłość Innocentego VI.

Nadszedł lipiec, gdy na wody Zatoki Neapolitańskiej wypłynęło pod sztandarami Andegawenów osiem galer. Signor Acciaiuoli, mając błogosławieństwo króla i królowej, wyruszał na Sycylię, by ją odbić z rąk Aragonów.

ROZDZIAŁ 18



Wiosna 1354 roku okazała się dla królowej Joanny i jej męża pomyślna. Pan Acciaiuoli zdobył Palermo i coraz większe połacie Sycylii przechodziły pod władanie Andegawenów. Tymczasem ostatniego kwietnia dotarły do Castel Nuovo nowiny przyniesione przez szpiegów Joanny, że Ludwik Durazzo siedzi w swoim zamku w Gargano, że skrzykuje najemników, którym płaci czystym złotem i obietnicą łupów, gdy uda mu się przegonić z Neapolu Joannę i Ludwika, że z zamku co rusz pędzą jeźdźcy na północ Italii. Dokąd jadą i po co? – dociekała Joanna w myślach i w końcu uznała, że nie ma na co czekać, lecz należy zwołać radę królewską i zaradzić temu, by hrabia Graviny nie urósł w siłę.

Kanclerz signor Spinello, wielki konetabl Tommaso Sanseverino i jego bratanek wielki justycjariusz Giacomo Sanseverino wraz z królową oczekiwali przybycia króla. Przyszedł zaraz w obstawie zbrojnych i rzucił niechętnym okiem na Joannę, gdyż była tu przed nim.

– Co uczynimy z Durazzą? Jak widzę, niewola u węgierskiego króla nie złamała w nim hardości. Czyż nie należałoby go pojmać i wtrącić do lochów, by tam dokonał żywota?

– Można tak uczynić, wasza wysokość, lecz czy nie lepiej użyć łagodnego środka w postaci perswazji? – odparł kanclerz. – Bywa, że groźby przynoszą taki sam skutek jak oręż, lecz mają tę zaletę, że mniej kosztują.

– Co o tym myślicie? – Władczyni prześlizgnęła się spojrzeniem po urzędnikach. Byli zgodni co do tego pomysłu. Uradzono, że należy posłać

kogoś znacznego do zamku w Gargano, kto przekona Ludwika Durazzo, że lepiej żyć w zgodzie z władcami Neapolu.

– Kogo posłać? Kogo Durazzo nie skróci o głowę i kto cały tutaj powróci? – Joanna patrzyła wyczekująco na radę królewską.

– Poślijcie hrabiego Fondi – zaproponował Tommaso Sanseverino. – Durazzo nie poważy się podnieść ręki na krewniaka arcybiskupa Neapolu.

– Dobrze. – Joanna na to przystała. – Poślijcie po signora Gaetaniego, niech przybędzie jak najrychlej do Neapolu.

Kroki, jakie Joanna przedsięwzięła, nie całkiem ją satysfakcjonowały, uznała, że to za mało, i aby trzymać w garści hrabiego Graviny, wezwała wieczorem konetabla i rzekła do niego:

– Pójdziecie, signor Tommaso, do pałacu Ludwika Durazzo.

Tommaso, spokrewniony z żoną Ludwika, Małgorzatą Sanseverino, poczuł niepokój.

– Przyprowadźcie mi jego syna, Karola – rozkazała Joanna.

– Teraz, wasza wysokość? – Był zbity z tropu, pora bowiem była zbyt późna, by budzić ze snu matkę i dziecko.

– Może Ludwik Durazzo skruszeje, gdy się dowie, że mam w rękach chłopca – odparła i spojrzała na urzędnika przenikliwie. Gdyby odwlekła rozkaz przyprowadzenia dziecka, może Tommaso Sanseverino uprzedziłby Małgorzatę, że będzie miała nieproszonych gości i lepiej jeśli zniknie z Neapolu, gdy jest jeszcze czas. Teraz już tego czasu nie miała.

Tymczasem Joanna poczuła ulgę na myśl, że jej wuj Ludwik Durazzo nie zdążył jej wyprzedzić i zabrać dziecka, że to ona go ubiegła, i teraz bawiła ją jego niefrasobliwość. To będzie jej pierwsze zwycięstwo.

Konetabl, dosiadłszy konia i zabrawszy ze sobą dziesięciu zbrojnych, pognął do pałacu hrabiego Graviny. Wieczór był późny, więc spodziewano się, że domownicy już śpią. Seneszał czuł się podle, nachodząc gospodynię o tak późnej porze, lecz rozkaz królowej należało wypełnić. Tommaso zsiadł z konia przed bramą i uderzył mosiężną kołatką w drewniane drzwi okute żelazem. Rozległ się mocny odgłos, który obudziłby umarłego.

Uchyliło się małe okienko w furcie, błysnęło czyjeś półprzytomne oko i zaraz zza drugiej strony usłyszał zaspany głos:

– Kto tam?

– Konetabl królestwa Neapolu.

Pojawienie się Tommasa nie wzbudziło ani krzty podejrzliwości u strażników bramnych, ponieważ Sanseverino, spokrewniony z hrabiną, bywał w jej domu przyjmowany jak przyjaciel. Otworzono mu bez ociągania. Gdy przekroczył bramę, zaraz za nim z ciemności wyskoczyli zbrojni. Dwóch z nich zostało na dziedzińcu, reszta wślizgnęła się cicho do środka i obstawiła parter, schody i korytarz na piętrze. Jeden z nich, widząc wychodzącą z zaułka pokojówkę, przyległ spiesznie do ściany, a gdy się zbliżyła, zaszedł ją od tyłu i nim zdążyła krzyknąć, ciężką ręką zatkał jej usta i syknął do ucha:

– Prowadź do komnaty Karola Durazzo!

Służąca ruszyła przed siebie. Gdy stanęli pod drzwiami, odepchnął ją i wtargnął do alkierza. Jedna świeca przeganiała tu mrok, a jej światło oświetlało łóżko, na którym spał Karol, po szyję przykryty kapą. W kołysce obok spała półtoraroczna Agnieszka. Nagłe otwarcie drzwi spowodowało, że piastunka zwróciła oczy w tamtą stronę, a widząc nieproszonych gości, wystraszona zerwała się z zydła. Nie zdążyła zrobić kroku, gdy zbrojni byli już przy chłopcu i wyciągnęli go z posłania. Strwożona, lękając się, że zabiorą także dziewczynkę, spiesznie wzięła ją z kołyski i mocno do siebie przycisnęła, błagając:

– Nie zabierajcie dzieci!

Zbrojni, mając Karola w rękach, opuścili komnatę i ruszyli szerokim korytarzem. Tu na drodze stanęła im Małgorzata Sanseverino. Dręczona bezsennością hrabina, której alkierz znajdował się od strony dziedzińca, podeszła do okna, by je uchylić, i wtedy w chłodnym blasku księżyca dostrzegła przemykające po dziedzińcu postacie i dwie sylwetki bramnych strażników leżące bez ruchu na bruku. Nie wyglądali, jakby spali. Wszystko to wzbudziło w niej niepokój. Nie tracąc ani chwili, bosą, w samej nocnej koszuli, z rozwianymi włosami, Małgorzata wybiegła z alkierza

i skierowała się do komnaty dzieci. Widząc syna w ramionach zbrojnego, rzuciła się ku niemu, próbując mu odebrać dziecko i błagając:

– Oddajcie mi syna!!! Dokąd go zabieracie?! Z czyjego rozkazu?!

– Małgorzato. – Usłyszała za sobą łagodny głos, a gdy się obejrzała, ujrzała wynurzającą się z mroku rosłą postać konetabla. – To rozkaz królowej, Karol pojedzie z nami do Castel Nuovo.

– Nie uczynił nic złego! Miejcie litość, wuju! – Zalała się łzami i upadłszy przed nim na kolana, chwyciła jego dłoń i ją ucałowała, błagając. – Oddajcie mi syna, zaklinam was, konetablu. On jest niewinny! To jeszcze dziecko!

– Płaci za winy ojca. Nakłoń Ludwika, by ukorzył się przed królową. Jeśli chcesz odzyskać syna, twój mąż musi stawić się w Castel Nuovo – rzekł z ciężkim sercem, czując się podle, jak zbir nachodzący dom niewinnej krewnej. Jednakże nie mógł przeciwstawić się królowej, przyszedł do domu Małgorzaty jako królewski urzędnik wykonujący wolę swej władczyni.

Tommaso poczuł, jak uścisk hrabiny się rozluźnia, wtedy wysunął dłoń i się oddalił. Małgorzata spoglądała za nim oczami pełnymi łez. Gdy zniknął jej z pola widzenia, poderwała się z posadzki i pobiegła do komnaty, której okna wychodziły na dziedziniec. Widziała, jak konetabl dosiada konia i jak przed sobą w siodle sadza jej syna. Poczowała bezradność, a potem wściekłość, która rozsadziła jej serce, wzburzyła krew, aż dała upust gniewowi, uderzając pięścią w szybę. Szkło rozprysło się, raniąc jej dłoń. Ale nawet ból nie ugasił wściekłości.

Tymczasem Joanna czekała na rudowłosego chłopca. Była sama, wcześniej odprawiła dwórki. Gdy pan Sanseverino wszedł do komnaty, prowadząc przed sobą chłopca, królowa po raz pierwszy w oczach Karola nie ujrzała radości, lecz lęk. Chłopiec spoglądał na nią chmurnie. Chcąc przegnać strach z jego serca i oblicza, Joanna rzekła z uśmiechem:

– Podejdź do mnie, Karolku, pragnę cię uściskać.

Chłopiec stał nieporuszony, w pamięci mając obraz zapłakanej matki.

- Chcę wrócić do domu – powiedział.
- Teraz tu jest twój dom – odparła Joanna łagodnie.
- Nie chcę tu być – zaprotestował i chmura złości okryła mu czoło.
- Wiesz, że twój ojciec was opuścił, a twoja matka nie nauczy cię władać mieczem ani jeździć konno, bo jest kobietą.
- A wy mnie nauczycie? Jesteście niewiastą, wasza wysokość.

Joanna uśmiechnęła się na tę rezolutną odpowiedź.

– Zgadza się, dlatego władania mieczem i jazdy konno nauczy cię wielki konetabl, twój wuj, signor Tommaso. I tu poczekaś na twego ojca.

– On tu przyjdzie? Do Castel Nuovo? – dopytywał się podekscytowany.

– Tak, tu będziemy na niego oboje czekać. Zgoda?

Gdy królowa wyciągnęła do niego rękę, chłopiec pochwycił ją, uniósł głowę i ujrzał jasny uśmiech Joanny.

Nastał sierpień. Powietrze było gorące i nasycone wonią ziół, którą wiatr przyganiał z wulkanicznych stoków. Ale Joanna nie miała głowy ani do cudownych woni, ani do sielskich widoków roztaczających się za okienną szybą, gdyż niedawno zmarła Małgorzata Sanseverino. Królowa bezzwłocznie sprowadziła jej kilkuletnią córkę Agnieszkę na zamek i otoczyła najlepszą opieką. A zaraz potem Apulię załżyły bunty baronów pod wodzą Ludwika Durazzo i jego brata Roberta. Mnóstwo najemników przeszło na służbę hrabiego Graviny. Na nic zdała się mediacja, z jaką królowa posłała jeszcze wiosną do Gargano Onorata Gaetaniego. Przesiedział w lochach tamtejszego zamku parę miesięcy, po czym wspaniałomyślnie uwolniony wrócił z odpowiedzią, która była dla króla Neapolu obelgą. W liście Ludwik Durazzo pisał, że poważa majestat królowej, lecz nigdy nie uzna korony na głowie stryjecznego brata. Joanna przywołała w pamięci tamten dzień. Dochodziło południe, pora śniadania, które królowa jadła wraz z Karolem Durazzo i Agnieszką w swej komnacie, jakby te wspólne beztroskie chwile miały związać ją mocno z obojgiem. Dzieci z czasem stały się jej radością, zajmując w sercu królowej wiele miejsca i zapelniając pustkę po jej własnych dzieciach. Wtedy marszałek

dworu wprowadził hrabiego Fondi z listem do królowej. Joanna ledwo zdążyła odczytać treść, gdy przyszedł jej mąż, któremu już doniesiono, że wrócił hrabia Fondi.

– Wiadomość od Durazza? – rzucił, nie zważając na to, że dzieci przysłuchują się rozmowie, i skakał wzrokiem to po żonie, to po hrabim Fondi.

– Tak – odpowiedziała, gdy nagle z niecierpliwością wyrwał jej z rąk pergamin i odczytał.

Buta hrabiego Graviny rozsierzdziła go, bo aż huknął:

– Jestem królem, lecz nie w oczach Durazzów!

Nagły wybuch złości przestraszył Agnieszkę, która zaczęła płakać. Królowa wzięła ją na ręce i natychmiast poczuła, jak chude ramiona dziecka oplatają jej szyję.

– Zatem pokaż, że nim jesteś. Stań przeciwko Durazzom i ich pokonaj! Rusz do Apulii choćby jutro – rzekła Joanna, patrząc mężowi hardo w oczy i przytulając płaczące dziecko do siebie.

– Doprawdy! Prędko chcecie się mnie pozbyć i tylko czekacie, bym się wam usunął z oczu! Może już macie na oku jakiegoś gacha! – krzyknął i chwycił ją za ramię. Joanna postawiła Agnieszkę, a dziecko chwyciwszy się jej sukni, wtuliło w nią twarz. Król potrząsnął żoną z taką siłą, że spadł welon z jej głowy, po czym uderzył ją w twarz. Krew chlusnęła jej z nozdrzy, wywołując nagły płacz Agnieszki i przerażenie Karola. Hrabia Fondi zaniepokojony ściągnął brwi, po raz pierwszy widząc taką porywczosć króla.

– Nim wyruszę z Neapolu, winienem skrócić go o głowę! – huknął Ludwik i rozkazał hrabiemu, by z nim poszedł, chciał bowiem od niego wszelkich wieści o tym, co dzieje się w Apulii. Gdy wyszli, Karol zbliżył się do królowej i spojrzał na nią ze strachem, po czym rzekł:

– Wuj jest na was zły.

– Nie – zaprzeczyła, ocierając z twarzy krew. – Tylko ci się zdaje, Karolu.

Joanna pochyliła się, by wziąć na ręce Agnieszkę, a wtedy dostrzegła stojącego w progu Roberta, brata swego męża. Książę Achai przyglądał się Joannie uważnie, ona zaś nie potrafiła rozszyfrować, co kryje się w jego spojrzeniu: współczucie czy satysfakcja. Wszak sama zgotowała sobie taki los. Nie powinna się skarżyć.

– Nic wam nie jest? – spytał wreszcie książę Achai.

– Nic – zapewniła wymijająco. – Mała sprzeczką. To wszystko.

Robert z Tarentu nie uwierzył jej, miała na twarzy wypisane kłękę i bojaźń. Kłamała. Naraz Joanna poczuła ciepło jego spojrzeń. Gdyby to jego wybrała, czy on również podniósłby na nią rękę? Jego oblicze nagle się zasepiło. Jakie myśli nawiedziły jego umysł, jakie uczucia załęgły się w odtraconym dawno temu sercu? Czy byłby zdolny zabić brata, by ratować królową czy by samemu zająć jego miejsce i zostać królem Neapolu?

We wrześniu gruchnęła wieść, że bunty rozlewają się po królestwie, obejmując coraz szersze połacie ziemi. Król nie mógł dłużej czekać i na Świętego Gwidona^[14] tłum rycerstwa zebrał się przed Castel Nuovo. Joanna otoczona dwórkami wyszła pożegnać męża, który ruszał do Apulii przeciwko Durazzom. Ludwik dosiadł konia i pochyliwszy się ku żonie, powiedział:

– Przywiozę ci głowy Durazzów, Ludwika i Roberta, przyozdobisz nimi Castel Nuovo.

– Nie, Ludwiku, nie chcę ich głów, chcę ich żywych. Obiecuj, że przyprowadzisz ich do Neapolu, chcę, by się ukorzyli przede mną i przed tobą – rzekła stanowczo.

Król ucałował żonine usta i powiedział:

– Niech będzie wasza wola, królowo.

Podniósł głowę i spojrzał na Filipa. Książę Tarentu zbliżył się do króla, a wtedy Ludwik rzekł enigmatycznie:

– Pamiętam, bracie. – I wyciągnąwszy rękę, uścisnął jego dłoń.

– Niech Bóg ci dopomoże – powiedział Filip. Koń poniósł króla ku bramie pośród radosnych okrzyków, tymczasem książę Tarentu spojrzął za siebie. W dali stała Maria z dłońmi spoczywającymi na brzuchu. Za parę miesięcy urodzi.

ROZDZIAŁ 19



Cienka koszula pod suknią Elżbiety przykleiła się do pleców mokrych od gorącego śliskiego potu. Przez czarny welon zakrywający twarz sączyło się palące słońce. Wczesnowrześniowy dzień 1354 roku był skwarny niczym w środku najgorętszego lata i nawet wody Dunaju płynące leniwie, niepospieszane ani przez wiatr, ani przez czas, nie dawały ochłody. Ale królowej Węgier było wszystko jedno, niestraszny jej gorąc. W pamięci powracały obrazy sprzed roku: ślub Ludwika z Elżbietą Bośniaczką, jej koronacja i wesele trwające tydzień, od niedzieli do niedzieli. Mury zamku w Budzie wypełniły się radosnymi głosami, śmiechem, wonią rozgrzanych oddechów, zapachem miłości i kwiatów, którymi udekorowano wszystkie komnaty gości i pary młodej. Elżbieta pragnęła, by radość z zaślubin syna trwała w nieskończoność. Wesele było okazją do przybycia na dwór królewski Stefana z małżonką, Małgorzatą Bawarską. A wkrótce potem, po weselnych fetach, gdy lipcowego poranka oboje opuszczali Budę, by powrócić na swój dwór do Zagrzebia, Elżbieta obdarowała ich cennymi futrami i tkaninami, swojej wnuczce Elżbietce ofiarowała świętą relikwię, by chroniła ją przed złymi duchami, synowej zaś pachnącą wodę, w której długo macerowano płatki czerwonych róż.

– Dbaj o siebie, Małgorzato, abyś zawsze podobała się Stefanowi, aby tylko ciebie kochał – powiedziała na odchodne, pamiętając, jak bardzo zabolęła ją swego czasu nowina o tym, że Karol Robert wziął sobie kochankę. Małgorzata uniosła na królową duże, błękitne jak niebo oczy i się uśmiechnęła. Mimo że twarz miała zaokrągloną, a policzki pełne, nie można było odmówić jej uroku. Małgorzata ucałowała dłoń teściowej,

nawet nie doszukawszy się w jej słowach życzliwej rady. Właśnie wtedy, rok temu, podczas wesela Ludwika, królowa zauważyła nadmierny apetyt Małgorzaty, a gdy jesienią nadeszła do Budy nowina, że żona Stefana znowu jest brzemienna i spodziewa się drugiego dziecka, Elżbietę rozpierała radość. Rozkazała wydać na cześć Stefana i jego małżonki ucztę, co wywołało w żonie Ludwika niezadowolenie. Królowa dostrzegła jej nagle ochłodłą twarz, a chcąc podnieść na duchu synową, rzekła do niej:

– Zobaczysz, niebawem i wam Bóg pobłogosławi dzieckiem.

Ale na te pełne pociechy słowa nawet mdły uśmiech nie rozjaśnił lica młodej królowej. Wtedy popatrując na synową, królowa pomyślała: Od kilku lat jest przy mnie na budzińskim dworze, a mimo to nie czuje się tu dobrze. Ma w sobie jakiś odpychający chłód. Czy w łożu jest równie zimna i czy jej serce jest w stanie wykrzesać odrobinę czułości? A może okazuje ją jedynie mężowi, dobrze ukrywając przed wścibskim okiem obcych. Królowa Elżbieta wie, że Ludwik przychodzi do żony. Zatem należy oczekiwać, że niebawem będzie brzemienna. Bośniaczka skwaśniała jeszcze bardziej, gdy u progu wiosny 1354 roku dotarły wieści z Zagrzebia o narodzinach Jana. Dwór zagrzebski świętował, zamek w Budzie radował się cicho, by nie drażnić młodej królowej. Tylko stara królowa głośno mówiła o wielkim szczęściu. I nagle, niespełna pół roku potem, w połowie sierpnia nadeszła wieść o śmierci Stefana. Elżbieta nie mogła uwierzyć, gdy goniec stanął przed nią i obwieścił tragiczną nowinę, że księżę Stefan, powracając z Serbii, spadł z konia. Królowa podeszła do posłańca i wbiła w niego twarde jak stal pięści, po czym uderzała w jego piersi z taką mocą, jakby chciała przebić się do serca.

– To niemożliwe! To nieprawda! – Z gardła Elżbiety wydarł się krzyk, którego siła zwabiła pod królewską komnatę zaniepokojonych dworzan. Królowa oddaliła się od posłańca i zacisnąwszy pięstkę na sercu, zamilkła. Płacz utkwiał jej w krtani. Prawie nieprzytomna osunęła się na krzesło. Natychmiast sprowadzono medyka, ale wyrzuciła go za drzwi. Nikogo nie chciała widzieć, z nikim rozmawiać. Resztę dnia i noc spędziła w łożu, odrętwiała i prawie martwa z bólu. Gdy przyszedł do niej Ludwik z żoną,

wyciągnęła ku niemu dłoń, a gdy usiadł blisko matki, rzekła do niego ochrypłym od łez głosem:

– Boję się o moje wnuki. Rozkaż Małgorzacie, by przywiozła je do Budy. Tutaj będą bezpieczne.

Król milczał, ale Elżbieta dostrzegła, że lekko zwrócił twarz ku stojącej za nim żonie i spojrzał na nią kątem oka, jakby czekał na jej zgodę. Błyszcząca od złotych haftów, odziana w najdelikatniejsze jedwabie, ze sznurem szmaragdów oplatających jej szczupłą szyję Bośniaczka zacisnęła wargi. Nie zniesie tutaj Małgorzaty, nie zniesie jej dzieci biegających po zamkowych korytarzach ani ich radosnych głosów i śmiechu. Ponad rok minął od zaślubin z Ludwikiem, a ona nie powiła dziecka i nie jest przy nadziei. I choć młoda królowa nic nie rzekła, to jej oczy zdawały się prosić: Nie dokładaj mi udreki, mężu. Naraz król poczuł na dłoni matczynej dotyk i skierował oczy na starą królową. Skinęła na niego tak delikatnie, tak subtelnie, że tylko on dostrzegł ten gest. Pochylił się nad matką i usłyszał jej szept:

– Nie potrzebujesz niczyjej zgody. Rozkaż Małgorzacie, by tu przybyła z dziećmi.

Jeszcze tego samego dnia królowa napisała list do synowej, w którym ubolewała nad śmiercią Stefana. Drugi list, pisany ręką Ludwika Węgierskiego, wzywał bratową do Budy i prosił, by opuściła Zagrzeb wraz z dziećmi jeszcze przed zimą. Z listami pojechał Filip Drugeth.

Słońce odbiło się od wodnej toni i poraziło wzrok królowej, wytrącając ją ze wspomnień. Łódź lekko się zakołysała, zahaczywszy o nadrzeczne konary, lecz dwóch wioślarzy prędko ją ujarzmiło. Królowa spojrzała na swoje dwórki: starą Irnę, która służyła jej od dawna, i młodą Nórę. Płynęły na Wyspę Królików, by tam Elżbieta mogła wylać z siebie żal i szukać pocieszenia w murach klasztornych, pośród modlitwy i ciszy. Dlaczego Bóg tak mnie doświadcza? – pytała nieraz Elżbieta. – Czym zawiniłam, że zabrał mi czwartego syna? Nawet Ludwik, który w ten ciężki czas był przy matce, nie potrafił jej pocieszyć. Każda śmierć mojego dziecka kładzie mi kamień na sercu – rzekła wtedy do jedyne go dziecka. I spojrzała mu w oczy

z rozpaczą. W jej głowie tłukła się myśl, żądanie skierowane do Boga, by ją zabrał przed Ludwikiem, choćby do piekła, ponieważ nie zniesie śmierci ostatniego syna.

– Dobijamy do brzegu, najjaśniejsza pani – rzekł pan Újlaki.

Królowa uniosła wzrok na rozpościerający się nad brzegiem klasztor. Wysiadła z łodzi, mocząc sobie skraj sukni, a gdy Irma zwróciła jej na to uwagę, odrzekła:

– Nic to.

Brzeg rzeki był łagodny, wydeptana ścieżka biegła pomiędzy krzewami jeżyn i prowadziła do klasztoru otoczonego solidnym murem. Elżbietę i jej dwórki wpuszczono zaraz do wirydarza. Na powitanie królowej wyszła przeorysza klasztoru, za którą podążała Matylda odziana w zakonne szaty dominikanki. Powitawszy przeoryszę, Elżbieta zwróciła się do dawnej dwórki:

– Odnalazłaś tu szczęście?

– Szczęściem jest Bóg – odparła. Z jej oczu biły spokój i radość. Elżbieta od młodości nie widziała jej tak promiennej, jakby bliskość Boga odjęła Matyldzie lat.

– A więc chodźmy do grobu Małgorzaty – zaproponowała królowa i podreptała ścieżką pośród szumiących drzew, których rozłożyste korony dawały wytchnienie od prażącego słońca. Dwórki i mniszki podążyły za nimi, lecz zaraz zatrzymały się w cieniu dębu, królowa zaś udała się do grobu samotnie. Uklękła na ziemi i zdjawszy cieniutką jedwabną rękawiczkę, położyła dłoń pozbawioną palców na nagrobnej płycie swej przodkini. Łkania targały królową, budząc niepokój obserwujących ją dwórek. Szczególnie Irma była pełna obaw, czy Elżbieta zaraz się nie osunie na ziemię, widziała bowiem, jak jej sylwetka pochyla się ku nagrobkowi, to chwijeje się, byle powiew wiatru mógł ją złamać jak słabą krzewinkę, która wiosną ledwo wybiła z ziemi. Elżbieta była krucha, ostatnie zdarzenia odebrały jej apetyt, prawie nic nie jadła, nie mogła spać, podkrążone oczy i szara cera dodały jej lat. Gdy próbowała się podnieść, Irma podbiegła do niej, by jej pomóc. Elżbieta wsparła się na jej ramieniu

i zwróciła ku dwórcie oczy czerwone od łez, po czym przyznała ze ściśniętym sercem:

– Nawet tutaj nie potrafię odnaleźć spokoju, nawet tutaj. – Gorycz wyczierała z każdego jej spojrzenia, z każdego słowa. Jakby już nie było dla niej ratunku przed żalością i zgryzotami, jakby nie istniało nic, co mogłoby choć na chwilę przyćmić ból i przynieść zapomnienie bolesnych wydarzeń i wielkiej straty.

Wzrok królowej uleciał w stronę ptactwa, które nagle poderwało się pod niebo, i zaraz podążył ku oczekującym pod drzewem mniszkom oraz Nórze. Szeroka korona wisiała nad ich głowami jak baldachim, rozłożyste grube gałęzie osłaniały je i zdawały się je chronić. Daj mi, Boże, taką siłę, jaką ma ten dąb – poprosiła cicho Elżbieta i skierowała się do drzewa. Uniosła głowę, przez liście przenikały promienie słońca i padały na twarz królowej. Naraz omiotła spojrzeniem dawną dwórkę i powiedziała:

– Zazdrozczę ci, Matyldo, znalazłaś tu swoje szczęście.

Mniszka spojrzała na nią dobrotliwie. Nie miała żalu do Elżbiety za przeszłość, gniew wypalił się w niej jak ogień pokonany przez silniejszy żywioł – wodę. Uwierzyła, że można przebaczyć każdą krzywdę, odrzucić złe uczucia i wstąpić na nową drogę, odnaleźć ukojenie i spokój.

– To nie szczęście, pani, to spokój – odparła.

Pośród świergotu ptactwa Elżbieta skierowała się do bramy. Przeorysza chciała ją odprowadzić, lecz królowa zabroniła:

– Pójdę sama, chyba że jedna z was mnie odprowadzi.

– Siostró Jadwigo – rzekła matka przełożona do Matyldy. – Odprowadź królową do furty.

Na dźwięk tego imienia Elżbiecie zrobiło się ciepło na sercu, oto bowiem wspomniała swą matkę.

Gdy stanęły pod furką klasztorną, siostra Jadwiga rzekła do królowej:

– Będę się o was modlić, najjaśniejsza pani.

– Nie, nie o mnie – powiedziała Elżbieta. – Módl się o króla, o Ludwika.

Królowa przekroczyła klasztorną furkę. Pod murami czekali pan Újlaki i kilku zbrojnych. Skierowano się do łodzi cumującej u brzegu i sprawnie pokonano rzekę. Elżbieta powracała z klasztoru zamyślona, spoglądając ku słońcu, którego ognista kula widniała na horyzoncie, zwiastując nadciągający zmierzch. Wkroczywszy w zamkowe mury, Elżbieta zapytała o Ludwika jednego ze sług.

– Król w swoich komnatach – odparł dworzanin.

Elżbieta skierowała kroki do syna. Poczowała nagłą potrzebę bycia przy nim. Chciała wiedzieć, co robi, o czym myśli, w jakim jest nastroju, czy ciągle pogrążony w żałobie jak ona. Zasiądą razem do wieczerzy, on opowie jej, jak mu minął dzień, ona zda mu relację z pobytu na Wyspie Królików. Mimo smutku pojawią się też chwile radosne. I one są potrzebne duszy. Minęła strażę i weszła do pogrążonej w szarości sieni, z której usłyszała głosy.

– Odeślijcie matkę.

– Dokąd? – W głosie Ludwika było zaskoczenie.

– Choćby do Polski... nikt lepiej nie przypilnuje naszych spraw – mówiła Elżbieta Bośniaczka głosem łagodnym, słodkim i przekonującym.

Królowa matka lekko rozchyliła portiery i zajrzała do komnaty. W gasnącym świetle dnia ujrzała synową pochyloną nad Ludwikiem siedzącym przy stole. Opłótłszy ramionami jego szyję, pocałowała go w policzek.

– Niczego nie potrafię ci odmówić, zatem rozmówię się z matką. A jeśli nie zechce wyjechać?

– Nie pytaj o zgodę, lecz rozkaż matce, jesteś królem, mój mężu.

Elżbieta nie czekała na dalszy przebieg rozmowy i wycofała się z komnat króla zdruzgotana. Wróciła do siebie. W alkierzu czekały na nią dwórki, lecz zatrzymała przy sobie tylko Irmę i kazała nalać sobie tokaju. Stara dwórka natychmiast zauważyła, że królowa jest nieswoja. Gdy postawiła przed nią kielich z winem, Elżbieta wypila do dna i poprosiła o więcej. Irma

posłuszna jej rozkazowi ponownie napełniła kryształową czarę po brzegi, a gdy i tę królowa opróżniła spieszenie, wtedy Irma rzekła:

– Nie utopicie zgryzot w winie, najjaśniejsza pani, a rano wstaniecie z bólem głowy.

– Wszystko mi jedno, Irmo – ucięła królowa, a po chwili dodała: – Mój czas się kończy... Trudno mi się z tym pogodzić. Miejsce u boku Ludwika zajęła żona.

– Taka jest kolej rzeczy, bo czyż nie urodziliście syna dla królestwa i dla niewiasty, którą poślubi? – spytała dwórka.

– Gdybym mogła, zatrzymałabym wszystkich moich synów przy sobie, by móc być przy nich każdego dnia, służyć im radą i widzieć ich uśmiech, gdy są szczęśliwi.

– I ocierać łzy, gdy potrzebują pocieszenia – dodała Irma.

Elżbieta potaknęła:

– Tak. Zawsze blisko nich. A przynajmniej przy tym, który mi pozostał, pragnęłam dożyć starości.

– Do niej jeszcze daleko, pani. A wam zdrowie dopisuje. Możecie wiele dobrego zdziałać dla królestwa, zresztą jedno miejsce u boku króla zawsze będzie należeć do was – to po stronie serca. – Irma uśmiechnęła się do królowej.

Elżbieta podniosła się od stołu i poprosiła dwórkę, by pomogła jej się przebrać w nocną koszulę. Niebawem położyła się do łóżka ukołyszana do snu szumem w głowie spowodowanym wypitym winem. Rano obudziła się rześka i pełna sił. Dwórki ubrały królową, zaplotły jej włosy w warkocze i upięły wokół głowy, potem ukryły włosy pod czarnym welonem. Elżbieta udała się do zamkowej kaplicy na prymę, gdzie czekał już dwór i dokąd niebawem przybył też król, prowadząc u boku dumną Bośniaczkę. Od dnia zaślubin z Ludwikiem gąsły w niej pokora i potulność zaszczepione przez królową matkę. Miejsce tych cech zastępowały uczucia odmienne: wyniosłość i przekora. I teraz stara królowa dostrzegła na ustach synowej

uśmiech triumfu. Elżbieta już wiedziała, że Bośniaczka wygrała jedną bitwę. Gdy król stanął przy matce, ona szepnęła do niego:

– Zjedz ze mną śniadanie, musimy omówić ważne sprawy, synu. Tylko my dwoje.

Pochwyciła dociekliwy wzrok synowej stojącej po prawicy króla. Ludwik zmieszał się, lecz zaraz rzekł do matki:

– Pomówimy na polowaniu, pojedźcie z nami, matko.

– Zostanę na zamku, tej nocy źle spałam, pęka mi głowa, daruj, Ludwiku – wymówiła się.

– Dobrze, przyjdę – zgodził się i w tym momencie Elżbieta dostrzegła spochmurniałe oblicze synowej.

Ludwik wkrótce zjawił się w komnacie matki, jakby chciał w pośpiechu załatwić rzecz i pognać w puszcę za zwierzyną. Usiadł naprzeciw Elżbiety, krajczy nałożył mu na talerz mięsiwa, podczaszy rozlał wino do kielichów, królowa poczekała, aż skończą, i odprawivszy służbę, przemówiła:

– Może to przedwczesne, a może się mylę, bo niczego nie należy odkładać na potem.

– Wiem, że nigdy niczego nie odkładacie na później, matko – rzekł i zachęcił ją: – Mówcie więc śmiało.

– Stefan nie żyje, lecz zostawił syna, któremu przypadnie tron Polski.

– Istotnie, nie w czas to, Stefan ledwo pochowany – ocenił.

– Umarł nagle. Jak widzisz, śmierć nie wybiera czasu, a Kazimierz nie tak dawno był bliski śmierci... Nie uważasz, Ludwiku, że należałoby dopilnować tej sprawy i udać się do Polski?

Król przyjrzał się matce uważnie. Dotychczas nie pytała go o zdanie, lecz od razu wyrażała swoje, mówiła mu, jak byłoby najlepiej, a on zwykle się z nią zgadzał.

– Macie rację, matko, lecz to zły czas, abym wybierał się do Polski, wiecie, że niebawem ruszam do Serbii.

– A gdybym to ja pojechała i odebrała hołd od szlachty w imieniu twego bratanka?

Oczy mu się rozogniły i spytał:

– Zechcecie pojechać?

– Z chęcią zajrzę do klarysek w Starym Sączu i pomodłę się u grobu twojej babki Jadwigi. Im jestem starsza, tym bardziej ciągnie mnie w tamte strony.

– Wyświadczycie mi przysługę, matko – przyznał uradowany, nawet nie podejrzewając, że Elżbieta zna jego zamiary. Ona zaś wiedziała, o jaką przysługę w istocie chodzi. I poczuła w sercu ukłucie. Ludwik stanął po stronie żony. Pomyślała, że pożądanie jest spoiwem najsilniejszym. Pożądanie i miłość, jeśli idą w parze, stanowią siłę, której nie zwyciężą ani rozsądek, ani wdzięczność, ani przywiązanie, ani nawet ta sama krew. Ten, kto potrafi kochać i dawać miłość, zaspokajając wszystkie żądze, jest najmocniejszy. Gdy stanęła przy Ludwiku, pochwycił jej dłoń i ucałował, lecz nie z tą co dawniej miłością – tej nie poczuła od niego, lecz z ulgą. Jakże on musi ją kochać – pomyślała – że dla niej gotów pozbyć się matki, a byłam dla niego ostoją przez wiele lat, przez wiele lat mnie powierzał swoje sprawy i swoje sekrety, mnie zwierzał się z lęków i niepokojów, z rozterek...

– Wprzód pchnę do stryja posłów, aby mu wyłuszczyli, że sprawa jest pilna. Niech przygotuje możnych i szlachtę. Najpierw jednak dokumenty o sukcesji mego bratanka Jana. I pojedziecie dopiero wtedy, gdy to będzie ułożone, ale nie puszczę was w zimową porę, tylko wiosną.

– Wiesz, że nie boję się śniegów i chłód mi niestraszny – odparła.

– Ale swoje lata macie – przypomniał jej.

– O których nie chcę pamiętać – rzekła z uśmiechem.

– Oto moja matka – powiedział z dumą i się uśmiechnął. – Nieustępliwa i nieustraszona.

Gdyby wiedział, że podjęła się tej misji z obawy, iż ją odeśle, bo wybrał żonę, tę, którą Elżbieta chowała u swego boku dla niego. Kazała ją ćwiczyć w łacinie, uczyć płaść lekko jak motyl i głowę nosić wysoko. Ofiarowała

jej serce i teraz zbiera żniwa owej dobroci, lecz ziarno owych żniw zepsute, gorzkie i trujące.

Kończyło się lato, ubywało dnia. Wieczory stawały się długie i smętne, krajobrazy oblekły się w rdzę i srebro, a wiatr leniwie strącał ostatnie liście z drzew. Drogi rozmokły od deszczu i przypominały grzędzawiska. W taką paskudną porę na budziński dwór powrócił Filip Drugeth. Gdy stanął przed obliczem królowej, Elżbieta poczuła w nozdrzach kadzidlana woń kaplicy, co przypomniało jej o tym, co bolesne, i wzbudziło nagłą żalność. Oczy królowej zaszyły łzami, otarła je ukradkiem i zaraz spytała przez ściśniętą krtani:

– Jak księżna Małgorzata zniosła pochówek Stefana?

– Z wielką rozpaczą, najjaśniejsza pani.

– Tak bardzo pragnęłabym ją pocieszyć, lecz ja sama potrzebuję pocieszenia – powiedziała królowa cicho. – A dzieci? Zdrowe?

– Widziałem je przy matce w dniu pogrzebu, podobne do ojca, zdrowe i żwawe.

– Kiedy ruszają z Zagrzebia?

– W Zaduszki.

– Zatem wyruszą lada dzień – rzekła królowa. Była spokojna o bezpieczeństwo synowej i wnuków. Gdy Filip opuścił Budę, król posłał zaraz w ślad za nim kilku dworzan i dwudziestu zbrojnych, którzy mieli eskortować księżnę i dzieci w drodze na węgierski dwór. Stara królowa martwiła się jedynie o to, by w czasie drogi nie pochorowały się wnuki, Elżbietka i ponadpółroczny Jan, pora bowiem nie sprzyjała długiej podróży. O ich zdrowie prosiła Boga.

– W Zagrzebiu doszły mnie słuchy o tym, co dzieje się w Neapolu. – Głos Filipa wyrwał ją z zamyślenia.

– Co takiego? – Zwróciła na niego oczy.

– Baronowie wystąpili przeciwko Joannie Andegaweńskiej i jej mężowi.

Elżbieta nadstawiła ucha i spytała:

– Skąd te wieści?

– Rozgłasza je pewien najemnik.

Elżbieta wspomniała wiosnę, gdy na budziński dwór przybył Ludwik Durazzo. Król Węgier przyjął wuja gościnnie, jakby nigdy nie było między nimi żadnych waśni, żadnych uraz, i nawet kilkuletni pobyt Durazza w budzińskich lochach już zatarł się w jego pamięci. Hrabia Graviny przybył po wsparcie przeciwko królowej Neapolu. Węgierskiemu władcy zaświeciły się oczy na myśl, że może powrócić do Neapolu i tym razem pokonać Joannę, lecz matka szybko ostudziła wojenny zapał.

– Nie ufaj Durazzom. Pamiętaj, że na rękach mają krew twego brata. I bądź cierpliwy, poczekajmy, aż się pozagryzają i wykrwawią. Wtedy zwycięstwo przyjdzie łatwo – przestrzegła syna.

Posłuchał matki, tym bardziej że kierował oczy ku Polsce i Dalmacji, Neapol zaś był daleko, za wodami Adriatyku. Pan Drugeth poruszył się, mącąc wspomnienia, i królowa ocknąwszy się, spytała:

– Ile to już lat, odkąd Wilczyca zamordowała mi syna? – spytała Filipa.

– Dziewięć, wasza wysokość – odparł po chwili.

– Dziewięć długich lat żałoby – rzekła z goryczą Elżbieta i podeszła do kominka. Wsparła dłonie o kamienne kafle i dodała: – I boli tak samo, do szpiku kości, do dna serca. Nic mniej.

Elżbieta nie miała spokojnych dni ani nocy. Od śmierci Stefana śniła koszmary, powracały czarne obrazy jak kir pokrywający budziński dwór. I teraz, gdy wrócił z Zagrzebia Filip Drugeth, złe sny spotęgowały niepokój.

ROZDZIAŁ 20



Klejnoty wszyte w suknię Elżbiety zalśniły w kwietniowym słońcu 1355 roku. Władczyni wystawiła twarz ku jego ciepłym promieniom, a gdy po chwili spojrzała w zamkowe okna, w jednym z nich dostrzegła Bośniaczkę. Młoda królowa nie cofnęła się i nie skryła przed okiem teściowej. Zdało się Elżbiecie, że na ustach synowej zadrgał uśmiech triumfu.

– Wróć – rzekła wtedy królowa, jakby pragnęła, aby synowa odczytała to słowo z jej warg. Po chwili jej twarz nagle się rozjaśniła na widok Małgorzaty Bawarskiej, trzymającej w ramionach owiniętego w ciepłą kapę ponadrocznego Jana. Przy matce stała trzyletnia Elżbietka. Królowa ucałowała czoła wnuków i uściskawszy dłoń synowej, uśmiechnęła się ciepło, ale za tym uśmiechem kryła się obawa, ponieważ zostawiała Małgorzatę samą. Ludwik już opuścił Budę, za chwilę ona też wyjedzie. Zapewniła jednak synową, że szybko wróci z Polski. Wsiadła do karocy, za nią usadowiły się Irma i Nóra. Powóz ruszył ku bramie, a za nim kolejne wozy i mnóstwo węgierskiej szlachty, rycerstwa i baronów, którzy mieli złożyć na ręce polskiego władcy przyrzeczenie, że umów zawartych przez Karola Roberta i jego syna Ludwika Węgierskiego dotrzymają, że wesprą zbrojnie polskiego monarchę przeciwko jego wrogom. Niebawem zostawiono Budę daleko za sobą i przed orszakiem rozpostarły się szerokie pasma łąk, lasów i pól dopiero co budzących się do życia. Elżbieta wspomniała śnieżną i mroźną zimę. Jesienią zeszłego roku rokowania z królem Kazimierzem się przeciągały, tak że posłowie polscy dopiero w styczniu zjechali do Budy, by ostatecznie uzgodnić zapisy traktatu o dziedziczeniu polskiej korony przez Andegawenów. Węgierski król

przyjął ich z honorami i gościł na hucznych biesiadach. Mięsopest obchodzono tutaj radośnie, nie odmawiając sobie tańców, maskarad ani dobrego jadła i trunku. Posłowie odjechali zadowoleni. Z końcem lutego król Ludwik wyruszył z Budy do Serbii, by zdusić władztwo cara Duszana. W przeddzień, późnym wieczorem, Ludwik zaszedł do matki, która jak zawsze przestrzegała go, by nie narażał zdrowia i życia.

– Wiem, że drżycie o mnie, matko, lecz nie lękajcie się, od wyprawy do Neapolu przybyło mi lat, straciłem dwóch braci, nie dam się zabić i wrócę z głową Duszana na lancy.

– Będę czekała na twój powrót, synu. Ślij gońców, bym miała świeże wieści od ciebie.

– Dobrze, matko – powiedział i zaraz opuścił komnatę Elżbiety.

Wtedy królowa przywołała z sieni Nórę i rozkazała jej:

– Chcę wiedzieć, dokąd poszedł król.

Dwórka podążyła za królem mrocznymi korytarzami. Niebawem powróciła do Elżbiety i oznajmiła:

– Najjaśniejsza pani, król poszedł do królowej.

– Dobrze – powiedziała Piastówna. – Może ta wspólna noc wreszcie przyniesie upragnione owoce.

A gdy nadeszły roztopy i spod błota i śniegu wybiła zielen traw, Elżbieta zaczęła sposobić się do drogi. Wiatr osuszył trakty, pora była ruszać starej królowej. I chyba po raz pierwszy rozłąka z synem tak jej na sercu zaciążyła, mimo że w czerwcu spodziewała się wrócić do Budy. Aby przegnać zgryzoty, królowa kazała zatrzymać powóz i przyprowadzić sobie konia. Chwilę potem słońce i wiatr rozjaśniły umysł, a przez głowę przeleciała jej myśl: Będzie, co Bóg da. Elżbieta na koniu przyciągnęła uwagę jadących w wozie arcybiskupa Ostrzyhomia i ochmistrza, pana Petla, który rzekł do towarzysza:

– Królowa jak zawsze pełna sił.

– Módlcie się, aby wam nie kazała wyjść z tej kolebki – odrzekł na to arcybiskup, który miał już swoje lata i najchętniej nie ruszałby się ze swego

pałacu aż do nastania ciepłych dni.

Naraz dostrzegli, że królowa zbliża się do nich.

– Dobra pogoda służy konnej przejażdżce – powiedziała z sugestią, przed którą tylko duchowny się wzbronił, natomiast pan Petl z chęcią dosiadł konia i niebawem jechał u boku królowej na szaro umaszczonym rumaku o długiej gęstej grzywie. Zaraz otoczyło Elżbietę wielu węgierskich baronów.

Po dwóch tygodniach podróży w zmiennej pogodzie: a to w słońcu, a to w marznącym deszczu i przy porywistym wietrze, dwudziestego pierwszego kwietnia zobaczyli w oddali Nowy Sącz, jeszcze gdzieś oblepiony chłodnymi mgłami, które o poranku przesłoniły świat. Wiatr rozganiał je leniwie, a wtedy przez ich cienką powłokę prześwitywały wody dwóch rzek: Dunajca i Kamienicy, trzymających w widłach miasto okolone pierścieniem grubych murów i górujący nad okolicą zamek. Orszak skierował się ku Bramie Węgierskiej, a przemierzając miasto, wywołał niemałe poruszenie tubylców. Sztandary w rękach rycerzy zdawały się mącić mleczną biel nieba. Zajechano na dziedziniec zamku, wnosząc w jego mury gwar, obcą mowę i woń potu zmieszaną z zapachem korzennych przypraw. Służba w pośpiechu wyległa z zamku oraz ze stajni i zakrzatnęła się wokół przyjezdnych, pomagając w opróżnianiu wozów i zabierając konie, by je napoić i nakarmić. Czekało tu w gotowości od kilku dni na przyjęcie królowej i jej orszaku. Wprawdzie spodziewano się, że węgierska władczyni przybędzie z wielką pompą, to jednak Elżbieta zaskoczyła wszystkich liczebnością towarzyszących jej ludzi i wozów. Pan Mroczo, zawsze blisko królowej, gdy karoca stanęła, natychmiast otworzył drzwi i pomógł Elżbiecie wysiąść. Królowa rozejrzała się w nadziei, że pośród tłumu ujrzy brata. Zaraz go uściska, jak dawniej, i ucałuje szorstki od zarostu policzek, spojrzy mu w oczy, w których znajdzie troski, ale także radość z tego spotkania. Naraz dostrzegła kasztelana zamku, pamiętała go z poprzedniej wizyty tutaj. Zginał przed nią kark, gdy spytała:

– Gdzie król?

– W drodze, najjaśniejsza pani, jutro tu stanie – odparł kasztelan.

Za cztery dni polska szlachta, możni i rycerstwo złożą hołd królowi Ludwikowi na ręce jego matki. Kazimierz na pewno przybędzie na czas.

– Zdrowie królowi dopisuje? – dopytywała się.

– Dopisuje, wasza miłość – zapewnił.

Elżbieta kazała prowadzić się do komnat. Zająła te same co dawniej pokoje, które ozdobiono kobiercami, aby miała przytulnie. Od progu uderzyło ją bijące od pieca gorąco. Potrzebowała tego ciepła. Podróż wczesną wiosną nigdy nie należy do przyjemnych, a ją coraz częściej łupało w kościach – to starość przypominała o swoim istnieniu. I teraz uświadomiła sobie, że w tym roku dobieje pięćdziesiątki. Wieczorem poprosiła Nórę, by jej pomogła rozpakować skrzynię, w której przechowywała podarki dla brata i bratowej. Złoty wysadzany perłami relikwiarz miał być podarunkiem dla Adelajdy.

– To dla królowej – wyjaśniła Elżbieta na widok młodej dwórki, której oczy aż lśniły z zachwytu.

– Będziecie musieli odesłać go do Żarnowca, miłościwa pani – rzekła Nóra, na co Elżbieta ściągnęła brwi. Dama dworu natychmiast spuściła wzrok, jakby obawiała się bury, wszak dała radę królowej, czego nie powinna robić.

– Czemu do Żarnowca? – zdziwiła się Elżbieta.

– Słyszałam, jak służba mówiła... – Dwórka nagle umilkła i spuściła oczy.

– A więc o czym po cichu rozprawia służba? – Królowa wbiła nieustępliwy wzrok w dziewczynę i uniosła jej podbródek.

– Że król Kazimierz oddalił królową.

Elżbieta zamarła. To dlatego Kazimierz milczał w sprawie Adelajdy, nie zwierzał się siostrze i, jak widać, już poczynił pierwszy krok, jakim jest separacja, aby unieważnić małżeństwo z bezpłodną żoną i poślubić inną kobietę. Oddalił ją w porę, by nie spotkała się z Elżbietą.

Kazimierz przybył do Nowego Sącza następnego wieczoru, gdy mieszkańcy zamku szykowali się do snu. Elżbieta dojrzała rosnącą sylwetkę brata z okien wychodzących na dziedziniec. Czekwała na króla cały dzień w nadziei, że zjedzą razem wieczerzę, pomówią w cztery oczy i powspominają minione lata. Zawahała się, czy iść do niego jeszcze tego wieczoru, może nie będzie jej rad, pora była bowiem późna. Jednak zaryzykowała i odczekawszy długą chwilę, poszła do Kazimierza bez zapowiedzi, licząc na to, że nikt ze służby nie będzie jej bronił dostępu do brata. Straże puściły ją bez słowa. Uniosła oddzielającą ją od alkierza grubą portierę i ujrzała Kazimierza posilającego się chlebem, wędzoną rybą i winem. Usługiwało mu dwóch paziów. Światło złotymi smugami ślizgało się po królewskim obliczu, ukazując jego niezwykłą bladość. Dostrzeżona przez brata królowa weszła do środka, wywołując uśmiech na jego twarzy.

– Mówiono mi, że przyjechałaś, lecz pora już późna. Myślałem, że śpisz – wytłumaczył się i wstał z za stołu, by się z nią przywitać.

– Czekałam na ciebie – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Może zjesz ze mną wieczerzę? – zaproponował i wskazał miejsce przy stole.

– Pełny brzuch nie sprzyja dobrej nocy – odparła i się uśmiechnęła. – Ale chętnie napiję się wina.

– Jak widzisz, potrawy dziś postne, bo środa – odparł, napełniając winem jej kielich, który zaraz przed Elżbietą postawił, i zasiadłszy na powrót do stołu, dodał: – Przybyli ze mną pan Pełka z Kościelca i kasztelan wojnicki, także wojewoda krakowski, pan Piotr Nieorza.

– Pamiętam, zacni ludzie – powiedziała królowa z uśmiechem.

– Dobrze wspominają pobyt na dworze w Budzie – zauważył Kazimierz.

– Zadbaliśmy o ich wygody – oświadczyła i upiła kilka łyków złocistego trunku, po czym zmieniła temat. – Przywiozłam ci węgrzyna, w którym tak zasmakowałeś...

– Zawsze o mnie pamiętasz – rzekł z wdzięcznością, na co Elżbieta dodała:

– Nie zapomniałam także o twojej żonie. Mam dla niej złoty relikwiarz.

Dotąd promienna twarz Kazimierza nagle zasnuła się ciemną chmurą i rzekł:

– Co w tym relikwiarzu? Palec Świętej Perpetui czy włosy Świętej Felicjy^[15]? Która relikwia zdziała cuda?

W królewskim głosie pobrzmiała ironia, jednak Elżbieta, nie chcąc się wdawać w słowne utarczki, powiedziała z troską i wielką cierpliwością:

– Oddaliłeś Adelajdę, bo nie dała ci syna, ale choćbyś posłał ją na kraniec świata, w obliczu Boga nadal jest twoją żoną.

– Jeszcze nią jest – sprostował. – Lecz przysięgam, że zrobię wszystko, by przestała nią być, z twoją czy bez twojej pomocy, Elżbieto.

– Rozgniewasz cesarza i narazisz się papieżowi – przestrzegła go łagodnie.

– Gotów jestem stanąć przeciwko całemu światu i przeciw każdemu, byle się od niej uwolnić.

Królowa zamyśliła się. Słowa brata ją przygnębiły i po chwili stwierdziła:

– Przez wszystkie lata małżeństwa nie pokochałeś Adelajdy i nigdy nie stała ci się droga.

– Wziąłem ją z namowy ślepego Jana Luksemburga, ale ja sam oczy bielmem miałem zaszele, oczy i rozum, ztem dał się omotać jak głupiec! – podniósł głos, w którym wyraźnie zadźwięczała gorycz.

Kazimierz odjął kielich od ust i z hukiem postawił na stole – wino chlusnęło z czary i splamiło płócienny obrus. Elżbieta w milczeniu przypatrywała się bratu, nie chciała jeszcze bardziej go drażnić ani dokładać mu zgryzot. Naraz król podniósł się z za stołu i zgarbiony podszedł do wykusza. Zakołysała się jego potężna sylwetka i rozrosłe ramiona i przesłoniła czarne niebo za oknem. Jakże Kazimierz pragnął wygnać z duszy zgryzoty, jakże pragnął mieć w siostrze przyjaciela, który w trudnych chwilach go wesprze, z serca przegna rozterki i natchnie siłą.

Lecz nie doczekawszy ani słowa pociechy z siostrzanych ust, zwrócił twarz ku Elżbiecie i powiedział już spokojnie:

– Ale nie po to przebyłaś taki szmat drogi, aby związać to, co na zawsze się rozerwało. Za kilka dni odbierzesz od stanów *homagium*^[16], a zaraz potem cię opuszczę.

– Rozumiem – potaknęła, choć nie pytała, co go tak pospiesza. Może miał już dość jej nauk, chciał usunąć się jej sprzed oczu i sam więcej jej nie oglądać. – Ja, jeśli zezwolisz, zatrzymam się tutaj do Świętego Floriana^[17], radam jeszcze odwiedzić klaryski w Starym Sączu i grób matki.

– Zostań, jak długo chcesz... A jak Ludwik i jego żona? – spytał naraz.

– Zdrowi – odparła sucho, jakby nic więcej nie miała do powiedzenia. Król spostrzegł, że nie jest skora do zwierzeń, a mimo to dociekał dalej.

– Ile to lat minęło od ślubu? – spytał.

– Latem będą dwa – przyznała niechętnie.

Kazimierz zamyślił się i zaraz powiedział:

– Z utęsknieniem czekasz na wnuka.

Królowa przywołała na wargi wymuszony uśmiech, a z jej oczu wyzierał smutek. Zacisnęła palce na złotym krzyżu zawieszonym na grubym łańcuszku i westchnęła. Wszystkie obawy skrywała głęboko w sobie, nie zwierzała się nikomu ze swych zgryzot, bo komuż miałyby się skarżyć, że między nią a Bośniaczką panuje chłód? Że synowa, tak jej w dzieciństwie oddana i posłuszna, której Elżbieta nie szczędziła ani troski, ani dostatku, teraz, gdy nosi węgierską koronę, próbuje dyktować królowi swoje warunki, a on jej słucha, gdyż kocha ją mocniej niż matkę, darzy miłością gorącą i namiętą? Gdyby żyła matka Elżbiety, Jadwiga, jej zwierzyłaby się ze wszystkich utrapień, wylała z siebie wszystkie żale, a tak dusi w sobie żółć i nie pozwala jej wypłynąć.

– Co zrobisz, jeśli Bośniaczka nie urodzi Ludwikowi syna? Ani za rok, ani za dwa, ani nigdy? Komu będziesz posyłać relikwie i komu będziesz współczuć? Elżbiecie czy synowi? Kogo ci będzie bardziej żal? – spytał

nieoczekiwanie Kazimierz. Podszedł do siostry i położył dłoń na jej ramieniu.

Nie było w tym geście otuchy, a słowa brata zdały jej się przestrogą, złą wróżbą. Gdy rozchyłała wargi, by mu odpowiedzieć, uprzedził ją:

– Byłabyś złą matką, gdybyś nie stanęła po stronie syna, i złą królową, gdybyś nie troszczyła się o losy królestwa.

W milczeniu potaknęła. Musiała przyznać mu rację, ale nie chciała dłużej roztrząsać kwestii, która pogrążała ją w czarnych myślach. Pora niepostrzeżenie zrobiła się nocna, tak więc niebawem Elżbieta opuściła komnatę brata z sercem pełnym troski i niepokoju o przyszłość. Nazajutrz udała się do kościoła Świętej Małgorzaty Męczennicy, by u niej szukać wspomnienia w trudnych sprawach. Modlitwa ukoilią strapioną duszę, a zaraz potem przygotowania do *homagium* rozproszyły troski i skierowały uwagę Elżbiety ku pilnym sprawom. Nowy Sącz pęczniał od przybywającej tu każdego dnia szlachty. Gwar ludzkich głosów, turkot kół i żalosne porykiwanie zwierząt prowadzonych do rzeźni przeganiał spokój, jakim zwykle żyło to miasto, a powietrze niebawem przeniknęła woń krwi i korzennych przypraw. Niedziela, w której wspominano śmierć Świętej Zyty z Lukki^[18], była pogodna i ciepła, jakby po zimnych dniach i mroźnych nocach natura w dwójnasób oddawała wszystko, co miała najlepszego. W południe przy dźwiękach trąb król Polski Kazimierz i Elżbieta królowa Węgier zasiedli na rynku na tronach wyłożonych złotogłowiem, przyciągając oczy tłumów. Rzesze szlachty i gawiedzi obległy tego dnia rynek, by ujrzeć królewski majestat i stać się świadkami hołdu składanego przez stany polskie na ręce królowej Elżbiety. Błyszcząły pośród nich spojrzenia tutejszych starozakonnych zatroskanych o swój los oraz o przyszłość swych dzieci. Czy król Ludwik, choć z piastowskiej krwi, a jednak obcy, zatroszczy się o nich należycie, nie da ukrzywdzić złym ludziom, nie stanie się ich wrogiem? Czy dobry król Kazimierz już nie doczeka się syna?

ROZDZIAŁ 21



Długie miesiące Ludwik z Tarentu, król Neapolu, ścigał po swoim królestwie stryjecznych braci. Zaszywali się w zamkach, znikali niczym zjawy, to pojawiali się nagle, prowadząc u boku rzesze rozwścieczonych chciwych łupów najemników. Ludwik Durazzo porwał za sobą baronów, w tym najznacniejszych, a jego siła budziła trwogę Joanny. Doszły ją słuchy, że hrabia Graviny szukał wspomżenia u węgierskiego króla, a w międzyczasie signor Acciaiuoli przekazał wieści z Sycylii, oczekując bezzwłocznie przysłania złota, w przeciwnym razie Neapol utraci to, co udało się zdobyć orężem. Zaraz potem zbuntowali się Prowansalczycy. Królowa była zdruzgotana, osaczona złymi wieściami i klęskami, jakie jedna po drugiej spadały na jej głowę. I znikąd wspomżenia. Nawet od Karola Luksemburskiego, który przybył do Rzymu po cesarską koronę, a którego prosiła o pomoc w pokonaniu rebelii. Cesarz milczał, a Durazzowie rośli w siłę, mając coraz więcej najemników. Tymczasem signor Acciaiuoli, nie doczekawszy się pomocy, powrócił do Neapolu i dał królowej radę:

- Nie pokonamy ich orężem, wasza wysokość.
- Znasz inny sposób? – spytała.
- Przekupstwo – oświadczył. – Znajdźcie złoto, pani, i przekupcie najemników. Pójdą za tym, kto im więcej zapłaci.

Joanna westchnęła ciężko i spytała:

- Skąd wziąć złoto?

– Nie wiem, obedrzyjcie z ostatniej koszuli biedaków, obłupcie szlachtę i kościoły, sprzedajcie wszystko, co macie cennego, zapożyczcie się albo nigdy nie zaznacie spokoju w swoim królestwie.

Niebawem do każdego domu, do najędźniejszej chaty zapukali poborcy podatkowi, by obłupić poddanych z ostatniej monety. Bezwzględność królewskich wysłanników wzbudziła w tubylcach gniew, rozlały się po królestwie bunty przeciwko królowej, które Joanna rozkazała zdusić z największą surowością. Sto dwadzieścia tysięcy złotych florenów spoczęło w zamkowych skrzyniach. Oto zapłata za głowę Durazzów i za pokój. Seneszał ruszył do Apulii, by rozpocząć negocjacje z najemnikami, a wkrótce potem z Castel Nuovo wyruszyły ciężkie wozy ze złotem.

U schyłku jesieni 1355 roku do Castel Nuovo przybył goniec od króla Neapolu. U królowej była wówczas księżna Maria. W oddali na dywanie bawiły się jej córki.

Posłaniec obwieścił, że najemnicy się wykruszają i niebawem Ludwik Durazzo zostanie sam oraz że udało się zabić pana Montalbano. Joanna podniosła się z ławy i rzuciła z gniewem:

– Król obiecał, że obu Durazzów przyprowadzi żywych!

– W potyczkach giną także możni panowie, wasza wysokość – zauważył posłaniec.

– Lecz oni mieli żyć! Król obiecał! – powtórzyła, rozjuszona jego odpowiedzią. Po chwili opanowała gniew, jakby uznając, że niczego to nie zmieni, że umarłemu nie wróci życia, i po chwili rzekła spokojnie, lecz stanowczo: – Jutro ruszysz do króla i przekażesz mu, że żądam wypełnienia obietnicy. Król musi przyprowadzić mi hrabiego Graviny żywego.

Po odejściu posłańca w komnacie zaległa cisza, którą po chwili przerwało westchnienie księżnej Durazzo. Był to oddech pełen ulgi i zaraz na usta Marii spłynął triumfalny uśmiech, który nie umknął uwagi królowej.

– Będzie pasował do mojego Karola? – spytała księżna siostrę, wskazując na haftowany złotą nicią dziecięcy kaftanik, który trzymała na kolanach, przetykając nić przez jedwabną materię. Drugi syn Marii i Filipa

skończył już rok i chował się zdrowo. Tymczasem księżna z utęsknieniem oczekiwała wieści od męża, który z rozkazu Joanny przebywał w Prowansji. Bunty rozlewały się tam coraz bardziej i nawet papież lękał się, by nie ogarnęły większych połaci ziem niczym ogień trawiący suchą jak wiór puszcę. I właśnie owa rebelia pojednała skłóconych ze sobą królową Neapolu i Innocentego VI. Maria Andegaweńska i Filip z Tarentu doczekali się dyspensy.

– Na pewno – odparła Joanna, wlepiając oczy nie w złoty haft, lecz w Marię. Niezwykła radość bijąca z twarzy siostry zastanowiła królową. Czyżby Maria maczała palce w śmierci ich wuja Roberta? – rozmyślała. Lecz nie chciała pytać, bo i tak na próżno teraz szukać winnego.

Maria z wielką ulgą, jakby zdjęto jej z serca głąz, wróciła do pałacu przy via Tribunali. Całą drogę z Castel Nuovo rozmyślała o tym, że zemsta się dokonała. Ten, który ją skrzywdził, nie żyje, podobnie jak Robert del Balzo. Każdemu z nich odpłaciła za krzywdę, nie czekała ani na Boży, ani na królewski sąd, sama wymierzyła sprawiedliwość. Minęły trzy lata jej małżeństwa z Filipem z Tarentu. Nawet ze swym pierwszym mężem, Karolem, Maria nie czuła takiej przyjaźni i takiej więzi jak z Filipem. On może wcale mnie nie kochał – zastanawiała się teraz po wielu latach od śmierci Karola Durazzo. – Pragnął jedynie zbliżyć się do tronu, dlatego mnie potrzebował. Gdy pewnej nocy, kiedy oboje leżeli w łóżu, Maria zwierzyła się Filipowi, jakich niegodziwości dopuścił się pijany Robert Durazzo, wówczas Filip powiedział do żony:

– Chciałaś przed nim uciec, Mario. Dlatego mnie wybrałaś. Skryłaś się w moich ramionach.

W głosie Filipa nie było żalu ani pretensji. Poślubiając Marię, czuł, że biorąc go za męża, księżna nie kieruje się miłością ani nawet sympatią, lecz strachem.

– Tak, Filipie, lecz nikogo nie kochałam tak jak ciebie – rzekła, musnąwszy palcami jego policzek. Poczuł w tym geście szczerą czułość i ucałował żoniną dłoń. W sercu Filipa zrodziło się pragnienie odwetu i rzekł do żony:

– Robert Durazzo zapłaci za twoją hańbę, przysięgam.

Przed rokiem, kilka dni przed wymarszem króla Ludwika z Neapolu, Filip poszedł do brata wieczorową porą. Ludwik poczuł, że Filip przyszedł do niego z jakąś sprawą, więc odesłał służbę, a wówczas Filip powiedział:

– Daj mi głowę Roberta Durazzo.

Ludwik wlepił w brata czujny wzrok i spytał zaskoczony:

– Nie Ludwika? Jest starszy. Bardziej hardy i zuchwały. To on zwodzi Roberta i buntuje przeciwko nam.

– Nie, chcę głowy Roberta, to z nim mam osobiste porachunki – wyznał Filip.

– Jest coś, o czym nie wiem, Filipie? – spytał król.

Książę Tarentu potaknął, lecz milczał, niczego nie wyjawiając. Ludwik już o nic nie pytał, tylko obiecał bratu:

– Robert nie wróci żywy.

Nadeszło lato 1356 roku, a wraz z nim do Neapolu dotarła wiadomość, że Ludwik Durazzo opuszczony przez najemników dostał się w ręce króla. Posłaniec, który obwieścił królowej tę nowinę, widział, jak bardzo się wzruszyła. Skryła twarz w dłoniach, nie mogąc dobyć z siebie ani słowa. Tyle dni i miesięcy, które przemieniły się w dwa lata, spędziła sama, bez męża.

– Dwa lata go ścigał... – odezwała się, a dowiedziawszy się, że Ludwik przybędzie za jakieś dziesięć dni, postanowiła przygotować wielką fetę na jego cześć, a Karola, syna hrabiego Graviny, odesłać do zamku Sant'Elmo pod pieczę signora Barilla. Lękała się, że ujrawszy go zakutego w łańcuchy i upokorzonego, Karol zwróci się przeciwko niej.

Przez kolejne dni dwór w Neapolu szykował się na przyjęcie króla. W zamkowej kuchni uwijano się jak w ukropie, wytoczono z piwnic beczki z najlepszym winem, przygotowywano najwykwintniejsze potrawy. Dziedziniec i zamkowe okna ozdobiono girlandami kwiatów, a komnaty jedwabiami przetykanymi złotymi nićmi. Nadszedł dzień, w którym

doniesiono Joannie, że król nazajutrz dotrze do Neapolu. Stało się to przed południem. Królowa wraz z dygnitarzami tkwiła na blankach, stamtąd obserwując miasto, a gdy zza wyniosłych pałaców wyłoniły się andegaweńskie sztandary i mnóstwo rycerstwa, zeszła na dziedziniec i tutaj czekała na męża.

Wpierw wjechało kilkunastu rycerzy w połyskujących w słońcu zbrojach, za nimi król na mocnym koniu, trzymając w żylastej ręce okręcony wokół niej powróż, którego drugi koniec zapętłony był na szyi Ludwika Durazzo. Na twarzy hrabiego Graviny znać było trudy długiej drogi w lipcowym skwarze. Odziany jedynie w koszulę, spodnie i podziurawione buty, jakby wiele mil zszedł na własnych nogach, rzucał hardy wzrok dookoła. Naraz poczuł szarpnięcie i upadł na kolana prawie pod nogi jadącego za nim konia, który dźwigał na grzbiecie hrabiego Fondi. Król zatrzymał wierzchowca, a wtedy Durazzo podniósł głowę i ujrzał smukłą postać, która przesłoniła mu słońce, i usłyszał głos króla:

– Masz swojego Durazza.

Królowa zmierzyła hrabiego gniewnym wzrokiem. On zmaćił spokój w jej królestwie, podburzył baronów, spiskował z Węgrami, życie Joanny uczynił złym snem.

Z rozkazu królowej Ludwika Durazzo wtrącono do lochów w Castel dell'Ovo, a przez kolejne dni dwór królewski w Neapolu oddawał się radości i zabawom, turniejom i fetom. Minęły dwa tygodnie od powrotu króla z wyprawy przeciwko Durazzowi, gdy wieczorem Joanna posłała po Barilla i rozkazała mu, by przed północą osiodłał dla niej konia i był gotowy do drogi. Potem wezwała Beatrycze i rzekła do niej:

– Gdy pokojowcy wyjdą od króla, pójdiesz do niego, powiesz, że mam comiesięczne krwawienie, zrozumie, że nie powinien przychodzić... Zaniesiesz mu wino i owoce. – Wskazała na półmisek pełen wielkich czarnych czereśni i dzban z winem. – To wsypiesz do wino. – Rozwarła palce, w których trzymała złotą fioletkę. Dziewczyna zadrżała i cofnąwszy się o krok, poprosiła z bojaźnią:

– Nie kaźcie mi, pani...

– To laudanum. Chcę, by król miał głęboki sen – powiedziała Joanna, przenikając wzrokiem dziewczynę. Z rozkazu królowej chodziła do alkierza króla, stała się jego kochanką na służbie jego żony. Pod wpływem wypitego wina, które rozwiązuje najbardziej zasupłane języki, Ludwik stawał się szczery i wylewny. Wyrzekał na Joannę, na jej powłóczyście spojrzenia posyłane dworzanom, wygrażał, że wszystkich pozabija, a potem ją zabije. Gdy Beatrycze powtarzała Joannie jego słowa, ta słuchała w milczeniu, wiedząc, że to tylko słowa, nic więcej.

Beatrycze potaknęła i zniknęła w sieni. Chwilę potem weszła Gisolda, której Joanna kazała wyciągnąć ze skrzyni czarną pelerynę. Królowa pochwyciła jej dociekliwy wzrok, a wtedy wyjaśniła:

– Spotkam się dziś z Ludwikiem Durazzo, postaram się go przekonać, by nie działał przeciwko mnie.

– Czyż król nie próbował tego zrobić? – spytała dwórka.

– Możliwe. Lecz teraz pora odwołać się do serca hrabiego, nie do rozumu. Stracił żonę, lecz ma dzieci, o których losie ja stanowią.

Gisolda spostrzegła zdenerwowanie królowej, która to przysiadła na skrzyni, to podchodziła do okien, to spoglądała w stronę sieni, jakby na kogoś czekała. Kiedy zjawiała się Beatrycze, monarchini wymieniła z nią porozumiewawcze spojrzenia, a gdy dwórka skinęła głową, Joanna narzuciła na ramiona pelerynę, głowę nakryła szerokim kapturem i opuściła komnaty. Korytarze były puste, straż trzymająca wartę nieruchoma jak posągi. Zamek spał, królowa starała się stawiać stopy jak najciszej, lecz i tak odgłos jej kroków przyciągnął uwagę wartowników. Minęła ich i przyspieszyła, rozglądając się na boki, wystraszona własnym cieniem, który to podążał w ślad za nią, to ją wyprzedzał. Gdy wyszła na dziedziniec, buchnęło w nią przesycone wonią morza powietrze. Piękna pełna gwiazd księżycowa noc natchnęła ją spokojem. Przy bramie czekał Barillo z osiodłanymi końmi. Pomógł królowej dosiąść rumaka, po czym spytał:

– Dokąd jedziemy, wasza wysokość?

– Do Castel dell'Ovo – odparła i przekroczyła bramę zamkową.

Na tle srebrzących się w świetle księżyca wód odznaczał się zamek. Uniosła się krata, rozwarła bramę i królowa wraz z dworzaninem wjechali do środka. Natrafiwszy na strażnika, rozkazała mu prowadzić się do lochów. Zeszli do podziemi.

– To tutaj, wasza wysokość – rzekł mężczyzna i zawołał strażnika pilnującego lochów. Zjawił się zaraz rosły człowiek o posiwiałym zaroście i prześwietlił wzrokiem Joannę i Barilla.

– Prowadź do Ludwika Durazzo – rozkazał dworzanin. – Królowa chce ujrzeć hrabiego.

Mężczyzna rozwarł kratę, wpuścił oboje do szerokiego wilgotnego korytarza i rzekł:

– Chodźcie za mną, wasza królewska mość, poprowadzę was.

Ruszyli przy wtórze rozwścieczonego morza, którego wody wicher rzucał o kamienne ściany fortecy, jakby chciał je rozłupać. Zatrzymali się przed grubymi, mocnymi drzwiami.

– Otwórz – rozkazała Joanna.

Rozniósł się odgłos przekręcanego porzewiałego klucza w zamku, a po chwili ukazała się gruba jak palec żelazna krata, również zamykana na klucz. Królowa pomyślała, że jej mąż zadbał, by Durazzowi uniemożliwić ucieczkę. Jej wzrok podążył za nikłym światłem w celi, które oświetliło postać hrabiego Graviny leżącego na sienniku. Joanna poczuła przenikliwy chłód od panującej tu wilgoci.

– Kratę również – rzekła.

– Wejść z wami, wasza wysokość – powiedział Barillo.

– Nie – zaprotestowała. – Zamknijcie drzwi.

Gdy krata i drzwi zamknęły się za królową, Ludwik podniósł się i wyprostował, a wtedy Joanna ujrzała jego rosłą sylwetkę.

– Nie boicie się? – spytał Durazzo trochę zaskoczony, że przyszła tu sama, bez obstawy.

– Czego? – odparła.

– Że was ukatrupię, uduszę gołymi rękami.

– Tak, możesz to zrobić, możesz mnie zabić, Ludwiku, a ja nie będę się bronić. Nie mam sztyletu, odprawiłam zbrojnego, by pomówić z tobą bez świadków.

– Zatem mówcie, a ja wam ręczę, że wyjdziecie stąd żywi i cali, gdyż nie oddam takiej przysługi waszemu mężowi. Gdyby tu był zamiast was, pogruchotałbym mu kości. Ale Ludwik to tchórz, który chowa się za plecami niewiasty.

– Mylisz się, on nie wie, że tu jestem – odparła.

– A więc przychodzicie tu w tajemnicy przed mężem? Nie lękacie się jego wymówek?

– Nie. Boję się o twoje dzieci.

– Ach, wiem, że są w waszych rękach – zachnął się.

– Karol często pyta o ciebie.

– Powiedzieliście mu, że tu jestem?

– Nie.

Zbliżył się do niej i spytał:

– Czemuż to? Bo przestałby was kochać? Bo zamiast miłości mielibyście jego nienawiść?

– A jeśli kiedyś to ciebie obarczy winą za rozłąkę? – odparła. – Mogłeś odzyskać dzieci, posłałam do ciebie hrabiego Fondi, lecz wzgardziłeś moją łaską. Straciłeś żonę, lecz to niczego cię nie nauczyło. Wiele w tobie buty i hardości, Ludwiku.

– A czego oczekujecie, że się ukorzę przed waszym mężem?

– Jest królem – oświadczyła stanowczo.

– Nie w moich oczach – rzucił zirytowany.

– Jeden z książąt Tarentu, Ludwik, zasiadł na tronie, drugi, Filip, znalazł się blisko niego, poślubiając Marię, i to was, Durazzów, boli. Ale to się stało, więc musisz się z tym pogodzić, Ludwiku... – rzekła spokojnie. – Wróć tu jutro po odpowiedź. Tym razem posłuchaj serca, jeśli chcesz odzyskać dzieci i jeśli nie chcesz tu żyć jak szczur i zdechnąć jak on. –

Spojrzała na stół, na którym w cynowej misce leżały okruchy chleba, w kubku zaś nie było już kropli wody.

Królowa opuściła celę, w korytarzu rozkazała strażnikowi:

– Dajcie do celi hrabiego Graviny więcej światła, suchy siennik i dobre jadło.

Tymczasem król Ludwik przebudził się z potężnym bólem głowy, który rozsadał mu czaszkę i rozlał się po oczodołach. Obmacał posłanie tuż obok, pewien, że nie tak dawno leżała przy nim Joanna. Za oknami panował mrok, księżyc skrył się za czarnymi obłokami. Król sięgnął po dzban z pobliskiego stolika i upił z niego zachłannie kilka haustów chłodnej wody. Rozrzedziła mu krew, orzeźwiła zmacony winem umysł, pobudziła senne ciało. Naraz przypomniał sobie, że jednak tej nocy był sam w alkierzu, nie, nie sam, przyszła do niego Beatrycze, by mu powiedzieć o miesięcznicy Joanny. Ochoczo częstował się czereśniami i popijał winem, które przyniosła. Nie pamiętał, kiedy zmorzyła go senność. Teraz zwlekł się z łóżka i wdział spodnie, na kark wciągnął koszulę, włożył trzewiki i wyszedł z alkierza. Światło płonące w korytarzach wiodło go do komnat żony. Wszedł do sieni i chwycił za klamkę rad czym prędzej wślizgnąć się do ciepłego łóża królowej, opasać jej kibić, wtulić twarz w jej pachnące olejkiem geraniowym włosy i przy niej zasnąć. Lecz drzwi stawiały opór. Jeszcze raz nacisnął klamkę – bezskutecznie. Przyłożył ucho do dębowego drewna, ale w uszach dźwięczała mu jedynie cisza. Zdziwił się, przecież Joanna nigdy nie zamykała drzwi na klucz, nawet gdy przechodziła comiesięczne krwawienie. Król pełen podejrzeń rozejrzał się po sieni, po czym wyszedł na korytarz i przystanąwszy, jeszcze chwilę wpatrywał się w mroczne kąty i płonące pochodnie. Odszedł niebawem i zamknął się u siebie, lecz do świtu nie zmrużył oka. Nazajutrz nie dał po sobie poznać, że coś go dręczy, był dla żony miły i pokazywał pogodną twarz. Gdy po uczcie rozstawał się z Joanną, życzył jej dobrej nocy i cmoknął w policzek namiętnie, zapewniając, że jest cierpliwy i poczeka, aż krwawienie ustanie. Potem poszedł do siebie. Krótko przed północą zjawiła się u niego

Beatrycze. Zaczął podejrzewać, że jest w jakiejś zмовie z królową. Udał, że cieszy się z tej wizyty, i od razu, gdy przestąpiła próg, spytał:

– Co tym razem mi przynosisz od królowej?

– Karmele obtoczone w miodzie, wasza wysokość, i wino, to, które tak uwielbiacie – odparła z uśmiechem, stawiając dzban i srebrny półmisek na stole tuż przy łóżku.

– Chętnie skosztuję wina – powiedział i przykleił wzrok do dwórki, gdy nalewała trunku do kielichów. Rozmyślał, czy już dosypała mu czegoś do wina, czy uczyni to dopiero wówczas, gdy napełni czarę po brzegi. Odwróciła się do niego plecami, tak by niczego nie dostrzegł. Po chwili z pełnym kielichem podeszła do króla.

– Usiądź blisko mnie, Beatrycze – poprosił, przesunąwszy ręką po skrzającej się srebrnym haftem pościeli.

Uczyniła to z chęcią i przysiadła na łóżku. Miłość do króla w niej się nie wypaliła, nawet wizja najsrozszej kary z rąk królowej nie mogła położyć kresu owemu uczuciu, jakie żywiła do Ludwika.

– Skosztuj – powiedział, na co zeszywniała. – Chcę wiedzieć, czy wino jest równie słodkie jak to wczorajsze.

Spłoszona opuściła powieki, lecz zaraz uniosła wzrok na Ludwika i powiedziała, siląc się na zalotny uśmiech, który miał rozproszyć bojaźń, jaka załęgła się w jej duszy:

– Nie mogę tego wiedzieć, wasza wysokość, wczoraj nie próbowałam wina, które wam przyniosłam.

– W istocie, nie kazałem ci go skosztować, a smak miało wyborny – rzekł łagodnie, choć rad by zacisnąć palce na jej cienkiej szyi i wykrzyzczeć, że przejrzał spisek, w jaki dała się wplątać królowej, że powinien wtrącić ją do lochu, kazać zakuć w łańcuchy i wybatożyć. Zbliżył kielich do jej warg, wtedy lekko rozchyliła usta i upiła łyk.

– Pij – rozkazał, gdy zacisnęła wargi. Przechylił czarę mocniej, aż czerwony trunek wylał się z kielicha i spłynął po dekolcie dwórki, plamiąc suknię. Rozwarł jej usta i zmusił, by piła, aż zaczęła się krtusić. Obiema

dłońmi chwyciła rękę Ludwika, tę, którą trzymał na jej szczęce, jakby walczyła o każdy oddech. Odjął kielich i spytał:

– Dokąd chadza moja żona, gdy śpię?

Wytrzeszczyła oczy z przerażenia, że wszystko się wydało, że król nie jest tak naiwny, jak sądzi królowa.

– Do Castel dell'Ovo – wykrztusiła.

– Spotyka się z Durazzem? – Ściągnął groźnie brwi, od razu wpadając na trop.

Dwórka potaknęła.

– Co było w winie? – dociekał.

– Laudanum – odparła.

Poczuł ulgę, że to nie trucizna.

– Joanna kazała ci wrócić, gdy zasnę?

– Nie, panie – odparła zgodnie z prawdą. Królowa zaraz po wyjściu Beatrycze miała opuścić zamek, nie czekając na wieści od niej, że król już zasnął.

Ludwik podniósł się z łoża, wtedy dwórka chwyciła jego rękę i zawołała płaczliwie:

– Co będzie ze mną, wasza wysokość? Tylko wy możecie wybronić mnie przed gniewem królowej, tylko was królowa usłucha...

– Drżysz przed gniewem królowej, lecz mnie się nie boisz! – rzucił i wyrwał dłoń z uścisku dwórki. – Zły to król, przed którym poddani nie czują strachu. To twoja ostatnia noc w tym zamku!

Jego słowa były dla niej jak wyrok, od którego nie było odwołania. Łkania wyrwały się z piersi Beatrycze, lecz nie skruszyły serca króla. Ludwik minął sieni i mrocznymi zaułkami dotarł do komnaty Joanny. Chwycił za klamkę, drzwi uchyliły się, pchnął je i wszedł do środka. Liczył na to, że może jeszcze zastanie tu żonę i uda mu się udaremnić schadzki z hrabią Graviny. Światło jednej świecy zwabiło jego wzrok. Rozejrzał się, spojrzeniem spenetrował kąty i podszedł do łoża, nad którym wisiały na wpół zaciągnięte kotary. Rozsunął je zdecydowanym ruchem, lecz Joanny

nie było. Poczuł na sercu ciężar, domysły zatruwały mu głowę. Bóg wie, po co tam poszła i co robi teraz z Durazzem. Postanowił na nią poczekać. Przysiadł na zydlu, potem na skrzyni, wreszcie położył się na łożu, lecz czując, że morzy go sen, zerwał się, rozprostował nogi, spuścił portiery, po czym podszedł do wykusza i zaczął wpatrywać się w czarne niebo i księżycową poświatę, w której naraz dostrzegł dwóch jeźdźców na czarnych koniach. Postać w długiej czarnej pelerynie i w kapturze na głowie zeskoczyła z klaczy i spieszenie podążyła do zamku, za nią uzbrojony rosły człowiek. Ludwik stanął obok drzwi, przywarł plecami do ściany i czekał. Poruszyła się klamka i królowa weszła do środka. Intensywna woń żywicy uderzyła ją w nozdrza, zmarszczyła czoło i skierowała się do łoża. Dostrzegła zaciągnięte kotary, a przecież zostawiła je lekko rozsunięte. Zatem ktoś tu wszedł pod jej nieobecność. Może Gisolda, którą wcześniej odprawiała. Rozchyliła zasłonę, a wtedy nagle światło świecy rozświetliło posłanie złotymi smugami. Pościel była nienaruszona, gładka jak tafla morza w spokojny dzień. Gdy nagle czarny cień położył się na posłaniu, królowa odwróciła się przelękła i ujrzała gniewną twarz męża.

– Gdzie chodzisz po nocy? – spytał Ludwik, wysilając się na łagodny ton głosu, i wlepił w żonę wzrok.

Joanna wyraźnie zmieszkała się na jego widok.

– Byłam w Castel dell'Ovo – odparła po chwili wahania.

Przynajmniej mówi prawdę – pomyślał król.

– Po co tam chodziłaś? Żebrać u Durazza, aby ukorzył się przed nami?

– Chcę zgody z Ludwikiem – oświadczyła, zrzucając z ramion pelerynę.

– Przymierze z nim będzie kruche, nie ufam jego słowu, nawet jeśli zapewni, że nie podniesie na nas ręki! Tylko dopóki siedzi w lochu, możemy spać spokojnie – odrzekł.

– Nie godzi się tak, łączy nas ta sama krew – próbowała go przekonać.

– Czemuż nie myślałaś o tym, gdy kazałaś zamordować swego męża? – wypomniał jej.

Zmieszała się, a wtedy dodał:

– Gdy szło o życie Andrzeja, nie miałas skrupułów, Joanno, dlaczego teraz je masz? A przecież nikt nie chce pozbawić życia mojego stryjecznego brata. Odebraliśmy mu jedynie wolność, choć powinien wisieć.

Ubodło ją wypomnienie zbrodni i zdało jej się okrucieństwem. W oczach królowej błysnęły łzy. Ludwik je dostrzegł i ująwszy w dłonie twarz żony, powiedział łagodnie:

– Tyle czasu go ścigałem, Joanno, nie możemy tego zaprzepaścić, prawda?

Potaknęła, choć nie było jej lekko na sercu. Wróciła z Castel dell'Ovo bez nadziei na zgodę. Ludwik Durazzo przyjął ją chłodno, groził, że gdy wypuści go na wolność, on znowu stanie przeciwko królowi. Mówił, że może zdechnąć w lochach, lecz jego syn, Karol, pomści ojca. Na tę groźbę Joanna struchlała. Pomyślała o Karolu. Dziecko, które pokochała jak własne, kiedyś może zwrócić się przeciwko niej i zamiast ją kochać, będzie nienawidzić. Nie chciała tego.

Teraz poczuła gorący męzowski pocałunek na ustach, zaraz potem doszły ich z korytarza dudniące kroki i głośne nawoływania. Zaniepokojona Joanna spiesznie opuściła komnatę, przeszła przez sień i znalazła się w korytarzu, nim król zdążył ją zatrzymać. Widziała biegnące strażę. Natknęła się na szambelana, pana de Fos, więc spytała:

– Co się stało, szambelanie?

– Trup, wasza wysokość. Ktoś wypadł z zamkowego okna.

Królowa pospieszyła za dworzaninem. Na dziedzińcu pochłonął ją mrok głębokiej nocy, a dalej w blasku pochodni ujrzała gromadzących się dworzan. Nad trupem pochylali się Gisolda oraz signor Barillo.

– To Beatrycze – powiedziała Gisolda.

ROZDZIAŁ 22



Październikowy wiatr 1356 roku zerwał biały welon z twarzy Marii Durazzo, odsłaniając jej podpuchnięte od płaczu oczy. Dziesięć dni temu pochowała starszego syna, Filipa. Aby zapomnieć choć na chwilę o tragedii, zabrała córki nad zatokę. Księżniczki biegły radosne, jakby śmierć jedynie na krótką chwilę napełniała smutkiem ich dziecięce serca. Ubrane w ciemne peleryny i czepki zdobione złotem, spod których spływały długie włosy, trzymały się z dala od wody, pomne matczynych przestróg. Tylko jedna z nich, najmłodsza, licząca sobie dziewięć lat czarnowłosa Małgorzata, co rusz zerkała ku matce, czy jej nie obserwuje. Niepodobna ani do Marii, ani do jej siostry zdawała się mieć jednak wiele z charakteru królowej Joanny i nieraz księżna Durazzo rozmyślała nad tym, który mężczyzna zechce poślubić tak upartą i hardą księżniczkę. Najstarsza, złotowłosa Joanna, podbiegła do najmłodszej siostry i chwyciła ją za rękę, próbując odciągnąć od wody. Małgorzata z gniewem wyrwała dłoń i obejrzała się na matkę. Dopiero srogi wzrok księżnej odwiódł dziewczynkę od nieposłuszeństwa i pokornie poszła za dwunastolatką, dołączając do Agnieszki i Klemencji. Wymieniwszy między sobą parę słów, wszystkie zgodnie skierowały się do matki.

– Chodźmy do zamku, matko, odwiedzimy ciocię – poprosiła Joanna, która uwielbiała królową.

Maria spojrzała w stronę Castel Nuovo, nad którym wisiały zasnuwane szarością obłoki, po czym odparła:

– Dobrze, pójdziemy.

Matczyna zgoda wywołała w dziewczynkach entuzjazm, skierowały się ku zamkowi pod okiem dwóch piastunek, signora Zanettiego i jeszcze dwóch uzbrojonych sług prowadzących osiodłane konie.

Gdy stanęli pod murami, natychmiast otwarto im bramę, a jeden z dworzan poprowadził ich do zamku. Księżna Maria ze starszymi księżniczkami poszła przodem, najmłodsza księżniczka została w tyle, zaciekawiona rozgrywającym się nieopodal pojedynkiem. Pod okiem signora Barilla ćwiczył fechtunek Karol, syn uwięzionego w Castel dell'Ovo Ludwika Durazzo. Odpierał atak nacierającego na niego drewnianym mieczem dworzanina, wywołując u Małgorzaty salwy śmiechu. Księżniczka, przeszyta palącym wzrokiem Karola, zduśiła śmiech, było bowiem w oczach małego Durazza coś groźnego, co wzbudziło w dziewczynce lęk. Chłopiec podszedł do niej i spytał:

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Rycerze walczą prawdziwymi mieczami – odparła hardo.

Na to Karol, choć trzy lata starszy od Małgorzaty, to sięgający jej ledwie do ramienia, podszedł do signora Barilla i rzuciwszy ze złością drewniany miecz na bruk, powiedział do dworzanina:

– Dajcie mi prawdziwy miecz, signor Barillo! Nie pozwolę, aby ona się ze mnie naśmiewała.

Odwrócił się i rzucił urażone spojrzenie Małgorzacie, która przywołana przez Rosanę już się oddaliła, lecz zanim weszła do zamku, obejrzała się i uśmiechnęła. Młody Durazzo wziął to za kpinę.

– To wasza krewna, Karolu, Małgorzata, córka księżnej Durazzo – rzekł Barillo.

Chłopiec nie bardzo ją pamiętał. Owszem, zdarzyło mu się ujrzeć księżniczki z zamkowego okna, gdy dokazywały w ogrodzie, a on pod pieczę nauczyciela ćwiczył łacinę. Zerkał przez okienną szybę, zazdroszcząc im dobrej zabawy, a przyłapany przez preceptora wkładał nos w książkę. Księżniczki często nosiły podobne suknie i czepki, tak że z zamkowej komnaty trudno było je odróżnić.

– Powiem królowej, aby jej nie wpuszczała do zamku – powiedział Karol.

– Może królowa spełni wasze życzenie – odparł na to Barillo, ledwo kryjąc rozbawienie i żądaniem, i tonem chłopca.

Joanna z wielką serdecznością przyjmowała siostrzenice, całując każdą w policzek i tuląc do siebie, a potem, wysłuchawszy ich szczebiotu o tym, co dziś robiły, ile znalazły muszelek nad zatoką, zaraz przywołała młode dwórki, które porwały ze sobą księżniczki, by w jednej z królewskich komnat rozpieszczać je słodkimi smakołykami i pozwalać im czesać swe długie włosy, które umyślnie dla nich rozplotły. Tymczasem Maria wodziła wzrokiem za siostrą, której rozpromienione oblicze budziło tajoną niechęć Marii – przecież Joanna wie, że niedawno księżna straciła dziecko, a tymczasem nawet ona zapomniała już o żałobie. Naraz Maria pochwyciła siostrzany wzrok, który przylgnął do jej sukni na wysokości brzucha, na którym księżna splotła dłonie, uwydatniając brzemiennie wypukłości.

– Nie mówiłaś, Mario... – rzekła Joanna, a w jej głosie brzmiała radość. Powrót męża Marii, Filipa, z Prowansji prędko zaowocował kolejną ciążą. – Bóg otacza was łaską.

Joanna posmutniała i zamilkła. Ona jak dotąd nie była brzemienna, a król coraz rzadziej do niej przychodził. Noce spędzała samotnie i marzyła o mężu, którego by szczerze pokochała.

– Bóg zabrał mi jednego syna, w zamian ofiarowuje to dziecko, które noszę w łonie – sprostowała księżna. – To jest okrucieństwo, Joanno.

Chwilę ciszy zmąciło nagłe otwarcie drzwi, w których stanął zasapany od szybkiego biegu Karol Durazzo. Chłopiec spojrzął na królową, lekko schylił głowę i powiedział:

– Wasza wysokość!

Gdy Joanna skierowała na niego wzrok, zażądał hardo:

– Zakażcie wstępu do zamku Małgorzacie Durazzo!

Karol podążył za wzrokiem królowej, który uleciał w drugą stronę komnaty, i dopiero teraz dostrzegł siedzącą na skrzyni Marię, a wówczas się

zaczerwienił, co podkreśliło liczne piegi na jego bladej twarzy.

– Skąd to żądanie? – spytała królowa.

– Naśmiewała się ze mnie – wyjął.

Księżna Durazzo poczuła się nieswojo, wszak znała charakter córki, wiedziała, że potrafi dokuczyć.

– Może przesadzasz, Karolu, śmiech bierzesz za drwinę. Może powinieneś śmiać się wraz z nią? – spytała Joanna.

– Skoro ona śmieje się ze mnie, to czy wolno mi się naśmiewać z Małgorzaty? Czy jej tym nie dokuczę? – spytał, wywołując u królowej konsternację.

– Zapewne tak – włączyła się do rozmowy księżna Durazzo. – Lecz może to jest obrona, Małgorzata musi poczuć to, co ty czujesz.

Naraz za Karolem pojawił się zmieszany signor Barillo. Chłopiec przed momentem poprosił opiekuna o pozwolenie, by mógł prędzej pobiec do swej komnaty, co okazało się wybiegiem, gdyż pospieszył do królowej. Teraz, widząc dworzanina, zwrócił się do Joanny:

– Powiedzcie signorowi Barillowi, aby pozwolił mi ćwiczyć prawdziwym mieczem.

Joanna zrobiła wielkie oczy i spytała:

– Czy to wzbudziło wesołość Małgorzaty?

Chłopiec zaczerwienił się po uszy, spuścił oczy i potaknął niechętnie.

– Najpierw sprawdzimy, czy zdołasz go utrzymać w rękach dłuższą chwilę. Signor Barillo, dajcie Karolowi miecz, zobaczymy, czy przejdzie tę próbę pomyślnie. Będę was obserwować z okna – zaproponowała, na co chłopiec zapalił się do pomysłu i zaraz pod pieczęcią Barilla opuścił komnatę Joanny.

Gdy królowa i księżna zostały same, Joanna skwitowała:

– Upór wziął po ojcu.

– A butę? – spytała Maria.

– Właśnie – odparła królowa i zerknęła przez okno. Na dziedzińcu, tuż przy studni, młody Durazzo mocował się ze stalą, lecz poniósł klęskę. Krótkie i chude ramiona nie zdołały dłużej utrzymać broni. Joanna widziała, jak chłopiec spojrział na okna jej komnaty. Na jego obliczu malowała się złość.

Pod koniec października do Castel Nuovo nadeszła wieść o śmierci króla Sycylii Ludwika, zwanego Fanciullo^[19]. Powiadano o zmarłym władcy, że twarz miał dziecięcą i piękną. Zgasł nagle, w siedemnastej wiosnie życia, nie zaznawszy małżeńskiego łoża, i że regencję w imieniu małoletniego następcy, Fryderyka, prędko objęła jego siostra, Eufemia. W listopadzie zaś na królewski dwór w Neapolu zawitał signor Orseolo, hrabia Chiaramonte. Goszcząc hrabiego w komnacie wyłożonej złocistymi jedwabiami, Joanna i Ludwik chętnie nadstawiali ucha, chciwi wszelkich wieści.

– Eufemia musi się mierzyć z buntem baronów. Królestwo jest słabe i zwaśnione, wasza wysokość. – Orseolo to spoglądał na króla, to na królową. – Ten, kto odważy się wyciągnąć rękę po Sycylię, już może zwać się jej królem.

Rozogniły się oczy Ludwika, tylko królowa zachowała powściągliwość co do tej sugestii, wszak już wcześniej signor Acciaiuoli zdobył dla niej wielkie połacie wyspy, lecz nie zdołał ich utrzymać, gdyż skarbiec był pusty.

Wieczorem na uczcie królowa rozdawała wokół życzliwe uśmiechy, nie skąpiąc uwagi i dobrych słów hrabiemu Chiaramonte. Ludwik dostrzegł tego wieczoru, jak piękną ma żonę, jak przyciąga ona oczy dworzan, jak poprawia zalotnie włosy, jak kosmyki odrzuca na plecy, jak lśni w sukni tkanej srebrną i niebieską nicią i jak tańczy przy dźwiękach cymbałów. Dawno nie była tak radosna i pełna czaru. Po uczcie poszedł do jej alkierza. W mrocznej sieni zatrzymały go rozbawione głosy i śmiech. Gdy rozchylił portiery, ujrzał w blasku świec postać Joanny. Stała z uniesionymi rękami, a dwórki wkładały na nią nocną koszulę. Biel batystu delikatnie otuliła piersi, ramiona, biodra i nogi władczyni aż po kostki.

– Widziałam, jak na ciebie patrzył – rzekła jedna z dam dworu, która przyniosła królowej lusterko.

– Chciałabyś go za męża, powiedz, Katarzyno? – spytała Gisolda ciemnowłosą piękność, która się zarumieniła. Pozostałe dwórki zachichotały, lecz umilkły, gdy tylko dostrzegły, że portiera się poruszyła, i skierowały spojrzenia w stronę sieni, gdzie stał król. Natychmiast pochyliły w ukłonie głowy. Joanna, ujrawszy męża, odesłała damy.

– O kim mówiłyście? – spytał zaciekawiony i nie czekając na odpowiedź, rzekł: – O hrabim Chiaramonte?

– Zgadłeś – przyznała i naraz zauważyła, jak wlepił wzrok w jej piersi prześwitujące pod cienką tkaniną i zaraz zaszedłszy ją z tyłu, wsunął dłoń w dekolt jej koszuli.

Poczuła, jak ściska jej piersi i jak jego szept rozgrzewa jej ucho, a żar rozlewa się po jej ciele.

– Dawno nie przychodziłeś – zauważyła.

– Dziś jestem, Joanno.

Zatrzymawszy jego rękę, królowa kątem oka spojrzała na męża i spytała:

– A jutro?

– Również będę, każdego dnia, aż opuścę Neapol.

– Znowu łowy? – spytała.

– Nie tym razem, moja ukochana. Sycylia czeka.

– To szaleństwo, skarbiec jest pusty – powiedziała, uwalniając się z jego uścisku, jakby te plany ostudziły w niej miłosny zapach.

– Zapełnimy go – odparł.

– Jak?

– Sięgnijemy po złoto papieża, w końcu Sycylia to jego lenno. Jeśli Innocenty chce je odzyskać, musi zapłacić.

– Rzuci nam ochłapy, tymczasem to my zapłacimy krwią naszej armii. Zresztą, rada królewska się nie zgodzi. Co wtedy?

– Baronowie mogą nam radzić, ale to ja jestem królem – odparł stanowczo. Podszedł do Joanny, pochylił się i pocałował ją w usta.

Rano, po nocy spędzonej z królową, Ludwik, ubierając się, dostrzegł, że żona się przebudziła, i powiedział:

– W Świętego Wergiliusza^[20] zwołam radę królewską. Wiosną galery winny być na pełnym morzu i siać strach pośród Sycylijczyków wiernych Fryderykowi.

– Nie mamy wojennych galer – oświadczyła, nakrywając ramiona koszulą.

Ludwik pochylił się nad Joanną i rzekł:

– Poślij po nie do Prowansji. I przyduś poborców, niech zbiorą zaległe podatki. Wojna jest kosztowna, ale się opłaci.

Królowa poczuła na czole męzowski pocałunek i po chwili Ludwik, w doskonałym nastroju, zniknął za portierą. Już nie wrócił, jakby myśl o wojnie zaprzątnęła bez reszty jego umysł i stała się największym pragnieniem, któremu nie mógł się oprzeć. Tymczasem Joanna nie akceptowała jego pomysłu ani nie podzielała optymizmu, jakim próbował zarazić radę królewską kilka dni potem. W przestronnej komnacie Castel Nuovo, w pełni listopadowego dnia, zebrali się seneszał, kanclerz, konetabl, wielki justycjariusz Królestwa Neapolu, tawernik i admirał – Gotfryd Marzano. Obwieściwszy im pomysł wojny o koronę sycylijską, król Ludwik spodziewał się entuzjazmu, lecz żaden z obecnych nie przyjął tego z aplauzem, upatrując wielu przeszkód, w tym głównej, którą był pusty skarbiec.

– Mamy jeszcze czas, by przygotować się do wyprawy. – Król nie odpuszczał i w wyobraźni już widział siebie w chwale powracającego z wojny. – To będzie moja pierwsza wojenna wyprawa – oświadczył.

– Druga, wasza wysokość – poprawił go seneszał, który jako jedyny ośmielił się rzecz sprostować. Ludwik wiedział, co signor Acciaiuoli ma na myśli – wojnę z królem Węgier, w której małżonek Joanny nie odniósł zwycięstwa.

– Tak, lecz teraz będę walczył dla korony, która zdobi moje czoło – rzekł z dumą Ludwik, a z oczu biła mu hardość.

Wkrótce Joanna napisała do papieża, że teraz, kiedy Eufemia objęła regencję na Sycylii i kiedy ma przeciwko sobie tamtejszych baronów, może pora upomnieć się o wyspę, że złoto wyłożone na wyprawę wojenną zwróci się z wielkim zyskiem i zasili papieski skarbiec. Po miesiącu nadeszła odpowiedź, którą królowa odczytała w obecności męża i kilku królewskich urzędników:

Wasza wysokość, król Ludwik ma moje błogosławieństwo, lecz wyprawę mogę wspomóc tylko żarliwą modlitwą.

Na te słowa Ludwik się wzburzył, gniew przyćmił mu rozum i wybuchnął:

– Łotr! Nie chce ponosić ciężarów, lecz chętnie zgarnie zyski!

– Zatem widzisz, że liczyć możemy tylko na siebie – oświadczyła królowa.

ROZDZIAŁ 23



Listopadowego poranka 1357 roku spokojny monotony horyzont zmałyły ciemne plamy. Joanna, zaalarmowana przez jedną z dwórek, weszła na wieżę Castel Nuovo, by stąd obserwować galery. Spodziewano się, że statki dobiją do brzegu przed zmierzchem. Królowa, spoglądając w dal, powróciła myślami do czasu sprzed roku, nim Ludwik wypłynął z Neapolu. Okres przygotowań do wojny wspomniła z nostalgią. Król, napędzany wizją chwały, zmienił się, zlagodniał, a zarazem był pełen życia, optymizmu i odwagi. Z Prowansji nadeszły statki i broń oraz ciężkie skrzynie ze złotem okupionym krwią i nędzą poddanych. Wraz z planami wojennymi Ludwik znalazł cel i przychodząc co wieczór do alkierza żony, mawiał, że do wiosny uczyni ją brzemienną. Kilka miesięcy później, wiosną 1357 roku, żegnając ją na nadmorskiej przystani, musnął palcami jej policzek i rzekł:

– Czekał na mnie, Joanno, powrócę z koroną Sycylii i głową jej małoletniego władcy... Może wtedy ujrzę w twych ramionach naszego syna.

– Jeśli Bóg da, Ludwiku – odparła, pełna nadziei tak jak król, po czym złożyła dłonie na bławatnym jedwabiu, pod którym w jej łonie być może już rósł przyszły król Neapolu.

Gdy słońce kładło się na horyzoncie, statki dobiły do przystani. Rzucono kotwice i szerokie kładki. Z galer wylało się rycerstwo niczym potok, pośród którego Joanna wyłuskała wzrokiem króla. W przemoczonej opończy, ze zmęczeniem na twarzy, wydawał dyspozycje, a gdy dostrzegł żonę, skierował się ku niej.

– Zdobyłem Mesynę, Joanno – oznajmił z dumą.

– Nie powiłam ci syna – odparła, pochwyciwszy jego wzrok, który zdawał się szukać kogoś najbliższego. Słowa królowej rozwiały nadzieję, a król dostrzegł w oczach żony głęboki smutek. Podczas jego nieobecności w Neapolu zmarła Agnieszka, siostra Karola Durazzo, do której Joanna była bardzo przywiązana.

– Wasza wysokość. – Jakiś piskliwy głos złączył uwagę króla.

Ludwik wbił wzrok w rudego chłopca, który od tamtego dnia, kiedy widział go po raz ostatni, niewiele się zmienił, jedynie trochę podrosł, jego oczy nabrały głębokiej barwy błękitu, włosy stały się jeszcze bardziej ogniste, a cera jasna. Ludwik podszedł do Karola, poczochnął mu włosy i spytał:

– Byłeś posłuszny królowej?

Chłopiec potaknął i wyszczerzył w uśmiechu duże podobne do króliczych zęby, a wtedy Joanna zapewniła:

– Nie mogę narzekać.

Karol uśmiechnął się z dumą.

Dosiedli koni i ruszyli do zamku. Pół nocy Ludwik opowiadał żonie o bitwach o Palermo i Mesynę i o tym, że wkrótce będą musieli tam popłynąć, aby odebrać hołd od poddanych.

Nadszedł karnawał, podczas którego król i królowa brali udział w maskaradach, fetach i turniejach rycerskich, a po nim nastąpił czas postu i dwór królewski się wyciszył aż do Wielkanocy 1358 roku, po której król znowu więcej czasu spędzał w puszczy niż w Castel Nuovo. A gdy powracał do zamku, sprowadzał do alkierza jakieś kobiety. Joanna wiedziała, że są pośród nich jej damy dworu. Wiedziała, że co wieczór jej mąż się upija, a nazajutrz nie wstaje z łoża. Niech się upija, niech mnie zdradza, niech żyje w bezwstydzie i niech w hańbie zdechnie – mamrotała nieraz pod nosem, gdy jej donoszono o jego łajdactwach, i w ukryciu ocierała łzy. Nie miała prawa się oburzać ani skarżyć, sama go sobie wybrała na męża, więc z zaciśniętymi zębami znosiła litościwe spojrzenia brata Ludwika, Roberta, który jesienią wraz z żoną zjechał do Aversy na polowanie. Joanna trzymała Roberta na dystans, czując na sobie wzrok

Marii Burbon i swego męża. Ludwik potrafił wyśledzić ich z daleka i krążyć w pobliżu jak sęp. Miała przy sobie Joanna blisko swą siostrę. Maria rozsiewała radość i szczęście, którego zazdrościła jej królowa.

– Przynajmniej ty jesteś szczęśliwa – rzekła raz podczas polowania na ptaki, gdy przemierzały puszcę w pobliżu Orty. Maria w lutym po raz kolejny została matką, urodziła zdrowego chłopca, któremu nadała imię Filip.

Maria dostrzegła smutny uśmiech królowej. Wiedziała, że w jej małżeństwie dzieje się coraz gorzej, chociaż Joanna niechętnie o tym mówiła, jakby nie chciała obarczać siostry swoimi problemami, a może nie oczekiwała ratunku z jej strony, wszak księżna Durazzo nie mogła nic zrobić.

Zza drzew wyłonili się król z Karolem i wzrok Joanny natychmiast skierował się w ich stronę. Wtedy królowa rzekła gorzko:

– Ludwik całe dni spędza z Karolem, jakby w nim szukał syna, którego mu nie dałam.

Zbliżyli się obaj z przytroczonymi do siodeł martwymi ptakami. Jeszcze gorąca krew ściekała z krtani zwierzyny, plamiąc dąb; jej woń stała się przestrogą dla wylęknionych zwierząt zaszytych gdzieś w gęstwinie. Młody Durazzo z rozradowaną twarzą zbliżył się do Joanny i rzekł, wskazując na swoje trofeum:

– Spójrzcie, wasza wysokość, jak celne mam oko, położyłem je jednym strzałem z łuku.

– Brawo, Karolu – odparła, patrząc na zwisające głowami w dół dwie kuropatwy.

– To zasługa króla – przyznał chłopiec. – Król nauczył mnie tej sztuki.

– A więc słowa uznania należą się także twemu mistrzowi – powiedziała królowa, zerkając to na swego męża, to na młodego Durazza, którego rozgrzana od wysiłku twarz stała się prawie tak czerwona jak jego długie włosy.

Dzień gasł i zaczęło siąpić, powrócono więc do Aversy. Po wieczerzy dworzanie rozproszyli się po zamku na spoczynek. Joanna, ubrana w nocną koszulę, odprawiła dwórki i sięgnęła po modlitewnik oprawiony w cienką cielejącą skórę, zdobiony złotymi literami, od których odbijało się światło świec.

Przekładała karty, gdy naraz jakiś szmer przykuł jej uwagę. W progu komnaty pojawił się król. Pochwyciła spojrzenie jego przekrwionych oczu. Przez moment stał jak posąg, wreszcie wszedł do środka na chwiejnych nogach i z hukiem trzasnął drzwiami, aż Joanna drgnęła. Wlepił oczy w nabożną książkę w rękach żony i spytał z ironicznym uśmiechem:

– Modlisz się?

– Jak widzisz – odparła sucho.

– Nigdy się nie modliłeś – rzekł. – Nigdy nie byłaś pobożna... A może to przeszłość cię dręczy i nie pozwala zmrużyć oka właśnie tutaj.

Nie mogła zaprzeczyć. Od tamtej zbrodni, gdy zamordowano Andrzeja, Joanna nie lubiła nocować w Aversie, zbyt przypominała jej to tragiczne wydarzenie. Zdało jej się, że czuje na plecach oddech pierwszego męża, że słyszy jego kroki i szept w uszach. Minęło kilkanaście lat, lecz obrazy nie zatarły się w pamięci, są świeże, żywe, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Ona nieustannie czuje woń śmierci, jakby ten zamek był przeklęty na wieki. Lecz tę woń wyparł naraz smród skwaśniałego wina, od którego ją zemdliło. To zapach jej męża.

– Nie uprzedzałeś, że będziesz... – W jej głosie zadźwięczały irytacja i niecierpliwość. Aby zdusić niemłą woń, sięgnęła po flakon z pachnidłem, którym skropiła otulający ją jedwab.

– Jestem twoim mężem, Joanno, wolno mi przychodzić, kiedy chcę – odparł butnie.

– A ja twoją żoną, która ma rozkładać nogi, kiedy sobie o mnie przypomnisz lub gdy znudziły ci się moje damy dworu? – odgryzła się.

– Zawsze byłaś bystra – pochwalił ją, ale wyczuła w tym ironię. – Żona ma służyć mężowi. Nawet Bóg to nakazuje.

– Tak, Ludwiku... – Zgodziła się z nim i aby nie wdawać się w długie dyskusje, jakby chciała czym prędzej pozbyć się męża, zrzuciła szlafrok, przewiesiła go przez krzesło i rozchyliwszy portiery u łoża, położyła się na jedwabnej pościeli, głowę wsparła na wielkiej napełnionej kaczym puchem poduszce i podciągnęła koszulę. Po białych udach prześlizgnęła się wiązka światła od świec stojących na pobliskim stole. Ludwik rozwiązał tasiemki u spodni, po czym zbliżył się do łoża i jednym zamaszystym ruchem zdarł zasłony, a potem położył się na Joannie, jakby chciał na wieki zdusić oddech w jej piersiach i przerwać bicie jej serca...

Kończył się czas gonitw po lesie. W przeddzień powrotu do Neapolu królowa po wieczornej uczcie wróciła do alkierza. Dwórki rozbierały ją z szat, gdy portiera u drzwi się poruszyła. Joannie zdało się, że ktoś jest w sieni.

– To wiatr – uspokoiła ją Gisolda i schowała suknię do skrzyni.

Joanna odprawiła pokojowe, została przy niej jedynie Gisolda. Królowa usiadła na zydlu, tymczasem dwórka stanęła za nią, by rozczesać jej włosy. Grzebień z drzewa bukowego przyjemnie masował głowę.

– Nigdy nie prosiłaś, abym pozwoliła ci odejść z dworu, byś mogła poślubić mężczyznę – zauważyła Joanna, a gdy dwórka milczała, dodała: – Nigdy nie kochałaś?

– Miłość częstokroć przysparza cierpień – odparła Gisolda.

Królowa zgodziła się z nią, a gdy dwórka skończyła czesać jej długie bujne włosy, rzekła:

– Połóż się spać, odpocznij. Jutro ruszamy do Neapolu, choć ja najchętniej nigdy bym tam już nie wróciła.

– Zawsze lubiliście Castel Nuovo, byliście tam szczęśliwi – zauważyła dwórka.

– Nigdzie nie byłam szczęśliwa, ani tam, ani tutaj. Aversa przypomina mi Andrzeja, a dwór w Neapolu – Roberta Cabanniego...

W oczach królowej odbił się smutek. Dwórka nie potrafiła jej pocieszyć i tylko powiedziała:

– Śpijcie dobrze, najjaśniejsza pani.

Królowa uśmiechnęła się i poleciła:

– Nie gaś świecy. Noc jest taka ciemna.

Dwórką zerknęła na swą panią. W Castel Nuovo Joanna sypiała bez świecy, lecz w Aversie, jak zauważyła Gisolda, nie pozwala jej gasić. Ale to nie zasnute mrokiem niebo było tego powodem, lecz – jak domyślała się dama dworu – wspomnienia. Tutaj ozywają koszmary, w powietrzu wyczuwa się woń zbrodni, której ani kadzidła, ani najcenniejsze piżmo nie przyćmią, i wstają z martwych dawno pogrzebane trupy. Gisolda cicho wyszła z komnaty, a wtedy Joanna położyła się do łóżka. Pod zamkniętymi powiekami przewijały się obrazy pełnego wrażeń dnia: gonitwa po lesie, umykająca między drzewami zwierzyna, ptactwo wzbijające się pod niebo, w uszach brzmiały nawoływania i myśliwskie rogi, muzyka, która rozbrzmiewała na zamku po zmierzchu, a wesoły śmiech króla dźwięczał melodią, jakiej dotąd nie znała. I widziała jego rozbawione oblicze, które zupełnie nie pasowało do zaszłych nagle zadumą źrenic. Królowa przytłoczona wrażeniami pogrążyła się we śnie, z którego przebudził ją zawodzący za oknami wiatr, jakby wróżył niespokojną noc. Uniosła ciężkie od snu powieki i spojrzała w białą plamę ognia prześwitującą przez portierę. Płomień świecy drgał lekko, nagle zakołysał się niespokojnie i jakiś cień spłynął na zasłonę. Joanna strwożona wyteżyła wzrok i spytała z przestachem:

– Kto tu jest?

– To ja, nie bój się. – Usłyszała po chwili szept swego męża. Rozsunęły się zasłony i ujrzała Ludwika.

Zapach wina zmieszany z miłą słodką wonią wypełnił alkierz i wtłoczył się do płuc królowej, rozbudzając w niej miłosny żar. Zapewne chcąc wzniecić jak największe doznania, upajał się wonią jakiegoś sekretnego zieleńca – pomyślała Joanna, z lubością wciągając w nozdrza zapach, i wyciągnąwszy ramię ku mężowi, rzekła:

– Zrzuć kaftan, Ludwiku, i odepnij sztylet.

Puścił mimo uszu jej słowa, po czym położył się na żonie. Poczwała, jak jego kości wgniotły się w nią, uwięziły tak, że nie mogła się poruszyć. Naraz król wsparł się na ramionach, a wtedy Joanna mogła odetchnąć pełną piersią. Ludwik sięgnął żoninych ust i całował gorączkowo, zbyt natarczywie, bo go odepchnęła i po chwili spojrzała w jego dziwnie nieludzkie oczy.

– Co ci jest, Ludwiku? – spytała z niepokojem.

Nie odpowiedział, ona zaś dostrzegła błysk ostrza sztyletu, który nagle znalazł się w ręku męża. Przerażona, w ostatniej chwili uciekła w bok, stal wbiła się w poduszkę, rozpruła ją i utkwiała w łożu. Pełen trwogi krzyk rozdarł gardło Joanny, lecz król się go nie przeląkł. Nim tu wszedł, powiedział do wartowników trzymających straż u komnat królowej: – Ktoś obcy kręci się po korytarzach, a wy tego nie widzicie! Powinienem kazać skrócić was o głowy! – I zaraz usłyszał ich prędkie oddalające się kroki.

A jednak krzyk Joanny doszedł uszu Roberta z Tarentu, który trafił tu nie przez przypadek. Nazajutrz o świtaniu miał opuścić Aversę i powrócić do księstwa Achai wraz ze swą żoną Marią Burbon. I właśnie tej nocy przemierzał zamek: może w poszukiwaniu dawnych wrażeń, może czuł na sumieniu ciężar, a może chciał być blisko Joanny. Usłyszawszy krzyki z jej alkierza, pospieszył tam bezzwłocznie. Ujrzał ją szamoczącą się z Ludwikiem, a w ręku króla ostrze. Stal drasnęła królową w ramię, gdy twarde palce księcia Achai pochwyciły brata i oderwały od Joanny.

– Co robisz, na Boga?! – rzucił z gniewem Robert, a gdy spojrzał w oczy Ludwika, ujrzał w nich mrok i szaleństwo.

Król popatrzył to na żonę, to na brata i wybiegł z komnaty. Robert, widząc szlochającą Joannę, pragnął ją pocieszyć, otrzeć jej łzy, lecz tylko spytał:

– Nic wam nie jest?

– Nic – odrzekła, a gdy spojrzał na jej zakrwawioną koszulę, wyjaśniła: – To tylko draśnięcie.

Ludwik tymczasem minął w korytarzu Marię Durazzo i jej męża, lecz nie zatrzymał się ani na chwilę, oni zaś zniknęli w alkierzu królowej

i popatrywali to na Joannę, to na Roberta. Żadne z nich nie miało odwagi spytać, co tu zaszło.

– Zostań przy królowej, Mario – poprosił zdenerwowany książę Achai, po czym rzekł do brata: – Musimy pomówić, Filipie. Chodź ze mną.

Wyszli z komnat królowej, w korytarzu już przybywało dworzan, pojawili się marszałek dworu, służba i dwórki królowej. Aby ich uspokoić, Robert rzekł:

– Wracajcie do siebie. Królowa miała zły sen.

Książę przemierzał mroczne korytarze, a za nim ślad w ślad szedł Filip. Weszli do niewielkiej komnaty, w której paliła się jedna świeca.

– Nikt nie może się dowiedzieć, co tu się stało – nakazał Robert.

Filip z Tarentu nie wiedział, co Robert ma na myśli, nie wiedział, co zaszło w alkierzu ich bratowej.

– Ludwik kiedyś zabije Joannę – wyznał Robert. – Nie powstrzymamy go, nie uchronimy królowej, Filipie.

Filip w przerażeniu wytrzeszczył oczy i przełknął głośno ślinę.

– Pijaństwo odbiera mu rozum – rzekł Robert. – Byle co wytrąca go z równowagi. Każdy mężczyzna, który znajdzie się w pobliżu Joanny, jest w oczach naszego brata jej kochankiem.

Nastała chwila ciszy, w której słychać było ciężkie westchnienie Filipa.

– Jak możemy temu zaradzić? Żaden z nas nie może siedzieć w alkierzu Joanny i bronić jej przed Ludwikiem, on jest jej mężem, ma prawo do niej przychodzić.

– My nie, ale nasi zbrojni mogą trzymać warty w pobliżu jej komnat, mogą śledzić Ludwika... Musimy chronić królową, Filipie. Nasz brat jest obłąkany.

Podczas gdy Robert i Filip z Tarentu rozmawiali w zaciszu niewielkiej komnaty, król już opuścił skrzydło, w którym znajdowały się pokoje królowej. W przestronnym korytarzu zatrzymał go silny powiew wiatru dochodzący z naprzeciwka i zaraz dostrzegł stojącego przy otwartym oknie chłopca. Ludwik podszedł nieco bliżej, gniew powodował, że pulsowały

mu jeszcze nozdrza i musiał zachłannie chwytać oddech, a gdy chłopiec się odwrócił, w blasku pochodni rozpoznał Karola Durazzo.

– Co tutaj robisz, Karolu? Czy nie powinieneś spać o tej porze? – spytał.

Karol uśmiechnął się i odparł:

– Chciałem spojrzeć w gwiazdy, wasza wysokość.

– Pokażę ci coś ciekawszego – powiedział król i zbliżywszy się do niego, położył mu dłoń na ramieniu. – Chodź ze mną. – I poprowadził go tajemnymi przejściami i mrocznymi zakamarkami. Niebawem wyszli na zamkowy dziedziniec. Listopadowe powietrze pachniało sianem i końmi. Weszli do stajni. Zwierzęta, wyczuwszy ludzi, zarżały nerwowo, lecz dotyk króla zaraz je uspokoił. Ludwik osiodłał dwa konie, pomógł Karolowi dosiąść jednego z nich, po czym sam wsiadł na drugiego wierzchowca i ruszyli ku bramie. Ujrawszy króla, strażnicy, o nic nie pytając, podnieśli kratę i spuścili most zwodzony. Jeźdźcy pognali galopem ku morzu. Na tle ciemnego nieba rysowała się potężna bryła Castel dell'Ovo. Otwarto bramę fortecy i król z krewniakiem wjechali na dziedziniec, budząc zdziwienie załogi.

– Prowadź do lochów – rzekł Ludwik do jednego ze strażników. Chłodny wiatr ostudził w królu gniew, jego myśli skierowały się ku stryjecznemu bratu, który od dwóch lat z okładem gnił w tym zamku. Zbrojny ruszył posłusznie, oświetlając drogę pochodnią. Zeszli w dół, do podziemi. Karol szedł z duszą na ramieniu, z lękiem spozierając po bokach i niczego nie rozumiejąc. Cień jego krępej sylwetki zdawał się pełznąć za wielkim cieniem króla.

– Co chcecie mi pokazać, wuju? – odezwał się chłopiec.

– Sam zobaczysz – odparł Ludwik.

Zeszli po kamiennych schodach w dół, jakby w czarną czeluść, w której naraz rozblęskło nikłe światło, i u kraty pojawił się strażnik. Ujrawszy króla, pochylił kark i rzekł:

– Wy tutaj, najjaśniejszy panie?

– Jak się ma nasz najcenniejszy więzień? – spytał Ludwik.

– Jest w dobrym zdrowiu, wasza wysokość – zapewnił.

– Prowadź do niego!

Skrzypnęła krata, znaleźli się po drugiej stronie i stanęli pod drzwiami celi Ludwika Durazzo.

– Otwórz tylko drzwi, kratę zostaw zawartą.

Strażnik uczynił, co mu rozkazano, pochodnię wcisnął w mur.

– Bądź w pobliżu – rozkazał mu król i wlepił wzrok w płomień świecy tłącej się na stole. Jej blask rozproszył ciemności na tyle, że król i Karol dostrzegli siennik położony na słomie, a na nim postać nakrytą ciemnym pledem. Hrabia Graviny poruszył się, wyteżył wzrok i zaraz usłyszał z oddali głos Karola:

– Kto to, wuju? Kim jest ten człowiek?

– To... twój ojciec – odparł król i zerknął na chłopca. Pełen satysfakcji uśmiech wykrzywił królewskie usta, lecz Karol, wpatrując się w ojca, tego nie widział.

– Co on tu robi? Z czyjego rozkazu tu jest? – spytał Karol.

– Królowej – skłamał Ludwik.

Drzwi skrzypnęły i się zamknęły, nim hrabia Graviny zdążył zbliżyć się do kraty. Karol Durazzo obejrzał się, cela ojca była już zamknięta. Uczuł w sercu gniew. To miejsce, a także Castel Nuovo zdały mu się teraz wrogie i zimne. Nawet miłość królowej, jej uczucia do niego i troska nie zdołały wynagrodzić mu straty ojca, który z jej rozkazu został uwięziony tuż pod jego nosem. Król i Karol powrócili do Castel Nuovo, gdzie już szukano Ludwika. Gwardziści na czele z seneszalem przeszukiwali cały zamek w obawie, by szaleństwo nie doprowadziło go do jeszcze gorszych czynów.

– Teraz wracaj do siebie, Karolu, i nikomu nie mów o naszej wspólnej wyprawie.

– Nawet królowej? – spytał chłopiec.

– Szczególnie królowej – podkreślił Ludwik.

Wieść o ataku króla na małżonkę mimo dyskrecji jego braci rozniosła się po zamku. Jakimś trafem opuściła Neapol i dotarła do Awinionu, spotykając się z potępieniem papieża. W liście wysłanym do władców Neapolu Innocenty VI strofował Ludwika, by żył z żoną przykładnie jak katolicki król żyć powinien, dając poddanym przykład, królową zaś napominał, by była posłuszna mężowi i żyła bogobojnie, w Bogu szukając otuchy w trudnych chwilach. Joanna, przeczytawszy list papieża, chodziła po komnacie cała w gniewie.

– Każe mi być posłuszną mężowi! – roześmiała się szyderczo.

Minęło kilka tygodni od powrotu z Aversy i od owej nocy, podczas której król omal nie zabił Joanny. Czuła przed nim strach, gdy się pojawiał, nocami nie odsyłała Gisoldy. Spała czujnie, słyszała byle szmer. Znała odgłos jego kroków wybijany mocno o posadzkę w sieni, lecz bywało, że przyczajał się jak kot, cicho i bezszelestnie. Nagle pojawiły się wokół niej liczniejsze strażę. Kto je przysłał i po co? Maria mówiła, że to dla jej bezpieczeństwa, lecz jej nie wierzyła, posądzając o to męża. Ludwik zwoływał radę królewską pod osłoną nocy albo wtedy, gdy nie było jej w zamku, kiedy gnała konno wzdłuż wybrzeża, tutaj szukając wytchnienia od ciężącego jej małżeństwa. Raz, gdy się o tym dowiedziała, zawróciła do Castel Nuovo i wtargnęła do komnaty z wymówkami. Król rzekł jej wtedy, by pozwoliła im w spokoju obradować. A gdy się stawiała, sam wyprowadzał ją z komnaty. Był rostry i silny, wystarczyło, że zacisnął palce na jej ramieniu, a szła potulnie jak baranek.

– Masz przewagę, Ludwiku, bo jesteś silniejszy! – powiedziała ze wzburzeniem. – Lecz nie zamkniesz mi ust!

Urzednicy królewscy w milczeniu spoglądali na szamoczącą się Joannę i spojierali po sobie, niejednen z nich spuścił wzrok w poczuciu winy. Co działo się w komnacie królowej, gdy Ludwik odprowadził tam żonę? I dlaczego nazajutrz jej twarz okrywał welon, którego nie zdejmowała od poranka do nocy i przez kolejne dni? Bracia z niepokojem obserwowali małżeńskie kłótnie. Robert, księżę Achai, który po tamtym zdarzeniu

jeszcze pozostał w Neapolu, z gniewem zaciskał pięści, widząc prześwitujące pod cienkim welonem siniaki na twarzy bratowej.

Był koniec grudnia, dni tak szare, jakby nieustannie panował zimowy mrok. Każdego wieczoru, gdy pokojowe rozbierały królową z szat, Gisolda przypatrywała się jej ukradkiem i czuła jej smutek. Joanna nie miała w sobie dawnej radości. Każdy dzień małżeństwa z Ludwikiem ją niszczył, na jej ustach rzadko gościł uśmiech.

Wieczorem, gdy niebo oblekło się w czarny płaszcz przetykany gwiazdami, przy pełni księżyca, zjawił się u żony Ludwik. Przychodził rzadko, jakby wiedziony jedynie małżeńskim obowiązkiem. Każde jego pojawienie się przyprawiało Joannę o ból serca i drżenie rąk. Teraz rzuciła mu strwożone spojrzenie, którego nawet nie uspokoiło to, że nie miał przy sobie sztyletu. Milczała.

– Dostałem list od papieża – oświadczył i wszedł do środka niespiesznie. – Ojciec Święty nakłania nas do zgody.

– Ojciec Święty? – zadrwiła. – Dotąd nie mówiłeś o nim inaczej niż święty łotr.

– Dobrze, święty łotr z Awinionu chce, abyśmy żyli przykładnie, w zgodzie.

– Jak mogę z tobą żyć? – wyrzuciła z goryczą. – Odsuwasz mnie od rządów, niewolisz.

– Możesz, Joanno – rzekł głosem stanowczym, choć pełnym łagodności. – Jesteś moją żoną, ja twoim mężem. W dobrym i złym. Spójrz, przychodzę do ciebie trzeźwy. Odpraw dwórki. Już noc.

Struchlała. Mimo straży strzegących wejścia od korytarza, a także czuwających w sieni zbrojnych przysłanych przez braci króla, nie czuła się bezpiecznie, gdy mąż zaproponował jej pozostanie sam na sam. Przebiegła wzrokiem po pokojowych, miały w oczach strach.

– Dobrze, zostań, lecz nie odprawię damy dworu – rzekła stanowczo.

– Jak chcesz. – Zgodził się od razu, jakby to nie była przeszkoda.

Gisolda podeszła do królowej, a gdy zdejmowała z niej szlafrok, Joanna szepnęła jej do ucha:

– Bądź blisko, Gisoldo.

Dwórką pochwyciła jej pełne strachu spojrzenie i przewiesiła szlafrok przez krzesło, po czym stanęła przy łożu. Król rozchylił kotary i wgramolił się do środka. Joanna położyła się obok na plecach i podciągnęła koszulę. Ludwik poczuł, jak drży, a chcąc ją uspokoić, musnął palcami jej policzek i szepnął:

– Zapomnij to, co było złe. Miłość do ciebie odbiera mi rozum. Jakże ja cię kocham, Joanno, do szaleństwa... – Łzy skapnęły mu z oczu.

– Bardziej kochasz władzę, Ludwiku – rzekła gorzko. – Lecz zapominasz, że to ja ci ją dałam.

– Dobrze, zakopmy wojenny topór, popłynijmy na Sycylię, do naszego królestwa, niech lud ujrzy nas oboje. Niech widzą, że między nami nie ma żadnych niesnasek, lecz panuje miłość – zaproponował.

Królowa musnęła szorstki policzek męża, pochwycił tę rękę i ucałował, naraz szloch rozerwał mu oddech, jakby szczerze żałował i szczerze pragnął dobrej dla nich przyszłości.

– Wyjdź, Gisoldo – rzekła Joanna do dwórki.

Dama się zawahała, jakże pragnęła powiedzieć swej pani, by nie dała się zwieść fałszywej skrusze, by była nieugięta i nie ufała mężowi.

– Wyjdź – powtórzyła królowa.

Gisolda, posłuszna jej woli, oddaliła się, zamykając za sobą drzwi, i natychmiast przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała.

– Król jest u naszej pani? – Głos szambelana, pana de Fos, zabrzmiał w jej uszach jak dzwon katedry, mocno i ogłuszająco. Odstąpiła od drzwi jak oparzona. – Zostawiłaś ich samych? – rzekł z wyrzutem.

– Królowa kazała mi wyjść, co miałam zrobić? – odrzekła cicho drżącym głosem.

Pan de Fos zmarszczył czoło i powiedział:

– Należy powiadomić marszałka dworu, że królowa jest sama z mężem. Wszyscy musimy być czujni.

Potaknęła i wybiegła na korytarz. Wbrew obawom Gisoldy i szambelana noc minęła spokojnie. Zdało się, że między małżonkami zostały pogrzebane waśnie, żale się wypaliły i nastąpiła sielanka. Zaczęto przygotowania do podróży na Sycylię w nadziei, że ta wyprawa pogodzi małżonków, ale na jak długo? Tego nikt nie wiedział. W marcu 1359 roku, kilka miesięcy przed wyprawą, król wybrał się do klasztoru San Martino, by tam w spokoju i ciszy kontemplować. Joanna uznała, że łagodność Ludwika stała się zasługą Boga, a właściwie królewskiego spowiednika, który przy każdej spowiedzi temperował charakter jej męża z dobrym skutkiem. Korzystając z nieobecności króla, Joanna udała się do Castel dell'Ovo. Minęło sporo czasu, gdy była tu ostatni raz. Nie chciała tu przychodzić, wiedząc, że nic nie złamie dumy Durazza i jedynie rozdrażni jej męża. Gdy otwarto przed nią drzwi do celi, ujrzała Ludwika siedzącego na zydlu i obracającego coś w palcach. Był tak zajęty, że nie zauważył, jak zbliżyła się do niego. Spojrzała na stół, łożowa świeca rozproszyła mrok i Joanna w ulepionej przez aresztanta figurze rozpoznała kobiecą postać. Wtedy zadrżała, przeniknął ją nagły lęk przed złymi mocami. Ludwik dopiero teraz uniósł głowę i spojrzał na królową. Joanna dostrzegła w jego oczach obojętność. Nieraz widziała skazańców, którzy kończyli żywot w ciemnym lochu. Żyjąc z dala od ludzi i nieba, pozbawieni słońca i radości zapadali w stan podobnej obojętności, jakby pogodzeni z losem.

– Dawno was tu nie było – odezwał się Ludwik, przerywając ciszę.

– Mam nadzieję, że ten czas dobrze wykorzystałaś.

– Że skruszałem? – spytał, unosząc na nią wzrok.

Potaknęła.

– Widziałem syna, słyszałem jego głos – oświadczył. – On dał mi siłę i upór.

Dostrzegła nagły uśmiech na jego twarzy, radość rozjaśniła mu lico i w tej radości przebłysło jego dawne piękno.

– Karola? – spytała, nie wierząc mu, lecz zrzucając to na karb zmęczonego samotnością umysłu. Położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała z westchnieniem: – Zatracasz się w samotności, umysł ci się mąci, już nie wiesz, czy żyjesz na jawie, czy we śnie. Ustąp, Ludwiku, uznaj koronę na głowie mego męża, a będziesz wolny, ujrzysz syna.

– Widziałem go – powtórzył. – I widziałem waszego męża. Myślał, że mnie złamie, pokazując mi Karola? Nic z tego, Joanno.

Na to wyznanie królowa zamarła. Wróciła pamięcią do tych chwil, kiedy przyprowadzano do niej Karola, syna hrabiego Graviny. Popołudniami grywali w szachy, często zabierała go na konną przejażdżkę, lecz był jakiś inny, jakby odmieniony, jakby było coś, co ich dzieliło, ale zrzucała to na karb dojrzewania. Karol miał już czternaście lat, zmieniał mu się głos, a na twarzy pojawiły się pryszcze. Nieraz spoglądał ukradkiem za pięknymi dwórkami. Była pewna, że dorastanie tak go odmieniło. Tymczasem dziś, teraz, wszystko zrozumiała. Nie przekonawszy wuja, Joanna przytłoczona złymi myślami wróciła na królewski dwór. Po paru dniach król przyjechał z klasztoru z gorączką. Joanna od razu wezwała medyka, lecz Ludwik odparł, że zamiast naparów prędzej wino postawi go na nogi. Królowa posłała po dzban najlepszego trunku, lecz to nie pomogło. Niebawem doszły bóle brzucha, a parę dni potem wymioty.

– Popłyniemy na Sycylię – rzekł do niej, gdy usiadła na brzegu łoża, by napić go tłustym bulionem. – Potrzebuję tylko odrobiny czasu.

I ten czas przerodził się w długie tygodnie, które odbierały królowi siły, tocząca go choroba wycieńczała organizm i z czasem kości króla oblekała jedynie skóra.

– Daj mi wina, Joanno – rzekł do niej majowego dnia, gdy słońce ostatnim szkarłatnym blaskiem rozjaśniło komnatę, a zmierzch nadciągał od zachodu i szarą mgłą zasnuwał niebo.

Podawała mu puchar z chłodnym czerwonym trunkiem i przytknęła do warg. Pił zachłannie, a strużki wina pociekły mu z kącików ust i czerwienią splamiły koszulę. Przyglądał się żonie, spokój na jej twarzy i opanowanie były zastanawiające. Chwycił jej dłoń, w której trzymała czarę, i rzekł:

– Gdy umrę, uroń łzy nad tym, który kochał cię do szaleństwa.

Ucałował jej ciepłą rękę, wysunęła palce z jego uścisku, odstawiła kielich na pobliski stolik i powiedziała:

– Jeszcze żyjesz... a złe myśli prowadzą zło.

Oparł głowę na poduszce, było mu duszno, a zarazem tak przeraźliwie zimno, tak źle.

– Każcie napalić w kominku, lodowato tu... – Zadrżał z przenikliwego chłodu.

– Za oknem majowy skwar. – Spojrzała, jak kropelki potu spływają mu po czole i nosie, po czym skapują na odsłonięte piersi. Otarła wilgotnym płótnem pot z jego czoła, na co się wzdrygnął.

– Wezwij księdza, niechże się wypowiadam i przyjmę święte sakramenty. Nie sposób igrać ze śmiercią tak długo – zażądał.

Podniosła się w milczeniu i posłała po księdza. Niebawem zjawił się duchowny. Dworzanie, widząc go podążającego do królewskiej komnaty ze srebrną amforą, w której leniwie bulgotały oleje święte, przeczuwali, że śmierć jest już blisko. Zamek cichł i po korytarzach niosły się tylko szepty. Gdy król się wypowiadał, ksiądz wyszedł do sieni, gdzie oczekiwali królowa, seneszał, kanclerz i marszałek dworu.

– Król przygotował się na śmierć, wasza wysokość – oznajmił. – Prosił, byście sprowadzili do niego księcia Achai i księcia Filipa.

Królowa rozkazała marszałkowi dworu, by spełnił wolę króla, po czym wyszła na korytarz. Skierowała się do swych komnat, gdy w końcu korytarza poruszyła się jakaś postać, która szła w jej stronę, lecz nagle przystanęła. Po błyszczącym ciemnym kaftanie ślizgało się światło pochodni wciśniętej w ścianę i oświetliło chłopięce oblicze. Joanna rozpoznała Karola Durazzo.

– Z królem źle? – spytał.

– Bardzo – odparła.

– Mogę się z nim pożegnać?

Zacisnęła wargi i zawahała się, przypomniawszy sobie, że Ludwik zabrał Karola do Castel dell'Ovo bez jej wiedzy i od tamtej pory miłość i oddanie Karola dla Joanny ochłodziły.

– Idź – zgodziła się po chwili.

Tymczasem posłano po Filipa i Marię Durazzów, jedynie księcia Roberta posłaniec nie zastał w pałacu książąt Tarentu, gdyż bawił on u Francesca del Balzo, księcia Andrii. Wysłannik królowej podążył więc do pałacu Balzów. Zaraz wprowadzono go do przestronnej jadalni, gdzie przy suto zastawionym stole siedzieli książę Achai i książę Andrii.

– Wasza książęca mość, król przyjął ostatnie namaszczenie. Wzywa was do Castel Nuovo – zwrócił się do Roberta.

Na te słowa ręce księciu spotniały, nagła fala gorąca przetoczyła się po karku aż do łędźwi, lepki pot przylepił koszulę do pleców.

Robert spiesznie zakończył gościnę i ruszył na królewski dwór. W korytarzach mijał służbę i dworzan, których przybywało pod komnatami królewskimi. Wszedł do alkierza i potoczył wzrokiem po kątach. Kilku pokojowców czekało w pobliżu gotowych na rozkazy króla, nieopodal stali Maria Durazzo z mężem i najważniejsi urzędnicy. Wszyscy wbili w księcia Achai wyczekujący wzrok. Minawszy ich, Robert podszedł do króla i pochylił się nad nim, balsamiczna woń olejów świętych zmieszana z odorem potu zatkała mu dech w piersiach. Książę chwycił dłoń Ludwika i wykrztusił:

– Bracie...

Król uścisnął mu rękę, po czym przyciągnął do siebie i książę Achai usłyszał słowa brata szeptane mu do ucha:

– Nie wiem, kto bardziej pragnie mojej śmierci: Bóg, diabeł czy... moja żona.

Na to wyznanie Robert zeszywniał, zerknął w bok i ujrzał Joannę. Wróciła, bo jej doniesiono, że przybył. Lico królowej jaśniało pośród ponurych twarzy dworaków.

– Joanno – przemówił król.

Drgnęła i podeszła do niego. Usiadła na łóżku, u boku męża, a wtedy powiedział:

– Pochowaj mnie w Santa Maria di Montevergine.

Królowa potaknęła, jakby godziła się z jego wolą. Nagle jej oblicze sposepniało. Ludwik musnął palcami jej policzek i rzekł:

– Posepność ci nie pasuje, pani.

Pochwyciła tę rękę, która z czułością ją głaskała, i przytknęła do ust. Nagle król wydał z siebie gardłowy chrapliwy jęk i wbił kościste palce w żonine ramiona, oczy mu zamarły w cierpieniu, serce ustało i wyzionął ducha. Joanna wyszarpnęła się z jego uścisku i cofnęła przerażona. Wtedy rozbrzmiały w ciszy kroki seneszała. Pan Acciaiuoli podszedł do króla i ułożył jego głowę na poduszce, a Filip splótł ciepłe dłonie brata na piersiach. Robert dostrzegł, jak królowa się przeżegnała i wbiła w niego oczy. Ich spojrzenia starły się ze sobą: jego ponury wzrok z jej spojrzeniem, w którym nie było żalości, lecz strach. Gdy po kilku tygodniach czerwcowego dnia trumnę z ciałem króla^[21] składano w podziemiach kościoła Santa Maria di Montevergine, zza białego welonu przesłaniającego twarz królowej Robert usłyszał jej szloch. Stał w pobliżu i czuł w nozdrzach woń irysów, którymi pachniała. Bliskość królowej na moment zmąciła mu rozum. Gdyby nie miał żony, dziś droga do korony Neapolu stałaby przed nim otworem. Nagle poczuł ciepły delikatny uścisk stojącej przy nim Marii Burbon i to on go ocucił i przywrócił do rzeczywistości. Kochał ją, nie miłością burzliwą i gorącą, lecz rozumną i przytomną. Potem, gdy powrócono do Castel Nuovo, na drugi dzień po stypie, na którą przybyli ambasadorowie księstw i królestw biorących udział w pochówku króla, ksiązę Achai udał się do komnaty królowej, przy której krzątały się dwórki. Gisolda spojrzała na niego czujnie kątem oka; ona jedna była przy królowej od wielu lat i znała jej tajemnice, wiedziała, co dawniej łączyło tych dwoje.

Robert skłonił kark i przemówił:

– Jutro opuszczam Neapol.

– Ach, tak – wyrwało się Joannie z ust z jakimś bolesnym jękiem.

Nie takich słów się spodziewała. Poczł ciepł jej oczu, przeniknęł go na wskroś, przywracając w pamięci szczęśliwe z nią chwile. Może nawet liczyła na to, że zostanie, że odprawi żonę, by pocieszać królową w żałobie po mężu, którego nie kochała. W głowie ciągle kołatały mu słowa Ludwika i siały podejrzenia.

– Zapewne niedługo pozostaniecie w żałobie... Królestwo musi mieć króla – oświadczył, jakby liczył na to, że odkryje przed nim zamiary. Ta uwaga ją ubodła, bo zmarszczyła w lekkiej irytacji brwi i odparła spokojnie, lecz zdecydowanie:

– Nie spieszno mi do kolejnego małżeństwa, które mi narzuca.

– Ludwika sami wybraliście, pani, a mimo to nie widziałem, byście u jego boku byli szczęśliwi – zauważył.

Odwróciła twarz, jakby chciała uciec przed jego przenikliwością. Po chwili jednak zbliżyła się do niego, jakby sama jego obecność ją do niego przyciągała, i spojrzawszy mu w oczy, spytała:

– A ty, Robercie, jesteś szczęśliwy? Poślubiłeś Marię z woli Ludwika...

Nie oparła się pokusie, by musnąć palcami jego policzek. Lecz pochwycił jej dłoń natychmiast, jakby nie chciał, by jej dotyk wzniecił uczucia, jakie do niej żywił, i rozпалиł dawne żądze.

– I waszej. Nie pamiętacie? – wypomniał szorstko, jakby zadra ciągle głęboko tkwiła mu w sercu, a wspomnienia rozdrapywały ranę, nie pozwalały zapomnieć i cieszyć się szczęściem, jakiego zaznał u boku kobiety, którą poślubił wbrew sobie, a mimo to ją pokochał.

Joanna nie mogła zaprzeczyć. Urażona odstąpiła od niego i rzekła:

– Wyjedź, jeśli taka twoja wola, jeśli mój los jest ci obojętny.

Gdy milczał, zniecierpliwiona podniosła głos:

– Wracaj do swojej żony, do Marii!

Skłonił się i odszedł w pośpiechu, w jej uszach zadudniły jego mocne kroki. Z piersi Joanny dobył się szloch, lecz zdusiła go, czując na sobie dociekliwe oczy dwórek, które widząc, że księżę wyszedł od królowej, cicho weszły do komnaty.

– Rozkaż signorowi Barillovi osiodłać konie – nakazała Gisoldzie.

– Już późno, najjaśniejsza pani – odparła z niepokojem dwórka. Nie umknęło jej zdenerwowanie królowej i teraz pełna była złych przeczuc. Lecz spuściła oczy pod gniewnym wzrokiem Joanny i posłusznie poszła do Barilla przekazać mu rozkaz królowej.

Gdy chwilę potem Joanna zeszła na dziedziniec, odurzyła ją słodka woń lawendy, jaką wiatr przyganiał z zamkowych ogrodów. Skierowała się do osiodłanego konia, którego za uzdę trzymał Barillo. Gisolda, która odprowadziła królową na dziedziniec, rzekła z troską:

– Pozwólcie mi jechać z wami, wasza wysokość.

– Nie, Gisoldo, pragnę zaczerpnąć oddechu, uciec stąd.

Dworzanin pomógł królowej dosiąść klaczy i gdy Joanna już skierowała się do bramy, Gisolda zwróciła się do dworzanina:

– Czuwaj nad królową, signor Barillo, lękam się, by strapienia nie zgubiły naszej pani.

Potaknął i ruszył za Joanną.

Gwiazdy migotały na niebie, a księżyc odbijał się od wodnej toni. Jeźdźcy ruszyli ku morzu, wyraźnie kierując się na Castel dell'Ovo nieświadomi, że śledzą ich czyjeś oczy. Książę Robert, który ledwie odbił od Castel Nuovo, zaraz wstrzymał wierzchowca, jakby jakaś siła go zatrzymała. Co rusz spoglądał ku zamkowi, jakby bił się z myślami, walczył z pokusami. Gdyby teraz zapukał do alkierza Joanny, nie odtrąciłaby go, lecz stałby się jej kochankiem na jedną noc, może na kilka nocy, nie mógł jej poślubić, miał żonę. Naraz dostrzegł, że rozwarła się zamkowa brama i pojawiły się dwie postacie na koniach. Jedną rozpoznał od razu, w sukni i pelerynie tak długiej, że okrywała koński zad. Zmarszczył brwi w nagłej gonitwie myśli, niepokój rozpałił się w jego sercu wielkim płomieniem. Odczekał chwilę i ruszył za nimi, zachowując dystans. Zatrzymał się opodal Castel dell'Ovo, tak blisko, że usłyszał skrzypienie bramy i widział, jak jeźdźcy znikają po drugiej stronie. Zacisnął dłonie w pięści, jakby tłumił wściekłość, i pogalopował do pałacu na via Tribunali.

Sylwetka Joanny zamajaczyła w lochach w blasku latarni, którą niósł przed nią strażnik.

– Daj latarnię – powiedziała do niego. – I otwórz.

Skrzypnęły drzwi, potem rozwarła się krata i królowa weszła do środka.

Ludwik, widząc gościa, podniósł się z posłania i rzekł:

– Zapomnieliście o mnie, jakbym już wyzionął ducha.

Usłyszała w jego głosie rozbawienie, chciał, by je podzieliła, chciał jej pokazać, że mimo niewoli, mimo życia w ciemnicy, chłódzie i głodzie nie opuszcza go wesołość, lecz Joanna odparła z powagą:

– Wczoraj pochowałam męża.

Wytrzeszczył oczy. Nie wiedział, żadne nowiny tu nie docierały.

– Co mówicie, pani – rzekł i postąpił kilka kroków do przodu. Zaskoczony tą nowiną dodał: – Przyjmijcie moje kondolencje.

Dostrzegł, jak otarła łzy, i powiedział:

– Żal mi was.

– Nie po nim płaczę – oświadczyła.

– Zatem co albo kto jest przyczyną waszych łez?

– Samotność.

– Wy samotni? – Przez usta przemknął mu ironiczny uśmiech. – Nigdy nie byliście sami, zawsze otoczeni wiankiem dworzan czekających na jedno wasze łaskawe spojrzenie, na skinienie waszej ręki. Czy nie to zgubiło mego kuzyna? Nawet ślubny pierścień i przysięga nie są gwarantem waszej miłości.

– Mylisz się, byłam mu wierna i oddana jak żadnemu mężczyźnie... Gdy wrócił z Sycylii, żył jak lajdak, stoczył się na samo dno.

– Dość, Joanno, on jeszcze nie ostygnął! – przerwał jej.

Zamilkła zgaszona nagle jego gniewem i skierowała się ku kracie, gotowa przywołać strażnika.

– Poczekaj! – Chwycił ją za ramię i spojrzał w pełne smutku oczy. – Jak długo jeszcze będziesz mnie więzić? Teraz, kiedy nie masz męża, tylko ty

wydajesz rozkazy, Joanno. Uwolnij mnie... – Głos mu zadrżał. – Pragnę ujrzeć syna.

Zauważył, że zadrgały jej wargi i zmarszczyła brwi.

– Jeśli nie uznałeś korony na głowie Ludwika z Tarentu, czy uznasz ją na głowie kolejnego króla Neapolu? – spytała, a gdy milczał, wezwała straż i wyszła z celi. Durazzo zbliżył się do ściany i uderzył w nią z wściekłością pięścią.

Minęło dziesięć dni. Późnym popołudniem królowa wezwała do siebie Karola Durazzo, a gdy stanął w progu, rzekła:

– Wiesz, gdzie jest twój ojciec, Karolu?

Zmieszał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i tylko zerkał na Joannę lub popatrywał na zajęte haftowaniem dwórki. Wtedy go ośmieliła:

– Król nie żyje. Jeśli złożyłeś mu jakąś obietnicę, nie ma ona już żadnej wagi. A ja, królowa, zwalniam cię z niej.

– Jest w Castel dell'Ovo – powiedział, na co potaknęła i oświadczyła naraz z radością w głosie: – Pragnie cię zobaczyć.

– Zezwolicie, pani? – Karol zapalił się do tego pomysłu.

Podeszła do niego lekko jak motyl i pochyliła się nad nim, był tak niski, że sięgał jej do ramienia, mimo że skończył piętnaście lat. Położyła dłonie na jego ramionach i obiecała:

– Tak, pojedziemy tam razem, nie zwlekajmy, Karolu. Ojciec na ciebie czeka.

Kazała siodłać i w obstawie dziesięciu zbrojnych wraz z Karolem opuścili zamek. Niebawem przekroczyli zamkową bramę i podążyli do lochów. Ludwik najpierw ujrzął królową. Wynurzyła się z mroku jak zjawą w świetle pochodni, żałobna biel jej nie pasowała, wolał ją w purpurze, bławatach i fioletach. Zbliżyła się do kraty, gdy Ludwik spytał:

– Kogo tym razem pochowaliście?

Nie odpowiedziała, tylko odstała na bok. Żelastwo poruszone silnymi rękoma strażnika skrzypnęło i krata się rozwarła. Durazzo wyteżył wzrok i ujrzął syna. Zdało się, że Karol wypełznął z otchłani mroku, jęzory ognia

rozświetliły jego mikrą postać, zabarwiły rdzawo jego długie kędziory i podkreśliły biel lica. Za Karolem zamknęła się krata, oddzielając dwóch Durazzów od Joanny. Królowa, widząc, jak syn wpadł w ojcowskie ramiona, wzruszyła się, a nie chcąc im przeszkadzać, wycofała się w głąb korytarza, w którym czekali strażnik i signor Barillo.

– Nie liczcie skrupulatnie czasu – zwróciła się do strażnika. – Gdy ojciec nacieszy się synem, wypuścicie Karola Durazzo, signor Barillo będzie go eskortował do Castel Nuovo.

Strażnik pochylił głowę i podniósł ją dopiero, gdy ustały kroki królowej. Joanny już nie było w korytarzu. Powróciwszy do zamku, do wieczora nie mogła znaleźć sobie miejsca. Zajęła się haftowaniem wraz ze swymi dwórkami, lecz coraz kłuła sobie palce; potem próbowała grać na lirze, lecz zbyt nerwowo szarpała struny. Niecierpliwie czekała na powrót Barilla, a gdy ten się zjawił, dopytywała się, nie odsyłając dam dworu:

– Jak spotkanie? Karol zadowolony?

– Zdaje się, że nigdy nie był radośniejszy, wasza wysokość. Okazaliście mu wiele łaski i miłosierdzia, czym skradliście mu serce.

– Raczej je odzyskałam – szepnęła, lecz nie dosłyszał, ona zaś uśmiechnęła się, czując szczęście. Jakże pragnęła mieć w tym chłopcu syna; kto wie, może następcę tronu. I choć jest jeszcze młoda, to tylko Bóg wie, jaki los jej pisany.

Nazajutrz przed południem Karol Durazzo przywołany przez królową pochylił przed nią kark. Joanna właśnie ubrała się w strój do konnej jazdy i czekała na siostrę, z którą miały wybrać się nad zatokę.

– Mam nadzieję, że wczoraj choć przez chwilę byłeś szczęśliwy, Karolu – powiedziała, gdy chłopiec stanął w progu.

Postąpił parę kroków i odparł rozpromieniony:

– Do pełni szczęścia potrzeba niewiele, wasza wysokość, mój ojciec uzna koronę na głowie waszego męża, kogokolwiek poślubicie.

– Powiedział ci to? – spytała.

Potaknął. W jej sercu czaiła się nieufność, że to tylko wybieg, słowa, by odzyskać wolność. Gdyby hrabia Graviny to uczynił za życia jej męża, Ludwika z Tarentu, zapewne teraz, gdy owdowiała, nie wahałaby się ani chwili, by bez zwłoki posłać po niego do Castel dell'Ovo. Karol Durazzo padł przed królową na kolana, pochylił kark i powiedział błagalnie:

– Uwolnijcie ojca, wasza wysokość, w hrabim Graviny i we mnie będziecie mieli oddane sługi. Nikt nie będzie was tak czcił, jak my obaj.

Zmieszała się i nawet wzruszyła jego przemową. Odesłała dwórki, pokojowe oraz muzyków przygrywających na lutni i oświadczyła:

– Bądź cierpliwy, Karolu. Nim nastanie jesień, twój ojciec będzie wolny.

Uśmiechnęła się pocieszająco, jakby wszystko było zaplanowane i pewne. Pokłonił się pełen wdzięczności i odszedł jak na skrzydłach, które niosły go przez szerokie zamkowe korytarze. Przystanął przy oknie i zaczerpnął ciepłego powietrza, potem spojrzął na panoramę miasta, na odległy Wezuwiusz, którego bryła zawłaszcziała przestrzeń w dalekim krajobrazie. Naraz odgłos otwieranej bramy i końskich kopyt bębniących po drewnianym moście nad fosą zwróciły jego uwagę i po chwili na dziedziniec wjechała Maria Durazzo z księżniczką Małgorzatą i kilkoma zbrojnymi, którym przewodził signor Zanetti. Małgorzata obiegnęła wzrokiem zamek, okna w komnatach na piętrze, a dostrzegłszy krewniaka, uśmiechnęła się. Karol pamiętał jej cięty język, lecz od dawna nie wchodzili sobie w drogę. Zaraz zbiegł schodami w dół i natknął się na nich w przestronnym holu. Pokłonił się księżnej i jej córce, którym towarzyszył tylko Zanetti, gdyż reszta zbrojnych została na zewnątrz.

– Księżno – rzekł Durazzo.

Maria skinęła głową na powitanie, a gdy Karol poszedł swoją drogą, Małgorzata obejrzała się za nim i rzekła do matki:

– Pozwólcie, matko, że tu zostanę. Nazrywam kwiatów do naszego pałacu.

– Nie ogołoć całego ogrodu, bo ciotka będzie miała nam to za złe. I nie wdawaj się w utarczki z Karolem – przestrzegła ją księżna Maria.

– Będę się wystrzegać jednego i drugiego – zapewniła z uśmiechem i pospieszyła na dziedziniec. Tymczasem Maria rozkazała dworzaninowi dyskretnie śledzić córkę.

– Zważajcie na księżniczkę, signor Zanetti, sami wiecie, jak potrafi być nierozważna.

Dworzanin podążył za Małgorzatą, Maria zaraz udała się do komnat siostry. Zastała przy niej pokojowe. Kończyły ją ubierać.

– Jestem gotowa, Mario – rzekła Joanna z promiennym uśmiechem, jakiego księżna dawno u niej nie widziała.

– Dawno nie byłaś tak radosna – zauważyła.

Joanna skinęła na nią i szepnęła jej do ucha:

– To wolność, Mario, ona czyni mnie radosną.

Maria się uśmiechnęła. Wiedziała, że dla Joanny nie ma nic cenniejszego niż wolność, że małżeństwo ją krępuje i zniewala, że wolałaby nie dzielić się władzą z żadnym mężczyzną. Ale naraz radosna iskra zgasła w oczach księżnej Durazzo i Maria powiedziała:

– Wiesz, że ta radość nie będzie trwała długo.

– Wiem – przyznała z uśmiechem królowa. – Ale można czerpać szczęście i z małżeństwa.

– Kto to będzie? – spytała Maria, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Nie spodziewała się tak spieszego wyboru na tron po Ludwiku.

– Ten, którego wybrałam.

Zagadkowa mowa królowej zafrapowała księżnę Durazzo, która powiedziała pełna złych przeczuć:

– Twój wybór musi być po myśli papieża.

– Będzie. – Królowa uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła ponagłająco: – Chodźmy! Nie mogę się doczekać przejażdżki.

Podczas gonitwy to brzegiem zatoki, to do gajów pomarańczowych i oliwnych, Joanna mimo że dyskretnie nagabywana przez siostrę, nie zdradziła, kto zostanie jej mężem.

Po powrocie do pałacu książąt Tarentu, gdy nadciągający zmierzch barwił niebo na fiolet, Maria zajrzała do alkierza najmłodszego dziecka. Przy kołysce siedziała piastunka. Księżna zbliżyła się i pochyliła nad półtorarocznym synem, a widząc, że dziecko nie śpi, wzięła je na ręce i z czułością ucałowała mu policzek. Nagle jej uwagę zwróciły kroki zbliżające się od strony drzwi. Zza odchylonej portiery spoglądał jej mąż.

Filip wszedł do komnaty i odesłał nianię.

– Spójrz, kto przyszedł, Filipku. – Księżna wskazała na małżonka. Dziecko uśmiechnęło się, rozpoznając ojca. Książę Tarentu pogładził głowę syna i spytał żonę:

– Pociągnęłaś Joannę za język?

– Tak. Zdaje się, że Robert ma rację, moja siostra już wybrała sobie męża, lecz jego imię trzyma w tajemnicy. Co więcej, jest pewna, że papież się temu nie sprzeciwi – oświadczyła.

Z piersi Filipa dobył się ciężki świst. Tamtego wieczoru, po stypie, gdy Robert wrócił do pałacu, koniecznie chciał się z nim rozmówić. Nie krył przed Filipem, że widział królową zmierzającą do Castel dell'Ovo.

– Po co tam pojechała? – spytał wtedy Filip, jakby niczego się nie domyślał.

Na ustach Roberta pojawił się ironiczny uśmiech, jego brat nigdy nie miał lotnego umysłu, ale wtedy ten brak wyobraźni szczerze rozdrażnił księcia Achai, bo powiedział:

– Chyba nie jesteś tak naiwny, Filipie. Wiesz, kogo Joanna więzi w lochach Castel dell'Ovo. I tylko Bóg i ona sama wiedzą, co teraz chodzi jej po głowie.

– Myślisz, że... – odezwał się Filip.

– Jeśli poślubi Ludwika, my, książęta Tarentu, zostaniemy odsunięci od tronu. Twoi synowie mogą zapomnieć o koronie Neapolu. Będą służyć królom Neapolu z rodu Durazzów i przed nimi zginać karki. Nasza matka przewraca się w grobie.

Wspomnienie Katarzyny de Courtenay przywołało w pamięci Filipa niemiłe obrazy, przypomniał sobie oschłość i surowość matki, aż ciarki przeszły mu po plecach. Zmarszczył brwi i wreszcie odparł:

– Nie możemy Joannie zabronić, jest królową.

– Nie możemy – przyznał Robert. – Ale możemy jej udaremnić to, o czym już zamyśla. Poślij swoją żonę do królowej, niech się dyskretnie wywie o zamiary Joanny. Jeśli nasze podejrzania się potwierdzą, Ludwika Durazzo niebawem nie będzie wśród żywych.

Filip wytrzeszczył oczy, jakby ten pomysł go zaskoczył.

– Zniosłem policzek, jaki mi wymierzyła królowa, poślubiając naszego brata, lecz nie mam wyrozumiałości dla jej zuchwałości, jeśli zechce poślubić Durazza. Dla nas obu to będzie obelga. Zrób, co mówiłem – rozkazał i wyszedł.

Teraz księżna Durazzo odwróciła się w stronę męża wraz z synem i spytała:

– Domyślasz się, kogo Joanna mogłaby poślubić?

– Nie – zaprzeczył Filip, lecz głosem niezdecydowanym, w oczach miał jakąś posępność.

– Nie każ mi więcej wypytywać Joanny o jej sprawy, Filipie – poprosiła naraz Maria. – Czuję się podle, jak szpieg.

Włożyła dziecko do kołyski i nakryła jedwabną kapą. W pamięci miała swego pierwszego męża, Karola, z którego namowy indagowała Joannę i czuła się z tym źle. Po chwili zbliżyła się do męża i go przestrzegła:

– Bądź ostrożny, Filipie, nie mieszaj się w nie swoje sprawy. Pamiętasz, jak ambicje zgubiły mojego pierwszego męża, a jego i twoich braci zawiodły do lochów w budzińskim zamku?

– Tym razem żaden z nas tam nie trafi – zapewnił.

– Za to lochy Castel dell'Ovo są blisko, na wyciągnięcie ręki – rzekła chłodno, jakby ten chłód miał go ocucić.

Lato było skwarne, lecz Joannie nie przeszkadzało gorąco, nie szkodziło jej cerze słońce, umyślnie wystawiała twarz na jego światło, jakby spragniona jego mocy. Mimo że przekroczyła trzeci krzyżyk, czuła, jak rozpiera ją siła, jak radość w niej buzuje, jak pragnie kochać i być kochana. Gorącego dnia sierpniowego wezwała do siebie Acciaiuolego i rzekła:

– Seneszalu, pora uwolnić Durazza z lochów Castel dell'Ovo.

Sposepniał i spytał:

– Czy dobrze to rozważyliście, wasza wysokość?

Uważnie przyglądał się królowej, jakby chciał przeniknąć jej myśli, jakby każdy gest i drgnienie jej powiek miały przed nim odkryć to, co tak bardzo starała się przed nim ukryć. Była niespokojna, odrzuciła z ramion lśniący złotem welon i uciekła wzrokiem gdzieś w dal, wpatrując się w bezkresną otchłań nieba.

– Teraz, gdy nie ma u waszego boku króla, hrabia Graviny stanie się jeszcze bardziej zuchwały. Jeśli podburzy baronów przeciwko wam, kto stawi im czoła?

– Ja sama! – rzekła hardo. – Czyż myślicie, że nie przywdzieję zbroi tylko dlatego, że jestem niewiastą? A jeśli ja mam więcej zuchwałości niż Durazzo i ruszę na czele armii, by go pokonać i upokorzyć?

Wzbudziła w nim chwilowy podziw, nigdy bowiem nie widział jej tak pewnej siebie i odważnej.

– W słowach jesteście mocni, nie przeczę, najjaśniejsza pani – przyznał – lecz to tylko słowa, nic więcej. A od słów do czynów daleko i nie tak gładko dokonać rzeczy wielkich, nie tak prosto, jak mówicie. Powstrzymajcie się choćby do zamążpójścia – poradził jej.

Zdało mu się, że się zawahała, lecz naraz powiedziała stanowczo:

– Za dwa dni uwolnisz Ludwika i przyprowadzisz przed moje oblicze.

Acciaiuoli pochylił kark i odszedł. Pokonując kolejne zamkowe korytarze, seneszał przeczuwał, że niebawem królowa przestanie mu sprzyjać, życliwość przerodzi się w niechęć, a może nawet we wrogość. Miał rację księżę Achai, gdy podczas burzowego południa, kiedy spotkali

się nad zatoką, mówił: Trzeba mieć na oku królową, by nie wypuściła z klatki myszy, która zmaci spokój i zasieje wojnę. Signor Acciaiuoli przed zmierzchem opuścił królewski dwór i pognał na via Tribunali. Rozwarto przed nim bramę i wjechał na zacieniony dziedziniec, płosząc gołębie karmione przez księżniczki pod okiem księżnej Marii i dwóch dwórek. Wzleciały w niebo czerwieniejące od zachodzącego słońca. Maria, siedząca na ławce w podcieniu, wlepiła wzrok w seneszała, lecz on jej nie dostrzegł. Widząc jego pośpiech, uznała, że przybywa z czymś ważnym, lecz zaraz skierowała uwagę na najmłodsze dziecko, Filipa, którego Rosana niosła z pałacu. Księżna objęła syna i przytuliła do serca. Chłopiec wczepił się w jej ramiona jak kocię. Poglądziła mu włosy z czułością. Przyrodnie siostry podeszły do matki, prosząc, by pozwoliła im zabrać brata, gdyż chcą mu pokazać nową zabawkę. Był to drewniany ptak z barwnymi skrzydłami na długim patyku na kółkach. Gdy kółka się obracały, ptak szeroko rozkładał skrzydła.

– Dobrze. – Maria zgodziła się i oddała dziecko najstarszej córce, Joannie. Tymczasem sama wzięła napełnioną wodą konewkę, by podlać kwiaty w wielkich donicach, jak to zwykła czynić pod wieczór, gdy dzieci bawiły się tuż obok. Naraz dostrzegła biegnącą w jej stronę Małgorzatę, która chwilę wcześniej bawiła się na murawie z przyrodnim bratem Karolem.

– Pozwólcie, że wam pomogę, matko.

– Znudziła ci się zabawa z Karolem? – spytała Maria z uśmiechem.

– Opluł mnie – oświadczyła z gniewem.

– Zapewne zaszłaś mu za skórę – skwitowała księżna i dociekała: – Dokuczałaś mu?

Naraz tuż za księżniczką pojawiła się Rosana, wtedy nieoczekiwanie Małgorzata oddaliła się do sióstr.

– Uszczypnęła go w policzek – wyznała dwórka.

– Nie rozplakał się? – zdziwiła się Maria, spozierający ku bawiącemu się piłką synowi.

– Nie. – Rosana się uśmiechnęła.

– Małgorzata nieustannie przysparza mi trosk – przyznała księżna z ciężkim sercem.

– Jest dzieckiem – rzekła dwórka na usprawiedliwienie.

– Lecz upór w niej i zuchwałość wcale nie są dziewczęce... – oceniła Maria i urwała, gdyż zauważyła seneszała opuszczającego pałac. Dopiero teraz dostrzegł księżnę i się jej pokłonił. Gdy dosiadł konia i wyjechał za bramę, Maria kazała dwórcę zostać z dziećmi, a sama, ciekawa, w jakiej sprawie przybył seneszał, udała się do pałacu. W holu natknęła się na sługę.

– Gdzie mój mąż? – spytała.

– W swojej komnacie, pani – odparł.

Poszła tam, pokonała schody i weszła w korytarz, w którym wraz z gasnącym słońcem rozpanoszył się mrok. W sieni zatrzymały ją głosy dochodzące z komnaty. Przyłożyła ucho do drzwi i wyteżyła słuch.

– Nie możemy zwlekać.

Usłyszała głos szwagra.

– Miej odwagę Filipie, nasza matka ją miała – przekonywał Robert.

– Nie porównuj mnie do niej! – Książę Tarentu oburzony podniósł głos.

Nagle szloch dobył się z piersi Filipa. Maria przycisnęła ucho i policzek jeszcze mocniej, aż poczerwieniały.

Tymczasem Filip wczepiony w kaftan Roberta chlipał mu w ramiona i mówił roztrzęsiony, jakby wspomnienie matki wywoływało w nim najgorsze uczucia.

– Pamiętasz? Matka nami pomiatała, bałem się jej! Budziła we mnie grozę.

I teraz, tak jak dawniej, gdy był dzieckiem, szukał schronienia w ramionach starszego brata. To on chronił Filipa przed srogim wzrokiem Katarzyny de Courtenay.

– Matki już nie ma – rzekł stanowczo książę Achai i oderwał głowę brata od swych piersi. – Ale spójrz w lustro, Filipie! Jesteś jej kopią! Nie

uciekiesz przed matką. Masz jej oczy i spojrzenie, ten sam przebiegły uśmiech. Ty i ja jesteśmy jej nieodrodnymi synami. Święta nie była i dla ambicji mogła zrobić wszystko.

– I teraz smaży się w piekielnych smołach. Zabiła! Zabiła...

– Ci... – Robert zatknął Filipowi usta ręką i zdusił jego krzyk. – Ani słowa o tym.

Pamięć o skrytobójstwie była w Filipie żywa, choć minęło wiele lat. Podśluchał rozmowę matki z Robertem jeszcze tego wieczoru, gdy umarła Agnieszka Périgord. Wtedy przeląkł się ich obojga.

Maria zmarszczyła czoło, odstępiała od drzwi, poczuła, jak jej ciemnieje przed oczami i poszła do swych komnat. Potworny ból głowy rozsadzał jej skronie. Wezwała sługę i rzekła:

– Pójdiesz pod komnatę mojego męża. Gdy wyjdzie od niego ksiązę Robert, chcę o tym wiedzieć.

Sługa odszedł, lecz wrócił prędko z wieścią, że ksiązę Achai właśnie opuścił komnatę księcia Filipa. Maria podążyła do męża. Nacisnęła klamkę i lekko rozwarła drzwi. Ujrzała go pochylonego nad stołem, z twarzą czerwoną od płaczu. Usłyszawszy kroki, ksiązę zwrócił się w stronę, z której dochodziły.

– Przyjdiesz do mnie, Filipie? – Głos Marii przerwał ciszę.

– Wybacz, dziś na nic nie mam ochoty – odparł z jakimś zamyśleniem.

– Co jest tego powodem? – dopytywała się, podchodząc do męża. – Miałeś zły dzień, czy to może wizyta seneszala wytrąciła cię z równowagi? A może rozmowa z Robertem? Macie jakieś sekrety...

Spojrzał na nią z ukosa, próbując dociec, skąd u niej taka przenikliwość, i milczał. Kując żelazo, póki gorące, dodała:

– Boję się, że obaj z Robertem coś knujecie... Zawsze powtarzałeś, że znalazłeś przy mnie szczęście, więc czemu mi nie ufasz, nie mówisz wszystkiego, masz tajemnice...

Podniósł się i powiedział:

– Jesteś siostrą królowej, Mario...

– I to jest powód, by mi nie ufać i nie zwierzać się? – spytała dotknięta.
Poczuła na policzku pocałunek męża.

– Ufam ci, śpij spokojnie – rzekł. Jego głos wlał weń jakąś otuchę, że z owych konszachtów z Robertem nie wyniknie nic złego, że może przeczucia ją mylą i są krzywdzące dla Filipa i księcia Achai.

ROZDZIAŁ 24



Kilkunastu jeźdźców pod baldachimem ciemniejącego nieba pędziło wzdłuż wybrzeża. Morze było spokojne, a w jego srebrnej toni odbijał się jeszcze niewyraźny blady księżyc. I tylko kłęby chmur przyganiane przez wiatr mąciły ten obraz. Powietrze stawało się duszne. Księżna Durazzo otarła spocone czoło, po czym uniosła wzrok ku niebu i rzekła z niepokojem do siostry jadącej u jej boku:

– Wracajmy, Joanno. Nadciąga burza.

– Zawracaj do pałacu, Mario, dzieci na ciebie czekają, ucałuj je ode mnie – rzekła królowa, której nie dość było gonitwy.

– A ty? – spytała Maria z niepokojem.

– Niestraszna mi burza. Dam ci ludzi, odprowadzą cię bezpiecznie do zamku – odparła i skinęła na zbrojnych, by eskortowali księżnę Durazzo.

Gdy Maria się oddaliła, królowa odesłała resztę oddziału do zamku, sama zaś, tylko z signorem Barillem, pognęła do Castel dell'Ovo. Owe częste wizyty królowej tutaj nie budziły już zdziwienia strażników. Jeden z nich, Fabrizio, prowadził Joannę przez lochy i niebawem królowa weszła do celi hrabiego Graviny. Rozejrzała się. Ludwik, leżący na sienniku, nawet się nie poruszył. Joanna postawiła latarnię na chyboczącym się stole, a wtedy usłyszała jego głos.

– Przypomnieliście sobie, że żyję – skwitował oschle, jakby jej wizyta była mu niemiła. Upłynęło tyle dni, odkąd przyszła tu z Karolem. Każdy dzień i noc były udręką, czekaniem na wolność, niepewnością, co

przyniesie kolejny dzień. Łudził się, że wraz ze śmiercią Ludwika z Tarentu Joanna się ugnie i go uwolni.

– Żyjesz i będziesz wolny – rzekła.

Zaskoczony, nagle odrzucił pled i się podniósł.

– Drwicie ze mnie, pani. Zwodzicie mnie – powiedział.

– Nie drwię... Ludwiku. Chciałabym, abyś mi ufał, i chciałabym tobie zaufać – stwierdziła.

– A powinienem? – odparł.

– Tak – potaknęła.

– Zatem dacie mi wolność, Joanno? Ot tak? – Ciągłe nie mógł uwierzyć, ale w jego głosie pobrzmiwała euforia. Zbliżył się do niej i spytał: – A jeśli wam nie przysięgnę wierności?

– Nawet wtedy – potwierdziła.

– A Karol? Jemu też pozwolicie odejść z dworu i pójść ze mną? – spytał naraz.

– Twój syn zostanie tutaj, przy mnie – oświadczyła.

– Jednak! – Podniósł rozedrgany goryczą głos. – Bierzecie chłopca na zakładnika, oto wasza wspaniałomyślność, Joanno!

Ludwik poczuł, jak koszula przylepia mu się od potu do ciała, rozwiązał tasiemki u dekoltu, obnażając tors i przyciągając uwagę królowej. Podeszedł do muru, wsparł ramię o ścianę, zwiesił głowę, z piersi dobywał mu się płytki i urywany oddech. Gdyby był sam, gdyby nie miał syna, teraz, tutaj, w ciemności udusiłby królową własnymi rękami, nie zważając na karę, jaką mu wymierzą, gdy naraz głos Joanny przegnał w nim mściwość i gniew.

– Jutro, gdy będą bić na Anioł Pański, będziesz wolny, lecz jeśli staniesz przeciwko mnie, będę cię ścigać, aż cię dopadnę, i każę powiesić, a jeśli staniesz u mego boku, poślubię cię i dam ci koronę Neapolu.

Durazzo oszołomiony tymi słowami zwrócił twarz w jej stronę i chciał coś rzec, lecz go zgasiła:

– Jutro dasz odpowiedź.

Królowa opuściła celę hrabiego, ale pozostawiła po sobie słodką woń irysów i to ona mąciła Ludwikowi umysł, nie pozwalając zapomnieć o Joannie, i w pamięci nieustannie przywoływała jej słowa. Ja, Ludwik Durazzo, będę królem Neapolu... – Te słowa huczały mu w uszach.

Królowa wróciła do Castel Nuovo z niespokojnym sercem. Odważyła się uczynić to, co nie byłoby po myśli jej urzędników ani baronów. Liczyła, że Ludwik nie odrzuci jej oferty, a papież przyklepie ten związek. Opór baronów, jeśli staną przeciwko niej, złamie nadaniami, najbardziej zawziętych wtrąci do lochów, gdzie skruszeją, a przynajmniej nie będą jej szkodzić. W końcu Durazzo jest z krwi Andegawenów, żaden obcy, Joanna zapomni mu urazy, zapomni, że żądał wydania mu bratanic, córek zmarłego Karola, że jej groził, a życie Marii uczynił pełnym trwogi, że ją samą, królową Neapolu, znieważył, występując przeciwko niej, że w końcu spiskował przeciwko niej w Awinionie i na węgierskim dworze. Czas pogrzebać urazy, zapomnieć wyrządzone zło, mieć w wilku przyjaciela, nie wroga. Ofiarować mu to, czego pragnął, i co jest najcenniejsze – królewską koronę. W sieni zastała Gisoldę. Dwórka posłała jej pytające spojrzenie, ale królowa nie zamierzała się tłumaczyć z tego, gdzie była i z kim. Gisolda domyślała się, że z jednym z kochanków, ale z którym? I dlaczego nie tutaj, nie w zamku? Czyżby zależało jej na pozorach? Może właśnie tak, wdowie nie wypada wieść wesołego życia ani drażnić ludzkich oczu, a jeśli kochać, to potajemnie, szczególnie gdy jest się kobietą i nosi się koronę. Joanna położyła się spać, lecz usnęła dopiero przed świtem. Mimo że sen był krótki, to ją pokrzepił i rozjaśnił myśli. Dotknęła posłania obok, było puste i zimne, lecz miała nadzieję, że wkrótce zapełni się ciepłem rozgrzanego ciała mężczyzny i jego zapachem. I może w końcu ona doczeka się syna, który w imieniu swej matki przypomni Ludwikowi Węgierskiemu, że Joanna nie zamierza dochowywać wymuszonych sojuszy. Szmer dochodzący z sieni spłoszył jej myśli. To była Gisolda.

– Ubierzecie się, pani? – spytała dwórka.

– Tak, niech wejdą pokojowe.

Dwórki weszły jedna za drugą, niosąc kilka sukien, trzewiki i welony. Królowa długo przebierała, wybrzydając, że a to kolor jej nie pasuje, a to zbyt szerokie rękawy albo nadto obcisłe, a to tkanina za mało przewiewna na sierpniowe upały.

– Dziś chcę wyglądać wyjątkowo, Gisoldo – rzekła, a jej oczy iskrzyły się radością, jakiej dawno dwórka u niej nie widziała.

– Zatem może ta suknia, pani, w szafranowej żółci? Doda wam jeszcze większego blasku. – Gisolda wskazała na suknię z jedwabiu o wąskich rękawach i dekolcie lekko obnażającym ramiona. Królowa przyłożyła suknię do siebie i spojrzała w lusterko, które trzymała przed nią Katarzyna. Suknia pasowała do jej złocistych włosów i ciemnych oczu. Joanna zgodziła się ją włożyć, po czym usiadła na zydlu, by pokojowa mogła ją uczesać. Gdy dwórka rozczesywała jej włosy, królowa posłała Katarzynę po seneszała. Dziewczyna wróciła niespodziewanie szybko i rzekła:

– Wasza wysokość, przyszedł signor Barillo.

– Katarzyno – zirytowała się władczyni. – Po kogo cię posłałam? Po signora Barilla czy seneszała?

– Seneszała, wasza wysokość, przekazałam słudze pana Acciaiuolego, że na niego czekacie – zapewniła.

– Nie ma go w komnacie? – spytała.

– Nie, najjaśniejsza pani. Ale pokojowiec zapewnił, że mu przekaże, gdy seneszał wróci na zamek.

Nieobecność seneszała jej nie zaskoczyła, wszak często nocował w swoim pałacu w pobliżu klasztoru Świętej Klary, a z rana zjawiał się w zamku. Pomyślała, że to nawet dobrze, iż przyszedł Barillo, zaraz go pośle po pana Acciaiuolego. Wszak pora najwyższa rozkazać mu ruszyć do Castel dell'Ovo po Durazza. Niebawem będą bić na Anioł Pański. Jeśli do tego czasu Ludwik nie opuści celi, będzie przekonany, że królowa z niego zadrwiła. Kazała wpuścić Barilla. Wszedł na chwiejnych nogach, jakby był pijany, i strzelał oczami po kątach, wreszcie ujrzawszy królową, pochylił kark, a gdy uniósł na Joannę oczy, zauważyła, że jest przeraźliwie blady.

– Wasza wysokość, przysłano wieści z Castel dell’Ovo... – wykrztusił.

Wszechogarniające uczucie niepokoju przelało się przez nią od stóp do głów.

– Ludwik Durazzo nie żyje^[22] – powiedział cicho Barillo.

Królowej pociemniało przed oczami, zachwiała się i osunęła na krzesło nagle pozbawiona sił. Podano jej rozcieńczone wodą wino. Z jej piersi dobył się szloch. Gdy doszła do siebie, wszystkich odesłała, został przy niej jedynie Barillo, do którego rzekła:

– Wczoraj był żyw i cały, a dziś, gdy miał być wolny, jest trupem...

Naraz przypomniała sobie o Karolu Durazzo. Czy już wie o śmierci ojca? Wezwała marszałka dworu i spytała go o krewniaka:

– Karol Durazzo o poranku pojechał na polowanie, wasza wysokość – wyjaśnił signor Gerolamo.

Jeszcze nie wrócił, jeszcze nie wie. Przyjedzie w skwarze sierpniowego słońca, w samo południe, jak to latem miał w zwyczaju. Nawet ją prosił, by z nim jechała, ale odmówiła. Pragnęła, by jego ojciec powitał syna w murach zamku, jeśli Ludwik przyjmie jej propozycję, jeśli nie, już nigdy nie ujrzy syna. A jeśli i jemu grozi niebezpieczeństwo?

– Weźmiesz zbrojnych, signor Barillo, odnajdziesz Karola Durazzo. Natychmiast sprowadź go na zamek – rozkazała.

Słońce pięło się coraz wyżej po niebie, aż zaczęło wędrówkę ku ziemi i podpaliło czerwoną łuną horyzont, potęgując strach w królowej. Joanna podchodziła do okien i spoglądała to na dziedziniec, to w dal, na dalekie krajobrazy. Barillo dotychczas nie powrócił z Karolem. Może Durazzo już wie? Może ktoś pognął z Castel Nuovo, odnalazł go w lesie i przekazał mu tragiczną nowinę? I może to Joannę obwinia o śmierć ojca? Jak go przekonać, jak mu udowodnić swoją niewinność? A jeśli nie wróci? Jeśli stanie przeciwko niej, tak jak dawniej uczynił jego ojciec? – gryzła się. – A może leży martwy na mchu, zabity przez tego, który zamordował mu ojca? Wezwała seneszała, do którego przemówiła z wyrzutem:

– Gdy was potrzebuję, nie ma was na zamku.

Usiadła ciężko na krześle wyściełonym adamaszkową poduszką, była taka zmęczona, tak skołowana myślami, tak przygnieciona śmiercią tego, którego wybrała sobie na męża.

– Darujcie, wasza wysokość. – Pochylił pokornie głowę. – Wczorajszego wieczoru dostałem zaproszenie na urodziny siostrzeńca, spędziłem noc w jego domu, a gdy wracałem do pałacu, dosięgła mnie wiadomość o śmierci hrabiego Graviny. Natychmiast zawróciłem do was.

– Ktokolwiek to zrobił, choćby był najpotężniejszy, zawiśnie... – zawyrokowała i odprawivszy pana Acciaiuolego, wezwała wielkiego justycjariusza i rozkazała: – Pojmiesz wszystkich strażników, którzy tej nocy trzymali wartę w Castel dell'Ovo! Weźmiesz na tortury, będziesz przypiekać ogniem i żywcem drzeć z nich skórę! Chcę wiedzieć, kto stoi za śmiercią Ludwika Durazzo – powiedziała wzburzona, łapczywie chwytając oddech, jakby brakło jej tchu.

Uspokoila się dopiero, gdy w progu stanął Karol Durazzo. Natychmiast odesłała signora Sanseverina i otworzywszy ramiona Karolowi, rzekła do niego:

– Chodź do mnie.

Głos królowej wyrwał Durazza z zamyślenia. Widział, jak Joanna wyciąga do niego ramiona, a oczy ma pełne łez i niepewności, czy jej posłucha, czy może gniew i rozpacz zmacą mu umysł i sprawią, że się od niej odwróci. Zrobił parę kroków, to ją ośmieliło, bo podeszła do niego i okrywvszy ramionami jego mikrą sylwetkę, powiedziała, przełykając łzy:

– Już wiesz? Już ci powiedziano?

Potaknął w milczeniu.

– Bałam się, że Barillo nie odnajdzie cię żywego, że ten, kto zabił twojego ojca, podniesie rękę także na ciebie.

– Na mnie? – Ściągnął brwi, jakby to wyznanie go zaskoczyło, jakby nie wierzył w jej słowa.

– Bądź ostrożny, Karolu, i nie daj się podjudzić złym językom, znajdą się bowiem tacy, którzy w tej śmierci będą upatrywać moją rękę, ale

przysięgam ci, że dziś w Anioł Pański twój ojciec miał być wolny.

– Co takiego? Co też mówicie, pani? – Nie mógł zebrać myśli, tak go oszołomiła ta nowina.

– Tak miało się stać – zapewniła.

– Nie powiedzieliście mi o tym, pani. Trzymaliście w sekrecie? – wydukał z pretensją w głosie.

– Tak, nikt nie wiedział, tylko Barillo. On był w Castel dell'Ovo wraz ze mną ostatniego wieczoru... Bałam się, że uwolnienie twego ojca wywoła niezadowolenie dworzan i baronów, nie chciałam słuchać ich biadolenia, że źle czynię, że Ludwik odpłaci mi niewdzięcznością. Chciałam dać mu wolność.

Karol poczuł, jak palce Joanny musnęły mu policzek.

– Skoro wiedzieliście tylko wy, wasza wysokość, i Barillo... – rzekł i chwycił jej dłoń.

– On tego nie zrobił – zapewniła spieszenie, domyślając się, co mu chodzi po głowie, i powtórzyła: – Barillo tego nie zrobił.

– Macie pewność? Wam mogę uwierzyć, ale waszemu słudze? Rozkażcie go pojmać, jeśli chcecie, bym wam uwierzył – odparł i się rozplakał.

– Dobrze, dobrze – pogłaskała go po głowie z czułością jak matka i całując w czoło, powiedziała chłodno: – Jeśli zdradził... zawiśnie.

W Anioł Pański rozkołysały się dzwony katedry w Neapolu, wybijając żalobną melodię. Na ich ton rozwarły się bramy Castel Nuovo i kilkunastu jeźdźców w ciemnych szatach przejechało przez most na fosie. Na moment zapadła cisza, gdy nagle zaturkotały drewniane koła i zaskrzypiały pod ciężarem dębowej trumny osie wozu, którym powoził silny mężczyzna. Słońce, odbijając się od bieli całunu okrywającego trumnę, raziło wzrok. Lśnił złoty haft na jedwabiu i błękit układające się w godło książąt Tarentu. Królowa jechała konno za trumną, mając u boku Karola Durazzo. Dzień był skwarny, więc Joanna liczyła na to, że zatrzyma neapolitańczyków w domach, lecz przybyli licznie. Tłumy zapełniły ulice od zamku

i towarzyszyły konduktowi przez całą drogę aż do kościoła Santa Maria di Montevergine. Szmer głosów dźwięczał wokół, przypominając niespokojne brzęczenie roju pszczoł, i towarzyszył orszakowi, tłumiony przez odzywające się co rusz dzwony kościelne. Królowa powiodła wzrokiem po zgromadzonych i ujrzała ponure i gniewne twarze. Poczowała lęk. Mogła sprawić pogrzeb hrabiemu Graviny, tak jak jej radził seneszał, o zachodzie słońca, gdy mrok przykrywa miasto, lecz odparła hardo, że nie będzie chować zmarłego jak złoczyńcy pod osłoną nocy. Niech patrzają! Niech widzą, że nie lękam się ich spojrzeń i szeptów, ich gniewnych pomruków. Nie zabiłam i mam czyste ręce! Jak dobrze – pomyślała, popatrując przez biały cieniutki welon na jadącego tuż obok Karola Durazzo – że on jest przy mnie. Kto wie, może tylko jego obecność tutaj tłumi w tłuszczy gniew i nawet wzmożone straże nie zdołałyby zapobiec mściwości ludu. Joanna oderwała wzrok od Karola i spojrzała w dal – na tle lazurowego nieba srebrzyła się w pełnym słońcu dzwonnica kościoła San Giovanni a Carbonara, cel żałobnego pochodu. Zatrzymano się pod kościołem, sześciu silnych dworzan wniosło trumnę z ciałem Ludwika po kamiennych schodach do świątyni. Królowa zsiadła z konia i poszła za trumną. Kościół wypełnił się wkrótce żałobnikami i tłuszcza, której wstępu do środka nie broniono. Po modłach krewni i powinowaci oddawali cześć zmarłemu przyklęknięciem i znakiem krzyża czynionym na piersiach. Najpierw uczyniła to królowa, która w towarzystwie Karola Durazzo podeszła do mar. Nie poczuła od trupa woni śmierci, lecz cudowny balsamiczny zapach mirry. Uniosła welon i przyjrzała się martwemu hrabiemu Graviny. Jego twarz była niczym ulepiona z wosku, biała i błyszcząca, zamknięte oczy zapadły się, a usta były rozchylone. Na jej polecenie wyjęto wnętrzności, a potem zabalsamowano ciało; sierpniowy upał nakazywał szybki pochówek. Królowa zerknęła na Karola, który stał obok niej ze zwieszoną głową. Nie płakał, nie rozpaczał nad stratą, a może skrył uczucia głęboko w sercu, by nikt nie dostrzegł, jak bardzo boli go śmierć ojca. Joanna wyciągnęła ku Karolowi dłoń. Natychmiast usłużył jej ramieniem, na którym się wsparła, po czym wyprostowała się i pochyliła nad Ludwikiem. Gdy całowała jego splecione ze sobą dłonie, z jej piersi dobył się krótki

szloch. Zdusiła go i przeżegnawszy się, wróciła na swoje miejsce. Kiedy stanęła w ławie, opuściła woal, by obserwować tych, którzy podchodzili do trumny pożegnać zmarłego. Widziała Marię, która wraz z córkami uklęknęła przed marami. Nagle księżna zwróciła w bok głowę i spojrzawszy na Joannę, rozchyliła lekko wargi. Naraz Filip położył rękę na ramieniu żony i pomógł jej wstać. Księżna się spłoszyła i odwróciła głowę.

Co chciałaś mi powiedzieć, Mario? Gdyby nie twój mąż, gdyby nie strach, gdyby nie zmowa milczenia, może odkryłabyś przede mną prawdę. Chciałabym wiedzieć, kto zabił i kogo się wystrzeżać – pomyślała Joanna.

Maria wsparła się na ramieniu męża i odeszła od mar; za nią podążyły księżniczki. Po chwili do trumny podszedł książę Achai z małżonką, niską i chudą Marią Burbon, i zerknął na królową. Miał w oczach triumf, a na ustach prawie niezauważalny uśmiech, lecz Joanna go dostrzegła i poczuła, że za tym uśmiechem i za tym spojrzeniem księcia Achai kryje się tajemnica.

ROZDZIAŁ 25



Elżbieta, młoda królowa Węgier, zmierzała korytarzami budzińskiego zamku. Przeciągająca się nieobecność męża spowodowała, że postanowiła do niego zajrzeć. Był już koniec sierpnia, wyjątkowo deszczowy i chłodny. Wilgoć wypełniała komnaty, a wiatr szalał w korytarzach. Straże nie zatrzymywały Elżbiety. Szelest jej szat przykuł uwagę króla. Spojrzał na nią pytająco, lecz milczał, ona zaś podeszła do Ludwika i zerknęła przez ramię na pergamin, a widząc, do kogo jest list, skwitowała, nie kryjąc niezadowolenia:

– Jednak wezwiesz matkę z Zadaru?

– Już pora, siedzi tam dość długo – odrzekł stanowczo. – Ma swoje lata, nie chcę jej obarczać obowiązkami, które winny spoczywać na moich barkach.

Zbyła milczeniem jego słowa, a widząc, że drugi list jest już zapieczętowany, spytała zaciekawiona:

– A drugi list? Do kogo wysyłasz?

– Do Neapolu – oświadczył.

– Po cóż tam? Czyżby królowa Joanna umarła?

– Nie ona, lecz nasz wuj, Ludwik Durazzo.

– Czyż nie przetrzymywano go w lochach Castel dell'Ovo?

– Owszem – potwierdził.

– Zatem nie dziw, że wyzionął ducha. Lochy każdemu nadwątlą zdrowie i doprowadzą do śmierci.

– A jednak w tej śmierci jest coś zagadkowego – orzekł.

– I ty, Ludwiku, chcesz rozwikłać tę zagadkę? – Uśmiechnęła się. W jej głosie brzmiała drwina. Gdy spojrział na nią spode łba, spytała z powagą: – Czy to wypada królewskiemu majestatowi?

– Nie obchodzi mnie Ludwik Durazzo, lecz jego syn, Karol. Jeśli jego ojciec nie zszedł z tego świata z woli Boga, on sam również nie może czuć się tam bezpieczny.

– I myślisz, że Joanna wyda ci Karola?

– Jeśli papież stanie po mojej stronie.

– A stanie?

– Tak myślę. Między nim a Joanną ciągle są jakieś niesnaski. Przekonam go.

Neapolitańskie sprawy wyraźnie nudziły królową, przesunęła palcami po rozłożonych pergaminach i wreszcie spytała:

– Zatem przyjdiesz?

– Tak, lada chwila. Dokończę list.

Ludwik pochwycił jej dłoń sunącą po stole i ucałował. Elżbieta miała w sobie jakieś przeciwieństwa: raz była łagodna, innym razem oschła i uparta. Musiał jednak przyznać, że odkąd jego matka opuściła budziński dwór, żona wyraźnie złagodniała, zatem to obecność starej królowej tak jej doskwierała, choć ta nie wyrządziła jej żadnej krzywdy i od jakiegoś czasu trzymała się z dala od ich małżeńskich spraw. Królowa wróciła do alkierza, Ludwik zaś, dokończywszy krótki list do matki, napisał jeszcze do papieża, po czym wezwał sługę i kazał posłać po Lászla Garaia. Gdy ów się pojawił, rzekł do niego, wskazując na pergaminy, które miał w ręku:

– Długa droga przed tobą, panie Garai. Oto listy. Najpierw pojedziesz do Zadaru i przekażesz list królowej Węgier, potem ruszysz do Awinionu, a stamtąd do Neapolu.

Zaskoczenie odmalowało się na obliczu dworzanina.

– Jedziesz do królowej Joanny – wyjął król.

László wytrzeszczył oczy, nie mając pojęcia, co jest w liście i czego powinien się spodziewać, gdy królowa Neapolu odczyta wiadomość.

– Przywieziesz mi Karola Durazzo – powiedział Ludwik.

Garai na chwilę zaniemówił.

– A jeśli królowa odmówi? – spytał naraz.

– W liście staram się przekonać Innocentego, że powinien poprzeć moje żądanie. Myślę, że papież będzie mi przychylny, a gdy będę miał go po swojej stronie, Joanna nie będzie się upierała.

Minęła połowa września, gdy Garai przybył do Zadaru. Doniesiono mu, że Elżbieta wybrała się na konną przejażdżkę nad brzeg morza. Ruszył tam prowadzony przez sługę zamkowego i wkrótce ujrzał szumiące morze, mewy wlatujące w niebo i królową w towarzystwie kilku dwórek i zbrojnych. Jeden z nich, dostrzegłszy wpatrujących się w ich stronę konnych, zwrócił na to uwagę królowej. Gdy Elżbieta skierowała tam wzrok, a jeźdźcy zaczęli się zbliżać, rozpoznała pana Garaia i pospieszyła ku niemu. W jej sercu tłukła się myśl, że stało się coś złego z Ludwikiem. Królewski dworzanin, pochylając przed nią głowę, zapewnił, że król zdrów i cały.

– A Elżbieta? – dopytywała.

– Także, najjaśniejsza pani.

– Wiesz, jakie wieści przywiozłeś? – spytała, spoglądając na list, który jej wręczył.

– Tak, pani – przyznał.

– Królowa brzemienna? – spytała z nadzieją, jakby na nic bardziej nie czekała, i pragnęła poznać nowiny prędzej, niż rozpieczętuje list.

– Nie, wasza wysokość.

Zmarkotniała, złamała pieczęć i uważnie przeczytała list. Słyszała w uszach głos Ludwika wzywający ją na Węgry.

– Zatem wracamy do Budy, panie Garai – rzekła radośnie, jakby miała już dość wygnania.

– Moja misja nie kończy się w Zadarze – oświadczył. – Ruszam dalej, pani, do Neapolu.

– Jakże to? Ludwik nie wspomina o Neapolu.

Garai opowiedział królowej pokrótce, w jakim celu zmierza na południe Italii. Królowa spojrzała za siebie, tam, gdzie za dolinami, za wzgórzami, jest jej królestwo, w nim ukochany syn i synowa, od której czuje chłód, a potem obejrzała się na morze, za którym w dalekim gorącym Neapolu w zimnym sarkofagu spoczywa jej ukochane dziecko, Andrzej. Tutaj, w Zadarze, wiecznym snem zasnął jej najmłodszy syn, Stefan. I poczuła się rozdarta pomiędzy dwoma królestwami, pomiędzy przeszłością a przyszłością, w której już nie ma dla niej miejsca. Należy ono bowiem do młodej królowej – Elżbiety z Bośni. To ona odebrała jej syna i królestwo.

Listopad w Neapolu był chłodny i wilgotny. We mgle tonął Castel Nuovo, pod którego murami jeszcze w pełnym dniu stanął László Garai wraz z pięcioma zbrojnymi. Strażnicy bramni, widząc obcych i wywiedziawszy się, kim są, posłali do królowej. Joanna, usłyszawszy, że przybył pan Garai z Węgier, zeszywniała z nagłej obawy. Po cóż przyjechał? Gotowa nawet przypuszczać, że król Ludwik posyła do niej swaty, ale wiedziała, że jest żonaty. Wezwała marszałka dworu. Signor Gerolamo poradził jej, by kazała nieproszonemu gościowi czekać.

– Niech wie, że Węgrzy nie są tu mile widziani.

Przystąpiła na to. Wezwała pokojowe, by ubrały ją w bogato zdobioną w klejnoty i hafty suknię, szyję ozdobiła sznurem różowych pereł i rozkazała, aby o zachodzie słońca w wielkiej sali zebrali się urzędnicy i dwórki.

Dzień gasł, czarne chmury zakryły niebo i zaczęło siąpić. Pan Garai z towarzyszami już długi czas tkwili w siodle pod murami fortecy w zawilgoconym od mgieł odzieniu, a teraz deszcz sprawił, że zaczęli odczuwać przenikliwy chłód. Gdyby nie rozkaz króla Węgier, już dawno odjechałby spod zamku i ani się obejrzał na to plugawe i mroczne miejsce. Ulice przy zamku zaczęły pustoszeć, deszcz przemienił się w ulewę, gdy w końcu pojawił się marszałek dworu i z baszty Węgrzy usłyszeli jego głos:

– Królowa na was czeka. Wejdziecie sami, panie Garai, bez zbrojnych i bez konia, rzućcie na ziemię wszystkie ostrza, które przy sobie macie.

László zsiadł z wierzchowca. Rad by już schronić się w murach i zaznać odrobiny ciepła. Odpiął miecz i sztylet, po czym pieszo przekroczył bramę. Marszałek dworu powiódł go do zamku pod silną eskortą. Garai wkroczył w korytarze i rozejrzał się po bokach. Miał wrażenie, że woń śmierci, jaką czuł dawniej w tym miejscu, nie ustąpiła. Zdało mu się, że ściany są przesiąknięte krwią, której zapach zapiera mu dech. Rozwarto drzwi komnaty i Garai stanął przed królową. Olśniła go przepychem, królewskim majestatem i urodą. Lecz pod powłoką piękna i blasku kryła zgniliznę. Ledwie pochylił przed Joanną kark – taka w nim była zapiekłość z dawnych czasów. Gdy podniósł głowę i omiótł ją wzrokiem, przelęknęła się tego spojrzenia, choć starała się zachować zimną krew. Marszałek dworu zabrał z rąk posła pergamin i podszedł do tronu. László tymczasem dyskretnie potoczył wzrokiem po stojących nieopodal królowej dwórkach. Szukał pośród nich tej, której obraz utkwiał mu w pamięci na zawsze – Gianni Filomarino, lecz jej nie znalazł. Tymczasem Joanna otwierała list drżącą ręką i zdało jej się, że wszyscy owo drżenie widzą i słyszą mocne łomotanie jej serca.

– Karol Durazzo na Węgry? – odezwała się grobowym głosem, skupiając na sobie uwagę węgierskiego posła.

László nic nie odrzekł, czekał.

– Dlaczego? – Wbiła w niego wzrok.

– Taka jest wola króla Ludwika i papieża – odparł chłodno.

Królowa milczała. Czowała, jak po jej czole spływają kropelki potu, i otarła je palcami. Nagle ogarnęła ją taka niemoc, że musiała wesprzeć głowę na oparciu krzesła.

– Rozważę prośbę króla Węgier – powiedziała po chwili.

Garai zacisnął zęby i rzekł:

– To nie jest prośba, wasza wysokość.

– Po odpowiedź przybądź za trzy dni – odparła lodowatym tonem.

Nie miał wyjścia, musiał czekać, nie odbierze królowej przemocą młodego Durazza, ona musi go wydać po dobroci. Marszałek wyprowadził

gościa pod silną eskortą. Gdy oddalili się od komnaty i wkroczyli w korytarz wiodący do schodów, László spytał signora Gerolama:

– Wiecie, co się stało z hrabiną Cabanni? Żyje?

Gerolamo tylko wzruszył ramionami. Garai nie wiedział, czy nie chce mu zdradzić, czy nie może, ale możliwe, że nie zna losów Gianny. Gdy znaleźli się na parterze, z góry doszedł ich głos Gisoldy:

– Zatrzymaj się, signor Gerolamo.

Marszałek przystanął. Dwórka zbiegła do nich i rzekła:

– Królowa was wzywa.

Zdziwił się i zerkając na Węgra, spytał:

– A co z naszym posłem? Królowa rozkazała, żeby odprowadzić go do bramy.

– Ja go odprowadzę, bądźcie spokojni, zresztą czy myślicie, że jeden nieuzbrojony człowiek pokona dziesięciu zbrojnych?

Gerolamo odszedł spiesznie, a Gisolda wraz z Garaiem i zbrojnymi wyszli na dziedziniec. Rozwarto bramę i dano rozkaz podniesienia kraty, gdy dwórka rzekła do Węgra:

– Hrabina wstąpiła do klasztoru.

Poczuł dla niej wdzięczność, ale chciał wiedzieć więcej, więc spytał z nadzieją:

– Którego? Gdzie?

– Nie wiem, panie – odparła i ujrzała jego nagle zasmucone oczy.

W tym czasie Gerolamo był już w komnacie królowej, która rzekła:

– Sprowadź do mnie Karola Durazzo.

Gdy młodzieniec przyszedł do Joanny, od razu zauważył jej wzburzenie i poczuł niepokój.

– Karolu, król Węgier żąda, żebyś przybył do Budy.

– Pozwolicie na to? – spytał roztrzęsiony i zbliżył się do niej.

Joanna wyciągnęła ku niemu rękę; pochwycił ją i ukląkł przy krześle, na którym siedziała.

– Nie mogę odmówić – oświadczyła z bólem serca. – Innocenty popiera Węgra, muszę go usłuchać.

Objęła chłopca ramionami i ucałowała mu twarz, po której zaczęły płynąć łzy, przestrzegła:

– Pamiętaj, nie ufaj mu, nie wierz w jego słodkie słowa, on zamordował twego stryja Karola...

Z mocno bijącym sercem galopem przekroczył bramę miasta. Naraz zatrzymał konia i obejrzał się za siebie. Za plecami zostawiał pogrążony w ciężkich chmurach Neapol, a w nim swoją przeszłość.

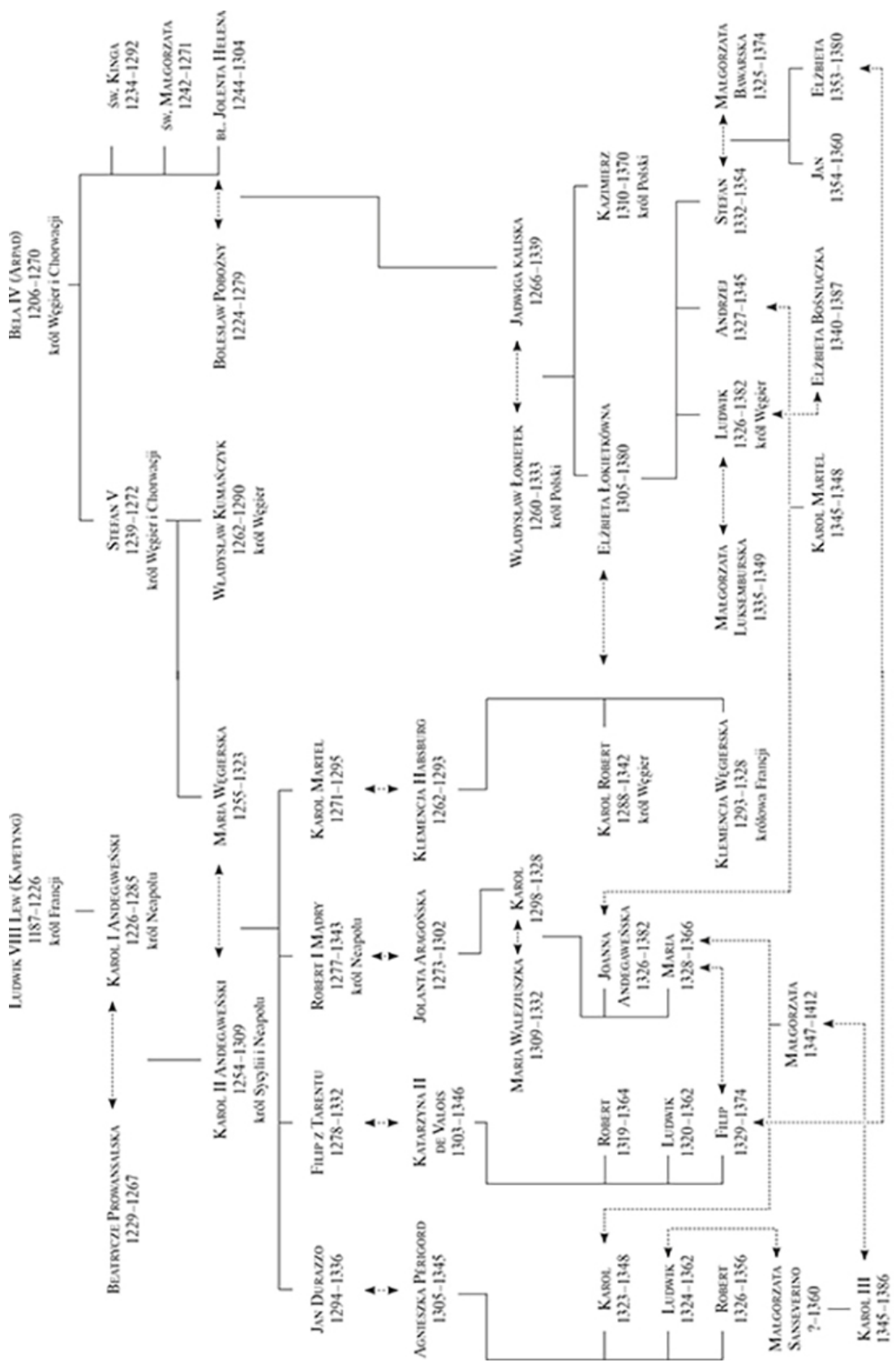
– W drogę! – Głos pana Garaia zmaścił mu wspomnienia.

Karol Durazzo skierował wzrok przed siebie. Tam, na północy, niebo jaśniało od słońca.

POSŁOWIE



Drodzy Czytelnicy, do Waszych rąk trafia drugi tom serii o Andegawenach – *Korona w złocie i krwi*, który nie kończy dziejów Joanny Andegaweńskiej. Królowa Neapolu będzie musiała stawić czoła nieprzychylnemu jej papieżowi Urbanowi VI oraz Karolowi Durazzo, jedynemu – obok Ludwika Węgierskiego – męskiemu przedstawicielowi dynastii Andegawenów. Dalsze losy Joanny są nad wyraz pasjonujące – to historia walki o władzę, w przypadku której żadna ze stron nie przebierała w środkach. W dalekich Węgrzech król Ludwik już nie będzie myślał o neapolitańskim tronie dla siebie, lecz dla swego krewniaka, Karola Durazzo. Temu ostatniemu uda się zdobyć koronę Neapolu oraz na krótko tron Węgier. Na krótko – gdyż po śmierci Ludwika Węgierskiego z cienia wyjdzie jego małżonka, ambitna i żądna władzy Elżbieta Bośniaczka.



→ Linia przerywana zakończona strzałkami oznacza związki małżeńskie

PRZYPISY



- [1] Małgorzata w rzeczywistości umarła na dżumę rok później, we wrześniu 1349 roku.
- [2] Przypada 24 września.
- [3] Przypada 15 maja.
- [4] Przypada 15 czerwca.
- [5] W rzeczywistości Maria poślubiła Filipa z Tarentu dwa lata później, w 1354 roku.
- [6] Tę zgodę Elżbieta dostała jeszcze za życia papieża Jana XXII w 1334 roku, ale klasztor zaczął funkcjonować znacznie później, bo około 1349 roku.
- [7] Po śmierci Marii Durazzo jej mąż Filip z Tarentu poślubił w 1370 roku Elżbietę, córkę Stefana węgierskiego i Małgorzaty Bawarskiej.
- [8] Przypada 12 lipca.
- [9] W rzeczywistości oblężenie Bełza miało miejsce w marcu 1352 roku i wtedy król Ludwik został ranny.
- [10] Święty Remigiusz jest wspominany 1 października.
- [11] Przypada 21 października.
- [12] Wodna boginka.
- [13] Przypada 19 maja. Piotr z Murrone był pustelnikiem, który zasiadł na tronie papieskim jako Celestyn V.
- [14] Przypada 12 września.
- [15] Patronki kobiet bezpłodnych pragnących zajść w ciążę.
- [16] Symboliczny hołd oddający pod cudze władanie; także przysięga wierności.
- [17] Przypada 5 maja.

[18] Przypada 27 kwietnia.

[19] Dziecko (wł.). W istocie Ludwik zmarł rok wcześniej, bo w 1355 roku.

[20] Przypada 27 listopada.

[21] Ludwik z Tarentu w rzeczywistości zmarł w 1362 roku.

[22] Ludwik Durazzo zmarł w lipcu 1362 roku, dwa miesiące po śmierci Ludwika z Tarentu; prawdopodobnie został otruty.

❖ Barwny fresk historyczny ukazujący walkę o władzę i miłość wśród Andegawenów ❖

Król Ludwik Węgierski, w którego żyłach płynie krew Andegawenów i Piastów, wraca z Neapolu po nieudanej wyprawie wojennej przeciw królowej Joannie. Dwór w Budzie jest pogrążony w żałobie po śmierci jego żony Małgorzaty Luksemburskiej.

Elżbieta Łokietkówna, mimo rozpacz syna, już rozmyśla o ponownym ożenku Ludwika i sprowadza na Węgry swoją imienniczkę Elżbietę Bośniaczkę, pragnąc zapewnić monarchii następcę tronu. Ale król nie potrafi porzucić myśli o zemście i ponownie rusza do Włoch, by pojmać Joannę Andegaweńską i poślubić jej siostrę Marie.

Przeciągająca się wojna nie daje rozstrzygnięcia i Ludwik musi przystać na pokój ze swoją rywalką. Jednak rozejm z Węgrami nie jest gwarantem spokoju królowej Neapolu, która nawet wśród najbliższych nie może czuć się bezpiecznie.

Czy Joannie uda się obronić przed siatką intryg, która ją oplata?
Czy Ludwik porzuci pretensje do tronu neapolitańskiego i zwróci oczy na Polskę? Jego stryj król Kazimierz jak dotąd nie doczekał się syna...

Kontynuacja serii o jednym z najpotężniejszych rodów średniowiecznej Europy



Pierwszy tom serii

Patronat



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6292-2

EAN 9788327162922

U.KS.HIS055.1.01.01

